

EWA  
SOBIENIEWSKA

# Srebrne wrzeczono

*Kiedy kobieta chce decydować o sobie,  
może zapłonąć stos...*

LIRA  
WYDAWNICTWO

EWA  
SOBIENIEWSKA

*Srebrne  
wrzeczono*

L i R A  
WYDAWNICTWO  
WARSZAWA 2022

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2022  
© Copyright by Ewa Sobieniewska, 2022

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora  
Redakcja: Barbara Kaszubowska  
Korekta: Magdalena Białek  
Skład: Klara Perepłyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik  
Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji: © jakkapan/123 rf,  
© ArtsyBee/pixabay.com, © kathysg/depositphotos.com  
Zdjęcie autorki: © archiwum własne  
Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz  
Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:  
Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz






Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.  
Wydanie pierwsze  
Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67388-66-5 (EPUB); 978-83-67388-67-2 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.  
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

  
L I R A  
WYDAWNICTWO  
[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# SPIS TREŚCI

## Dedykacja

Prolog

Część I. Dziewczynka

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Część II. Panna na wydaniu

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Część III. Uciekinierka

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Część IV. Służąca

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Część V. Jaśnie panienska

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Epilog

Podziękowania

Przypisy

*Moim Rodzicom*

*U prząśniczki siedzą jak anioł dziewczeczki, przędą sobie przędą  
jedwabne niteczki.*

*Kręć się kręć wrzeczono, wić się tobie wić!  
Ta pamięta lepiej, czyja dłuższa nić.*

Jan Czeczot, *U prząśniczki siedzą* (fragm.)

## PROLOG

### *WIELKIE KSIĘSTWO LITEWSKIE,*

*A.D. 1640*

Kowal nie pogodził się z odrzuceniem. Po robocie w kuźni podjadał smakołyki przywiezione z jarmarku, popijał gorzałą i żalił się na zły los swemu odbiciu na dnie kielicha.

Jak to być może, że twarde żelazo ustępuje pod siłą jego ciężkiego młota i przybiera kształt, jaki sobie zażyczy, a tymczasem krucha, wiotka dziewczka, kwiatusek taki, co to by mógł palcem na pył rozetrzeć, ustąpić nie chce?

We wsi mówiono, że jest niepewna, że ciążą na niej grzechy matki, co miała wesele pod płotem<sup>[1]</sup> i że nikt nigdy nie weźmie jej za żonę. Cóż to więc była za siła, która wzrok mężczyzn kierowała niezmiennie w stronę Vaivy? Dlaczego panna, co nie znała zalotności, wzbudzała w nich żądze, z których nie śmieli się wypowiedać księdzu podczas corocznego odpustu? Żeby choć była dorodnie zbudowana jak Kochna, którą podszczypywało się w pulchne pośladki, albo wesoła i rumiana jak Aluszka. A jednak, gdy nocami przewracali się na swych twardych ławach, to nie dorodne Kochny wypełniały ich myśli, tylko Vaiva. Śnili o jej długich do kolan, czarnych włosach, jasnych oczach, barwą przypominających wodę z leśnego źródła, o gibkim, szczupłym ciele i ustach czerwonych jak

owoce głogu.

Gdy któraś matka spostrzegła, że jej syn wpatruje się w to bękarce nasienie, szturchała go w plecy i zaganiała do roboty, piekłem strasząc. Mężatki przy swych chłopach przezornie milczały, za to jak tylko nadarzyła się okazja – kiedy Vaiva samotnie szła drogą albo zbierała w lesie chrust – dawały upust palącej zawiści i rzucały w jej stronę wyzwiska, że wszeteczną jest i czarcim pomiotem.

Kowal z początku chciał z nią jedynie pofiglować, dobrać się do dziewczęcych skarbów, skrywanych pod płócienną bluzką i długą spódnicą. Im dłużej mu się opierała, tym bardziej jej pragnął. Wreszcie przyrzekł sobie, że będzie jego, że na własność zdobędzie te usta czerwone, te oczy błękitne, że nie pozwoli, by ścięła po ślubie czarne włosy, i co noc będzie je sobie oplatał wokół szyi. Marzenia zrodzone z opętania i pasji musiał pochować, gdy Sigita rzekła mu, że ślubu nie będzie. Vaiva się zaparła, a ona nie potrafi jej zmusić. Cała wieś z niego kpinkowała. Nie było dnia, by kamraci nie dogadywali, zadowoleni, że nie dostał tej cudnej dziewczki, której i oni łaknęli. Wszystkie wcześniejsze uczucia: żądza, tęsknota, nawet czułość, zlały się w jedno pragnienie, które miast z każdym dniem słabnąć, pęczniało jak ciasto w dzieży. Chciał zemsty. Chciał zobaczyć Vaivę upodloną i zbrukaną.

– Dopadnę cię – mruczał nad kielichem. – Dopadnę cię i wtedy pożałujesz, czarownico!



# CZĘŚĆ I

## *Dziewczynka*

### ROZDZIAŁ 1

#### *KRÓLESTWO POLSKIE, ŁUBINÓW, POŁOWA XIX WIEKU*

Kiedy Wiktoria, córka dziedzica Słoczyńskiego, przyszła na świat, każdy, kto pochylił się nad misternie rzeźbioną, ponad stuletnią kołyską, nie mógł nadziwić się urodzie dziecka. Pełne zachwyty okrzyki krewnych i służby sprawiły, że Ludwika pospołu z mamką Florentyną zdecydowały, by na rączce dziewczynki zawiązać czerwoną tasiemkę, która miała ją chronić przed złym urokiem. A jednak czy to moc nadmiernych zachwytyłów okazała się silniejsza, czy to potęga jedwabnego amuletu za słaba, bo po kilku latach stało się pewne, że mała Wiktoria ani trochę nie wrodziła się w największą piękność w rodzie – swoją matkę Eufrozynę.

– Może to i lepiej – wyznała raz Ludwika, gdy z Florentyną w mroźny, listopadowy poranek wyjmowały z przepastnych kufków mięsiste, haftowane poszwy z adamaszku, ciężkie suknie z mory i obszyte futrem atłasowe salopy. Przed zimą należało wszystko sprawdzić, przewietrzyć, spryskać wodą różaną oraz rozwiesić w szafach i bieliźniarkach, by nabierało pożądanej gładkości. – Mojej Eufrozyńce ta wielka uroda szczęścia nie dała.

– I ja to widzę – przyznała skwapliwie Florentyna, pogodna, prawie czterdziestoletnia kobieta o bystrym spojrzeniu i miłej powierzchowności. – Kiedy wezwano mnie do dworu, żebym dziecko karmiła, rada byłam, że na własne oczy zobaczę panią Eufrozynę. A

bo to się mało nasłuchiwała, że piękna jak obrazek? A potem, gdy pozwolono mi pokojową zostać, myślałam, że Pana Boga za nogi złapałam.

– Zręczna jesteś, Florentynko, i uczciwa, a i twój Maciej dobrze służy. Lepszego gajowego ze świecą nie znajdziesz, to i nie dziwota, że pani ciebie wybrała. Córkę jej zdrową uchowałaś.

– Ale ona nie przyniosła pociechy. Pani rzadko zagląda do małej.

– Co poradzić – westchnęła ze smutkiem Ludwika, wytrzepując spomiędzy powłoczek na poduszki gałązki suszonych ziół.

– Byliście niańką pani Eufrozyny, prawda?

– Opiekowałam się nią od dnia narodzin. – Ludwika z dumą pokiwała siwą głową. – Traktowałam jak córkę i wszystko bym oddała, żeby szczęśliwa była. Przeklęty dzień, w którym...

– W którym co? Poznała jaśnie pana? – dopytywała zaciekawiona Florentyna, klęcząc nad kufrem.

– Gdzież tam! Niechby mnie Bóg pokarał, żebym miała choć jedno złe słowo o nim powiedzieć. A co to za plamka? Czyżby mole się dobrały? Nie, na szczęście nie – rozstrzygnęła z ulgą.

– Ludwiko... – zaczęła ostrożnie Florentyna – bo mnie się zdaje, że oni są strasznie niedobrani. Wiktonia ma już siedem lat, mogłoby być drugie dziecko, a nawet trzecie.

– Jak Bóg da, to będzie.

– Jak się łoża nie dzieli, to nawet Bóg nie pomoże.

– Jak ci nie wstyd opowiadać takie rzeczy?! – Ludwika zastygła w bezruchu, piorunując ją wzrokiem.

– Przecie służę przy pani, to wiem. Oni się chyba nawet nie lubią. Ludzie powiadają, że...

– No, no, no! Ty nie słuchaj, co ludzie mówią, tylko zajmuj się swoją robotą. O, tu przy sukni kokarda zerwana.

Ludwika, choć mogłaby powiedzieć niejedno, usta miała

zamknięte na siedem pieczęci. Dwóch synów, jeden gorszy od drugiego, pochowała dawno temu. Byli źródłem jedynie zgryzoty i wstydu, podobnie jak mąż, utracjusz i awanturnik. Kiedy wybuchło powstanie w trzydziestym roku, ani mu w głowie było ruszyć do walki wraz z innymi silnymi mężczyznami. Aż pewnej nocy, gdy za pieniądze wykradzione żonie opróżniał w karczmie kolejny kufel miodu, naszły go sentymenty. Poderwał się z miejsca, rzucił w stronę drzwi, zakrzyknął: „Na bój, Polacy”, zachwiał się i zakończył swój marny żywot, rozbijając głowę o płaski kamień.

Na wieść o śmierci męża Ludwika westchnęła ze smutkiem, trzy razy zmówiła *Wieczny odpoczynek...* i z ulgą zamknęła ten rozdział życia. Odtąd trwała przy Eufrozynie jak wierny pies, a gdy ta wyszła za mąż, poszła za nią i jako rezydentka zamieszkała w Łubinowie. A ile miała radości, kiedy na świat przyszła Wiktoria! Dziecko było pulchne, zdrowe i rumiane niczym jabłko w łubinowskim sadzie, a miało w sobie taką słodycz, że każdy pragnął je tulić, całować i pieścić.

Dziewczynka stała się ulubienicą swojej babki, starej hrabiny Słoczyńskiej, a także służby domowej i folwarcznej. Otoczona miłością wielu ludzi i rozpieszczana przez Ludwikę nie odczuwała braku uwagi rodziców. Wielbiła matkę bezgranicznie jak bóstwo, z daleka i po cichu, zadowolona, że od czasu do czasu może na nią popatrzeć albo wtulić twarz w fałdy spódnicy. Ojciec – wysoki i postawny – jawił się jej niczym niezwykła postać rodem z baśni opowiadanych z talentem przez ukochaną piastunkę. Raz widziała w nim groźnego rozbójnika, innym razem księcia zaklętego w niedźwiedzia albo sprawiedliwego króla, wydającego rozkazy poddanym.

Kiedyś się zdarzyło, że podczas zabawy w chowanego z nianią dostrzegła uchylone drzwi w prawym skrzydle dworu – tajemnicze

wrota, które musiały prowadzić do cudnej krainy, jak podpowiadała jej wyobraźnia. Nie zastanawiając się długo, weszła do środka. Spodziewała się ujrzeć dziwy niestworzone, a tymczasem zobaczyła siedzącego za biurkiem ojca. Cudna kraina okazała się przestronnym gabinetem z przeszklonymi szafami pełnymi książek. Ściany zdobiły stare mapy i ryciny w cienkich, drewnianych ramach, a okno przysłaniały grube, ciemnozielone kotary. Na kominku stały porcelanowy zegar na wygiętych nóżkach, dwuramienny srebrny świecznik i niewielka litografia łubinowa. Wiktoria wodziła wzrokiem po grubych tomiszczach ustawionych równo na półkach, aż wreszcie jej uwagę przykuł okazałych rozmiarów globus przy intarsjowanym stoliku do kawy, pod którym drzemał ogar Gratus, ulubieniec ojca.

– Ukrywasz się? – spytał rzeczowo pan Słoczyński.

Dziewczynka w odpowiedzi kiwnęła główką, niezgrabnie przesuając się pod ścianą. Bardzo rzadko rozmawiała z ojcem i nie była przyzwyczajona, by skupiał na niej uwagę.

– Tam się schowaj – podpowiedział.

Wskazał ręką na głęboki, mocno już zniszczony rokokowy fotel, którego obicie zdobiły sceny z bajek La Fontaine'a. Mebel stał przytulony do starej sekretery, zasłonięty niemal zupełnie przez znajdującą się obok biblioteczkę.

Wiktoria powoli, z namaszczeniem, jakby wkraczała na salę balową, do tego uszczęśliwiona pomocą ojca, zajęła miejsce, układając grzecznie rączki na kolanach, by pokazać, że mimo siedmiu lat jest małą damą. Po chwili jednak roześmiała się perliście, podkuliła nogi i oparła główkę o poręcz. Obserwowała, jak ojciec macza pióro w kałamarzu i zapisuje białe kartki, jak przegląda grube księgi, od czasu do czasu posyłając jej blady, niepewny uśmiech. Natychmiast zapomniała o zabawie w chowanego.

Od tego dnia niemal codziennie przychodziła do gabinetu, by w objęciach staroświeckiego fotela skryć się przed światem i nacieszyć obecnością ojca. Lubiła patrzeć, gdy ten, pochylony nad dokumentami, marszczył czoło. Potem dziewczynka naśladowała wyraz jego twarzy w zabawach z Ludwiką. Nie przeszkadzała jej woń tytoniu ani fakt, że ojciec rzadko się odzywał. Wystarczyło, że kiedy pojawiała się w drzwiach, patrzył na nią radośnie, jakby mówił: „No nareszcie jesteś”. Nawet Gratus oswoił się z jej obecnością i upodobał sobie miejsce pod fotelem, pozwalając, żeby opierała stopy na jego grzbiecie.

Gdy Wiktoria skończyła dziesięć lat, zdarzało się, że ojciec wydobywał z sekretnych szuflad biurka cenne pamiątki, pękate księgi, miniatury przedstawiające przodków i opowiadał rodzinne historie.

– Pamiętaj, że jesteś córką i wnuczką powstańców – mówił.

Pozwalał jej trzymać w dłoniach ołowianą moskiewską kulę, którą ongiś wyjęto mu z biodra, a dziewczynka pęczniała z dumy.

– Twój dziad Wincenty był oficerem Armii Polskiej i zginął w obronie ojczyzny, walcząc u boku Tadeusza Kościuszki.

Wiktoria dzięki lekcjom z guwernantką Michaliną, gorącą patriotką i wielbicielką Mickiewicza, miała już spore pojęcie o historii kraju i wielkich bohaterach. Od Ludwiki wiedziała, że ojciec po powstaniu listopadowym został skazany na katorgę, od której po dwóch latach spędzonych w więzieniu wykupiła go matka.

– Dwór w Słoczynie przejęli zaborcy i wtedy zamieszkał tutaj, w majątku posagowym twojej babci – tłumaczyła Ludwika.

– I ożenił się z mamą.

– Ano tak. A opowiadałam ci już legendę o kamiennym pielgrzymie, co od wieków idzie na Święty Krzyż?

Wiktoria nie mogła nie zauważyć, że ukochana niania, urodzona

bajarka, która godzinami mogła snuć barwne rodzinne opowieści, stawała się dziwnie powściągliwa, ilekroć dziewczynka pytała o związek matki z ojcem. Nie przejmowała się tym zbytnio aż do pewnej wiosennej niedzieli. Miała wtedy jedenaście lat i bawiła się ze swoją mleczną siostrą, Karusią, córką Florentyny. W pewnym momencie poczuła wilczy głód.

– Chodźmy do kuchni – zaproponowała, pociągając przyjaciółkę za rękaw płóciennej bluzki. – Kucharka da nam coś do skosztowania. Nie wytrzymam do kolacji.

– To idźmy do mnie. Mama jest dziś w domu. Placków z konfiturą nasmażyła.

Wiktoria przepadała za Florentyną, która wykarmiła ją własną piersią i której mogła powierzyć wszystkie troski swego młodego serca, lubiła też solidny, kryty strzechą dom, położony za dworem przy borze. Pobiegły zatem w podskokach do leśniczówki, trzymając się za ręce. Kiedy zdyszane wpadły do pachnącej dymem, jabłkami i cynamonem izby, zastały Florentynę przy dzieży. Maciej stał za nią, wtulał twarz w szyję kobiety, a rękami mocno oplatał ją w pasie. Coś szeptał, Florentyna zaś chichotała, jakby była panną na wydaniu, a nie stateczną żoną i matką sześciorga dzieci.

Wiktoria w pierwszej chwili nie zrozumiała, dlaczego ta scena, miast ją speszyć, zawstydzić, sprawiła jej dotkliwy ból, dlaczego nagle straciła ochotę na placki z konfiturą i zabawę z Karusią. Wróciła do dworu i na długie godziny zaszyła się w swojej „świątyni dumania” – kamiennej, przeszklonej altanie, ukrytej pośród drzew w parku. Usiadła na ławce, podciągnęła kolana pod brodę i przez witrażowe okno spoglądała na wiekowe lipy, które zdążyły obudzić się z zimowego snu i rwały do życia. Siedziałyby tam pewnie do późnej nocy, gdyby nie Ludwika.

– Bój się Boga, dziecko! – zawołała starsza dama, wszedłszy do

środka. – Od kiedy wróciłyśmy z kościoła, biegasz nie wiadomo gdzie, a kolacja już...

– Dlaczego mama i papa się nie lubią? – spytała wprost, patrząc niani w oczy z determinacją i bezbrzeżnym smutkiem, który zaniepokoił Ludwikę.

Starsza dama złapała za poły wełnianej, brązowej chusty, chroniącej plecy i ramiona przed zdradliwym ciepłem wiosny, i usiadła obok Wiktorii na kamiennej ławie.

– Kto ci, maleńka, powiedział, że się nie lubią? Cóż za pomysły?

– Nikt nie powiedział. Widziałam... widziałam Florentynę i Macieja. Papa nigdy nie przytulił mamy, nigdy z nią nie rozmawia, dlaczego?

– Ależ rozmawiają...

– Nie tak jak Florentyna z Maciejem. Oni śmieją się do siebie, oni... – Z emocji zabrakło jej tchu.

Rodzice wspólnie spożywali posiłki, podczas świąt składali sobie życzenia, matka podawała ojcu rękę do ucałowania i to była jedyna forma bliskości, którą dziewczynka między nimi zaobserwowała. Nie kochali się, tego była pewna.

– Dziecinko, czy ty nie masz gorączki? – Ludwika przyłożyła dłoń do jej czoła. – Chłodno tu, już wieczór. Po kolacji przyniosę ci gorącego soku z malin. Został jeszcze z zeszłego lata. I opowiem ci nową bajkę.

Wiktorii widziało, jak ukochana niania rozpaczliwie próbuje odwrócić jej uwagę – i to tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że ma rację.

– Ludwiczko, jeśli oni się nie lubią, to jak mogą lubić mnie?

– Dziecko, ktoś ci głupstw naopowiadał. Jeśli Florentyna, to...

– Nic mi nie naopowiadała. Przecież mówiłam, że widziałam, jak...

– Co dokładnie widziałaś? Przytulali się, tak? I stąd to całe zmartwienie? – Ludwika zdjęła z pleców chustę i zarzuciła na ramiona Wiktorii. – Dobrze wychowani ludzie okazują sobie uczucia na osobności, nie przy świadkach. Twoja mama to wielka dama i... Chodźmy już do domu, na Boga, bo zapalenia płuc dostaniesz. O, jak mnie w krzyżu łupie.

Wiktorii pozwoliła wziąć się za rękę, udając, że przyjęła zapewnienia niani. Uznała, że odpowiedzi na dręczące pytania będzie musiała poszukać sama, bez niczyjej pomocy.

Kilka dni później podsłuchiwała rozmowę dwóch pokojówek: grubej jak beczka na kapustę Zośki i drobnej, czarnowłosej Hanki.

– Co ty tak na jego widok oczami przewracasz? – pytała Zośka, ustawiając w pokoju kredensowym talerze na komodzie.

– Bo mnie do niego ciągnie – odparła Hanka, przyciskając obie dłonie do piersi. – Oj, jak ciągnie...

– Do jaśnie pana? Taki stary...

– Wcale nie stary!

– Ty nie masz jeszcze osiemnastu, a on do pięćdziesiątki dobija. Eee, stary.

– A widziałaś, jak patrzył na mnie? Jego też ciągnie.

– Do ciebie? – zaśmiała się. – Jaśnie pani cudna jak anioł, a on do ciebie, głupia?

– A tak! – rzekła pogodnie Hanka, zupełnie niezrażona. – Jak chłop z żony zadowolony, to ino patrzy, żeby pod pierzynę do niej wleźć, a pan do pani nie zachodzi. Musi być, że już dawno mu obrzydła.

– Ciszej, jeszcze, nie daj Bóg, kto usłyszy i się narobi – zganiła ją Zośka. – Jak już cię musi ciągnąć, to do roboty niech cię ciągnie. Wyjmij serwetę z szuflady i sztućce przetrzyj.

Wiktorii czekała na ciąg dalszy, ukryta za drzwiami do pokoju kredensowego, ale najwyraźniej upomnienia Zośki przyniosły efekt,



bo Hanka porzuciła temat umizgów wobec pana Słoczyńskiego i zajęła się pracą.

Zachowanie służących, ich komentarze i paskudne aluzje oburzyły Wiktorię, a jednocześnie utwierdziły ją w przekonaniu, że podejrzenia, których nabrała, są słuszne. Ani trochę nie wierzyła, by ojciec mógł zagustować w Hance czy innej służącej, lecz było jej przykro, że nie gustuje także w żonie. Nie rozumiała dlaczego; przecież wszystkie księżniczki, królowny, wróżki i czarodziejki z baśni opowiadanych przez Ludwikę miały dla niej delikatną twarz matki. Nieraz słyszała, jak mówiono, że piękniejszej kobiety od pani na Łubinowie nie znajdzie się na całej ziemi sandomierskiej. I wciąż była taka młoda, dużo młodsza od ojca. Tylko uśmiechała się rzadko i najczęściej przebywała w buduarze, do którego wstęp miały jedynie Ludwika z Florentyną. Tak – o ile drzwi gabinetu ojca stały przez Wiktorią otworem, o tyle pokoje matki zawsze były dla niej zamknięte. Eufrozyna każdego ranka przed śniadaniem przychodziła do sypialni córki, by zapytać, czy dobrze się czuje i czy przygotowała się na lekcje z panną Michaliną, miała jednak przy tym tak obojętny wyraz twarzy, że Wiktoria nigdy nie odważyła się poskarżyć, nawet jeśli coś jej doskwierało. Kiedy skończyła jedenaście lat i dostała łaski zasiadania do pierwszego stołu<sup>[2]</sup>, widywała się z matką także w trakcie posiłków, podczas których mogła podziwiać nienaganne maniery, grację, z jaką unosiła kieliszek albo filiżankę. Jeszcze wieczorem, przed snem, Eufrozyna przychodziła życzyć córce spokojnej nocy i spytać, czy zmówiła pacierz.

Wiktoria nie oczekiwała od niej czułości – tę dostawała z nawiązką od Ludwiki – ale pragnęła uwagi, pochwały, znaku, że jest kochana i ważna, a ponieważ matkę najbardziej interesowały postępy w nauce, pilnie przykładała się do zajęć z panną Michaliną. Uczyła się chętnie i szybko, nie mając najmniejszych trudności z

przyswojeniem łacińskich czasowników. Z pamięci recytowała długie fragmenty ballad Mickiewicza, a bajki La Fontaine'a czytała w oryginale. Jedyne, co sprawiało jej trudność, to lekcje muzyki. Cierpiała istne męki, próbując wyszarpnąć z fortepianu choćby najprostszą melodię.

– Musi panienka grać na instrumencie. Każda dama powinna doskonalić się w talentach, jeśli chce dobrze wyjść za mąż. *C'est sûr*<sup>[3]</sup> – przypominała panna Michalina.

W końcu jednak, uznawszy, że Wiktoria to przypadek beznadziejny, zarzuciła lekcje muzyki na rzecz rysunku, co przyniosło nad wyraz zadowalające efekty.

Piękno historii dziewczynka odkrywała dzięki Ludwice i ojcu. Wiezorami przy filiżance gorącego kakao niania zabierała ją nie tylko na Łysą Górę, gdzie z biesami harcowały czarownice, ale także do dawnych siedzib antenatów, oprowadzała sekretnymi ścieżkami po zamkach, gdzie straszło, i po pałacach, które najeżdżał wróg. Przywoływała postacie marszałków koronnych i wielkich hetmanów, kasztelanów i senatorów, powtarzała fascynujące historie z życia jej babek i prababek. Wiktoria najbardziej lubiła opowieść o jednej z nich, dzielnej Wirydzianie Opalińskiej, której bali się najgroźniejsi wojacy.

Rozmowy z ojcem pomogły jej zrozumieć, jaki dramat kryje się pod słowami „Sybir”, „niewola”, „zabory”. W książkach przemycanych przez pannę Michalinę z Paryża Wiktoria nieraz czytała o Polakach bohatersko walczących z Moskalami w imię wolności, ale to pan Słoczyński rozbudził w niej wielką miłość do ojczyzny, która nawet nie istniała na mapie. Nocami, kiedy nie mogła zasnąć, wyobrażała sobie, że jest nowym wcieleniem Emilii Plater, szarżowała na wroga z szablą w ręku, uciekała przed ostrzałem artylerii, w przebraniu mężczyzny przemyciała tajne dokumenty, od

których miało zależeć powodzenie powstania. Oczywiście wszystkie te przygody musiały się zakończyć bohaterską śmiercią. Widziała, jak rozklekotaną furmanką przywożą do Łubinowa jej zakrwawione ciało w asyście wiernych żołnierzy, oplakujących swego dowódcę „wielkiej mocy i sławy”<sup>[4]</sup>. W tych marzeniach matka, uświadomiwszy sobie, że zabitym powstańcem jest jej córka, padała zemdlna na ganku dworu.

Wiktoria, dowiedziawszy się od panny Michaliny, że Emilia Plater uczyła się strzelać, gdy była jeszcze dziewczynką, postanowiła pójść w jej ślady. Wiedziała, że ojciec w szufladzie biurka trzyma pistolet, więc pewnego dnia zakradła się do gabinetu, aby zabrać pożądany przedmiot. Wyobrażała sobie przy tym, że przeprowadza ważną misję. Sprawa skończyła się inaczej niż w jej nocnych, pachnących prochem i krwią fantazjach. Do gabinetu wparował ojciec, wściekły zabrał broń z ręki i nakrzyczał, zupełnie nieświadomy, że stoi przed nim ważna konspiratorka, która z narażeniem życia dokonywała właśnie heroicznego czynu.

– Mogłaś sobie zrobić krzywdę! Pistolet to nie zabawka! Wiesz, co mogłoby się stać, gdybym w porę nie przyszedł?

Wiktoria słuchała wymówek ze zwieszoną głową, a kiedy ojciec przerwał, by złapać oddech, opowiedziała mu, w jakim celu potrzebowała broni. Najwyraźniej rozbawiła go tym wyznaniem, bo machnął tylko ręką i kazał uciekać, nim wymyśli karę.

Miesiąc później, czternastego kwietnia, wypadały jej dwunaste urodziny. Ojciec przed śniadaniem złożył córce życzenia i poprosił, żeby poszła z nim obejrzeć swój prezent. Wcześniej jednak zawiązał jej oczy jedwabnym szalem. Wiktoria jeszcze nigdy nie była tak podekscytowana. Pozwoliła prowadzić się za rękę, zaintrygowana tym, co ją czeka. W skrytości ducha liczyła na to, że otrzyma nowiutki pistolet albo szablę, którą będzie siekła Moskali w boju.

Jakże była zaskoczona, zrozumiałwszy, że idą w stronę zabudowań dworskich. Gdy poczuła ostry zapach łąna i siana, wiedziała już, gdzie jest.

Opaska opadła z oczu. Wiktoria kilkakrotnie mrugnęła, popatrzyła przed siebie i musiała zakryć usta dłońmi, by stłumić okrzyk radości.

– Konspiratorka, zanim zaczniesz strzelać, powinna wprawdzie nauczyć się jeździć konno – oświadczył pan Słoczyński, klepiąc po grzbiecie niedużą klacz szarej maści. – Emilia Plater miała swojego konia, więc od dziś ty także.

Wiktoria, przejęta i wzruszona, delikatnie pogłaskała zwierzę po szyi, po czym zwróciła się ku ojcu. Nie znajdując słów wdzięczności, ujęła jego dłoń i pocałowała.

– Nie trzeba – zaprotestował, jakby zawstydzony, choć i jemu udzieliło się wzruszenie. – Jak ją nazwiesz?

Wiktoria tym razem już odważnie przytuliła głowę do szyi klaczy.

– Emilia – odparła bez zastanowienia.

– Jesteś pewna? Czy to stosowne imię dla konia?

– To nie wiem... – Zasepiła się przez moment, szukając pomysłu, jak uczcić swoją ukochaną bohaterkę.

I wtedy przypomniała sobie, że klacz ojca nazywa się Sekwana. Emilia Plater była Litwiną, urodziła się w Wilnie, a przez Wilno płynęła Wilia.

– Wilia – powiedziała głośno.

– A więc Wilia – powtórzył pan Słoczyński.

W ciągu kilku miesięcy Wiktoria stała się sprawną amazonką i gdy tylko mogła, towarzyszyła ojcu w przejażdżkach po majątku. Z czasem pan Słoczyński zaczął zabierać córkę na dalsze wyprawy poza Łubinów. W drodze do sąsiednich dworów najczęściej przejeżdżali przez pobliskie Unieszowy. Miasteczko, położone na południowo-wschodnim krańcu Gór Świętokrzyskich, nie było duże, ale miało

urok zaklęty w przytulonych do siebie kamienicach otaczających rynek, widoczny w majestatycznej wieży modrzewiowego kościoła, w wąskich uliczkach i koronach wielkich drzew, odbijających się w szybach. Wiktoria wiedziała od Ludwika, że z Unieszowów, należących kiedyś do jej rodu, wywodzili się przed wiekami wspaniali rzemieślnicy, wytwarzający wyroby ze złota, a także odlewający z mosiądzu, miedzi i spiżu dzwony oraz lufy do dział.

– Nie jesteś zmęczona? – pytał pan Słoczyński, gdy cwałowali przez rozległe łubinowskie lasy i bezkresne łąki.

– Nie – odpowiadała za każdym razem. – Wilia też nie.

Uwielbiała wyprawy z ojcem, tę beztroskę, ten pęd i zapach pól we włosach, z których potem Ludwika godzinami wyczesywała kurz. Lubiła gościć w sąsiednich dworach choćby po to, by przekonać się, że żaden nie jest tak piękny jak Łubinów. Tylko jeden majątek, Wilcze Doły, omijali szerokim łukiem.

– Kto tam mieszka, ojcze? – spytała, gdy po raz kolejny galopem pokonywali drogę obok paradnej bramy.

– Nikt. Właściciel przebywa w Warszawie.

Wówczas przyszło olśnienie z gatunku tych, jakie towarzyszą ludziom, którzy wpadli na trop oburzającej sprawy.

– Jakiś Rosjanin, prawda? Zabrał majątek powstańcowi listopadowemu?

– Nie, to Polak. – Słoczyński zrobił pauzę, nim dodał krótko: – Choć z pewnością wolałby być Rosjaninem.

– Jak się nazywa?

– Nie warto pamiętać jego imienia.

„Nie warto pamiętać jego imienia” – powtórzyła w myślach Wiktoria, zaintrygowana słowami ojca. Uniosła się w siodle, próbując dojrzeć dwór ukryty za kamiennym murem oplecionym bluszczem, ale dostrzegła ledwie fragment rdzawego dachu. W

wyobraźni widziała już właściciela, który w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności popełnił zbrodnię i musiał uciekać do Warszawy, chroniąc się przed zemstą szlachty w klasztorze. Gdy podzieliła się tymi przypuszczeniami z Ludwiką, ta skwitowała:

– Głupstwa jakieś.

– Żadne głupstwa. Może ten człowiek to ofiara tragicznej pomyłki?

– Ofiara! To sprzedawczyk i zdrajca!

– Ha! O Jacku Soplicy też tak mówiono, a potem okazało się, że...

– O kim? – Ludwika na próżno szukała w pamięci kogoś znajomego o tym nazwisku. – Dziecko najdroższe, miej litość, nie zajmuj się głupstwami.

– Co on takiego zrobił, że musi ukrywać się w Warszawie?

– Nie ukrywa się. Ordery zbiera i zaszczyty.

Romantyczna wizja tragicznego bohatera, zaszczytowanego przez niesłuszne oskarżenia, rozwiąła się w jednej chwili.

Ta sprawa już więcej jej nie zajmowała – w przeciwieństwie do kwestii małżeństwa rodziców. Wiktoria, dzięki książkom z biblioteczki panny Michaliny, wiedziała już, że miłość nie jest jedynym i najważniejszym czynnikiem, który prowadzi ludzi przed ołtarz, i potrafiła pogodzić się z myślą, że dwie najważniejsze osoby w jej życiu nie pałają do siebie wielką sympatią. Nie mogła jednak zrozumieć, skąd w ich wzajemnych relacjach tyle chłodu, niechęci i obojętności. Czy po tylu wspólnie spędzonych latach nie powinni stać się sobie bliżsi? Jako że Ludwika konsekwentnie unikała rozmów o rodzicach, Wiktoria postanowiła Florentynie zwierzyć się z problemu, który nie dawał jej spokoju od dnia, kiedy była świadkiem czułej sceny w kuchni leśniczówki.

– Panienko, niepotrzebnie się panienska zamartwia. Jaśnie państwo żyją w zgodzie.

– Nie lubią się. Czasami myślę, że to przeze mnie.

– Co też panienka! Bóg mi świadkiem, że to nieprawda – zapewniła Florentyna, zagłuszając wyrzuty sumienia.

Nie mogła przecież powtarzać dziecku plotek. Taka wiedza przyniosłaby więcej szkody niż pożytku, tego była pewna. Zresztą ona sama też miała blade pojęcie o sprawie, a im dłużej służyła, tym mniej wiedziała. Swego czasu sądziła, że pani Eufrozyna rzeczywiście nie znosi męża, dlatego zaskoczyły ją słowa starej Janowej, kucharki: „Teraz taka wyniosła, nieprzystępna, a po chorobie chodziła za jaśnie panem jak suka za psem, skamlała pod jego drzwiami”. Kucharka zaraz ucięła temat, jakby zdała sobie sprawę, że powiedziała za dużo.

– Florentynko, niech mnie Florentynka nie oszczędza. Przecież służycie przy mamie. Nic nigdy nie mówiła o moim ojcu?

– Nie, panienko. Proszę się więcej nie trapić.

Wiktoria przeklinała w duchu lojalność służącej, która nie zamierzała podzielić się z nią żadnymi sekretami. I tak się dowiem! – odgrażała się w myślach. Któregoś dnia, podczas konnej przejażdżki z ojcem dojechali na skraj lasu i przystanęli na polanie, by napoić konie. Wiktoria przez dłuższą chwilę stała z rękami przyciśniętymi do piersi i w zachwycie kontemplowała krajobraz: ukwiecone łąki przecięte wartkim strumieniem, strome zbocza wzniesień po lewej stronie, pofałdowane pszeniczne pola i rosnące wzdłuż ścieżki rosochate wierzby, przypominające wiekowe, ale życzliwe ciotki.

– Jak tu pięknie! – zawołała z przejęciem, rozglądając się wokoło. – Papo, do kogo należą te ziemie?

– Do twojej mamy – rzucił obojętnie, zapalając papierosa. – To jej ukochane miejsce.

Dziewczynka natychmiast zwróciła ku niemu twarz, wstrzymując na chwilę oddech, poruszona sytuacją, bo oto po raz pierwszy ojciec wspomniał matkę. Czuła, że nie będzie lepszej okazji, żeby

dowiedzieć się prawdy. Przecież ojciec by jej nie okłamał, nie zwiódłby półsłówkami jak Florentyna czy Ludwika. Pytania cisnęły się na wargi i już zbierała się na odwagę, gdy dopadły ją wątpliwości. Na pewno chcesz wiedzieć? – Usłyszała w głowie złowrogi głos. Jesteś tego pewna? Jesteś na to gotowa?

Chwila wahania wystarczyła, by pan Słoczyński podjął inny temat, tym samym niwecząc próby rozmowy o matce.

Wiktoria wracała potem do domu zasepiona, wyrzucając sobie, że jest zwykłym tchórzem. Postanowiła, że następnym razem nie zmarnuje szansy i śmiało stawi czoło nawet najgorszej prawdzie. Los jednak nie dał jej drugiej szansy.



## ROZDZIAŁ 2

Nie czuła zimna, mimo że oddech marca był mroźny i nie zapowiadał rychłego nadejścia wiosny. Wiktoria miała na sobie ciemnofioletową suknię z kaszmiru i czarny płaszcz podszyty futrem. Splecione i upięte wokół głowy gęste, brązowe włosy osłaniał kapelusz krepowy bez żadnych ozdób, wiązany pod brodą. Ktoś mógłby pomyśleć, że przy grobie stoi dorosła kobieta, a nie czternastoletnia panienka, gdyby nie twarz o dziecięcych jeszcze rysach. Na cmentarzu w Unieszowach panowała cisza, którą jedynie od czasu do czasu mąciło uporczywe krakanie wrony.

Wiktoria położyła na pomniku gałązki sosny przybrane wstążką, klęknęła przed prostokątnym postumentem i czule musnęła końcem palców wyryty w kamieniu skromny napis:

*Śp. Janusz Słoczyński  
Dziedzic Łubinowa  
ur. 5 lutego 1792 roku  
zm. 12 stycznia 1848 roku  
Żyłem, bo chciałeś, umarłem, bo kazałeś,  
zbaw mnie Boże, bo możesz.*

– Tęsknię za tobą, tatusiu – powiedziała na głos.

Nie musiała się obawiać, że ktoś ją usłyszy. Na cmentarzu poza nią nie było nikogo, a towarzysząca jej panna Michalina czekała w powozie.

– Ludwiczka mówi, że po roku kończy się żałoba, że jest lżej. To prawda, czas łagodzi ból, ale nie koi tęsknoty.

Tamtego dnia, gdy dowiedziała się o śmierci ojca, zatrasnęły się drzwi bezpiecznego i beztroskiego świata, który znała i kochała. Drzwi dzieciństwa. Na pogrzeb przybyły tłumy. Każdy, od

arystokraty po prostego chłopca, pragnął oddać hołd dziedzicowi Łubinowa. Wiktoria, otępiła z rozpaczy, niewiele pamiętała z ceremonii.

Każdego dnia przychodziła do gabinetu, siadała w La Fontainie, jak nazywała ulubiony fotel, i karmiła się złudzeniem, że ojciec tylko na chwilę wyszedł z pokoju. To właśnie tam, a nie na cmentarzu, najmocniej czuła jego obecność. Z czasem jednak i to złudzenie, które dawało pociechę, zbladło, konfrontując ją z tym, co nieodwracalne i ostateczne. Ojciec zmarł.

Odszedł także wierny mu Gratus. Na początku, zaraz po śmierci swego pana, pies biegał po całym domu, okrążał dwór, węsząc i skowycząc cicho, jakby skarżył się na swój los, aż pewnego dnia zniknął. Wiktoria długo go szukała, wraz z rządcą Balickim kilkakrotnie objeżdżała majątek, a nawet okoliczne wsie, ale zwierzę przepadło bez śladu.

To właśnie wtedy otwarcie poróżniła się z matką. Leżała w sypialni na łóżku przygnębiona, zziębnięta i zmęczona po niemal całym dniu poszukiwań. Płakała, trzęsąc się jak w febrze, gdy do pokoju weszła Eufrozyna, aby tradycyjnie powiedzieć jej dobranoc. Wiktoria uniosła głowę, wierzchem dłoni wytarła oba policzki, lecz łzy nadal nieprzerwanie płynęły. Popatrzyła błagalnie, prosząc o słowo pociechy, o jeden czuły gest. Marzyła, by matka usiadła na łóżku, pogłaskała ją po głowie, ale ta jedynie oświadczyła surowo:

– Wystarczy już tych szlochów. To w złym tonie.

– W złym tonie jest nie płakać po własnym mężu – odparowała wtedy ze złością, patrząc jej prosto w oczy.

Spodziewała się, że matka ostro ją skarci, lecz też zapewni, że rzuciła niesłuszne oskarżenie, ona tymczasem ściągnęła gniewnie brwi, zacisnęła wargi i wyszła z pokoju. Nie wróciły więcej do tej rozmowy.

– *Mademoiselle.*

Ocknęła się z rozmyślań. Obok niej stała guwernantka z rękami schowanymi w mufce.

– *Il faut aller*<sup>[5]</sup>. Czas na lekcje.

Skinęła głową i wstając z kolan, przeżegnała się jeszcze.

W powozie panna Michalina okryła jej nogi grubą, futrzaną narzutą i dała znak stangretowi, by ruszał. Kiedy dotknęła lodowato zimnych dłoni swej podopiecznej, pożałowała, że nie przypomniała o cieplejszych rękawiczkach i że mimo nie najlepszej pogody przyjechały starą kolaską, która w żaden sposób nie chroniła przed wiatrem.

W ciągu tych wszystkich lat panna Michalina bardzo przywiązała się do Wiktorii, traktując ją po trosze jak bliską krewną. Gdy guwernantka przekroczyła trzydziesty rok życia, porzuciła nadzieję na małżeństwo i macierzyństwo, chociaż była ładną brunetką o wdzięcznych ruchach, a w okolicy nie brakowało mężczyzn, którzy chętnie zaprowadziliby ją i do ołtarza, i do alkowy. Pochodziła z dobrej, choć uboższej rodziny. Jej ojciec Michael Roland, francuski żołnierz biorący udział w kampanii napoleońskiej, wracając spod Moskwy ranny i wygłodzony, znalazł schronienie w domu pewnego szlachcica, gdzie zajęła się nim mało urodziwa, ale pełna wdzięku i słodczy córka gospodarza. Choć ona słabo mówiła po francusku, a on znał tylko kilka polskich słów, szybko okazało się, że potrafią porozumieć się w uniwersalnym języku miłości. Ślub odbył się na wiosnę tysiąc osiemset czternastego roku, a zimą tysiąc osiemset piętnastego przyszła na świat Michalina.

– Jak tylko będziemy w Łubinowie, zaordynuję, by przyniesiono gorące kakao, to się panienska rozgrzeje.

Wiktorii znów pojednawczo skinęła głową, nie chcąc płoszyć przyjemnego uczucia spokoju i zadumy trywialną rozmową o

pogodzie i gorącym kakao. Wsłuchiwała się w rytmiczny stukot końskich kopyt i nagle zamarzyła o długim śnie. Zamknęła oczy i pozwoliła myślom płynąć swobodnie do czasu, aż konie wjechały w kasztanową aleję.

Do dworu prowadziły trzy trakty: jeden od Opatowa przy zjeździe na Łubinów, obsadzony lipami, drugi od Jazłowca, wiodący przez malowniczy wąwóz, rzekę i ziemie należące do hrabiostwa Orattich. Wiktoria najbardziej jednak lubiła ten trzeci – drogę z Unieszowów i gościniec, przy którym rosły kasztany o potężnych koronach, tworzących szczelny baldachim, dzięki czemu nawet podczas największej ulewy aleja pozostawała sucha.

Gdy powóz zbliżał się do dworu, stangret odwrócił głowę i spytał przez ramię:

– Stajemy, panienko?

– Stajemy, Waławie – odrzekła Wiktoria.

To był jej mały rytuał. Ilekroć wracała z Unieszowów, czy to wierzchem, czy odkrytym powozem, potrzebowała kilku chwil, by popatrzeć z oddali na dom w niemym wyznaniu miłości. Łubinów był dla niej świętością, ostoją wszystkiego, co piękne i dobre.

Dwór na dość wysokim, choć płaskim wzniesieniu kazał postawić w pierwszej połowie osiemnastego wieku Atanazy Ossoliński, pradziadek po kądzieli pana Słoczyńskiego. W ciągu kolejnych dekad był nieznacznie rozbudowywany i zyskał w okolicy miano prawdziwie pańskiej siedziby godnej swych szlachetnie urodzonych właścicieli. Parterowy, murowany dom z piętrowym, czterokolumnowym portykiem od wschodu, gankiem od zachodu i łamanym dachem, otaczały potężne drzewa, z których większość pamiętała jeszcze czasy świetności Rzeczypospolitej i potęgi wielkich rodów magnackich. Park, w którym najwięcej było dębów, buków, platanów lip i kasztanowców, rozciągał się za dworem aż do

kamiennego ogrodzenia, zwieńczonego mocno zaśnieżoną, wysoką bramą. Dość często korzystał z niej rządcą, pan Balicki, aby skrócić sobie drogę do zabudowań gospodarskich.

Gdy powóz minął okrągły gazon i zatrzymał się przed wejściem, Wiktoria spostrzegła, że jeden ze służących prowadzi za uzdę gniadego konia przygotowanego do jazdy.

– Zdaje się, że mamy gościa – powiedziała do panny Michaliny, zdejmując z kolan miękkie okrycie.

– Na to wygląda, panienko.

Weszły do ciepłej, przytulnej sieni ozdobionej trofeami myśliwskimi, a tam już czekał blady i wiecznie zaspany służący Walerian, aby odebrać okrycia wierzchnie i kapelusze.

– Pójdę do kuchni po kakao. Niech panienka odpocznie chwilę i zajmiemy się zagadnieniami z botaniki – oznajmiła panna Michalina.

Wiktoria zwróciła się ku schodom prowadzącym na poddasze, gdzie znajdowała się jej sypialnia, pokój do zabawy i nauki, sypialnia Ludwiki, guwernantki oraz garderoba. Nagle w korytarzu pojawiła się Eufrozyna. Ubrana w ciemnozieloną, suto marszczoną od pasa w dół suknię z falbanami prezentowała się wytwornie niczym królowa, tym bardziej że po raz pierwszy od śmierci męża pozwoliła sobie na strojnieszą toaletę.

– Zaczekaj. – Podeszła do córki i obrzuciwszy ją krytycznym spojrzeniem, oznajmiła: – Pozwól ze mną na chwilę. Chciałabym ci kogoś przedstawić.

Wiktoria posłusznie podążyła za matką do niedużej bawialni, w której uwagę przykuwała mahoniowa, ułożona w fantazyjne wzory posadzka i obita bordowym sukniem lekka, rokokowa sofa, wyróżniająca się na tle nowszych, empirowych stolików i krzeseł. Pokój ten nie był może tak reprezentacyjny jak błękitny salon w prawym skrzydle, ale łatwiej go było ogrzać i w okresie jesienno-

zimowym, a także wczesną wiosną zwykle w nim przyjmowano gości.

– Fryderyku – zwróciła się Eufrozyna do mężczyzny stojącego przy fortepianie – pozwól, że przedstawię ci moją córkę, Wiktorię. Wiktorio, to pan Fryderyk Ankwicz, który niedawno wrócił w rodzinne strony i był łaskaw złożyć nam wizytę.

Dziewczyna zrobiła kilka kroków w przód i dygnęła, mierząc wzrokiem szczupłego jegomościa o czarnych, zaczesanych do tyłu włosach. Ciemne oczy w równie ciemnej oprawie długich rzęs i mocno zarysowanych brwi czyniły go bardzo intrygującym, a długi, arystokratyczny nos podkreślał wyjątkowo piękne, subtelne rysy twarzy. Był z pewnością dojrzałym mężczyzną, ale wydawał się dużo młodszy, niż wskazywałyby na to metryka w księgach parafialnych.

– Cóż za urocza panna! – zawołał Fryderyk, podchodząc bliżej. – Spodziewałem się ujrzeć dziecko, a tymczasem to rozkwitająca róża. Już niedługo do dworu złączą zjeżdżać zalotnicy.

Był uprzejmy, szarmancki i uśmiechał się promiennie, a mimo to nie spodobał się Wiktorii. Uznała, że skoro istnieje miłość od pierwszego wejrzenia, musi istnieć także niechęć, która pojawia się nagle i bez wyraźnego powodu. Męczyła się, czekając, aż matka da znak, by opuściła bawialnię, a gdy to się stało, z ulgą pognęła na poddasze do panny Michaliny.

Pchnęła ciężkie, rzeźbione drzwi i weszła do pokoju, ale tam zamiast guwernantki zastała Ludwikę. Starsza dama siedziała przy stole, tyłem do wejścia, zapatrzona w okno. Z ciasnego wężła włosów wysunął się jeden kosmyk i spoczywał na plecach. Jego biel wyraźnie kontrastowała z czernią wełnianej chusty okrywającej przygarbione ramiona.

Ludwika nigdy nie była smukła i wiotka. Już jako młoda dziewczyna miała potężna biodra, duży brzuch, któremu nie mógł

dać rady nawet gorset, pełne piersi i solidne niczym dwie doryckie kolumny nogi, które z mozołem dźwigały całą postać. Kiedy przekroczyła sześćdziesiątkę, straciła nieco na wadze, ale nadal przypominała wielki, buchający gorącym piec. Teraz jednak wydawała się dziwnie mała, przykurczona, jak gdyby ugiwała się pod niewidzialnym ciężarem. Wiktorię zalała fala czułości. Przypadła do nóg ukochanej piastunki, opierając głowę na jej kolanach.

– Ludwiczko – wyszeptała z miłością.

– Nie martw się, dziecko, wszystko się ułoży.

Wiktorcia poderwała głowę.

– Ułoży się?

– A pewnie. – Ludwika pogłaskała ją po policzku. – Wiedziałam, że jak się dowiesz, będziesz chciała się wyzalic.

W tym momencie czas się zatrzymał i Wiktorcia wyraźnie zobaczyła, co jest źródłem lęku, który ścisnął jej serce. Ból był tak dotkliwy, że jeszcze próbowała zamknąć oczy na to, co już wiadome, oszukać świadomość, przechytrzyć intuicję.

– O czym mówicie, Ludwiczko?

– Jakże to? Mama ci nie powiedziała? Mówiła, że dziś powie. Pewnie zrobi to wieczorem, bo teraz, kiedy dopiero wróciłaś z cmentarza, od ojca...

– Co ma mi powiedzieć?

Ludwika poczęła wiercić się na krześle, jakby ją coś uwierało.

– Twoja mama wychodzi za mąż.

Wiktorcia podniosła się z kolan i stanęła naprzeciwko piastunki.

– To niemożliwe. Jak to? Przecież jest żałoba.

– No, po prawdzie to już się skończyła.

– I mama tak szybko zdążyła się zaręczyć? – mówiła coraz głośniejszym, coraz cieńszym głosem. – Wiedziałam, że nie kochała ojca, od zawsze to wiedziałam, choć Ludwiczka mi nigdy nic powiedzieć nie chciała,

ale tak deptać pamięć o nim? Wychodzi za mąż! Za tego, co tu dziś przyjechał, prawda?

– Tak.

– To niedorzeczne! Gdzie i kiedy zdążyli się poznać?

– Posłuchaj mnie, dziecko. Nie ma nic zdożnego w tym, że twoja mama chce być szczęśliwa. Jest jeszcze młoda, dopiero we wrzeźniu skończy trzydzieści sześć lat. Samotnej kobiecie ciężko jest na świecie. Rządca ze wszystkim nie uradzi.

I nagle Wiktorię ogarnęło przerażenie tak paraliżujące, że musiała przytrzymać się oparcia ażurowego krzesła.

– Wyprowadzimy się z Łubinowa?!

– Ależ nie. Pan Ankwicz posiada co prawda folwark w dzierzawie, kilka wiorst za Opatowem, ale po ślubie zamieszka tutaj.

Uczucie ulgi było krótkotrwałe i dziewczyna nie zdołała powstrzymać rosnącej wściekłości.

– A kiedy ślub?

– W połowie czerwca, w Opatowie. W kwietniu, zaraz po Wielkanocy, odbędą się oficjalne zaręczyny.

– Może matka powinna wyjść za mąż już teraz, w Wielkim Poście, skoro tak bardzo jej się spieszy.

– Wiktorio! – Ludwika dźwignęła się z krzesła, patrząc surowo na wychowanicę. – Tak nie można.

– Przepraszam. Jestem winna mamie szacunek i posłuszeństwo, wiem to doskonale, ale nie pogodzę się z tym, że ledwie rok po śmierci ojca wprowadza do domu obcego człowieka. Nigdy, przenigdy go nie zaakceptuję.

– Nie trzeba się uprzedzać, bo tylko zgryzota z tego będzie. Daj mu szansę, Wiktuniu.

– Już teraz go nienawidzę – odrzekła panna z uporem typowym dla dziecka.



Naraz popatrzyła na zmartwioną twarz Ludwiki, w smutne oczy pod zmarszczonymi brwiami – i ogarnął ją wstyd. Pożałowała ostrych słów, rzuconych w gniewie, bo domyślała się, że piastunka rozumie jej złość i podziela cierpienie.

– Niech mi Ludwiczka wybaczy – poprosiła, zarzucając jej ręce na szyję.

– Nie martw się, dziecko, wszystko się ułoży – powtórzyła niania cicho, nie wiedząc, czy to Wiktorię pociesza, czy samą siebie.

## ROZDZIAŁ 3

Cały dwór huczał od plotek. Służące szeptały między sobą, polerując posadzki i czyszcząc srebra w kredensowym, kucharka Janowa wymieniała uwagi z podkuchenną, zaspany lokaj Walerian, gdy tylko miał wolną chwilę, konwersował z pokojówką, która nieustannie kursowała między buduarem pani a kuchnią. Wszyscy mówili wyłącznie o zbliżającym się ślubie. Jedni uważali, że to za wcześnie po śmierci jaśnie pana Słoczyńskiego, dopatrując się w pośpiechu zdrożności, pysznego skandalu, którym można by uraczyć rodzinę i znajomych, inni, bardziej wyrozumiali, przyznawali, że Łubinów potrzebuje męskiej ręki, a jeszcze inni zachwycali się panią Eufrozyną, która zawsze taka poważna, wyniosła i nieprzystępna, teraz hojnie szafowała uśmiechami i miłym słowem.

Wiktoria z trudem znosiła przygotowania do wesela. Gdy tylko kończyła lekcje, brała Wilię na długie wyprawy i galopowała bez wytchnienia, póki nie spostrzegła, że klacz jest mokra i ciężko sapie. Wtulała wtedy twarz w szorstką grzywę i mówiła ze skrucą:

– Wybacz mi, ukochana przyjaciółko, wybacz. Tak mi smutno...

W odpowiedzi Wilia parskała cichutko, jakby rozumiała ból swojej pani.

W Łubinowie od dnia zaręczyn niemal codziennie przebywał Fryderyk, a choć był uprzejmy i nadskakujący, Wiktoria nie mogła znieść jego obecności. Na początku sądziła, że matka kieruje się rozsądkiem i pragmatyzmem, ot, samotna kobieta w wielkim dworze, pragnąca zapewnić sobie bezpieczeństwo. Szybko się jednak przekonała, że powód był zgoła inny. Któregoś dnia przez okno w gabinecie ojca zobaczyła Fryderyka siedzącego na koniu i gotowego do odjazdu. Obok stała Eufrozyna. Coś do siebie mówili i w pewnym momencie Fryderyk się pochylił i szybko, tak by nikt nie zauważył,

pocałował ją w usta.

Wiktoria widziała szeroki uśmiech matki i rozpromienioną szczęściem twarz. Twarz zakochanej kobiety. Poczuła się zdradzona i opuszczona, bo gdy ona wciąż opłakiwała ojca, matka zdawała się już dawno zapomnieć o mężu i w rumieńcach, z błyszczącymi oczyma czekała, aż zostanie panią Fryderykową Ankwiczową.

– To okropne, że ten człowiek zajmie miejsce papu – żaliła się Ludwice, leżąc w jej łóżku, przytulona do wielkiego ciała piastunki. – Niech mama go sobie kocha, ja na pewno nie będę.

– Nikt cię, dziecko, do tego nie przymusi, ale może warto, żebyś spróbowała go zaakceptować. Lżej ci będzie, gdy pogodzisz się z tym, co nieuchronne i na co nie masz wpływu – radziła niania, głaszcząc Wiktorię po włosach.

Dzień zaślubin był duszny i gorący, lecz we wnętrzu kolegiaty Świętego Marcina w Opatowie panował przyjemny, ożywczy chłód. Eufrozyna w jasnoniebieskiej sukni zdobionej wstążkami, angielskim haftem i warstwowymi falbanami oraz z bukietem białych lilii w dłoniach skupiała na sobie uwagę wszystkich zaproszonych gości. Podczas gdy mężczyźni, patrząc na nią, zwyczajnie cieszyli oczy doskonałością w czystej postaci, kobiety myślały o własnych niedostatkach, o dużych nosach, odstających uszach i cienkich sztywnych włosach, które garderobiane na próżno starały się ułożyć w miękkie fale i spiralne anglezy. Przy Eufrozynie każda panna na wydaniu, świeża męzatka czy dojrzała matrona czuła się jak kura przy pawiu – pospolita i niepozorna. Niektóre zabobonne damy posuwały się do oskarżeń, że to z pewnością efekt czarów, diabelskich zaklęć i tajemnych mikstur wypijanych o dziwnych porach w dziwnych miejscach. Inne, bardziej racjonalne, niegasnącą urodę pani na Łubinowie kwitowały lekceważąco, że urodziła tylko jedno dziecko,

w dodatku dziewczynkę, i nie wie, co to trudy życia.

Wszyscy jednak byli zgodni co do tego, że przed ołtarzem klęczy wyjątkowo dobrana para. Oboje urodziwi, wciąż młodzi i pałający szczerym afektem. Słowa podziwu wymawiane szeptem drażniły Wiktorię, ale nawet ona, choć niechętnie, musiała przyznać, że matka z ojczymem pasują do siebie jak perły do naszyjnika.

Przyjęcie weselne w Łubinowie było skromne, bez tańców, przewidziane jedynie dla rodziny i najbliższych sąsiadów. Nie mogło być mowy o hucznym balu we dworze, w którym jeszcze niedawno opłakiwano dziedzica. Na uroczystą kolację w ogrodzie przybyli hrabia Oratti z Jazłowca, Tarnawscy i Popielowie z Kurozwęk. Ze strony Fryderyka Ankwicza pojawiła się stryjeczna ciotka, u której przed laty w Opatowie spędzał wakacje, oraz dwóch kuzynów z Grodna. Rodzice obumarli go, gdy skończył dziewiętnaście lat, i od tego czasu mieszkał najpierw w majątku pod Opatowem, a potem wyjechał do ciotecznej siostry matki. Starsza, schorowana dama, której nieustannie dokuczało lumbago, nie odważyła się na długą podróż. Przysłała siostrzeńcowi w prezencie ślubnym komplet włoskich sreber do herbaty i powierzyła w zarząd pięć tysięcy rubli swojego funduszu.

Wiktorcia, obserwując gości zebranych przy stole, po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że poza matką nie ma właściwie żadnych bliskich krewnych. Dziadków po kądzieli nie zdążyła poznać, od ponad szesnastu lat spoczywali na przykościelnym cmentarzu w Unieszowach. Nad czterema braćmi matki musiało ciążyć fatum, bo żaden z nich nie dożył trzydziestki. Babcia Słoczyńska zmarła, gdy Wiktorcia miała pięć lat, a dziadek poległ w bitwie pod Maciejowicami w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym roku<sup>[6]</sup>. Na ślubie pojawiła się jedynie leciwa stryjenka Eufrozyny oraz kilka zamężnych kuzynek, które Wiktorcia widziała po raz

pierwszy w życiu.

Mam tylko mamę i Ludwiczkę – pomyślała w przypiływie melancholii. Rzadko czuła się samotna, bo umiała znaleźć sobie zajęcie, a za towarzystwo wystarczały drzewa w parku i lasach wokół Łubinowa. Mimo to niekiedy brakowało jej obecności przyjaciela, który podzielałby z nią pasje i marzenia. Z Karusią niepostrzeżenie oddaliły się od siebie, bo choć we wczesnym dzieciństwie mogły nie zauważać dzielących je różnic, teraz musiały pogodzić się z tym, że jedna była córką służących, a druga jaśnie panią z dworu. Wiktoria starała się podtrzymywać serdeczną więź, ale mleczna siostra nie potrafiła się już zdobyć na spontaniczną szczerość. Okazywała przesadny szacunek i rezerwę, co wykluczało dawną zażyłość.

Wśród dziewcząt mieszkających w okolicznych majątkach panna Słoczyńska także nie znalazła bratniej duszy. Kiedy podczas wizyty u Orattich w Jazłowcu zaproponowała dwóm córkom dziedzica, by w ruinach siedemnastowiecznego zamku zainscenizować scenę obrony przed Moskalami, popatrzyły na nią zgorszone, jakby rzuciła pomysł biegania nago po dziedzińcu, a następnie oświadczyły ze wzgardą, że dziewczynki tak się nie bawią. Przez kolejne godziny Wiktoria zmuszona była patrzeć, jak jej rówieśnice czeszą włosy porcelanowym lalkom i dyskutują o wyższości haftu angielskiego nad francuskim.

Dawniej żałowała, że nie ma siostry lub brata. Nieoczekiwanie, patrząc na uśmiechniętą twarz matki, uświadomiła sobie, że to ciche pragnienie ma szansę się ziścić. Obecność Fryderyka była jej solą w oku, ale rodzeństwo pokochałaby szczerze i mocno, tego była pewna. Z tą pokrzepiającą myślą i w całkiem pogodnym nastroju kładła się spać.

Przy pomocy służącej zdjęła bladą różową suknię z cieniutkiego

muślinu i rozplotła włosy, wysupłując ze spiralnie skręconych kosmyków jedwabne wstążki. Jeszcze rano, kiedy Ludwika układała jej koafiurę rozgrzanymi do czerwoności żelaznymi szczypcami, dziewczyna się zastanawiała, jak zdoła przetrwać dzień zaślubin, lecz teraz była już spokojna. Nie polubię Fryderyka, choćby nie wiem, jak się starał – rozmyślała, przytulając twarz do poduszki – ale przecież możemy żyć w zgodzie, zwłaszcza jeśli pojawi się dziecko.

## ROZDZIAŁ 4

Przez pierwsze tygodnie po ślubie Wiktoria prawie nie widywała matki ani ojczyzna, którzy zajęci byli odbywaniem kurtuazyjnych wizyt w sąsiednich majątkach. Nic nie wskazywało na to, by nad światem, który znała i kochała, miały rozciągnąć się burzowe chmury.

Całe dni spędzała w siodle, ciesząc się wakacjami, rysowała pejzaże i ludzi przy pracy, tworzyła ilustracje do legend opowiadanych przez Ludwikę, a wieczorami czytała w gabinecie ojca francuskie wydanie *Don Kichota*.

Któregoś dnia, kiedy towarzyszyła rządcy Balickiemu w obchodzie po gospodarstwie, przyszła służąca z wiadomością, że wielmożny pan ma życzenie widzieć się z nią. Ból szarpnął sercem dziewczyny, gdy uświadomiła sobie, że nie mówi o ojcu, a o Ankwiczu. Teraz on był panem na Łubinowie. Do tej pory nie mieli okazji ze sobą porozmawiać, nie licząc wymienianych z rzadka grzecznościowych uwag, co Wiktorii wcale nie przeszkadzało. Z niechęcią myślała o konwersacji, pełnej emfatycznych słów, podczas której Ankwicz będzie ją zapewniał o szczerzej sympatii, wyrażając nadzieję, że godnie zastąpi jej ojca.

Wracając do dworu, postanowiła, że będzie uprzejma i taktowna, ale też wyniosła, by dać do zrozumienia, że nie życzy sobie poufałości. W końcu dobra wola też ma granice.

– Jaśnie pan czeka w kancelarii – zakomunikowała służąca, po czym dodała niepewnie, przestępując z nogi na nogę: – A może chciałaby panienka... przebrać się?

Wiktoria odruchowo obrzuciła wzrokiem jedwabną sukienkę. W oborze przyklękła na sianie przy nowo narodzonym cielaku i dopiero teraz zauważyła oberwaną falbanę i plamy błota na jasnym

materiale. Strzepała resztki źdźbeł, zdjęła z głowy kapelusik z ryżowej słomy przybrany makami i przygładziła ręką włosy.

– Nie trzeba – odparła, świadoma, że robi to z przekory. Jeśli Ankwiczowi tak bardzo zależy na familiarnych stosunkach, nie zwróci uwagi na jej strój. – Przebiorę się potem, do obiadu.

Zapukała do drzwi i nie czekając na zaproszenie, weszła do skromnie urządzonego pomieszczenia, w którym Janusz Słoczyński zwykle przyjmował interesantów ze wsi.

– Dzień dobry. – Dygnęła, trzymając przed sobą na wysokości brzucha kapelusz. Z zaciętym wyrazem twarzy czekała na mdłe i wylewne pozdrowienia.

Fryderyk wyszedł jej naprzeciw ze słodkim uśmiechem.

– Czy tak powinna wyglądać dobrze ułożona panna?

– Byłam w oborze – odpowiedziała machinalnie, w sekundę tracąc rezon.

– Zaiste, idealne miejsce dla jaśnie panienki. To może należało już tam zostać, a na kolację udać się do czworaków albo chłopskiej chaty?

Podszedł bliżej. Marszczył nos i unosił górną wargę, odsłaniając zęby.

– Najwyraźniej odpowiada ci towarzystwo pastuchów i wyrobnic, ale mnie nie, dlatego oczekuję, że na przyszłość będziesz wyglądała przyzwoicie.

Wiktoria miała wrażenie, jakby wylano jej na głowę wrzątek. Wbiła wzrok w ziemię, zacisnęła mocno palce na rondzie kapelusza i łapała krótkie, szybkie wdechy.

– Ta stara za bardzo ci pofolgowwała i oto są skutki. Pospolitujesz się.

– Stara?! – Podniosła wzrok, próbując zrozumieć, co tu się właściwie dzieje. Przecież nie tak miało być.



– Ludwika. Żadnego z niej pożytku. Nawet przypilnować cię nie potrafi. Popatrz tylko na siebie. – Cmoknął z niezadowoleniem, kręcąc głową. – Czas najwyższy, byś pojęła zasady panujące w tym domu, jeśli jeszcze do tej pory ich nie przyswoiłaś. Bądź pewna, że nie ominie cię kara. Możesz odejść.

Rozmowa w kancelarii była zaledwie preludium do dalszych wypadków. Jeszcze tego samego dnia Wiktoria się przekonała, że obiecana kara nie była tylko częścią pogroźką. Gwałtowna niechęć wobec Fryderyka Ankwicza, spowodowana głównie lojalnością wobec zmarłego ojca, dziecinny uporem, który kazał jej odrzucać tego, kto zajął miejsce w Łubinowie i w sercu matki, szybko przerodziła się w nienawiść.

– Panno Michalino, proszę wyprowadzić panienkę – powiedział ojczym, gdy usiadła za stołem przygotowanym do obiadu.

Poszukała wzrokiem matki, ale ona spuściła głowę, udając, że poprawia serwetę na kolanach.

– Dlaczego? – spytała zdziwiona.

Przed trzema laty skończyły się czasy, kiedy jadała przy oddzielnym stole, z daleka od dorosłych, w towarzystwie guwernantki, która nawet w porze posiłku wpajała wychowance zasady pięknych manier.

– Panno Michalino – powtórzył Ankwicz ostrzejszym tonem – proszę dopilnować, żeby panienka przez najbliższe godziny nie opuszczała pokoju. Musi mieć czas, by przemyśleć swoje niewłaściwe zachowanie.

W tym momencie Wiktoria zrozumiała, że na próżno szukała w matce sojusznika. Przysięgła sobie, że już nigdy nie zwróci się do niej po pomoc.

Wstała od stołu czerwona na twarzy, czując na sobie zatroskany wzrok Ludwiki, i posłusznie wyszła za panną Michaliną, choć w

duszy miotała najgorsze obelgi, jakie zasłyszała od służby i chłopów.

– Powiedział twojej mamie, że go obraziłaś – tłumaczyła piastunka, gdy późnym wieczorem przysłała do jej sypialni z koszem wypełnionym po brzegi smakołykami z kuchni.

– To nieprawda – zaprotestowała gorąco Wiktoria, sięgając po rogaliki z konfiturą.

– A to ja nie wiem? Pewnie, że nieprawda, ale przez jakiś czas lepiej, żebyś jadała oddzielnie.

– I dobrze. Przynajmniej nie będę musiała na niego patrzeć.

– Dziecko moje, proszę cię na wszystko, nie szukaj z nim zwady. On jest... trudny, ale przecież jakoś trzeba z nim żyć.

Wiktoria przez chwilę rozważała, czy nie zdradzić Ludwice, że Ankwicz także i jej nie lubi, ale uznała, że piastunce byłoby przykro, więc milczała.

## ROZDZIAŁ 5

W Łubinowie nastała epoka, która dla wielu okazała się ciężkim jarzmem, dźwiganym z bólem w plecach i żalem w sercu. Służący wzdychali, gdy tylko właściciel się oddał, kręcili ze smutkiem głowami, a między sobą powtarzali: „Kiedyś to były czasy...” albo „Za jaśnie pana Słoczyńskiego...”. Byli też tacy, którym bardzo odpowiadały nowe rządy. Ci wykonywali bez szemrania polecenia, widząc w tym szansę dla siebie, bo Fryderyk Ankwicz potrafił być wyjątkowo hojny i pobłażliwy dla wiernych sobie ludzi. Niektóre pokojówki rzucały tęskne spojrzenia w stronę wielmożnego pana, choć żadna nie miała wątpliwości, że dla niego istnieje tylko żona. Fryderyk, mimo że nie dbał o uznanie ludzi w majątku, wśród okolicznego ziemiaństwa pragnął uchodzić za najszlachetniejszego przedstawiciela swojej sfery. Podczas towarzyskich spotkań, których w lipcowe popołudnia nie brakowało, roztaczał wokoło nieodparty wdzięk, bawił wyszukaną rozmową i ubolewał nad bezwzględnością polityką cara, chcąc zyskać szacunek w oczach tych, którzy wiedzieli, że on w powstaniu trzydziestego roku nie przelał ani jednej kropli krwi. A jednak dręczyło go przecucie, że w pamięci ludzi już na zawsze pozostanie nikim więcej jak tylko kiepskim następcą dziedzica Słoczyńskiego, słabą imitacją patrioty i najgorszym panem na Łubinowie. Wspomnienie o tamtym było mu cierniem w oku, więc z pełnym podziwu zapałem zabrał się do usuwania śladów życia poprzedniego właściciela. Zaczął od paradnych pokoi, zastępując osiemnastowieczne meble i skromne biedermeiery wyszukanym garniturem w stylu Ludwika Filipa, w kuchni zaś kazał zainstalować wynalazek prosto z Anglii – grubą żelazną blachę przykrywającą palenisko, z którą kucharka Janowa nie mogła sobie dać rady i

notorycznie przypalała dania<sup>[7]</sup>.

Wiktorcia obserwowała te zmiany z coraz większym przygnębieniem. W ciągu dnia brała Wilię i mimo zastrzeżeń panny Michaliny jeździła do lasu, a wieczorami najchętniej ukrywała się w gabinecie ojca, wtulona w ulubiony stary fotel. Był to jeden z nielicznych pokoi, który – jak dowiedziała się od Ludwiki – miał pozostać nienaruszony. Wkrótce jednak się okazało, że i ten bastion został zdobyty. Pewnego ranka Wiktorcia zastała drzwi gabinetu otwarte na oścież i służbę, która wносиła książki i meble. Wpadła do środka jak porażona, zdruzgotana profanacją, jaka się tu odbywała. Potężne biurko stojące teraz samotnie pod oknem zdawało się z rezygnacją czekać, aż i ono opuści na zawsze swój azyl.

Panienka w pośpiechu przeszukała wnętrze, ale wszystkie pamiątki, puzderko z powstańczą kulą, liczne notatki i dokumenty zniknęły. Nie było też fotela. Poczowała się jak wędrowiec, który powróciwszy do domu, uważanego za oazę bezpieczeństwa i trwałości, znajduje same zgliszcza.

– Co tu się dzieje? – wydukała ze zgrozą.

– Pan kazał – odparła młoda, krzepka dziewczyna, która służyła głównie w kuchni. Nie raz i nie dwa dźwigała ciężkie sagany i konwie z wodą, toteż noszenie pudeł z książkami specjalnie jej nie męczyło, ale postanowiła skorzystać z okazji, by chwilę odsapnąć. Otarła pot z czoła, po czym wytarła ręce w fartuch.

– Tu tera będzie stał taki wielki stół do zabawy, panienko. Pan tak mówił.

Do zabawy?! W miejscu, które dla niej było niczym kaplica? Wiktorcia niewiele rozumiała ze słów służącej. Nie mogła ochłonąć po tym, co zobaczyła. Bez namysłu wybiegła z gabinetu, potrącając służącego, który niósł globus.

– Pan Ankwicz jest w domu? – zawołała do idącego korytarzem

Waleriana.

– Tak, panienko, w zielonym salonie.

Nie myśląc o konsekwencjach, wparowała do pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Fryderyk siedział na nowej kanapie i popijając herbatę, przeglądał pismo, które przed godziną dostarczył mu umyślny.

– A co to za porządki? Nie nauczono cię pukać? – stwierdził bardziej zaskoczony niż rozgniewany.

Był w dobrym humorze, bo otrzymał wiadomość, że za kilka dni zostanie dostarczony do dworu taki model stołu bilardowego, jakiego używali angielscy lordowie. Już wyobrażał sobie, jak prezentuje najnowszy nabytek gościom, zbierając zasłużone pochwały.

– Jak widzę, wysiłki panny Michaliny, żeby zrobić z ciebie damę, są daremne. Dziewka od krów zachowuje się lepiej – skwitował, odstawiając filiżankę na stolik z drzewa różanego z fantazyjnie dekorowaną nogą.

– Nie miał pan prawa niczego zmieniać w gabinecie ojca!

– Co proszę?

– Nie miał pan prawa! To nie jest pański dom – wyrzucała z siebie słowa Wiktoria, dając upust długo tłumionej niechęci i złości. – Niszczy pan wszystko, co moi przodkowie tworzyli przez lata, trwoni majątek na niedorzeczne zachcianki! To... nikczemne!

Ankwicz poderwał się z miejsca, odrzucając list na podłogę. Twarz nabiegła mu krwią, dłonie zacisnął w pięści i wyglądał, jakby miał za chwilę eksplodować w furii.

– Ty głupia dziewczyno! Przeproś natychmiast!

– Nie.

Wtedy wymierzył jej policzek. Wiktoria złapała się za twarz, zwracając ku niemu wzrok, w którym niedowierzenie mieszało się z wściekłością.

– Przepróż!

Gdy milczała, uderzył ponownie w to samo miejsce. Wiktoría najpierw usłyszała głośne klaśnięcie, a dopiero potem poczuła ból – mocniejszy niż za pierwszym razem. Mimo że usta zaczęły niebezpiecznie wyginać się w podkówkę, zapanowała nad łzami. Zadarła głowę i z ręką przy czerwonym od uderzenia policzku rzekła stanowczo:

– Może mnie pan zabić, a i tak nie przepróż.

– O, jaka harda! Jeszcze zobaczymy! Już ja cię nauczę. Precz stąd! Obym cię dziś więcej nie widział!

Żar lał się z nieba, gdy Wiktoría szła parkową aleją, bez litości chłozzcząc wierzbową witką rosnące przy dróżce łubiny i zioła. Czuła, że bawełniane halki kleją się do gołych nóg, a koronka przy dekolcie drażni skórę. Wreszcie się zatrzymała, oparła o jedno z drzew i przymknęła oczy. Po chwili ruszyła dalej do kamiennej altany. Z westchnieniem ulgi powitała przyjemny chłód i opadła na ławkę tuż przy witrażowym oknie. Sączące się przez nie promienie słońca tworzyły na posadzce barwną mozaikę, która zawsze wprawiała dziewczynę w zachwyty, ale tym razem pozostała na to obojętna. Przywarła obolałym policzkiem do zimnej ściany, wciąż ściskając w dłoni witkę. Uczucie bezradności dokuczało bardziej niż wymierzone przez Fryderyka razy. Spustoszenie gabinetu ojca było dotkliwym ciosem, a to, że wszystkie zmiany odbywają się za przyzwoleniem matki, dręczyło ją jeszcze bardziej.

– *Vous êtes là, mademoiselle*<sup>[8]</sup>.

Usłyszawszy głos panny Michaliny, Wiktoría poderwała się z ławy, wierzbowa witka wypadła z dłoni.

– Czy panienka zapomniała, że wakacje się dziś skończyły? *Adulescentia est tempus discendi*<sup>[9]</sup>.

– Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno. – Opuściła głowę, stając naprzeciwko guwernantki.

Panna Michalina popatrzyła na nią badawczo, składając małą parasolkę z jasnego jedwabiu z ozdobną rączką.

– Co się panience stało w buzię? Policzek cały czerwony.

– Ach, głupstwo. Potknęłam się i uderzyłam.

Wiktorcia nie zamierzała mówić guwernantce prawdy. Gdyby wyznała, że została uderzona, musiałaby też przyznać, z jakiego powodu. Panna Michalina nie byłaby zachwycona, że jej uczennica awanturuje się jak żydowski kupiec na jarmarku. Wszak od kilku lat uczyła ją zasad, że dama nie biega, nie podnosi głosu i nie ulega emocjom.

– Łatwo o nieostrożność przy tak dokuczliwym upale – skwitowała pobłaźliwie. – Dziś odbędziemy lekcje na świeżym powietrzu. We dworze straszny harmider. Służba wynosi stare meble na strych, a i do panienki widziałam, że coś znoszono.

\* \* \*

Wiktorcia rzuciła się Ludwice na szyję, uściskała ją serdecznie, a następnie przywarła wargami do dużych, pomarszczonych dłoni.

– Dziękuję – wyszeptała ze wzruszeniem. – Myślałam, że wszystko przepadło.

– Nie pozwolilibym na to. – Piastunka, odgarniając kosmyk z jej czoła, uśmiechnęła się czule.

Wiktorcia odwróciła się w stronę okna, gdzie stał fotel, jej La Fontaine, a także wielki podróżny kufer. Patrzyła na przyniesione do sypialni rzeczy jak na najdroższe skarby, które cudem przetrwały pożogę. Gdy Ludwika wyszła, panienka przyklęknęła przy kufrze, odblokowała mosiężne zawiasy i uniosła solidne wieko. Na wierzchu, pośród licznych bibelotów i pękatek ksiąg, tuż obok litografii Łubinowa leżał płócienny woreczek. Rozsupłała sznurek i

wyjęła powstańczą kulę ojca. Obracała ją przez chwilę w dłoni, ucałowała z czcią, po czym schowała z powrotem do woreczka i włożyła do maleńkiej szuflady sekretarzyka.

Do późnej nocy w świetle świec przeglądała zawartość kufra. Znalazła w nim, oprócz starych dokumentów i przyborów do pisania, także nóż do listów z macicy perłowej, drewniane pudełeczko zawierające szkło powiększające, zdobione topazami trzy szpilki do fularu oraz rzeźbione w kości słoniowej dwa tłoki do pieczętowania kopert z herbem Słoczyńskich. Na samym dnie, w intarsjowanej szkatułce, odkryła prawdziwy skarb: portrecik matki w pozłacanej ramie. Malarz, kimkolwiek był, musiał być prawdziwym artystą, bo doskonale uchwycił piękne rysy twarzy i smutne spojrzenie Eufrozyny.

Wiktorja domyśliła się, że portret musiał być prezentem dla ojca, przedślubnym podarkiem, który z jakichś powodów, zamiast wisieć na ścianie, został schowany w szkatułce w szufladzie biurka. Kolejna tajemnica, niekończące się domysły, pytania: dlaczego, z jakiego powodu, przez kogo lub przez co – i żadnej odpowiedzi.

Następnego dnia, gdy tylko skończyła poranną toaletę, Wiktorja poleciała służącej, by przygotowano Wilię. Wiedziała, że Fryderyk przedpołudnie spędza w domu i dlatego wołała wyjechać, żeby nie narazić się na spotkanie z nim. Do lekcji z panną Michaliną miała jeszcze sporo czasu.

Zakładając rękawiczki z cienkiej skóry, zeszła na dziedziniec przekonana, że osiodłany koń będzie już czekał.

– Co się stało? – Zmarszczyła brwi, spostrzegłszy, że stajenny idzie ku niej z marsową miną.

– Panienko – zaczął zmieszany – nie możemy przygotować Wilii, bo z samego rana jaśnie pan kazał ją gdzieś zabrać.



Wiktorię przeszył paraliżujący lęk.

– Dokąd?

– Nie wiem, proszę panienki.

Wróciła do dworu i już w progu natknęła się na Ankwicza, który z nonszalancją opierał się o framugę.

– Dzień dobry. Stajenny powiedział... – zaczęła nerwowo.

– I znów to samo – westchnął, kręcąc głową z dezaprobatą. – Po pierwsze, jeśli masz mi coś do powiedzenia, powinnaś najpierw poprosić o rozmowę. A po drugie, jestem zdumiony, że planowałaś przejażdżkę bez przyzwoitki. To nie przystoi dobrze urodzonej pannie. Że też muszę ci tłumaczyć tak oczywiste kwestie! Dzikuska, istna dzikuska.

Wiktorii, choć była na skraju wytrzymałości, miała świadomość, że jeśli pozwoli się sprowokować, niczego nie zyska.

– Czy moglibyśmy porozmawiać? – spytała z udawanym spokojem.

– Czy moglibyśmy porozmawiać, proszę ojczyrna – poprawił ją.

– Czy moglibyśmy porozmawiać, proszę ojczyrna?

Ankwicz cofnął się i gestem dłoni wskazał drzwi do kancelarii.

Gdy znaleźli się w pokoju, dziewczyna wyrzuciła z siebie:

– Gdzie jest Wilia?

– Więc już wiesz? Ostrzegałem, ale nie słuchałaś – oświadczył z fałszywym smutkiem.

– Co się z nią stało?

– Sprzedałem.

Wiktorii zrobiło się ciemno przed oczami. Cios był celny.

– Nie, to nieprawda. Przepraszam za wczoraj, bardzo przepraszam...

– Już nie taka harda? Widzisz, sama jesteś sobie winna. Gdybyś zachowała się odpowiednio, twój koń jadłby sobie teraz spokojnie

owies i czekał, aż znowu weźmiesz go na przejażdżkę, a tak będzie tyrał w polu, póki nie szejnie.

– Pan nie mógł tego zrobić. To niemożliwe! – mówiła łamiącym się głosem, pokonana i upokorzona. – Wczoraj... wiem, że źle postąpiłam. Bardzo przepraszam.

– Za późno – skwitował Ankwicz ze złośliwym, pełnym satysfakcji uśmiechem.

– To był prezent od mojego ojca. Wilia należała do mnie, pan nie miał prawa...

– Uważaj. Wczoraj też twierdziłaś, że nie mam prawa. Dalej chcesz wystawiać na próbę moją cierpliwość? Konia mamy z głowy, może teraz powinienem zająć się tą starą?

– Powiem mamie, jak pan mówi o Ludwice, jak pan mnie traktuje. – Oczy Wiktorii wypełniły się łzami. – Mama dowie się o wszystkim!

– Mama? – Ankwicz sprawiał wrażenie rozbawionego. – A jesteś pewna, że to twoja mama? Jeszcze nie zauważyłaś, że w ogóle nie jesteście do siebie podobne? Ktoś tak doskonały nie mógłby być matką takiej szpetoty.

Twarz Wiktorii pobleadła.

– To nieprawda... – wyjąkała, czując, jak rozpacz wielką falą wzbiera w jej piersi.

– Rozumiem, że trudno ci pogodzić się z myślą, że twój ojciec nie był taki święty, za jakiego go miałaś, ale...

– To wszystko kłamstwa! Nie wierzę!

– Nie wierzysz? A widziałaś się w lustrze? Jesteś pospolita, wulgarna i krnąbrna jak byle posługaczka. Nieodrodna córka pospolitego ojca i prawdziwej matki.

Wiktorcia rzuciła się do drzwi i wybiegła na korytarz. Miała wrażenie, że jeszcze chwila i się udusi. Prawie nie czuła nóg, gdy

pokonywała kolejne schody do swojej sypialni. Chciała uciec jak najdalej od Fryderyka, jego obelg i zwycięskiego uśmiechu. Nie mógł mówić prawdy! Chciał ją tylko rozdrażnić, zranić i niczym wyborowy strzelec celował tam, gdzie najbardziej bolało.

W sypialni zerwała z głowy kastorowy kapelusz z woalką, zdjęła rękawiczki, pochyliła się nad gotowalnią i opłukała twarz zimną wodą z dzbanka. Starła się oddychać głęboko, powoli, żeby zapanować nad galopem myśli. Wyjęła z szuflady sekretarzyka portrecik matki, który znalazła wśród pamiątek ojca, i usiadła przy toaletce.

Patrzyła na swoje odbicie w lustrze, potem na portret i znów na siebie. Jej twarz była trójkątna, o szerokim czole i szpiczastym podbródku, z drobnymi piegami na policzkach, twarz matki zaś, idealnie gładka i jasna, miała doskonały owal i klasyczne rysy. Wąski i nieco zadarty nos ani trochę nie przypominał małego, prostego nosa Eufrozyny. Różniły się także kolorem oczu: ciemnoniebieskim u matki, u niej zielonym. Delikatnie zaokrąglone łuki brwiowe Eufrozyny kontrastowały z unoszącymi się w kierunku skroni brwiami Wiktorii. Tamta miała usta nieduże, za to kształtne i symetryczne, ona zaś szerokie, z pełniejszą dolną wargą. Obie mogły poszczycić się gęstymi włosami, ale Wiktorii były ciemnobrązowe i lekko wijące się, matki zaś przypominały jasnozłociste pukle renesansowej Madonny z obrazów Rafaela Santiago.

To nie może być prawda! Dziewczyna odrzuciła portret na blat toaletki, jakby ją parzył. Czy to możliwe, by całe jej życie było wielkim kłamstwem? By wszystko, w co wierzyła, to oszustwo? Miała wrażenie, że coś mocno przygniotło pierś, bo z trudem łapała kolejny oddech. Poczuła, że drętwieją jej ręce i wargi, więc położyła się na łóżku i zwinęła w kłębek, a mimo że marzła, nie miała siły, by się przykryć. Nie płakała – nie mogła. Jakby ta rozpacz, która

rozsadzała ją od środka, nie mogła znaleźć ujścia. Gdy do pokoju weszła Ludwika, Wiktoria z trudem się dźwignęła i oparła na rękę.

– Kto jest moją matką? – spytała wprost z wyrzutem w głosie.

– Co takiego?

– Niech mi Ludwiczka powie, kto jest moją matką. Dość tych kłamstw.

– O czym ty, dziecko, mówisz, na miłość boską?!

– Och, niech Ludwika nie udaje. – Dziewczyna poderwała się z łóżka i stanęła naprzeciwko piastunki. Trzęsła się, głos jej drżał. – Wiem o wszystkim. On mi powiedział. Teraz rozumiem, dlaczego matka mnie nie kocha i dlaczego nie kochała ojca. Jakże mogła, skoro ją zdradził i...

– Dziecko, spójrz na mnie! – Ludwika chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła lekko. – Kto ci naopowiadał tych bredni? Ankwicz? Niech go piekło pochłonie!

– Niech mnie Ludwika nie okłamuje, mam prawo wiedzieć, kto jest naprawdę moją matką.

– Twoją matką jest Eufrozyna. – Starsza pani rozpięła górne guziki czarnej, perkalowej bluzki i wysupłała srebrny krzyżyk na łańcuszku. – Widzisz to? Przysięgam na Chrystusa, na wszystkie świętości, że mówię prawdę. Byłam przy twoich narodzinach, jesteś dzieckiem mojej Eufrozynki.

Ulga, jaką Wiktoria poczuła, gdy wybrzmiały słowa Ludwiki, była ogromna, ale nie zagłuszyła wątpliwości.

– Nie jestem do niej podobna.

– Nie w sposób uderzający, ale macie wiele wspólnych cech. Z wyglądu najbardziej wdałaś się w swoją babkę, matkę Eufrozyny. Mam jedną miniaturę z czasów, gdy była młodą mężatką, pokażę ci, sama się przekonasz. To po niej masz brązowe włosy i zielone oczy.

– Ale on sugerował, że moją matką jest jakaś prosta kobieta, i

mówił okropne rzeczy o tatusiu.

– Ankwicz? A to łotr. Tego już nie sposób zdzierżyć. Dziecko moje, nie wierz mu, nie słuchaj. Ten człowiek... Och, czas najwyższy, żeby Eufrozyna dowiedziała się o wszystkim.

– On sprzedał Wilię – rzuciła żałośnie dziewczyna i nagle osunęła się na podłogę.

Ludwika doskoczyła do niej wystraszona.

– Co tobie, dziecko... – Wierzchem dłoni dotykała jej czoła i policzków. – Masz gorączkę, Boże mój, cała rozpalona.

Próbowała dźwignąć wychowanicę, ale ta przelewała się przez ręce.

– Zimno mi – poskarżyła się Wiktoria i nagle wszystko okryła mgła.

Zaraz potem zrobił się harmider. Ludzie wchodzili i wychodzili. Ktoś ją rozbierał, ktoś inny rozcierał stopy, jeszcze ktoś przykładał zimne kompresy na czoło i pierś. Wiktoria chciała krzyknąć, by dali jej spokój i pozwolili spać, ale z gardła zamiast głosu wydobywał się tylko niewyraźny jęk. Miała wrażenie, że wpada do wielkiej jamy głową w dół i leci coraz szybciej i szybciej. Wymachiwała rękami, próbując uchronić się przed upadkiem, gdy nagle wszystko się uspokoilo. Niestety tylko na chwilę, bo sen również nie przyniósł ukojenia. Męczyła się, próbując ukryć Wilię przed Fryderykiem. Prowadziła ją przez las i raptem spostrzegła, że w ręku została jej uprząż, a klacz zniknęła. Rozglądała się i nawoływała konia, ale wokoło panowała ciemność. Po chwili nawiedził ją jeszcze gorszy sen. Przekraczała rzekę, kiedy nagle woda wezbrała i zaczęła zalewać ją i Wilię. Walczyła, żeby utrzymać się na powierzchni, ale mogła tylko bezradnie patrzeć, jak wielka fala porywa przerażone zwierzę. I znów próbowała krzyżeć, charczała, tocząc bój o życie, gdy poczuła,

że ktoś podaje jej rękę i wyciąga na powierzchnię.

Przebudziła się gwałtownie, wyrwana ze straszliwej mary. Powieki miała ciężkie jak z ołowiu, ale uniosła je na moment. Choć w pokoju panował półmrok, dostrzegła, że przy łóżku ktoś siedzi. „Mama?” – chciała zapytać, lecz znów zapadła w letarg, który był jałową wędrówką przez najgorsze koszmary.

Dopiero następnego dnia rano zniknęły wirujące jej przed oczami upiornie rozedrgane obrazy. Obudziła się zmęczona i niewyspana, ale już bez dławiącego bólu w klatce piersiowej i bez dreszczy.

– Małeńka moja! – Ludwika nachyliła się nad nią i ucałowała ją w czoło.

– Co się stało? – Wiktoria uniosła się i wsparła na łokciach.

– Dostałaś wysokiej gorączki, ale doktor powiedział, że już jest dobrze.

– Był u mnie doktor?

– Niczego nie pamiętasz? Zemdlałaś. Moje biedactwo...

Chwilę potem Florentyna przyniosła z kuchni gorący rosół, a służąca napar z ziół, które zalecił lekarz. Wiktoria, choć zupełnie nie miała apetytu, pozwoliła się nakarmić, by nie sprawić niani przykrości.

– Ludwiczko, co z Wilią? – spytała, gdy tylko zostały same w pokoju.

Piastunka spuściła głowę i odparła cicho, łagodnie:

– Tylko się nie denerwuj, dziecko, bo ci to zaszkodzi.

Łzy napłynęły do oczu Wiktorii.

– Nigdy mu tego nie wybaczę! Ani mamie, że na to pozwoliła.

– A bo to on pytał o pozwolenie? Już ja mu nagadałam. Nie byłam potulna. Skończyło się. Powiedziałam wszystko Eufrozynie, to się w żywe oczy wyparł. I jeszcze zełgał, że widział, jak Wilia zrzuciła cię z siodła, że mało cię nie stratowała, więc trzeba było się jej

pozbyć.

– I mama uwierzyła?

– Ja tam już nie wiem, w co ona wierzy – mruknęła starsza pani, przecierając otwartą dłońią twarz.

– Ten... – W ostatniej chwili panienka powstrzymała się przed rzuceniem inwektywy. – On... powiedział, że sprzedał Wilię do pracy w polu.

– Tym się nie musisz frasować. Wilia jest koniem wierzchowym, nikt by nawet nie próbował wiązać jej do pługą.

– Ludwiczko, muszę wam powiedzieć... On Ludwiczki nienawidzi – wyszeptęła z przestraczem, jakby zdradzała wielką tajemnicę.

– Dziecko, a co to ja się wczoraj urodziłam, żeby nie wiedzieć? – prychnęła lekceważęco.

– Ale on może Ludwiczkę skrzywdzić.

– Tym też cię straszył? Kanalia! Taki to się będzie w piekle z diabłem witał. Nic mi nie robi. – Uśmiechnęła się krzepięco. – Leż, dziecko, musisz odzyskać siły. Doktor zabronił ci wstawać z łóżka do niedzieli. I nie myśl już o tym, co mówił Ankwicz. Wszystko to łgarstwa.

Przez kilka kolejnych dni Ludwika bezwzględnie przestrzegała zaleceń lekarza i nie wypuszczała Wiktorii z łóżka, mimo że dziewczyna czuła się już zupełnie dobrze i przymusowy wypoczynek tylko ją męczył. Stara piastunka jedynie okno pozwoliła szeroko otworzyć, bo początek września był ciepły i słoneczny, więc się nie lękała, że rekonwalescentka nabawi się kataru lub suchot.

Eufrozyna kilkakrotnie odwiedziła córkę, pytała o zdrowie, przysiadła nawet na brzegu łóżka, ale Wiktorii wydawało się to tak nienaturalne i wymuszone, że oddychała z ulgą, gdy matka wreszcie wychodziła. Pomimo że miała ku temu okazję, nie zamierzała pytać, czy to ona czuwała przy niej tamtej koszmarnej nocy. Powtarzała

sobie, że nic a nic ją to nie obchodzi, choć w głębi duszy bała się usłyszeć, że obecność matki była jedynie złudzeniem. Ani razu żadna z nich nie wspomniała o Fryderyku, jego okrutnych słowach i sprzedaży Wilii. Obydwie przypominały kukiełki na scenie, które biernie poddają się woli ciągnącego za sznurki lalkarza. Twarz Wiktorii nie zdradzała żadnych emocji również wtedy, gdy w dzień poprzedzający święto Matki Boskiej Siewnej<sup>[10]</sup> Eufrozyna przyniosła hiobowe wieści.

– Uznałam, że tak będzie dla ciebie najlepiej – oświadczyła, stojąc przy sekretarzyku z rękami splecionymi na wysokości brzucha.

Wiktorii siedziało w fotelu, nogi przykryte miała kocem, dłonie zaciskała na poręczach.

– Rozumiem – odparła beznamiętnie.

Poczekwała, aż matka wyjdzie z pokoju, i dopiero wtedy dwie łzy potoczyły się po jej policzkach. Wytarła je szybko wierzchem dłoni, powstrzymując łkanie. Nie mogła pozwolić sobie na to, by Ludwika spostrzegła zapuchnięte od płaczu powieki. W ostatnich dniach już wystarczająco dużo przysporzyła piastunce zmartwień.

Odrzuciwszy koc na podłogę, podeszła do otwartego okna, zdobionego ciężkimi zasłonami z bordowego pluszu. Przed nią rozciągał się piękny widok na drzewa w parku nienaznaczone jeszcze śladem nadchodzącej jesieni. W oddali szumiał cicho las, który przemierzała na grzbiecie Wilii najpierw w towarzystwie ojca, a potem już samotnie. Zacisnęła palce na parapecie, zamknęła oczy i wciągnęła głęboko powietrze. Wciąż było ciepło, pachniała świeżo zaorana ziemia na polach i róże w ogrodzie, ale Wiktorii wyczuwała, że przyroda, spełniona po obfитоści lata, już szykuje się na chłodniejsze i krótsze dni.

– Wytrzymam – powiedziała na głos. – Tak jak ty, mój najdroższy Łubinowie, musisz wytrzymać rządy Ankwicza, tak ja wytrzymam



pobyt na pensji w Warszawie.

## CZĘŚĆ II

### *Panna na wydaniu*

#### ROZDZIAŁ 6

##### *WARSZAWA, STYCZEŃ 1853 ROKU*

Ogień trzaskał w kominku i wypełniał pokój nie tylko ciepłem, ale także zapachem lasu – dzięki palonym szyszkom.

Wiktorja, ubrana w bawełnianą koszulę nocną i lizeskę, siedziała przy oknie na empirowej kanapie. Jedynie od czasu do czasu spoglądała na zaśnieżone podwórze eleganckiej kamienicy przy ulicy Kruczej, zajęta przede wszystkim szkicowaniem leżącej na szeszlengu przyjaciółki. Klementyna Czyżewska, urodziwa panna o ciemnych lokach i pysznej sylwetce, w świetle świec czytała list od siostry z Paryża, od czasu do czasu komentując treść.

– „Coraz częściej mówi się o tym, że Napoleon III oświadczy się Eugonii” – cytowała. – A jeszcze do niedawna był taki rozmiłowany w Caroli Wazie. Ot, męska stałość. Och, w Paryżu już niedługo elegantki będą nosiły *la cage*. Wyobrażasz sobie? Suknię rozpościera się na fiszbinowych obręczach, bez konieczności noszenia kilkunastu halek<sup>[11]</sup>. Jak to musi być lekko i wygodnie – rozmarzyła się, odkładając złożony list na stolik do robótek ręcznych, obok świecznika.

– O czym jeszcze pisze Konstancja?

– Żałuje, że nie mogła przyjechać na święta, ale Franuś jest jeszcze za mały na tak daleką podróż. Poza tym życzy nam pomyślnego karnawału i żebyśmy poznały odpowiednich młodzieńców. – Klementyna podniosła się i usiadła. – A ja bym tak chciała, abyś została moją bratową. Wtedy nigdy byśmy się nie rozstawały.

– Sama wiesz, że serce Kazimierza jest już zajęte – przypomniała Wiktoria z uśmiechem, przyglądając się krytycznie szkicowi.

– Niestety! Nie rozumiem, jak to możliwe. Jesteś o wiele piękniejsza od Zofii i...

– Zapomniałaś, co mówiła panna Klara? „To nie uroda jest ozdobą dziewczęcia, ale pokora i nienaganne manierey”.

– Tak, a rękojmią szczęścia małżonka jest skromność i słodycz jego żony. Och, panna Klara! Nie sądziłam, że będzie mi jej tak brakowało. Dawniej nie mogłam się doczekać, żeby ukończyć pensję, a teraz, choć minęło ledwie pół roku, chętnie wróciłabym do tamtych czasów.

– Ja także – przyznała Wiktoria, choć początki w Warszawie wcale nie należały do łatwych.

Pensja dla szlachetnie urodzonych panien mieściła się przy ulicy Miodowej, a prowadziły ją dwie siostry Skarżanki, Klara i Marta. Wywodzące się z zacnej rodziny panny, utraciwszy rodzime dobra, założyły szkołę dla dziewcząt, która wkrótce zaczęła się cieszyć ogromnym powodzeniem wśród zamożnego ziemiaństwa.

Wiktoria przybyła na pensję na początku października, miesiąc po rozpoczęciu zajęć, gdy większość dziewcząt zdążyła już się ze sobą dobrze zapoznać i zaprzyjaźnić. Te, które rozpoczęły naukę przed rokiem czy dwoma, tworzyły ścisły krąg, do którego nie zamierzały wpuszczać nowej uczennicy. Wiktoria czuła się nieszczęśliwa, osamotniona i gdyby ktoś jej pozwolił, pieszko wróciłaby do Łubinowa. Rozpaczliwie tęskniła za domem, za Ludwiką, za Wilią i za swobodą, której nie krępowały sztywne ramy warszawskiej szkoły. Pewnej nocy, gdy z twarzą wciśniętą w poduszkę zalewała się łzami, zakradła się do niej jedna z pensjonarek i cichutko, by nie obudzić śpiących dookoła dziewcząt, szepnęła:

– Mnie też było smutno na początku, choć moja rodzina mieszka

w Warszawie.

Wiktoria podniosła głowę, odwróciła twarz i spojrzała w oczy Klementynie Czyżewskiej, która w ręku trzymała lichtarz z płonąca świecą. Właśnie wtedy narodziła się przyjaźń, tak piękna i wierna, że choć trochę wynagrodziła rozłąkę z ukochanym Łubinowem.

Wkrótce się okazało, że pobyt w wielkim mieście miał też swoje zalety, a możliwość skonfrontowania nabytej wiedzy z innymi pensjonarkami motywowała do nauki. Lekcje rozpoczynały się zaraz po śniadaniu i porannej modlitwie, a trwały do późnych godzin popołudniowych z przerwą na obiad. Raz w tygodniu, po mszy, panienki maszerowały z jedną z nauczycielek do Ogrodu Saskiego albo jeździły do Łazienek, gdzie w granatowych pelerynkach spacerowały wytyczonymi ścieżkami, częściej podziwiając wytworne toalety dam niż krzewy różane.

Na Wiktorii, wychowanej pośród kipiącej bujnością świętokrzyskiej przyrody, pofałdowanych wzgórz i rozległych lasów, Warszawa nie zrobiła dobrego wrażenia. Przygnębiały ją wszechobecny zgiełk, odór ścieków i carskie mundury na ulicach, które boleśnie podkreślały beznadziejną sytuację ciemzonego kraju.

Zajęcia na pensji okazały się jednak ciekawym doświadczeniem, choć nieraz okraszonym bólem głowy i łzami upokorzenia. Wiktoria celowała w języku polskim, francuskim, angielskim i rysunkach, nie miała problemów z historią, sprawnie radziła sobie z naukami przyrodzonymi, za to do robót ręcznych nabrała takiego wstrętu, że na myśl o dzierganiu ząbków czy haftowaniu patarafek<sup>[12]</sup> dostawała dreszczy. W przeciwieństwie do innych dziewcząt wcześniej nigdy nie uczyła się języka rosyjskiego, dlatego przy pomocy Rosjanki, panny Nastki, poznawała alfabet, ćwiczyła akcent, ale i tak mówiła co najwyżej poprawnie, bez biegłości<sup>[13]</sup>. Dziwiło ją, że w szkole nie wymagano znajomości łaciny, która – jak wyjaśniła panna Klara – nie

jest potrzebna panienkom. One przecież mają być doskonałymi żonami i matkami, a nie uczonymi. Taka odpowiedź jednak nie zadowoliła panny Słoczyńskiej i gdy próbowała dyskutować, przedstawiając swoje racje, otrzymała zwięzły komunikat, że tak już ten świat jest urządzony.

Pensję ukończyła po trzech latach z wysokimi wynikami i listem pochwalnym, z którego chyba najbardziej ucieszyła się panna Michalina. Dawna guwernantka wciąż mieszkała w Łubinowie. Pomagała w zarządzaniu służbą dworską i co tydzień słała do Warszawy długie listy, będące dla Wiktorii pociechą i zarazem rzetelnym sprawozdaniem z majątku. Matka pisała rzadko i zdawkowo, ograniczając się do nakazów i pozdrowień, a Ludwika wysyłała jedynie drobne upominki, bo już dawno odwykła od kreślenia liter.

Od kiedy dziewczyna wyjechała do szkół, była w domu tylko raz, na pierwsze letnie wakacje. Całą radość z pobytu zatruł wtedy widok częściowo wyciętych drzew w parku. W starciu z Ankwiczem nie miały szans ponad dwustuletnie lipy, dęby i kasztanowce. Ocalały jedynie buki, platany, a także stara kamienna altana, stojąca na środku pustego placu niczym odarta z tajemnicy, godności i szat kobieta. Do tamtej chwili Wiktoria łudziła się jeszcze, że wszystkie poczynania ojczyrna będzie można kiedyś łatwo odwrócić. Wystarczyłoby tylko znieść ze strychu dawne sprzęty, które cierpliwie czekały na lepsze czasy, położyć z powrotem stare tapety i dywany. Jednak to, co się stało z parkiem, było świadectwem druzgocących zmian, niemożliwych do naprawienia. Niemożliwych do wybaczenia. Kiedy Klementyna zaproponowała, by następne wakacje spędziła razem z nią, Wiktoria zgodziła się bez wahania. Tęskniła za domem każdym nerwem, ale wolała być z dala od niego, niż znosić wrogość ojczyrna, obojętność matki i patrzeć, jak wszystko,

co kochała, bezpowrotnie przepada. Pamiętała też, jaka była rozbita po ostatnim powrocie z Łubinowa do Warszawy, jak nie mogła znaleźć sobie miejsca i kilka tygodni trwało, nim znowu zaczęła cieszyć się pensjonarskim życiem. Nie chciała przechodzić przez to po raz drugi. Czasami obwiniła się o tchórzostwo, miała wrażenie, że zawiodła ojca i swoich przodków, że jako dziedziczka Łubinowa powinna być we dworze i bronić go przed Ankwiczem. Uciszała wtedy wyrzuty sumienia, powtarzając sobie, że dopóki nie stanie się pełnoletnia lub nie wyjdzie za mąż, nic nie może zrobić.

Spędzała coraz więcej czasu u Czyżewskich, którzy zapraszali ją na święta i do swych dóbr pod Warszawą, traktowali niemal jak córkę. Gdy nadszedł dzień ukończenia pensji, nie chcieli wypuścić jej spod skrzydeł. Również Klementyna nie wyobrażała sobie rozstania z ukochaną przyjaciółką. Najpierw więc państwo Czyżewscy zaproponowali, żeby na całe lato Wiktoria wyjechała z nimi do Druskiennik, a po powrocie poprosili Eufrozyne o pozostawienie córki w mieście przynajmniej do marca, przekonując, że dołożą wszelkich starań, aby debiut młodej damy w towarzystwie podczas karnawału miał odpowiednią oprawę. Może nawet widzieli w najlepszej przyjaciółce córki idealną kandydatkę na żonę dla swego jedyne go syna, Kazimierza. Dziewczyna była ładna i mądra, pochodziła z dobrego rodu, a w przyszłości miała odziedziczyć nie tylko Łubinów, w którego skład wchodziły młyny, gorzelnie i rozległe lasy, ale także majątek Łopatno. Kiedy jednak się okazało, że Kazimierz od dawna marzy o swej dalekiej kuzynce Zofii, szybko pogodzili się z sytuacją. Wyżej od własnych ambicji stawiali spokój i szczęście dzieci.

– A pamiętasz, jak na lekcjach religii zamiast katechizmu czytywałyśmy Mary Wollstonecraft? – Klementyna przeciągnęła się na szezlongu. – A ile miałyśmy potem problemów. A pamiętasz

mademoiselle Emanation?

Zanurzyły się we wspomnieniach pensjonarskiego życia, przywołując postacie bliskich koleżanek i nauczycielek, dopóki do sypialni nie weszła pani Czyżewska.

– Panienki, panienki, jeśli chcecie być piękne podczas karnawału, powinniście zacząć kłaść się wcześniej spać – oświadczyła serdecznie i z matczyną troską.

Była niewysoka i dość korpulentna, czego się bardzo wstydziła. Próbowwała maskować ciężką sylwetkę nie tylko mocno zasznurowanym gorsetem, ale także szalami i mantylkami. Wiktoria lubiła jej ciepły uśmiech, miękki, czysty głos, który zdolny był wypowiadać jedynie przyjemne słowa, oraz zapach olejku z migdałów, którego używała do nacierania ciała.

– Kiedy ja przygotowywałam się do swojego pierwszego balu, matka wysyłała mnie do łóżka zaraz po kolacji i zmuszała, żebym codziennie przemywała twarz serwatką ze zsiadłego mleka – perorowała dalej pani Czyżewska, siadając obok Wiktorii. – Och, jaki piękny rysunek!

Klementyna natychmiast poderwała się na nogi i pochyliła nad matką, by razem z nią przypatrzeć się portretowi.

– Cudny! – potwierdziła, zachwycając się swym wizerunkiem w nieco subtelniejszym wydaniu.

– To tylko wstępny szkic – krygowała się Wiktoria, choć pochwały sprawiły jej wielką przyjemność.

– Malujesz w taki sposób, że doskonale oddajesz nie tylko fizyczne podobieństwo, ale również usposobienie i charakter – dodała pani Czyżewska z uznaniem. – Nawet nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna za portret naszej Konstancji, który podarowałaś mi na urodziny. Wygląda na nim jak żywa. Gdybyś była mężczyzną, to... – zrobiła krótką pauzę. – No cóż, jest, jak jest. Niech wam się przyśni

bal. Dobranoc, dziewczęta.

Wiktorcia długo przewracała się z boku na bok. Słyszała, jak zegar w korytarzu wybija godzinę dwunastą, potem pierwszą, a ona w dalszym ciągu nie mogła zmrużyć oka. Słowa pani Czyżewskiej przypomniały jej spotkanie z malarzem Józefem Simmlerem, który raz jeden przybył na pensję i jako honorowy gość poprowadził zajęcia z historii sztuki. Po wykładzie starsze uczennice przyniosły najlepsze rysunki, by zaprezentować swe umiejętności wybitnemu artyście. Simmler nie był szczególnie wylewny, ale pochwalił wszystkie panienki, komentując pokazywane mu prace krótkim „wyborne” lub „wspaniałe”. Wiktorcia nie miała wątpliwości, że i ona doczeka się tego jakże cennego komplementu, wszak nikt lepiej od niej nie posługiwał się pędzlem i ołówkiem. Jej obraz przedstawiał Ludwikę w czarnej sukni siedzącą na tle dużego okna. Niania patrzyła prosto przed siebie, w oczach malował się niepokój i jednocześnie hart ducha, jakby przeczuwała nadchodzące niebezpieczeństwo i była gotowa się z nim zmierzyć. To nie był portret piastunki ani ubogiej rezydentki, tylko wielkiej damy.

Józef Simmler długo przyglądał się rysunkowi, gładząc się po wąsach i brodzie.

– Hmm... Problemy z proporcjami, ramiona wydają się zbyt duże. Przy takim ułożeniu ciała suknia powinna załamywać się niżej, o tu. Za ostry modelunek rąk. – Przez kolejne minuty artysta wyliczał niedostatki portretu.

Wiktorcia miała ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię. Była jedyną uczennicą, której praca została tak bezlitośnie skrytykowana.

– Panienska powinna jeszcze dużo ćwiczyć, aby poprawić technikę i udoskonalić warsztat... – uśmiechnął się ciepło i popatrzył na nią z uwagą – ...bo wielki talent niewątpliwie już panienska posiada. Gdyby panienska była mężczyzną, bez wahania przyjąłbym takiego



adepta na wydział malarski w naszej Szkole Sztuk Pięknych. Szkoda, wielka szkoda...

Wtedy panna Słoczyńska po raz kolejny zdała sobie sprawę, że wiele drzwi będzie dla niej zamkniętych tylko dlatego, że zamiast wąsów i laseczki ze złotą gałką nosi gorset i halki.

Leżąc teraz w ciemności i wsłuchując się w miarowy oddech Klementyny, myślała o tym, że gdyby w istocie była mężczyzną, spałaby teraz w swoim łóżku w Łubinowie. Nie dałaby się usunąć z rodzinnego majątku, a Fryderyk Ankwicz musiałby się z nią liczyć. Dobrze jej było u Czyżewskich, ale miała wrażenie, że żyje życiem pożyczonym, że ucieka w bezpieczny świat, stworzony przez cudzą rodzinę, by uniknąć konfrontacji z przyszłością, której nie mogła kształtować tak, jak by chciała. Chodziła na koncerty i do teatrów, śpiewała patriotyczne pieśni na wieczorkach w zaprzyjaźnionych domach, malowała i czytała do woli, nikt nie uraził jej choćby jednym słowem, a mimo to wciąż dręczył ją jakiś niepokój. Wszystko, co robiła, zdawało jej się bezużyteczne i miałkie, służące jedynie rozrywce, a przecież jako dziewczynka pragnęła działać, siekać Moskali i wyszarpywać ojczyznę z rąk wroga. Tymczasem nie potrafiła wyszarpać rodzinnego majątku z rąk ojczyma. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała wrócić do domu i znaleźć dla siebie miejsce. Na szczęście nie była już czternastoletnim podlotkiem, a dorosłą panną, której Fryderyk Ankwicz nie ośmielił się uderzyć. A przynajmniej taką miała nadzieję.

I z tą myślą wreszcie zasnęła. Stary zegar wybijał wtedy godzinę trzecią.

Następnego dnia na Kruczą przybyły krawcowa i modystka, by dokonać ostatnich poprawek przy sukniach balowych. Wiktoria była zachwycona swoją toaletą z mlecznobiałego muślinu, z poczwórnym

rzędem falban podpiętych girlandami jedwabnych róż i francuską koronką przy rękawkach i głęboko wykrojonym dekolcie. Strój uzupełniały efektowne dodatki: cieniutkie rękawiczki, chusteczka z wyszytym monogramem, jedwabna wstążka do włosów, wachlarz z rączką z masy perłowej i przyczepionym doń karnetem balowym. Materiał na suknię przysłała kilka miesięcy wcześniej matka i od wielu tygodni krawcowe pracowały w pocie czoła, żeby stworzyć kreację, która podczas karnawału olśni wszystkich.

Wiktoria, przeglądając się w lustrze, była bardzo zadowolona z efektu. Nadal pamiętała słowa Ankwicza, że jest szpetotą, wiedziała już jednak, że może się podobać. Przyjaciele Kazimierza, przychodząc na obiad czy na wieczorne koncerty do Czyżewskich, nieraz dawali do zrozumienia, że gdyby tylko panna zechciała obdarzyć ich łaskawszym spojrzeniem, zaczęliby starać się o jej rękę. Spuszczała wtedy wzrok i łagodnie, acz stanowczo odprawiała konkurentów, bo żaden z nich nie wzbudzał w niej żywszych uczuć. Może trochę żałowała, że to nie Kazimierz o nią zabiega. Nie żeby oddała mu serce, co to to nie, ale ze wszystkich znanych jej mężczyzn on jeden był naprawdę zajmujący. Tak naprawdę miłość wciąż była dla niej pojęciem nieznanym, słodkim sekretem, szeptanym wśród murów pensji z przejęciem i rumieńcami na policzkach, gdy któraś z uczennic odchodziła ze szkoły wprost w ramiona absztyfikanta, by klęknąć z nim przed ołtarzem. Większość koleżanek miała już za sobą pierwsze niewinne zauroczenia, obejmujące nauczyciela nauk przyrodzonych, chmurnego dozorcę kamienicy czy syna piekarza, dostarczającego na Miodową bułki maślane. Wszystko jedno, kim był i jak wyglądał obiekt westchnień młodych pensjonarek, skoro można było narzucić na niego utkany z wyobraźni kostium Ludomira i w zaciszu pokoju odgrywać rolę zranionej Malwiny<sup>[14]</sup>. Wiktoria, żeby nie odstawać od reszty, udawała niekiedy, że i jej podobne egzaltacje nie są obce, choć

tak naprawdę nie potrafiła wykrzesać z siebie żadnego uczucia. Uznała tedy, że jest osobą zimnokrwistą, obojętną, dla której afekty, jakimi darzyli się bohaterowie utworów Mickiewicza czy Słowackiego, pozostaną na zawsze niezbadaną tajemnicą.

Tak naprawdę nie wiązała żadnych nadziei ze zbliżającym się karnawałem. Lubiła tańczyć i dlatego cieszyła się na bal, ale wiedziała, że jeśli wyjdzie za mąż, to tylko za kogoś ze swoich rodzinnych stron, aby być jak najbliżej Łubinowa.

Popatrzyła na krawcową, która klęcząc u jej stóp, wykańczała dół sukni obrębką. Po chwili kobieta zębami przecięła nitkę.

– Gotowe, panienko. Niech się panienka obróci, to zobaczę, czy już nigdzie poprawić nie trza.

Wiktoria zakręciła się wokół własnej osi i w tym momencie do pokoju weszła Klementyna w dezabilu i z rozpuszczonymi włosami.

– Jakaś ty piękna! – zawołała panna Czyżewska ze szczerym zachwytem. – Obawiam się, że nie możemy stać na balu obok siebie, bo wtedy nikt nie zechce ze mną zatańczyć – dodała, choć wiedziała, że i ona nie może narzekać na brak urody.

– To ty jesteś piękna – zaprotestowała Wiktoria.

– Obie panienki jak malowanie – wtrąciła krawcowa, zabierając z podłogi przybornik do szycia. – To ja pójdę powiedzieć jaśnie pani, że suknia pasuje, pewnie będzie chciała panienkę zobaczyć – rzekła i dyskretnie wycofała się za drzwi.

Wiktoria trzymała fałdy spódnicy. Przyjemność sprawiało jej dotykanie gładkiego muślinu, wyczuwanie pod palcami miękkiej faktury. Nigdy nie miała tak pięknej sukni, śmiało odsłaniającej dekolt i ramiona, więc cieszyło ją to, co widziała w odbiciu lustra, choć jednocześnie wstydziła się własnej próżności.

– Skończyłaś już przymiarke? – zapytała po chwili z uśmiechem przyjaciółkę.

– Tak, na szczęście, bo już nie mogłam ustać w miejscu. Przynoszę ci list. To z Łubinowa – oznajmiła Klementyna.

Wiktoria chwyciła kopertę, niecierpliwie zerwała pieczęć i usiadła na empirycznej kanapie. Skrzywiła się nieznacznie, bo fiszbin gorsetu mocno wbiły się w żebra, ale nie zważała na niedogodności. Zaczęła czytać. Jej twarz, z początku rozświetlona radością, szybko przybrała marsowy wyraz.

– Co się stało? – Klementyna podeszła bliżej.

Wiktoria podniosła ku niej wzrok, w którym smutek mieszał się ze strachem.

– To od matki. Muszę natychmiast wracać do domu. Ludwika jest chora.

## ROZDZIAŁ 7

Sanie mknęły szybko przy akompaniamencie dzwoneczków, rytmicznego stukotu końskich kopyt i skrzypiącego pod płozami śniegu. Mrok zasłonił granatowym płaszczem pola i skute lodem rzeki, ukrył zasypane bielą wioski i drogi, ale Wiktoria знаła na pamięć każdy zakręt, każde wzniesienie. Serce tłukło się jej w piersiach z radości, że już za chwilę będzie w domu. Nie żałowała straconego karnawału, na który wraz z Klementyną przygotowywały się przecież od dawna. Od chwili, w której otrzymała list z domu, myślała tylko o Ludwice.

Państwo Czyżewscy z początku trapiли się nagłym zorganizowaniem wyprawy, przecież nie mogli pozwolić, żeby panienka podróżowała sama, a oni nie mogli jej towarzyszyć. Na szczęście się okazało, że rodzice jednego z przyjaciół Kazimierza po kilkumiesięcznym pobycie w Warszawie wracali do majątku pod Krakowem i zgodzili się otoczyć opieką młodą pannę. Podwieźli ją aż do Opatowa, a tam już czekał na nią Wacław, okutany w gruby kożuch. Wiktoria ledwie opanowała pierwsze wzruszenie, a natychmiast spytała, co z Ludwiką.

– A dobrze, panienko. – Stangret uśmiechnął się szeroko, pokazując, że brakuje mu dwóch górnych zębów. – Po dawnemu nami dyryguje.

– Jakże to? – zdumiała się, bo choć miała nadzieję, że zdąży pożegnać się z piastunką, to spodziewała się najgorszego. Słowa Wacława oszołomiły ją i wprowadziły w stan ekstatycznej radości. – Otrzymałam wiadomość, że choruje.

– A bo tak było. Zaraz po świętach zaniemogła, z łóżka nie wstawała, ale Bóg dał, że doszła do zdrowia.

I cóż mi więcej potrzeba do szczęścia! – pomyślała rozpromieniona

dziewczyna, zajmując miejsce w saniach. Otuliwszy się szczelnie futrzanym kołnierzem z lisa, czekała cierpliwie, aż tragarze załadują kufry. Zdrowa, zdrowa... – powtarzała bezgłośnie niczym ulubioną melodię. I za chwilę będę w Łubinowie! Zobaczę ją i pannę Michalinę, i Florentynę.

Nie miała ani trochę za złe matce, że ściągnęła ją do domu. Byłam jak ten pielgrzym ze *Stepów Akemańskich*, który czekał na głos z Litwy – rozmyślała, gdy konie, parskając, wjechały w lipową aleję. Już z daleka widziała unoszący się ponad drzewami siwy kłęb z komina i mimowolnie się uśmiechnęła. Ilekroć malowała dom, niezmiennie dodawała dym, symbol życia we dworze, znak, że ktoś dba, aby ogień buzował w starych piecach i ogrzewał wiekowe mury. Zerwała z głowy futrzaną czapę i wychyliła się lekko z sań, a spostrzegłszy roziskrzony światłem front dworu, nie zapanowała nad łzami, które natychmiast zamarzły na policzkach. Tak marzyła o tej chwili podczas tych dwóch długich lat! Wyczerpanie wielodniową podróżą odeszło w zapomnienie, dając pierwszeństwo euforii.

Nie czekała, aż Wacław pomoże jej wysiąść, tylko zeskoczyła i pognęła przed siebie. Ledwie przekroczyła próg domu, wpadła wprost w rozpostarte ramiona Ludwika.

– Dziecko moje, jesteś nareszcie. Pokaż się! Boże, dużo wyższa ode mnie. – Piastunka przykładała swoje duże, ciepłe dłonie do jej zmarzniętych policzków. – I taka już dorosła, moja Wiktonia.

Śmiały się i tuliły do siebie przez dłuższą chwilę, nie mogąc nacieszyć się powitaniem. Wiktoria z ulgą spostrzegła, że choć Ludwika nieco zmizerniała po chorobie, wciąż była silna i krzepka.

Gdy Walerian odbierał od niej futro, do sieni weszła Eufrozyna, jak zawsze piękna i powściągliwa.

– Dobry wieczór, mamó. – Wiktoria dygnęła, nim pocałowała nadstawiony policzek. Nie było mowy o uściskach i szczególnej

wylewności, ale wzruszenie i tak złapało ją za gardło.

– Zmieniłaś się. – Eufrozyna, patrzyła na nią tak, jakby nie dowierzała, że ta młoda kobieta jest jej córką. – Kazałam podać dla ciebie kolację w jadalni. My jedliśmy już wcześniej. Mam nadzieję, że podróż miałaś dobrą.

– O tak, dziękuję.

– To dobrze. – Po chwili matka dodała tonem usprawiedliwienia:  
– Jak widzisz, Ludwika czuje się już dobrze, ale któż mógł przewidzieć, co się stanie. Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie urazy. Jeszcze niejeden karnawał przed tobą.

Na cóż mi karnawał, skoro jestem w domu – zaśmiała się w duchu, przypominając sobie, jak koleżanki na pensji żartowały z niej, parafrazując Mickiewicza: „Taka to już jest Wiktorii choroba, że jej prócz Łubinowa nic się nie podoba”.

Jeszcze przed kolacją obiegła cały dwór, zajrzała i do salonów, i do kuchni, uściskała pannę Michalinę i Florentynę, a gdy przebrawszy się, wracała do jadalni, spotkała Fryderyka. Ukłonił się lekko, uśmiechnął nawet.

– Długo cię nie było.

Przez ciebie – miała na końcu języka. W jednej chwili powróciło do niej uczucie nienawiści, które w ciągu trzech lat zdążyło pokryć się kurzem, zaśniedzieć. Mimo to nie zamierzała zaczynać wojny z tym człowiekiem. Przywitała się uprzejmie, dygnęła, obiecując sobie, że zrobi wszystko, aby ze względu na matkę, Łubinów i spokój w domu jej stosunki z ojczymem były poprawne. Może się zmienił – pomyślała z nadzieją, wchodząc na piętro dworu.

Do późnej nocy leżała w łóżku piastunki, jak to dawniej bywało, okryta szorstką, świeżo wykrochmaloną pościelą.

– Niech Ludwiczka wszystko opowie, co się działo podczas mojej nieobecności – poprosiła.

Podparta na łokciu słuchała nowinek z dworu i sąsiednich majątków. Kto się wydał się za kogo, kto się urodził, kto umarł, kto się z kim pokłócił. Ludwika mówiła o pannach Orattich z Jazłowca, z których jedna już się zaręczyła, a druga spędzała karnawał w Kielcach, o nowym wikarym w Unieszowach, o służących, ale o Eufrozynie nie zająknęła się nawet jednym słowem.

Dlatego też Wiktoria postanowiła sama zapytać.

– A czy mama jest szczęśliwa z Ankwiczem?

– Tak myślę – przyznała Ludwika, układając sobie jasiek pod głową.

– Od ich ślubu minęły prawie cztery lata, a wciąż... – zawahała się dziewczyna, patrząc wyczekująco na piastunkę.

– Ano tak czasem bywa.

Wiktoria zamyśliła się przez chwilę. Zanim poznała prawdziwą naturę Fryderyka, chciała mieć rodzeństwo, potem to pragnienie zbladło, aż wreszcie znikło bez śladu.

– Czy mama cierpi z tego powodu?

– Nie. Wie, że trzeba przyjąć, co Bóg zsyła.

O Ankwicza nie spytała. Obojętne jej były uczucia ojczyzna i jego ewentualne rozterki w związku z brakiem potomstwa.



## ROZDZIAŁ 8

Następnego dnia pojechała z panną Michaliną na grób ojca, potem kazała Wacławowi obwieźć się po Unieszowach, wstąpiła do kościoła, by chwilę pomodlić się przed wizerunkiem Świętej Katarzyny, a na krótko przed zapadnięciem zmroku wzięła konia ze stajni i wyruszyła do lasu.

Powietrze było mroźne, ciężkie chmury zdusiły promienie słońca, od czasu do czasu zrywał się też dokuczliwy wiatr, który niemiłosiernie targał koronami sosen i strząsał z drzew czapy śniegu. Nie była to wymarzona pogoda na przejażdżki wierzchem, ale Wiktoria nie chciała czekać. Od prawie trzech lat nie siedziała w siodle, od trzech lat nie była w łubinowskim lesie, nie jechała aleją, przy której rosły dęby o tak grubych pniach, że aby je objąć, potrzeba było kilku osób. Teraz nie mogła się nasycić, nakarmić tym otaczającym ją pięknem. Myślała o Wilii, przez chwilę powróciło uczucie dojmującego smutku, ale wkrótce wszystkie złe wspomnienia wdeptała w ziemię, przegoniła niczym stado uciążliwych wron.

Wróciła do dworu o szarej godzinie z przemarzniętymi stopami, ale za to z wigorem i sercem przepełnionym radością. Może przed kolacją zdążę jeszcze pójść do leśniczówki – pomyślała, ściągając rękawiczki. Florentyna na pewno się ucieszy, a poza tym nie widziała się jeszcze z Maciejem. Żałowała, że nie spotka się z dawną towarzyszką zabaw, ale Karusia przed rokiem wyszła za mąż i zamieszkała kilka mil za Jazłowcem.

– Jesteś wreszcie.

Odwróciła się, słysząc głos Ankwicza. Ubrany był w wizytowy strój, ciemnogranatowy frak i nieco jaśniejsze spodnie.

– Bądź tak miła i idź się przebierz. Mamy gości. Twoja matka ma migrenę i nie może nam towarzyszyć. No już, szybko. Czekamy w

bawialni.

Wydawał polecenia, co nie było niczym zaskakującym, bo zwracając się do niej, przeważnie używał trybu rozkazującego, ale tym razem robił to w sposób podejrzenie uprzejmy. Odszedł, nim zdążyła spytać, co to za goście.

Wolałaby przez najbliższą godzinę grzać stopy przy kominku, zamiast bawić towarzystwo rozmową, ale była w wybornym nastroju i zamierzała wykazać się dobrą wolą.

Służąca pomogła jej zasznurować gorset oraz włożyć włosiankę i kilka warstw sztywnych halek, które nadawały sukni odpowiedni kształt i dostatecznie szeroki obwód. Ramiona przykryła pelerynką podbitą bobrowym futrem. Poprawiła jeszcze upięcie włosów, wymykające się kosmyki podpięła szpilkami i zeszła do bawialni. Fryderyk Ankwicz natychmiast poderwał się z miejsca i chwyciwszy ją delikatnie za łokieć, pociągnął w głąb pokoju.

– Drodzy przyjaciele, pozwólcie, że wam przedstawię moją pasierbicę, Wiktorię, która dopiero co wróciła z Warszawy, gdzie bawiła u zaprzyjaźnionej rodziny – dokonał prezentacji.

Wiktoriana dygnęła i nim zdążyła spuścić skromnie wzrok, dostrzegła w salonie dwie postaci. Po chwili w jej stronę ruszył wysoki, elegancko ubrany mężczyzna. Miał przeciętną, pozbawioną wszelkiego powabu twarz, dziwnie spłaszczony koniec nosa i obwisłe, mięsiste wargi, nad którymi rosły płowe wąsy ciągnące się aż do siwiejących bokobrodów. Pod oczami przez cienką i pomarszczoną skórę prześwitywały błękitne naczynka, które wraz z głębokimi bruzdami nadawały mu wygląd człowieka mocno posuniętego w latach. Na wyłysiałym czole widoczne były ślady potu, które szybko otarł niebieską chustką. Był szczupły, wręcz kościsty, ale z odstającym brzuchem, na którym mocno opinała się żółta kamizelka.

– Wielka to dla mnie radość wreszcie poznać panienkę. Generał major Piotr Gorc, do usług – mówił powoli, z dostojeństwem, wyraźnie artykułując każde słowo.

Wiktoria wzdrygnęła się z niechęcią, gdy szorstkie wąsy połaskotały dłoń.

– A to mój siostrzeniec, Marcin Zacharewicz.

Młodzieniec ujął ostrożnie, ledwie końcami palców, jej rękę.

– Jest mi niezmiernie miło – powiedział, skłoniwszy się. Miał przyjemny głos, a w oczach dziwny smutek, który intrygował.

Mężczyźni usiedli przy niskim stoliku do gry w szachy, ona zaś zajęła miejsce na fotelu w pobliżu kominka, żeby trochę rozgrzać stopy. To był ten sam pokój, w którym przed czterema laty po raz pierwszy spotkała Ankwicza. Wbiła wzrok w drewnianą posadzkę, która jako jedyna przetrwała w niezmienionym kształcie, bo po rokokowej kanapie i empirowych meblach nie pozostał żaden ślad. Nawet fortepian został przeniesiony do innego salonu.

Niepytana nie zabierała głosu. Prym wiódł Fryderyk, który jak nigdy tryskał dobrym humorem, a był przy tym tak serdeczny, a wobec niej tak ujmująco ciepły i miły, że przez chwilę Wiktorii zrobiło się żal, że jest to jedynie doskonale odegrane dla gości przedstawienie. Nie miała złudzeń, że Ankwicz nagle zapałał do niej szczerą sympatią. Kiedy tak na niego patrzyła, jak zręcznie prowadzi konwersację, jak czaruje uśmiechem i dowcipem, jak uprzejmie zwraca się do służby, zaczynała rozumieć, co przyciągnęło do niego matkę.

Od czasu do czasu zerknęła na Marcina Zacharewicza. Mówił niewiele, delikatnie bębnił palcami w poręcz kanapy i często zawieszał wzrok na suficie, a gdy napotykał jej spojrzenie, uśmiechał się łagodnie, jakby przepaszając. Najwyraźniej mam sojusznika – pomyślała znudzona przeciągającym się spotkaniem. W pewnym

momencie coś zwróciło jej uwagę, wywołało niepokój, jakby nagle przez salon przeszedł podmuch mroźnego wiatru. Padły jakieś słowa. Nazwa, która przywołała z otchłani wspomnień uczucie ciekawości i niechęci. O czym oni mówią?

– ...dobrzy fachowcy, muszę przyznać. Dziękuję, że zechciał mi ich pan polecić, Fryderyku.

Wiktoria uznała, że Piotr Gorc ma w sobie coś z najedzonego i zadowolonego kocura. Z jego twarzy nie schodził uśmiech, który zamiast sympatii budził jednak niepokój.

– Będę zaszczycony, jeśli pan ze swą piękną małżonką i panną Wiktoria zechcecie mnie odwiedzić i ocenić efekt. Będziecie najmilej oczekiwanymi gośćmi w Wilczych Dołach.

Wiktoria wstrzymała oddech. Wilcze Doły, Wilcze Doły! Rdzawy dach, imię, którego nie warto pamiętać... Sprzedawczyk! Zdrajca!

A więc Gorc? Mówił o remoncie, więc może kupił majątek, a dawny właściciel nadal przebywa w Warszawie?

– Wiktoria jest utalentowaną malarką. – Przymilny głos Ankwicza sprowadził ją na ziemię. – Moja droga, bądź tak uprzejma i pokaż nam swoje prace.

Z głową zaprzątniętą myślami dziewczyna poszła do sypialni po rysunki, które następnie wręczyła Gorcowi.

– Urocze. – Próbował udawać zainteresowanie, ale w jego głosie pobrzmiwał protekcyjny ton. Zamiast przyglądać się obrazom, patrzył na nią, świdrując wzrokiem.

– To jest naprawdę piękne. – Marcin Zacharewicz po kolei przekładał szkice. – Prace wrażliwej artystki. Doskonałe portrety, na kilku rozpoznaję Łubinów, dwór, wieś... A ten obraz?

Wskazał na rysunek przedstawiający siedzącą przy kołowrotku dziewczynę. Za nią, jedna za drugą stały kobiety w różnym wieku i o różnym statusie. Jedne miały na sobie drogie, zdobione gronostajami

i falbanami szaty, inne proste sukienki. Przyglądał się im ukryty za drzewem mężczyzna. Widać było jedynie jego prawą rękę i wykrzywioną wściekłością dość młodą twarz.

– To ilustracja do baśni *Srebrne wrzeciono*.

Zacharewicz ściągnął brwi w zdumieniu.

– Chyba nie miałem przyjemności poznać tej opowieści.

– Legendy i baśnie są dobre dla dzieci i dla kobiet, a mężczyznom pozostaje troska o byt – skwitował Gorc z pobłażliwym uśmiechem, chrząkając, jakby coś zalegało mu w gardle.

Jest okropny – pomyślała Wiktoria, krzyżując spojrzenie z Zacharewiczem. Uśmiechnął się do niej ciepło, po czym zerknął na wuja i uniósł wysoko brwi, wyrażając tym samym dezaprobatę dla jego słów.

Wieczór dłużył się niemiłosiernie, a ostatnim akordem była wieczerza, podczas której serwowano pieczeń z dzika w wiśniowym sosie. Gdy goście wreszcie zakończyli wizytę, Wiktoria pognęła do pokoju Ludwika i bez żadnych wstępów zadała pytanie, które przez cały wieczór cisnęło jej się na usta:

– Czy Piotr Gorc, właściciel Wilczych Dołów, to ten zdrajca, o którym kiedyś słyszałam?

Stara piastunka odwróciła głowę, wzdychając przy tym ciężko.

– Ano widzisz, dziecko, co się porobiło. Gdyby żył twój ojciec, ten człowiek w życiu nie przestąpiłby progu Łubinowa.

– Kim on jest? Co takiego zrobił?

– Sprzedał się w służbę Moskałom. Zbój jeden. Coś mu chyba jednak dojadło, że postanowił wrócić.

– Jak to się sprzedał? Za co?

– A normalnie, za pieniądze, za zaszczyty. Tak się wysługiwał zaborcom, że dochrapał się stanowiska prezesa Komisji Śledczej w Warszawie. Podobno rekomendował go sam Paskiewicz<sup>[15]</sup>. Jak nisko

trzeba upaść, żeby bratać się z wrogiem własnej ojczyzny!

Wiktorija przysiadła na łóżku, pocierając czoło wierzchem dłoni.

– Komisja śledcza? Przecież oni ścigają Polaków występujących przeciwko carowi. I ktoś taki w naszym domu?!

– Sama widzisz. Kiedy zjeżdża z Warszawy, zaraz się tu zjawia, jak uprzykrzona mucha. Zdaje się, że twój ojczym zapalał do niego wielką sympatią. Co się dziwić. Swój ciągnie do swego. W żadnym innym majątku nie jest przyjmowany, tylko u nas. Gorc! Gorc! – Ludwika zrobiła gest, jakby wypluwała jego nazwisko. – On się powinien nazywać Piotr Andrejewicz Gorcow<sup>[16]</sup>. Jest bardziej rosyjski od rodowitego Rosjanina. Ilu ludziom on zniszczył życie! Boże mój! Ilu na Sybir poszło!

– Po co tu przyjeżdża? – spytała z pretensją dziewczyna.

– Bo tylko tu go przyjmują. Jakies interesy ma z Ankwiczem, ale jakie?

– A co na to mama?

– Sama nie wiem. Chyba nie jest przychylna tym odwiedzinom, ale nic nie mówi. Przynajmniej nie do mnie – zakończyła z goryczą.

Ludwika nie dodała nic więcej, ale Wiktorija wyczuła, że jej relacje z matką nie są tak serdeczne jak dawniej. Nic dziwnego. Między nimi stał Ankwicz. Eufrozyna, jeśli musiała wybierać, z pewnością przedkładała lojalność wobec męża nad lojalność wobec dawnej piastunki.

– A jak ci się widzi pan Marcin? – zagadnęła ją starsza dama.

– Wcale mi się nie widzi. A jeszcze z takim wujem!

– A co on temu winien? Jego ojca nigdy nie poznałam, ale matka to była sama łagodność. Zresztą oboje już nie żyją. Sierota. Tylko wuj mu pozostał. Ale pan Marcin nie jest taki jak Gorc, co to to nie. Jemu z oczu dobrze patrzy. I musisz, dziecko przyznać, że jest niczego sobie. Niedawno skończył studia w Petersburgu. Przystojny, młody, taki

wykwintny w obyciu i...

– Ejże, Ludwiczko! – zaprotestowała z łagodnym uśmiechem Wiktoria. Zaskoczyły i rozbawiły ją te peany na cześć Zacharewicza, ale nagle spoważniała. – Co to wszystko znaczy?

W sekundę wszystkie elementy układanki wskoczyły na właściwe miejsce. Podszyta fałszem wyjątkowa uprzejmość Ankwicza, niespodziewane ściągnięcie jej do domu, wizyty Gorca...

– Chcą mnie wydać za męża? – Poderwała się z miejsca. – Wie Ludwiczka coś?

– Nie wiem... na pewno. Ale wiele na to wskazuje.

– Nie zgodzę się – oświadczyła z mocą dziewczyna. – Właściwie go nie znam i nie chcę poznać. Ankwicz nie będzie mi wybierał męża. Ludwika zwiesiła głowę.

– Wiedziałam, że tak powiesz, ale tu nie ma co się gorączkować. Trzeba na spokojnie sobie to ułożyć, a zresztą to jeszcze nic pewnego. Nie frasuj się.

Wiktoria wróciła do sypialni zasępiąca. Ot, i skończył się beztroski czas w Łubinowie – pomyślała i rzuciwszy się na łóżko, wtuliła twarz w poduszkę. Po chwili jednak się zerwała, podeszła do gotowalni i dokładnie umyła dłonie. Gdyby wiedziała, kim jest Gorc, nie podałaby mu ręki. Ankwicz nie dość, że w domu wszystko wywrócił do góry nogami, to jeszcze hańbił Łubinów, przyjmując w jego progach oprawcę polskich patriotów.

Następnego dnia z samego rana Wiktoria postanowiła porozmawiać z panną Michaliną. Dawna guwernantka również nie kryła abominacji wobec Gorca.

– Wiem od przyjaciół z Warszawy, że najdalej do końca roku zamierza zrezygnować ze stanowiska – mówiła półgłosem, zamknąwszy uprzednio drzwi do swego pokoju. – Podobno przełożeni z żalem przyjęli jego decyzję, bo jeszcze nigdy nie mieli tak

skutecznego śledczego. To on stoi za rozbiciem konspiracji w Warszawie przed trzema laty. *Mon Dieu!* Tyle lat i same sukcesy, prawa ręka Paskiewicza. Trudno zliczyć tych, którzy przez niego poszli na katorgę. Naprawdę dziwię się, że zdecydował się powrócić w rodzinne strony. Wszyscy nim tu pogardzają. – Taktownie nie wspomniała o zaskakujących sympatiach Fryderyka. – Nie zostanie przyjęty w progach żadnego polskiego domu. *C'est sûr.*

– Przecież zdarzało się, że rosyjscy oficerowie bawili u Orattich – przypomniała Wiktoria.

– Zgadza się. Rosjanie. Nikt nie ma do nich pretensji, że są lojalni wobec swojej ojczyzny, ale Gorc? Przecież to polski szlachcic.

– Skoro aż tak wielbi cara, może nie zechce, żeby jego siostrzeniec ożenił się z Polką, w dodatku córką powstańca – myślała na głos. – Może to tylko ambicje Ankwicza?

Panna Michalina przygładziła ręką swe gęste, ciemne włosy uczesane z przedziałkiem i zebrane w węzeł. Wiktoria zwróciła uwagę, że dawna guwernantka wygląda wyjątkowo młodo. Zawsze ubierała się ładnie i ze smakiem, nikt nie mógł odmówić jej urody, ale teraz jakby rozkwitła.

– Panienko, nie jestem pewna, ale chyba coś już zostało postanowione.

Wiktoria prychnęła.

– Mogą się układać za moimi plecami, ale przecież jeśli nie wyrażę zgody, nic nie działają. A ja się nie zgodzę. Nie wyjdę za Zacharewicza.

– Bo jest spokrewniony z Gorcem? A gdyby nie był?

– Najpierw Ludwika, teraz pani. Nie rozumiem, skąd inklinacje do tego człowieka.

– Myślmy tylko o panience. A pan Marcin, mimo że z tej samej krwi, jest jednak z innej materii niż jego wuj. Może warto spojrzeć na



niego nieco życzliwiej?

Wiktorcia myślała o słowach panny Michaliny podczas wieczornego kuligu, na który – a jakże – zostali zaproszeni Gorc i Zacharewicz.

Styczniowa noc była wyjątkowo piękna, rozświetlona blaskiem księżyca. Mróz nie zelżał, ale wiatr się uspokoił i w innych okolicznościach Wiktorcia byłaby zachwycona sanna. Marcin Zacharewicz próbował wciągnąć ją w rozmowę, nie można mu było odmówić ani dobrych manier, ani uroku, a jednak nie zdołał skruszyć muru niechęci. Wiktorcia pozostała równie zimna jak lód skuwający stawy. W pewnym momencie zauważyła, że patrzy na nią zdziwiony i zasmucony. Jego twarz, oświetlona pochodnią, wydała jej się nad wyraz urodziwa i szlachetna, ale nawet wówczas nie potrafiła się przemóc. Z trudem znosiła również obecność Gorca. Gdy od czasu do czasu nachylał się do niej, żeby coś powiedzieć, wzdygała się, czując na policzku jego przesiąknięty tytoniem oddech i mocny zapach wody kolońskiej. Nawet wygłaszając jakąś banalną uwagę, posługiwał się niezmiennie tym samym tonem, modulował odpowiednio każdy wyraz, jak gdyby upajał się dźwiękiem swojego głosu, co doprowadzało ją do białej gorączki.

Na szczęście zimowa wyprawa ograniczyła się do krótkiej przejażdżki. Nie było głośnych przyśpiewek, muzyki, postojów w sąsiednich majątkach ani biesiadowania przy suto zastawionych stołach.

Następnego dnia po kolacji Fryderyk wezwał ją do swojego gabinetu.

– Usiądź, proszę – powiedział, wskazując na fotel przy okrągłym stoliku.

– Dziękuję, postoję.

– Krnąbrna jak zawsze. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – No cóż, na szczęście już niedługo przestaniesz być moim problemem. Powiem krótko. Zostałem poproszony o twoją rękę i zgodziłem się.

Nie była zaskoczona. Spodziewała się, że prędzej czy później ta chwila nastąpi, i jako pilna uczennica przygotowała odpowiedź, która jednak, jak się domyślała, z pewnością nie poprawi jej stosunków z ojczymem. Bogiem a prawdą, nie miała Zacharewiczowi nic do zarzucenia. Z pewnością nie był typem salonowego lwa, bawidamka polującego na posag ani lekkomyślnego utracjusza. Sprawiał wrażenie człowieka prawego i skromnego, o szerokich horyzontach i intelektualnych aspiracjach. To, że był siostrzeńcem Gorca, odstręczało ją, ale nie miała wątpliwości, że dla wielu rodzin, mających córki na wydaniu, stanowiło to atut przewyższający stukrotnie wszelkie inne zalety. Zastanawiała się, dlaczego Zacharewicz zgodził się ożenić z panną bez szczególnych koneksji, której prawie nie znał i która chyba nie wzbudzała w nim cieplejszych uczuć. Owszem, był wobec niej serdeczny, ale nie dostrzegła w jego oczach tego szczególnego błysku, który widziała chociażby w oczach przyjaciół Kazimierza.

– Mam wyjść za mąż? Za kogo? – spytała, by dopełnić formalności.

Fryderyk okrążył biurko i oparł się o blat, zaplatając ramiona na piersiach.

– Generał major Piotr Gorc był łaskaw uczynić ci ten honor.

Wiktoria uśmiechnęła się nerwowo, przekonana, że albo źle zrozumiała, albo źle usłyszała.

– Gorc? Poprosił o rękę w imieniu swego siostrzeńca?

– Zacharewicza? Ależ nie, w swoim imieniu. Chce cię pojąć za żonę.

Zaniemówiła. Patrzyła na Ankwicza, próbując pojąć sytuację, ale

nie potrafiła zebrać myśli.

– Co takiego?! – Zaszło jej w gardle, a po kręgosłupie przebiegł zimny dreszcz. – Nie wierzę.

– I cóż cię tak dziwi?

– Nie może pan oczekiwać, że ja mogłabym... że zgodzę się...

– Nie oczekuję, bo twoja zgoda nie jest potrzebna. Już wszystko postanowione. Powinnaś być wdzięczna, że ktoś o takiej pozycji i z takim majątkiem zechciał właśnie ciebie uczynić swoją żoną, skoro mógł przebierać pośród najpiękniejszych, najlepiej ustosunkowanych i najbardziej posażnych dziewcząt, ale oczywiście jesteś zbyt ograniczona, by docenić zaszczyt, który na ciebie spadł.

– Nie prosiłam o ten wątpliwy zaszczyt! Ujmą jest już samo przebywanie w towarzystwie tego człowieka. Nie wyjdę za kogoś, kto ma na rękach krew polskich patriotów. Moja matka...

– Chce dla ciebie dostatniego życia, a takie zapewni ci Piotr Gorc.

– Nie zgadzam się! – powtórzyła, udając spokój, choć zimny pot zrosił jej czoło.

– Jeszcze nie pojęłaś, że to ja decyduję? Że twój los zależy tylko ode mnie? W tym domu nie ma dla ciebie miejsca.

– To dom mojego ojca i prawnie jest mój. Nie zwiążę życia z carskim lokajczykiem, żeby pan miał swobodę w rujnowaniu...

– Zrobisz to, co ci każę, albo...

– Albo co? – Patrzyła mu prosto w oczy, wyzywająco, bez lęku, za to z przekonaniem, że oto bierze udział w bitwie, której nie może przegrać. – Każe mnie pan wybatożyć?

Fryderyk przymrużył oczy. Usta wykrzywił mu pogardliwy grymas.

– Że też ty się nie możesz niczego nauczyć. „Może mnie pan zabić, a i tak nie przeproszę” – drażnił się, parodiując ją. – Pamiętasz? Zapomniałaś już, jak następnego dnia błagałaś o wybaczenie? Tym

razem możesz stracić dużo więcej niż konia. Sprawa jest prosta. Albo się dostosujesz, albo trafisz tam, gdzie szybko nauczą cię, czym jest pokora i posłuszeństwo.

Prychnęła lekceważąco.

- Nie boję się klasztornej kraty, wolę to niż...
- Obłąkanych nie zamyka się w klasztorze – odparł spokojnie.

Wiktoria miała wrażenie, że wytrącono jej broń z ręki i zadano ostateczny cios. Wytrzymała triumfujące spojrzenie Fryderyka, żeby mimo klęski nie okazać przerażenia.

– Wiesz, że to zrobię. Mój przyjaciel jest właścicielem takiego zakładu i chętnie się tobą zaopiekuje. Szybko cię wyleczy z tego głupiego uporu. Już po jednym dniu będziesz błagała o litość. Naprawdę tego chcesz?

Milczała przez chwilę, porażona bezwzględnością ojczyrna.

- Jak pan może?! Zrobiłby pan coś tak...
- Zrobię wszystko, co będę musiał. Nie zepsujesz mi tego. Za twoją zuchwałość zapłaci także ta stara. Już i tak za długo żyje.

Wiktoria pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Za co mnie pan tak nienawidzi?

Twarz Fryderyka na krótką chwilę straciła zaciekły wyraz, z oczu znikł błysk okrucieństwa. Odwrócił wzrok, by po chwili znów popatrzeć na nią z tą samą bezwzględnością.

– Przecież ty również nie żywisz do mnie szczególnie ciepłych uczuć. I to od samego początku.

Mierzyli się wzrokiem w milczeniu, wreszcie Fryderyk zrobił krok w jej stronę i dodał zaskakująco łagodnie, niemal życzliwie:

– On zapewni ci życie, o jakim tylko mogłaś marzyć. Pomyślałaś, jaka to nobilitacja społeczna? W jakich on kręgach się obraca? Poza tym będzie dla ciebie dobry. Nie zależy mu na twoim posagu. Nie rozumiem, skąd ten upór. I tylko proszę: oszczędź mi wywodów o

krwi na rękach, zdrajcach i ojczyźnie. Może właśnie tacy ludzie jak Gorc są prawdziwymi patriotami, bo udaremniają próby robienia w kraju zawieruchy, która kończy się potem śmiercią tysięcy ludzi.

– Brzydę się nim. Jest starszy ode mnie o trzydzieści lat.

– Twój ojciec też był dużo starszy od twojej matki – rzucił wyzywająco. Jego oczy zdawały się mówić: „No powiedz to, powiedz, przyznaj, że Eufrozyna nie była z nim szczęśliwa”. – Przy odrobinie szczęścia może powtórzysz jej los, pochowasz niekochanego męża i drugi raz wyjdiesz, za kogo zechcesz.

Wiktorcia wciągnęła gwałtownie powietrze. Palce najpierw zacisnęła w pięści tak mocno, że jeszcze chwila, a paznokcie przebiłyby skórę, po czym rozprostowała je gwałtownie niczym szpony.

– Jest pan najgorszym złem, najgorszą plagą, jaka mogła spaść na moją rodzinę i na Łubinów. Kiedyś pan za to zapłaci! – syknęła nieswoim, drżącym od tłumionej furii głosem.

Doskoczył do niej tak szybko, że Wiktorcia, choć spodziewała się ciosu, nawet nie zdążyła się zasłonić. On tylko zbliżył twarz do jej twarzy i wycedził przez zęby:

– Uważaj! – Z bliska jego duże oczy wydawały się niemal czarne. – Bo jeśli zapomniałaś, do czego jestem zdolny, to nie będę miał skrupułów, żeby ci przypomnieć.

Cofnęła się gwałtownie w stronę wyjścia, nie spuszczać wzroku z Ankwicza, w obawie, że gdyby odwróciła się do niego tyłem, mógłby natychmiast spełnić groźbę. Oparła się o drzwi, szukając klamki, wreszcie nacisnęła ją i wybiegła z pokoju.

## ROZDZIAŁ 9

Matka sprowadziła mnie do domu, by oddać w łapy tego niegodziwca – rozmyślała Wiktoria w drodze do Unieszowów. Kazała Wacławowi jechać prosto pod plebanię, mimo że według oficjalnego przekazu wybierała się tylko na grób ojca. Przez pół nocy rozmawiała z Ludwiką, co robić, jak znaleźć wyjście z koszmarnej sytuacji, w której się znalazła, i gdzie szukać ratunku.

– Wiedziałam, co się święci, ale jak mi Bóg miły, byłam przekonana, że chodzi o Zacharewicza – tłumaczyła się Ludwika, nie bardzo wiedząc, jak pocieszyć Wiktorię, bo sama była przybita i bezradna. – A więc tak to sobie wymyślił, łotr! Kiedy się z tobą ożeni, będzie musiał zostać przyjęty do towarzystwa. Jesteś córką dziedzica Słoczyńskiego, najbardziej poważanego człowieka w tych stronach. Nikt nie zrobi ci afrontu. Można było zamknąć drzwi przed Gorcem, ale nie przed tobą.

– Nie jestem mu do tego potrzebna. – Dziewczyna wytarła łzy z policzków. – Ankwicz go przyjmuje, inni też by zaczęli.

– Tak, ale ze strachu. A jemu to najwyraźniej nie pasuje. Chyba mu się uroiło, że jak tutaj nie będzie nosił munduru i wżeni się w rodzinę powstańców, to mu nagle anielskie skrzydła wyrosną i wszyscy puszczą w niepamięć, co wyrabiał w Warszawie.

Wiktoria, patrząc na zimowy pejzaż za oknem powozu, nie mogła uwierzyć, że jeszcze do wczoraj kręciła nosem na młodego i przystojnego Zacharewicza. I jakaż była naiwna, sądząc, że może decydować o swoim życiu! Dla ojczyrna i Gorca była jedynie przedmiotem wymiany handlowej, marionetką, którą można rozporządzać wedle swej woli. Mimo gróźb Ankwicza nie zamierzała się poddawać, choć zdawała sobie sprawę, jak wiele ryzykuje. Na samą myśl o zakładzie dla obłąkanych cierpła jej skóra. Pamiętała

opowieści jednej z pensjonarek, Kasi Butenko, sieroty i wychowanki bogatego posiadacza ziemskiego z Podola. Kasia była drobniutka jak ptaszek, na lekcjach siedziała zawsze na końcu, z własnej woli nigdy nie zabierała głosu i miała osobliwy nawyk mrugania jednym okiem. Wiktoria z Klementyną postanowiły otoczyć dziewczynę opieką, pomagały jej w lekcjach, wciągały w pensjonarskie zabawy, aż wreszcie doczekały się dnia, w którym Kasia opowiedziała swe smutne dzieje. Ojca nie poznała, nie wiedziała nawet, kim był, bo dziadek przegnał go, nie zezwalając na ślub ze swą jedynaczką. Jej matkę zaś po urodzeniu dziecka umieścił w zakładzie dla słabych nerwowo, gdzie zmarła po niespełna dwóch latach. Po śmierci wszechwładnego hrabiego Butenki opiekę nad dziewczynką przejął daleki kuzyn. Kasia zwierzyła się przyjaciółkom, że prawdę o swoim pochodzeniu poznała, gdy pośród pamiątek po dziadku znalazła listy, które wysyłała do niego nieszczęsna córka. Błagała, żeby ją zabrał, żeby pozwolił jej być w domu przy córce, przepraszała za hańbę, jaką na niego sprowadziła. Ze szczegółami opisywała, jak się nad nią znęcają, jakim torturom fizycznym i psychicznym jest poddawana w zakładzie. Czy matka, nie doczekawszy się łaski ojca, sama postanowiła zakończyć życie – tego Kasia nie wiedziała. Nosiała jednak w sobie tragizm losów rodziców i nie potrafiła wybaczyć nieżyjącemu dziadkowi, że był przyczyną tych wszystkich nieszczęść.

Wiktoria nie miała pewności, czy historia Kasi nie jest przypadkiem ubarwiona, czy listy, które znalazła przyjaciółka, zawierały opisy rzeczywistych cierpień, czy może jej matka, chcąc poruszyć sumienie ojca, wyolbrzymiała swe przeżycia.

Tak czy inaczej, groźba izolacji w miejscu, o którym Kasia opowiadała jak o przedsionku piekła, wzbudzała w niej paniczny strach. Mimo to nie zamierzała jeszcze składać broni.

Panna Michalina, która towarzyszyła jej w drodze do

Unieszowów, nie bardzo wierzyła w to, by ksiądz proboszcz mógł tu w czymś pomóc – i jak się okazało, miała rację.

– Panienko Wiktorio, Jezus uczył, żeby wybaczać, jeśli będzie trzeba nawet nie siedem, a siedemdziesiąt siedem razy – oświadczył, gdy Wiktorcia zwierzyła się ze swego problemu. – Każdy zasługuje na drugą szansę. Generał Gorc również. On się bardzo stara. Próbuje odpokutować dawne winy. Przekazał na kościół hojny datek, choć sam należy do prawosławnych. Będzie można wybudować nową dzwonnice i ołtarz odnowić, a nawet...

– Ależ, czcigodny ojcze, ksiądz pobłogosławi to małżeństwo, wiedząc, że jestem do niego przymuszona?

– Będę się za ciebie modlił, dziecko, żebyś zrozumiała, co jest dla ciebie dobre – zapewnił, składając dłonie i podtykając je pod trzypiętrowy podbródek. – To nieładnie sprzeciwiać się woli rodziców. Oni przecież pragną dla ciebie jak najlepiej. Chyba nie chcesz być niewdzięczna?

Dziewczyna w sekundę pojęła, że tylko traci czas. Tutaj karty zostały już rozdane. A jednak, gdy opuszczała plebanie, zatrzymał ją w drzwiach nowy wikary.

– Panienko... – Obejrzał się trwożnie za siebie. – Proszę napisać do biskupa, może on coś zaradzi.

– Tak zrobię, dziękuję. – Uśmiechnęła się, pokrzepiona słowami wikarego.

Po minie panny Michaliny widziała jednak, że nie powinna robić sobie nadziei.

Po powrocie do domu czekała na nią niemiła niespodzianka. Ledwie zdążyła przekroczyć próg dworu, gdy Ankwicz oznajmił, że przyjechał do niej z wizytą narzeczony, toteż ma natychmiast doprowadzić się do porządku, a następnie iść do bawialni. Zrobiło jej się ciemno przed oczami i kiedy znalazła się w swoim pokoju, opadła



na fotel i zamknęła powieki. Oddychała płytko, czuła pulsujący ból w skroniach i ucisk w żołądku. Marzyła o zdjęciu gorsetu, o jednym łyku wody, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, by zawołać kogoś na pomoc. Nawet wówczas, gdy pod drzwiami podeszła służąca i zaczęła ją prosić, żeby już udała się do gościa, bo jasnie pan się niecierpliwi, milczała, zaciskając dłonie na oparciach fotela. Usłyszała na korytarzu głosy i po chwili pokojówka, zapukawszy delikatnie, weszła do środka.

Wiktorია otworzyła oczy i zwróciła ku niej twarz.

– Powiedz panu, że nie zejdem – wydukała przez zaciśnięte gardło.

– Panienko, bardzo proszę...

Nim służąca zdążyła dokończyć, do sypialni wtargnął Ankwicz.

– Długo mamy jeszcze czekać? – zapytał ostrym tonem, patrząc na nią z góry.

– Źle się czuję.

– Jeśli natychmiast nie zejdziesz na dół, to się dopiero źle poczujesz, zaręczam. Już raz postawiłaś cały dom na nogi. Nie próbuj znów omdlewać i udawać chorej. Wszyscy wiemy, że masz skłonność do hysterii, a to trzeba leczyć. – Insynuacje były aż nadto czytelne. – Masz się w tej chwili przebrać w odpowiednią suknię, poprawić włosy i zachowywać, jak należy. Jeśli nie będzie cię za kwadrans...

– Przyjdem. – Odwróciła twarz, by nie patrzeć mu w oczy.

Nie miała pojęcia, skąd wzięła siłę, żeby spełnić żądanie ojczyma. Wszedłszy do bawialni, zorientowała się, że choć było to wbrew konwenansom, w pokoju nie było nikogo poza nią i Gorcem. Przywitała się chłodno, nie podając mu ręki. Od razu zajęła miejsce w fotelu, przy kominku, on zaś wziął krzesło stojące przy stoliku do gry w szachy i usiadł naprzeciwko niej.

– Ojczym rozmawiał z panią o ślubie? – mówił wolno, wyraźnie, z jego twarzy nawet przez chwilę nie schodził przesłodzony uśmiech.

– Tak – bąknęła, wbijając wzrok w chusteczkę, którą międziła w dłoniach.

Miała wrażenie, że stała się muchą uwięzioną w lepkiej sieci. Najgorsza była świadomość, że to, co straszne, dopiero przed nią. Mogła jeszcze walczyć, próbować się uwolnić, tracąc przy tym resztkę sił, ale oczywiste było, że prędzej czy później dopadnie ją pająk, który wcale nie musiał się spieszyć. Wiedział, że ofiara nie wymknie się ze śmiertelnej pułapki.

– Myślałem o końcu sierpnia, oficjalne zaręczyny zaś...

Nie słuchała go, nie interesowało jej, co zaplanował i w jakim czasie. Czuła się chora z odrazy i przerażenia. Gorc mimo nienagannych manier, erudycji i łagodności budził w niej większy lęk niż Ankwicz. Ojczym co prawda był diabłem wcielonym, ale wszystko, co robił, było przewidywalne. Patrząc na Gorca, można się było tylko domyślać, co się kryje za tą kurtuazją, wypracowanym spokojem i czarującą uprzejmością. Czy gdy znęcał się nad więźniem, z jego twarzy również nie schodził uśmiech? Domagając się zeznań, artykułował słowa z tą samą starannością i tym samym melodyjnym tonem?

– Jestem córką powstańca – oświadczyła nagle, dziwiąc się swojej odwadze. A może była to jedynie brawura konającego, który wie, że i tak już nic gorszego nie może go spotkać. – Nie wydaje mi się, żebym była... odpowiednia dla pana.

– Och, zapewniam, że jest pani bardzo odpowiednia. – Pogładził się po wąsach, muskając usta.

– Mój ojciec nie pochwaliłby tego... małżeństwa. – Zerknęła pospiesznie na Gorca, by się przekonać, czy dotknęły go te słowa.

Ze zdumieniem spostrzegła, że nadal się uśmiecha, nie wyglądał na poruszonego. Przypominał kukłę, która z raz wymalowanym wyrazem twarzy zostaje już na zawsze.

– Czyżby? Mniemam, że życzyłby sobie, aby jego córka w tych niepewnych czasach była bezpieczna, aby nie musiała bać się o los swoich bliskich. Na pewno ucieszyłby się, wiedząc, że może pani odzyskać majątek, który on stracił. Słoczyń, o ile dobrze pamiętam?

Wiktoria zrozumiała, że z takim przeciwnikiem nie ma szans. Groźby pokrywał lukrem, szantaż maskował troską, a wszystko rzucał lekko, jakby mimochodem. Gdyby jeszcze darzył ją szczerym uczuciem, mogłaby poruszyć jego sumienie, błagać, żeby zrezygnował z małżeńskich planów, ale on nawet nie zadał sobie trudu, żeby odegrać rolę romantycznego kochanka. Nie próbował łączyć, że ubóstwia nad życie, pleść głupstw o sercu, które długo szukało drugiego serca, i udawać wielbiciela, który spełni każde życzenie ukochanej. Najwyraźniej uznał, że nie będzie mówił słów, których nieszczerłość można zdemaskować.

Kiedy do pokoju weszła matka, prosząc do jadalni na obiad, Wiktoria się ucieszyła, że tortura przebywania z tym człowiekiem sam na sam dobiegła końca. Wieczorem zaś, tak jak radził wikary, napisała list do biskupa z nadzieją, że hierarchę, w przeciwieństwie do księdza proboszcza, cechuje niezłomność charakteru. Poleciała jednej ze służących, aby wiadomość dostarczono jak najszybciej na pocztę w Unieszowach, zaznaczając, że jest to sprawa szczególnej wagi, wymagająca dyskrecji.

Nieustannie myślała, co robić, na wypadek jeśli ten sposób ratunku zawiódł. Pomysł, żeby porozmawiać z dziedzicem Jazłowca, hrabią Orattim, Ludwika skwitowała machnięciem dłoni i krótkim:

– Eee... co on może. Gdyby Eufrozyna jego zrobiła twoim prawnym opiekunem, a nie Ankwicza, to Gorc musiałyby się obejść smakiem, a tak to przepadło. Lepiej udać się do jakiej mądrej baby, żeby mu czego zadała, żeby na wieki wieków odechciało mu się zalotów.

Następny dzień zapowiadał się dość spokojnie, aż do chwili, kiedy pokojówka powiadomiła Wiktorię, że jaśnie pan prosi ją do swojego gabinetu. Dziewczyna z przestachem spytała, czy może przybył z wizytą Gorc, a gdy służąca zaprzeczyła, odetchnęła z ulgą. Mimo to przekraczała próg kancelarii pełna niepokoju.

Ankwicz stał za biurkiem. W jednej dłoni trzymał spodek, w drugiej filiżankę. Ubrany był jak zawsze nienagannie, w brązowy surdut i błękitną kamizelkę. Czarne, zaczesane do tyłu włosy nie nosiły śladu siwizny. Mimo czterdziestu kilku lat wciąż miał w sobie powab młodzieńca, był smukły i prosty jak trzcina.

Gorc jest niewiele starszy – pomyślała Wiktoria – a w porównaniu z nim wygląda jak starzec.

Ankwicz uśmiechnął się do niej, co już było zjawiskiem niezwykłym. Nie tracąc czujności, rozluźniła się nieco i wtedy jej wzrok padł na blat biurka. Leżała tam żółta koperta, w którą zaledwie wczoraj włożyła list do biskupa. O Boże! Jęknęła bezgłośnie, czując, jak oblewa ją zimny pot.

– To doprawdy pożałowania godne, że mimo ukończenia pensji nadal nie jesteś w stanie pojąć prostych rzeczy – zaczął Fryderyk. Mówił łagodnie, bez złości, z pobłażliwym uśmiechem, jakby zwracał się do dziecka, które napsociło, ale na które z racji ograniczenia trudno się gniewać. – Postanowiłem, że zostaniesz żoną generała Gorca, i choćbyś pisała do samego Piusa IX, tak się stanie. Zaczynam jednak tracić cierpliwość. – Odstawił filiżankę, wciągnął głęboko powietrze, po czym wypuścił je z płuc z głośnym świstem. – No dobrze, jestem gotów okazać wspaniałomyślność i po raz ostatni wybaczyć ci ten niecny występki, oczywiście pod warunkiem, że poprosisz o wybaczenie.

Dobry strateg nie rzuca się w walkę, jeśli nie ma szansy na wygraną – pomyślała Wiktoria.

– Proszę o wybaczenie – powiedziała spokojnie, choć tylko ona wiedziała, ile ją to kosztowało.

Nie tego spodziewał się Fryderyk. Rozczarowała go nagłą uległością, zabierając mu całą przyjemność z możliwości poskromienia jej dumy. Wyobrażał sobie, że będzie ją dręczył, aż w końcu złamie upór i zobaczy łzy w hardych oczach, których tak nienawidził. Nie mógł pozwolić, by pozbawiła go rozrywki.

– Czy mogę już odejść? – zapytała i zwróciła się w stronę drzwi. Głowa pulsowała od natłoku myśli, zwłaszcza tej jednej: że kolejna szansa przepadła.

– Nie zapytasz, skąd wiem o liście?

– Nie muszę. Na pewno jest pan bardzo kontent, że służba jest panu oddana.

– O tak, ale ciebie nie zdradziła prosta służąca. – Uśmiechał się z satysfakcją, udając, że strzepuje pyłek z mankietu. – Zrobiła to panna Michalina. Twoja kochana panna Michalina Roland, której tak ufałaś.

No! Wreszcie osiągnął cel. Widział po wyrazie jej twarzy, że ugodził boleśnie.

– Ją też straszył pan zakładem dla obłąkanych?

– I znów ta buta. Wiesz, że tego nie lubię. Panna Michalina nie jest taka, jak myślałaś. Lojalna jest wobec tego, kto ma więcej do zaoferowania. Ot, ile warte są przywiązanie i przyjaźń służby – mówił, upajając się porażką pasierbicy.

A jednak, kiedy Wiktoria, nie czekając na kolejne złościwości, wyszła, a on został sam, ogarnęło go dziwne uczucie, jakiego niekiedy doświadczał, gdy budził się po nocy zakrapianej mocnym trunkiem. Ot, ile warta jest moja lojalność – pomyślał i jednym szybkim ruchem strącił z biurka filiżankę, która roztrzaskała się na podłodze.

To nie może być prawda! – myślała Wiktoria, szukając

guwernantki w całym dworze. Wreszcie pobiegła do jej pokoju, ale tam również powitała ją pustka. Przysiadła na krześle z plecionym oparciem i zaczęła intensywnie wpatrywać się w pobieloną wapnem ścianę, jakby ta nosiła w sobie cząstkę myśli właścicielki i mogła zaświadczyć o lojalności albo o zdradzie. Dziewczyna skupiła uwagę na olejnym portrecie młodego Mickiewicza, który namalowała specjalnie dla panny Michaliny z okazji jej imienin. Pracowała nad nim wiele tygodni, a ramę wybrała w najlepszym zakładzie w Warszawie. Z tyłu widniała dedykacja:

*Pannie Michalinie, ukochanej nauczycielce i drogiej przyjaciółce,  
dzięki której pojęłam znaczenie słów: Ojczyzna, nauka, cnota.*

*Z miłością – W. Słoczyńska.*

– To nie może być prawda – powtórzyła na głos.

– Co nie może być prawdą?

Guwernantka stała w drzwiach w granatowej sukience, której jedyną ozdobą był koronkowy kołnierzyk.

– O co chodzi, panienko? – Panna Michalina podeszła bliżej.

– O list do biskupa – zaczęła z wahaniem, niemal zawstydzona, że musi poruszyć tę sprawę. – O to, że leży teraz na biurku u Ankwicza.

Panna Michalina spuściła wzrok i zacisnęła usta.

– Dlaczego mnie pani wydała? – W głosie Wiktorii nie było złości, tylko bezbrzeżny smutek. – Ankwicz pani groził, prawda?

– Powiedział panience, że to ja...? – Panna Michalina wciąż nie podnosiła wzroku, ściągnęła tylko ramiona i milczała.

– Groził, tak?

– Nie groził.

– Proszę się nie obawiać, przecież wiem, do czego jest zdolny.

– Panienko, nikt mnie do niczego nie zmuszał.

„Lojalna jest wobec tego, kto ma więcej do zaoferowania” – jak echo powróciło do niej wspomnienie słów Ankwicza.

– Gorc... – wyszeptała ze zgrozą Wiktoria, stając naprzeciwko guwernantki. – Co takiego pani zaoferował, że sprzedała mnie pani człowiekowi, którym sama pani gardziła?

– Nie zrobiłam tego dla niego – wyznała cicho, patrząc w podłogę.

– A dla kogo!?

Wtedy panna Michalina podniosła wzrok. Ciemne oczy, nabrzmiałe od łez, wyrażały tak bezdenną rozpacz, że Wiktoria aż się cofnęła.

– Nie! – wyszeptała ogłuszona, próbując jeszcze odegnać tę straszną myśl. – To niemożliwe! On jest mężem mojej matki! Boże, co pani najlepszego zrobiła...!

– Ja tylko... My tylko...

– Dość! Nie chcę tego słuchać! Nie wierzę, że mogła się pani tego dopuścić. Przez te wszystkie lata widziała pani, co to za człowiek, jak się zachowuje, jaki jest i... Właśnie on?

– Sercu nie da się niczego nakazać. Bóg mi świadkiem, że próbowałam – dodała, ocierając dłonią łzy. – Broniałam się przed tym uczuciem, wiedziałam, że to złe, ale...

– Ale zgodziła się pani na mnie donosić? – Wiktoria podniosła głos, z trudem panując nad wzburzeniem. – Kochałam panią jak krewną, jak przyjaciółkę. Ufałam pani!

– Wiktorio, nie chciałam panienki skrzywdzić, przysięgam.

– Ale zrobiła to pani! Zdradziła mnie, moją matkę i zhańbiła samą siebie.

– Panienka tak mówi, bo nie poznała dotąd miłości. – Panna Michalina również podniosła głos. – Kiedy panienka pokocha kiedyś jakiegoś mężczyznę, zrozumie, że wtedy robi się rzeczy, których...

– Przez panią nie będę miała szansy pokochać żadnego

mężczyzny! Pomogła pani oddać mnie Gorcowi. Nie chcę pani więcej widzieć!

Minęła guwernantkę i wyszła z pokoju, ale kiedy tylko znalazła się w swojej sypialni, rozpłakała się w głoś.

Stangret Waclaw jeszcze tego samego wieczoru odwiózł pannę Michalinę na stację pocztową do Opatowa. Fryderyk nie próbował jej zatrzymać, odejście kobiety było mu na rękę. Żeby uciszyć wyrzuty sumienia, przekazał guwernantce przez lokaja niemałą sumkę, lecz nie przyjęła nawet jednej kopiejki. Jej sprawa – pomyślał Ankwicz, ale nie był z siebie dumny i coraz mniej rozumiał człowieka, jakim się stał.



## ROZDZIAŁ 10

Pokojówka postawiła na stoliku przy łóżku filiżankę naparu z rumianku, dygnęła i już miała wychodzić, gdy spytała raz jeszcze, czy panienska na pewno nie zejdzie na obiad.

– Janowa przygotowała pieczone kuropatwy w migdałowym sosie, a na wety same przysmaki – kusiła, podrygując w miejscu.

Wiktorcia, siedząc w fotelu, pokręciła przecząco głową i westchnęła, wyrażając tym samym ubolewanie z powodu niedyspozycji, która pozbawia ją możliwości skosztowania wybornych specjałów.

Od kilku dni robiła, co mogła, żeby uniknąć wspólnych posiłków. Nie wyobrażała sobie, by mogła siedzieć przy jednym stole z Ankwiczem. Twierdziła, że dokucza jej żołądek, ale nawet nie musiała szczególnie udawać. Naprawdę czuła się źle. Cierpiała na bóle głowy, nie miała apetytu, najchętniej całe dni przeleżałaby w łóżku. Nie przestawała myśleć o pannie Michalinie. Lęk o nią mieszał się z rozgoryczeniem i złością. Gdy pierwszy gniew minął, przeraziła się, że dawna nauczycielka nie poradzi sobie z upokorzeniem, jakie ją spotkało. Gdzie będzie mieszkała? Co teraz robi? Ludwika uspokajała, że panna Michalina pojechała do brata, do Kielc i z pewnością nie dopuści się takiego grzechu, żeby targnąć się na własne życie. Stanowczo zabroniła też mówić Eufrozynie o przyczynach wyjazdu guwernantki.

– To w niczym nie pomoże.

– I Ankwicz ma być bezkarny, tak? – oponowała dziewczyna.

– I tak będzie bezkarny, a twoja matka tylko się niepotrzebnie nacierpi.

Wiktorcia upiła łyk naparu, skrzywiła się i wylała zawartość do nocnika. Przez chwilę biła się z myślami, po czym opuściła pokój i

udała się prosto do sypialni panny Michaliny. Przysiadła na łóżku i rozejrzała się wokół. Było cicho, pusto i ciemno. Nauczycielka zostawiła niemal wszystko: książki, kapę na łóżko uszytą przez swą matkę, koronkowe serwetki, które sama zrobiła, szylkretowy grzebień do włosów. Zabrała jedynie francuską książeczkę do nabożeństwa, która zazwyczaj trzymała na drewnianym klęczniku, suknie i portret Mickiewicza. Zupełnie jakby chciała jej powiedzieć: „Byłaś dla mnie ważna”. I nagle do Wiktorii dotarło, kogo straciła. Zamknęła oczy, żeby zapanować nad łzami, ale obrazy w jej głowie przesuwały się jeden po drugim. To panna Michalina pierwsza odkryła jej talent malarski, to dzięki niej mówiła po francusku jak rodowita paryżanka, to ona podsunęła jej do czytania *Pana Tadeusza*, *Dziady* i *Don Kichota*, to z nią dyskutowała o sztuce i sytuacji politycznej w kraju, to ona ją pocieszała, wysłuchiwała, doradzała. Od kiedy Wiktoria sięgnęła pamięcią, guwernantka była przy niej, cierpliwa, dyskretna, wspierająca. Panna Michalina, która wiedzą przewyższała niejednego uczonego, panna Michalina, której dystynkcji i manier mogłyby pozazdrościć bywałe w świecie wielkie damy, panna Michalina, krystalicznie prawa, usłużna, nieżądająca niczego dla siebie.

Jak bardzo musiała pokochać Ankwicza, żeby pogwałcić święte zasady, którym hołdowała... Jak bardzo musiała mu zawierzyć, żeby zdradzić tych, którzy darzyli ją zaufaniem i miłością, i jak bardzo musiała cierpieć, gdy odkryła, że dla Fryderyka była tylko chwilowym kaprysem, nic niewartą przygodą, byle dziewczynką, którą można wykorzystać i bez żalu rzucić!

Wiktoria wstała z łóżka, odsunęła ciemnozielone kotary i popatrzyła na park, a właściwie na to, co z niego zostało. Panna Michalina twierdziła, że latem nowo wytyczone ścieżki obsadzone krzewami i liczne zakątki z ławeczkami na miejscu wyciętych drzew wyglądają naprawdę malowniczo, ale ona jakoś nie potrafiła tego

dostrzec, zwłaszcza zimą, i dlatego każde spojrzenie za okno sprawiało jej ból.

Przeklęty Ankwicz! – pomyślała. Łajdak, który wszystko niszczy, zamienia w błoto to, co dobre. Mogę odwracać wzrok, udawać, że nie widzę, ale będzie tylko trudniej. Nie dam mu rady, nie pokonam go, nie wygram. I albo się z tym pogodzę, albo nie przestanie mnie krzywdzić.

Wróciła do swojego pokoju, a wieczorem zeszła na kolację. Historia z panną Michaliną pozbawiła ją złudzeń co do przyszłości i mocy, by walczyć o szczęście. Zdała sobie sprawę, że nie uniknie małżeństwa z Gorcem, że musi się przygotować na dzielenie losu z człowiekiem, którego nienawidziła i który wyzwał w niej najgorsze instynkty. Nawet jeśli przez chwilę pojawiała się myśl, że jeszcze nie wszystko stracone, że może uciec, schować się, to zaraz racjonalny głos podpowiadał, że ktoś, kto na co dzień z powodzeniem zajmuje się ściganiem ludzi, odnajdzie ją w mgnieniu oka i przykładowo ukarze, a i Ankwicz swoje dołoży. Nie, nie miała już na to sił.

Wieczorem przyszła do niej matka. Najpierw wyraziła zadowolenie, że córka zjadła kolację i że lepiej się czuje, a potem niespodziewanie zaproponowała krótki spacer po parku. Wiktoria uprzejmie odmówiła. Jest zimno, ciemno, a ona jest już bardzo zmęczona. Eufrozyna nie nalegała. Jej oczy zdawały się mówić, że przywykła już do dziwnych humorów córki i choć ich nie rozumie, ma dla nich pobłażanie.

Kilka dni później Piotr Gorc wpadł do Łubinowa z krótką wizytą, obwieszczając, że obowiązki wzywają go do Warszawy, ale przed wyjazdem chciałby ugościć na obiedzie drogich przyjaciół.

Wiktorii było wszystko jedno. Nie poczuła ulgi, że nie zobaczy go przez najbliższe miesiące, ani irytacji, że Ankwicz w jej imieniu

przyjął zaproszenie. Nie próbowała szukać wymówki, udawać chorej, narzekać na ból głowy. Włożyła elegancką, popielatą suknię, poleciła, by pokojówka upięła jej plecione od skroni warkocze w kunsztowny węzeł, i w wyznaczonym czasie zeszła do powozu, przemilczawszy uwagę ojczyrna, że wreszcie zmańdrzała. Uśmiechnęła się nawet lekko. Chce ją wydać za Gorca? Proszę bardzo. Gdy tylko ona, Wiktorja, założy ślubną obrączkę, pogoni Ankwicza precz z Łubinowa.

Ani trochę nie była ciekawa Wilczych Dołów, choć jako dziewczynka bardzo chciała zobaczyć, co skrywa wysoki, porośnięty bluszczem mur. A jednak kiedy powóz wjechał za bramę, otworzyła szerzej oczy ze zdumienia. Stuletnia siedziba po przebudowie stała się dwupiętrowym pałacem z portykiem wspartym na ośmiu kolumnach. Wnętrze prezentowało się nie mniej okazale. Kunsztowne zdobienia, liczne sztukaterie, dywany sprowadzane z Persji, dzieła wybitnych mistrzów malarstwa – wszystko to wprawiało w oszołomienie. Wiktorja zdawała sobie sprawę z zamożności Gorca, ale nie spodziewała się aż takiego bogactwa i niemal ostentacyjnej wystawności. Łubinów przy Wilczych Dworach mógł być co najwyżej domkiem rządcy. Spoglądając na pozłacane bibeloty, zastanawiała się, ilu ludzi musiało pójść na Sybir, żeby Gorca stać było na te zbytki.

Na obiedzie pojawił się również Marcin Zacharewicz. Teraz, kiedy Wiktorja nie widziała już w nim narzuconego siłą konkurenta, zaczęła dostrzegać to, co wcześniej ignorowała. Ludwika miała rację, twierdząc, że młody Zacharewicz nie jest podobny do swego wuja. I nie chodziło tylko o powierzchowność. Tamten za uśmiechami i manierami skrywał oblicze śliskiego węża, Marcin zaś był prostolinijny i szczery, raczej poważny, bez skłonności do dowcipkowania. Z jakiegoś powodu, kiedy obserwowała go ostrożnie

podczas posiłku, przyszło jej do głowy, że nie jest szczęśliwym człowiekiem. A może taką już miał melancholijną naturę? Siedział po drugiej stronie stołu i od czasu do czasu, gdy ich spojrzenia się spotkały, zdawało jej się, że widzi w jego oczach współczucie, jakby tylko on jeden w tym towarzystwie rozumiał, czym jest dla niej małżeństwo z jego wujem.

Wszystko wskazywało na to, że pobyt w Wilczych Dołach, choć męczący, minie dość spokojnie, do czasu aż Gorc oświadczył, że ma dla narzeczonej niespodziankę. Ją jedną, bez asysty Eufrozyny i Fryderyka, zaprowadził do zachodniego skrzydła. Otworzył białe, zdobione złoceniami drzwi i wprowadził dziewczynę do pokoju, który swym przepychem mógł śmiało konkurować z wnętrzami pałacu w Peterhofie. Czego tam nie było! I mahoniowe biureczko zdobione markieterią, i stolik do robótek ręcznych inkrustowany kością słoniową, i szafki biblioteczne z okuciami z pozłacanego mosiądzu, i lustra w solidnych ramach dekorowane liśćmi akantu, a także egzotyczne kwiaty ustawione na hebanowych żardinierach i rosyjska leżanka, której zagłówek wieńczyła para rzeźbionych gołąbków na łuku Kupidyna.

– Wiktorio, to buduar przygotowany specjalnie dla mojej przyszłej żony. Dla pani.

Nie była w stanie zmusić się do choćby uprzejmego skinięcia głową. Wnętrze rzeczywiście zrobiło na niej wrażenie, ale przebywanie z Gorcem sam na sam w zamkniętej przestrzeni było męczarnią. Gdyby choć w pobliżu kręciła się jakaś pokojówka! Nawet towarzystwo Ankwicza przyjęłaby teraz z wdzięcznością.

– Piękny – rzuciła zdawkowo, patrząc na inkrustowany masą perłową blat stołu, osadzony na trzonie w kształcie winnej latorośli. Ten przepych zdawał się jej nadmierny, przytłaczający, prawie wulgarny.

Gorc tymczasem otworzył kolejne drzwi.

– To jeszcze nie koniec. Zapraszam. – Ruchem ręki wskazał przejście z buduaru do pokoju, w którym wzrok przyciągało wielkie łoże z kręconymi kolumnienkami i nogami w kształcie gryfów. – Nie uznaję tego przestarzałego zwyczaju oddzielnych sypialni – powiedział Gorc, chrząkając głośno. – To będzie nasze miejsce. – Popatrzył na nią znacząco, gładząc się po wąsach. – Pani i moje.

Uciekła wzrokiem, nie tyle skonfundowana, co oburzona ordynarnymi aluzjami. Żołądkiem szarpnęły mdłości. Niedoczekanie twoje, ty... – pomyślała, na próżno szukając słowa, które dostatecznie mocno wyraziłoby odrazę, jaką darzyła Gorca. Stanęła jak najdalej od niego, udając, że ogląda elementy dekoracyjne szafy, gdy nagle poczuła odór mocnych perfum i dwie dłonie na swojej talii. Odwróciła się i gwałtownie cofnęła, przejęta wstrętem.

– Powinniśmy już wracać. – Głos pod wpływem strachu przypominał pisk myszy. Pot spływał jej po plecach. Była jak sparaliżowana.

Gorc patrzył na nią w sposób, który nie pozostawiał złudzeń co do jego intencji. Jestem muchą w sieci – przemknęło jej przez głowę. Tylko muchą w sieci. Pająk już się zbliża.

– Będą się niecierpliwić... Już długo... – Język kleił się do podniebienia. Nie mogła złapać tchu. Odruchowo poszukała wzrokiem drzwi. – Już długo nas nie ma.

– Bardzo chciałem zrobić pani, Wiktorio, przyjemność. Te pokoje były tworzone z myślą o mojej narzeczonej. – Podchodził coraz bliżej, gładząc wąsy. – A co pani robi, żeby sprawić przyjemność mnie?

Próbował ją objąć i pocałować, ale Wiktoria w ostatniej chwili odzyskała przytomność umysłu, wywinęła się i podbiegła do drzwi. Żółć podchodziła jej do gardła.

– Proszę mnie nie dotykać! – Oddychała szybko, skóra na niej

cierpła. – To jest... to jest niestosowne. Nie powinnam tu być bez przyzwoitki i...

Pchnęła drzwi i wybiegła na korytarz. Brakowało jej powietrza, nogi zdawały się ciężkie jak z ołowiu. Dobre maniery były tym, czym akurat teraz najmniej się przejmowała. Gorc pospieszył za nią, ale nie próbował jej zatrzymać. Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu i dopiero gdy zbliżali się do reprezentacyjnego salonu, postanowił przypomnieć reguły, którym panna z Łubinowa miała obowiązek się podporządkować.

– Niech pani zapamięta, Wiktorio – oświadczył cicho, ale wyraźnie, z typowym dla siebie opanowaniem i słodyczą w głosie – to ja decyduję, co jest stosowne, a co nie. To ja decyduję o wszystkim.

## ROZDZIAŁ 11

Gnała przed siebie, jakby gonił ją sam diabeł. Koń parskął, zwieszał głowę i posapywał ze zmęczenia, lecz Wiktoria nie miała dla niego litości. Znanymi sobie ścieżkami jechała coraz głębiej w las i dopiero gdy miała pewność, że nikt jej nie usłyszy, zeskoczyła z siodła. Pośliznęła się, upadła na kolana w śnieg i nagle zaczęła uderzać pięściami w zamarznąłą ziemię, krzyząc przy tym najgłośniej, jak umiała. Koń cofnął się przestraszony, to znów zbliżył, zdezorientowany zachowaniem amazonki.

– Wyjedź na pensję, wróć, wyjdź za mąż, oddychaj, nie oddychaj, to ja o wszystkim decyduję, twój los zależy ode mnie! – krzyczała w amoku.

Raz po raz biła pięściami w zamarznąłą glebę i biały puch, aż wreszcie opadła z sił. Jeszcze przez chwilę siedziała na ziemi, chwytając łapczywie oddech. Miała wrażenie, że mroźne powietrze kaleczy jej płuca, a ręce, choć osłonięte ciepłymi rękawiczkami, skostniały z zimna. Mimo to poczuła się jak żołnierz, który po chwilowym zwątpieniu widzi sens dalszej walki. Incydent w Wilczych Dołach wyrwał ją z apatii, w której tkwiła od odejścia panny Michaliny.

Do czorta, nie mogę się poddać! Co by na to powiedział mój ojciec?! Nie wyjdę za Gorca! Nikt mnie do tego nie zmusi. O swoim życiu tylko ja będę decydowała, nikt inny.

Wróciła do domu po zmroku, pokrzepiona i z nowymi siłami, choć jeszcze bez planu, który dopiero nieśmiało zaczął kiełkować. Nie spała całą noc, zastanawiając się, co zrobić. Jedyne, co jej pozostało, to ucieczka – ale dokąd i za co? Pomyślała o Klementynie, jednak oczywiste było, że Gorc w pierwszej kolejności będzie jej szukał właśnie u najlepszej przyjaciółki, a potem u innych koleżanek z



pensji. Sprawdzi wszystkich sąsiadów, dalekich krewnych i niewykluczone, że całą rodzinę Czyżewskich. Potrzebowała także pieniędzy, a sama była posiadaczką jedynie kilku biżuteryjnych drobiazgów i szczytki oprawionej w srebro. Nie mogła w swe plany wciągnąć Ludwiki. Bała się, że Fryderyk spełni groźby, więc piastunka musiała być poza wszelkimi podejrzeniami. Pozostawała tylko Florentyna. Ostatnia szansa, ostatnia nadzieja. A potem? Jeśli się nie uda... Jedno wiedziała: nie wyjdzie za Gorca, nie pozwoli, by ją tknął, by splugawił swoim ciałem i nazwiskiem. Czy myślałaby o nim bez wstrętu, gdyby tak jak w dawnych fantazjach okazał się bohaterem narodowym, niesłusznie podejrzanym o najgorsze? Pamiętała opowieść panny Michaliny o poecie Tomaszu Zanie, który mimo pięćdziesiątki na karku, wyraźnej łysiny i lichego majątku rozkochał w sobie szesnastoletnią Brygidę Świętorzecką. A wszystko dlatego, że był udręczonym zesłańcem. Podobno gdy panna zobaczyła go po raz pierwszy w domu swego ojca, padła na kolana i ucałowała dłoń, z miejsca oddała mu serce. Mimo dużej różnicy wieku od siedmiu lat byli szczęśliwym małżeństwem i doczekali się dwóch synów<sup>[17]</sup>.

Czy gdyby Piotr Gorc był męczennikiem za słuszną sprawę, zdołałaby wykrzesać z siebie cieplejsze uczucia? O tak, z pewnością, ale nie na tyle, by zostać jego żoną. Musiała przyznać sama przed sobą, że Gorc odrzucał ją jako człowieka, ale przede wszystkim jako mężczyznę – i nie zmieniłyby tego żadne heroiczne czyny.

Kiedy nastał ranek, zaczepiła Florentynę na schodach, informując, że musi z nią pilnie porozmawiać. Służąca obejrzała się za siebie, wsparła ręce na biodrach i półgłosem rzekła, że najlepiej będzie, gdy po wieczery spotkają się w leśniczówce. Tam nikt im nie będzie przeszkadzał. Odkąd Karusia, najmłodsza córka, wyszła za mąż, ona i Maciej zostali sami, liczne potomstwo z przychówkiem odwiedzało

ich tylko przy niedzieli.

Dzień dłużył się niemiłosiernie, aż wreszcie, kiedy księżyc świecił już wysoko na niebie, Wiktoria poszła zaśnieżoną ścieżką w kierunku lasu, gdzie na jego skraju przed dwudziestoma pięcioma laty, dzięki hojności starej hrabiny Słoczyńskiej, Maciej postawił dom.

Choć z daleka przypominał inne chaty we wsi, bo czteropołaciowy dach kryty był słomą, a cała konstrukcja opierała się nie na podmurówce, tylko na dużych polnych kamieniach, to z bliska prezentował się niezwykle okazale. Ściany wzniesione z uszczelnionych gliną i mchem ciosanych belek jodłowych przetrzymały niejedną letnią burzę i niejedną zimową zawieruchę, która w tych stronach potrafiła być wyjątkowo dokuczliwa. W żadnym pomieszczeniu, czy to w dwóch izbach, komorze, czy sieni, na próżno szukać by charakterystycznej dla wiejskich domostw polepy<sup>[18]</sup>, którą tu zastąpiły prawdziwe podłogi z sosnowych desek. Po prawej stronie za domem widoczne były nieduży spichlerz i stajnia, obok zaś chlewik, bo Florentyna mimo pracy we dworze nie chciała zrezygnować z kur i gęsi.

Wiktoria zdjęła okrycie i usiadła przy piecu, z rozczuleniem patrząc na obrazek Świętej Teresy, który pamiętała z czasów, gdy jako dziewczynka przychodziła bawić się z Karusią. W izbie było ciepło i czysto, ogień buzował na palenisku i cicho syczała gotująca się w kociołku woda, którą Florentyna przygotowywała na mycie. Służąca dołożyła do pieca drew, postawiła na zydłu przy Wiktorii kubek ciepłego mleka i wręczyła jej kromkę chleba z konfiturą z wiśni.

– Niech no panienska skosztuje – zachęcała, siadając naprzeciwko. Wytarła ręce w fartuch, odgarnęła włosy z twarzy i chrząknęła znacząco. – Dobrze, że panienska przyszła. Ja już dawno chciałam coś powiedzieć, ale... Przecie widzę, że panienska smutna chodzi, że płacze. O tego generała chodzi, co? O ślub?

Wiktoria ugryzła kromkę i przepiła mlekiem. Do końca biła się z myślami, czy wyznać prawdę.

– O niego. Pamiętajcie, że cokolwiek powiem, musi pozostać między nami, bo jeśli mnie zdradzicie, Ankwicz mi nie daruje i...

Florentyna dotknęła pospiesznie jej dłoni.

– Pierwej skonam, niż zdradzę.

Wiktoria opowiedziała o groźbach ojczyzna, o Gorcu, o tym, jak na próżno szukała pomocy, o nieudanej próbie kontaktu z biskupem, przemilczała jednak, jaką rolę odegrała w tym panna Michalina.

Służąca słuchała w milczeniu, od czasu do czasu kręciła głową, wyrażając tym dezaprobatę lub oburzenie dla poczynań Ankwicza, aż wreszcie rzekła:

– Wiktuniu, ja mam cztery córki. I każda poszła, za kogo chciała. Podobał mi się, nie podobał, ech. Mówiłam, że im ma się podobać, nie mnie. Ważne, żeby szczęśliwe były i potem do mnie pretensji nie miały, że im wzbraniałam. A przecie panienka też jakby moja. I powiem, że oddać was temu staremu dziadowi to byłby wielki grzech. I dlatego pomogę we wszystkim.

– W ucieczce też? – Wiktoria popatrzyła jej w oczy poważnie, z napięciem.

Florentyna uderzyła dłońmi o kolana.

– Jak nie można inaczej, to cóż, trzeba gdzieś panienkę ukryć i przeczekać. Ja nawet miałabym pomysł... Napisała do mnie daleka kuzynka z Wilna. Mieszka sama, bo owdowiała przed laty, a syn w Petersburgu. To kryształowa osoba. Jej brat był w powstaniu, a mąż uczył na uniwersytecie. Miałaby panienka u niej dobrze. Maciej zaraz do niej napisze, bo ja z pisaniem to nie bardzo...

– Tylko jak tam dotrzeć, żeby mnie od razu nie złapali?

– Panienko, już my to z Maciejem obmyślimy.

– Wstyd mi, ale zmuszona jestem prosić was o pożyczkę –

wyznała, zaciskając mocno dłonie na kubku z mlekiem. – Mam kilka kosztownych drobiazgów, które można sprzedać...

– Panienko, proszę się tym nie kłopotać.

Wiktoria zwróciła ku niej oczy i po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnęła się szczerze.

– Dziękuję. Wynagrodzę wam wszystko i przepraszam, że was w to wciągam. Gdyby Ankwicz się dowiedział...

– Nie dowie się. – Florentyna machnęła ręką z lekceważeniem, dźwigając się krzesła. Podeszła do pieca i dołożyła drewno.

– Gorc będzie mnie szukał. To oficer śledczy, ma na usługach tajną policję, donosicieli...

– Oficer – przytaknęła mamka, wycierając dłonie w fartuch. – I dlatego nie zechce zrobić z siebie pośmiewiska. Będzie szukał, wiadomo, ale bez rozgłosu. Choć nie było jeszcze oficjalnych zaręczyn, już wszyscy wiedzą, że jesteście po słowie. Miałyby przyznać, że mu narzeczona uciekła? Co to to nie. Nieobecność paniienki wyjaśnią pewnie problemami ze zdrowiem i koniecznością wyjazdu do wód. Nikt by się temu nie dziwił, tym bardziej że jaśnie pani kiedyś chorowała na płuca i leczyła się we Włoszech.

– Mama chorowała? Kiedy?

– Oj, dawno temu, jeszcze przed paniienki urodzeniem. Bóg dał, że wyszła z tego. – Florentyna znów przysiadła na krzesło przy Wiktorii. Przetarła twarz ręką i dodała ze skrępowaniem: – Panienko, a może by tak porozmawiać z jaśnie panią? To przecie matka i...

– Nie! – zaprotestowała stanowczo dziewczyna. – Równie dobrze mogłabym prosić o pomoc Ankwicza. Obiecała Florentyna, że nic nie powie!

– Nie powiem, nie powiem. – Poklepała ją po dłoni. – No, głowa do góry, Wiktuniu. My tu się wszystkim zajmujemy. Nie oddamy paniienki temu judaszowi.

## ROZDZIAŁ 12

Wiktoria odżyła. W miejsce beznadziei wstąpiły otucha i wiara, że wszystko się uda. Lutowe dni były jeszcze mroźniejsze niż styczniowe, ale śnieg już nie padał, jedynie lekko prószył, jakby pudrował mąką lasy i wsie. Nawet pogoda mi sprzyja – myślała, spoglądając przez okna na przejezdne drogi. Miała tylko nadzieję, że wkrótce nie zaczną się roztopy, bo rozpulchniona wodą i słońcem ziemia zasysałaby koła powozu, uniemożliwiając podróż.

Dokończyła portret Klementyny i razem z krótkim listem wysłała go przyjaciółce, nawet jednym słowem nie wspominając o swojej sytuacji. Tak trzeba – uznała.

Któregoś wieczoru przyszła do niej matka. Było już późno i Wiktoria, przebrana w koszulę nocną, siedziała przy toaletce i rozczesywała włosy.

– Niedługo twoje życie się zmieni – zaczęła Eufrozyna uroczyście.  
– Chciałabym, żeby to należało do ciebie – dodała, wręczając jej nieduże, obite bordowym aksamitem pudełko oraz płócienną sakiewkę.

Wiktoria uśmiechnęła się z przymusem, zaskoczona i nieco skrępowana. Najpierw odwiązała sznurek i wyjęła z sakiewki skromny, owalny wisior ze srebra na łańcuszku z ledwie widocznym grawerunkiem Baranka Bożego.

– Nie jest wiele wart – wyjaśniła Eufrozyna. – Ale w naszej rodzinie od pokoleń przekazywany jest z matki na córkę.

– W takim razie to bezcenna pamiątka. – Wiktoria odłożyła wisior na toaletkę. – Dziękuję, mamó.

Następnie skupiła uwagę na pudełku. Delikatnie odblokowała haczyk, uniosła wieko i wstrzymała oddech. W środku leżał szafirowy naszyjnik. Każdy kamień ozdobiony był rozetą z pereł i

połączony z kolejnym ażurowymi elementami ze złota. W skład zestawu wchodziły jeszcze bransoletka i kolczyki.

– Jest przepiękny. To naprawdę dla mnie?

– Oczywiście. Będziesz miała wiele okazji, żeby to włożyć. Z pewnością się przyda.

O tak, droga mammo, nawet nie wiesz, jak bardzo – pomyślała ze złośliwą satysfakcją, rachując w głowie, ile mogłaby dostać za tak cenne klejnoty.

– Czy to też rodzinna pamiątka? – spytała niewinnie.

– Prezent od twojego ojca. – Eufrozyna odwróciła wzrok, w jej głosie słyhać było napięcie, jakby wyznanie przychodziło jej z trudem. – Dostałam to, gdy okazało się, że ja... że masz przyjść na świat.

W pokoju zaległa ołowiana cisza. Wiktoria miała wrażenie, że cudem jakimś czas się cofnął, ponownie znalazła się za lasem, nad strumieniem, gdzie wraz z ojcem odpoczywała po konnej przejażdżce. W pamięci odżyły wszystkie słowa, te wypowiedziane i niewypowiedziane, powróciły dręcząca niepewność, lęk i świadomość wyjątkowości chwili oraz szansy, którą trzeba wykorzystać natychmiast.

– Czy byłaś wtedy szczęśliwa, mammo? – wyrzuciła z siebie.

Eufrozyna, zmierzając w stronę drzwi, zatrzymała się i odwróciła ku niej.

– Nie rozumiem...

Nie wycofuj się tchórze, pytaj!

– Gdy dowiedziałaś się o mnie. Czy byłaś szczęśliwa, mammo?

– Oczywiście – odparła swoim zwykłym, grzecznościowym tonem Eufrozyna.

Wiktoria spuściła głowę. Czego się spodziewała? Że matka wyzna: „Nie, nie byłam szczęśliwa, bo nie kochałam twojego ojca? Bo on nie

kochał mnie? Bo nie chciałam mieć dziecka, ale nie pozostawiono mi wyboru?”.

– Najszczęśliwsza – dodała niespodziewanie Eufrozyna, po czym jakby w obawie przed kolejnymi pytaniami, natychmiast opuściła pokój.

Minęła druga połowa lutego, a Wiktoria wciąż nie miała wieści od Florentyny. Zaczęła się już poważnie niepokoić. Robiło się coraz cieplej. Mróz z dnia na dzień słabł, podobnie jak jej duch walki. Coraz częściej dopadały ją wątpliwości. Czy za tę brawurę nie zapłacą ludzie, których kocha? Czy kiedykolwiek będzie mogła powrócić do Łubinowa? A jednak, gdy wreszcie Florentyna zaprosiła ją do siebie, by przekazać wszystkie ustalenia, nie poczuła strachu, tylko błogosławioną ulgę.

– W sobotę w południe państwo Fryderykowie jadą z wizytą do Popielów, do Kurozwek – mówiła służąca, siadając obok Wiktorii na ławie przy piecu. – Żadna uroczystość, post przecie. Jakies interesa ma jaśnie pan i wrócą dopiero w poniedziałek. Wiem, że panienki nie wezmą ze sobą. Po zmroku przyjdzie panienka do nas. Tylko ostrożnie, żeby stróż panienki nie widział, bo on trzyma z jaśnie panem. Proszę nie palić lampy.

– Mogę zabrać jakieś rzeczy?

– Wszystko, co trzeba, ja spakuję. Wcześniej dam panience ubranie na podróż. Pójdzie panienka z Maciejem przez las do bocznej drogi. Tam będzie czekał nasz człowiek z powozem, Żyd Abram. On zawiezie panienkę do samej Warszawy, a stamtąd dyliżansem ruszy panienka do Wilna.

– Dyliżansem? – Wiktoria zmarszczyła czoło. – A bilet? A dokumenty?

– Abram wszystko przygotował. Wolę nie wiedzieć, ilu ludzi

musiał przekupić. Już jest panienka wpisana do rejestru podróżnych. Będzie panienka jechała w przebraniu, jako prosta dziewczyna. Tak będzie bezpieczniej.

– A ten Abram? Można mu ufać?

– On wiele zawdzięcza jasnie panu Słoczyńskiemu. Nie zdradzi. Mam jeszcze coś. – Florentyna dźwignęła się z ławy i podeszła do kufra, w którym dawniej przechowywała wiano. Otworzyła wieko i wyjęła zawiniątko z sakiewką w środku. – To dla panienki.

Wiktoria z niedowierzaniem patrzyła na okazały zbiór monet.

– Boże mój, tyle pieniędzy. Nie, to za dużo. – Chciała oddać sakiewkę, ale Florentyna schowała ręce za siebie.

– Musi mieć panienka zabezpieczenie. Nie wiadomo, kiedy panienka będzie mogła wrócić.

– Ale macie dzieci, one potrzebują pomocy.

– Dzieci są dorosłe i chwała Bogu, jakoś sobie radzą.

– Ale to wszystkie wasze oszczędności! – Nagle Wiktoria wpadła na pomysł. – Florentyno, dostałam biżuterię od matki. Dam wam, w razie czego sprzedacie i...

– Co też panienka! Jakby zrobili nam rewizję i znaleźli takie kosztowności, to dopiero byśmy się mieli! Biżuterię niech panienka koniecznie bierze ze sobą, tylko w dylizansie proszę pilnować rzeczy. W Wilnie weźmie panienka dorożkę i pojedzie do mojej kuzynki, Doroty Łankiewicz. Ona już wie o wszystkim i czeka na panienkę. No... – dodała z pokrzepiającym uśmiechem – uradziłyśmy jakoś.

Mam jeszcze tylko cztery dni – pomyślała Wiktoria, wracając do dworu.

Z piątku na sobotę długo przewracała się z boku na bok, a choć wreszcie udało jej się usnąć, przebudziła się o trzeciej nad ranem i aż do świtu nie zmrużyła oka, targana niepokojem, pełna czarnych wizji. Za dnia nawet najgorszym lękom można stawić czoła, ale w nocy



kąsały niczym wściekłe psy spuszczone z łańcucha. Była zdeterminowana, by zrobić to, co postanowiła, ale skóra cierpła jej ze strachu na myśl, że ucieczka się nie uda, że Gorc ją znajdzie i zmusi do małżeństwa albo w porozumieniu z Ankwiczem umieści w zakładzie dla obłąkanych. A jeśli wyciągną z niej, kto pomagał? Czy starczy jej sił i hartu ducha, by nie zdradzić Florentyny?

Każda kolejna minuta zdawała się wiecznością, wypełnioną koszmarnym strachem. Dopiero kiedy nad ranem przysłała do sypialni służąca, żeby rozpaść w piecu, Wiktoria pogoniła lęki precz. Tak jak zapewniała Florentyna, matka i ojczym wyjechali w południe, a ona czas, który jeszcze jej pozostał, wykorzystała na pożegnanie z Łubinowem. Pojechała konno do lasu, a potem do wsi. Na koniec udała się jeszcze do Unieszowów na cmentarz, by zmówić modlitwę przy grobie ojca. Wracając, zatrzymała się w kasztanowej alei i długo patrzyła na dwór. Przez jedną straszną chwilę dopadły ją wątpliwość i pokusa, aby zostać. Jako żona Gorca mogłaby nawet codziennie odwiedzać Łubinów, nie mówiąc już o tym, że to ona stałaby się prawną właścicielką majątku i wszystkie, nawet najdrobniejsze decyzje Ankwicz musiałby z nią konsultować. Żona Gorca... Przypomniała sobie jego spocone czoło, obwisłe wargi, sposób, w jaki na nią patrzył w Wilczych Dołach – i w tej sekundzie chwila słabości minęła.

Wróciwszy do dworu, obeszła jeszcze pokoje, a potem długo siedziała u Ludwiki, prosząc, by jeszcze raz opowiedziała jej historię dzielnej Wirydiany. Łapczywie chłonęła głos ukochanej piastunki, ciepło drogich oczu, chcąc tym dobrem i stałością otoczyć się niczym zbroją, która miała ją chronić przez niepewnym jutrem.

Po zmroku wróciła do swojej sypialni, uprzedzając wcześniej Ludwikę, by nikt jej nie przeszkadzał, bo poprzedniej nocy źle spała i chciałyby się położyć. W starym kufrze czekał na nią ciepły, prosty

strój – kostium, który musiała przywdziać, by ratować się przed życiem z Gorcem.

# CZEŚĆ III

## *Uciekinierka*

### ROZDZIAŁ 13

Lekcje religii na pensji sióstr Skarżanek prowadził młody i ambitny ksiądz, który rzadko objaśniał trudne stronicie Biblii, nie dopuszczał do dyskusji na tematy teologiczne, za to ku utrapieniu uczennic był znawcą modłów wszelkich, że i sam biskup poczułby się przy nim ignorantem. Surowo egzekwował nowenny, litanie, pieśni nabożne, pacierze. Na pewno byłby wzruszony, gdyby wiedział, jak wiele z nich zapamiętała jego dawna uczennica.

Wiktorja przez całe życie nie wymodliła się tyle, ile podczas podróży. Kiedy dyliżans minął roгатki Wilna, znów powtórzyła:

– „Przybądź nam, miłościwa Pani, ku pomocy, a wyrwij nas z potężnych nieprzyjaciół mocy”.

Chryste, udało się! – miała ochotę krzyknąć i po raz pierwszy od wielu dni zaczerpnęła głęboko powietrza, choć przeżarte było odorem niemytych ciał, tytoniu i cebuli. Wolała nie myśleć o tym, co się teraz działo w Łubinowie, jak zareagował Ankwicz, gdy się zorientował, że uciekła, i czy Gorc już rozpoczął poszukiwania. Dopóki podróżowała z Abramem, czuła się bezpiecznie, ale potem była już zdana tylko na siebie. Po raz pierwszy w życiu.

W Warszawie, czekając w urzędzie Poczty Saskiej na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Trębackiej, gdzie uprzednio nadała bagaż, wciąż trzymała spuszczoną głowę, mimo że futrzana czapka chroniła jej twarz przed wzrokiem innych. Przyciskała dłoń do piersi, czując na skórze przyjemny dotyk medalionu od matki. Za każdym razem gdy otwierały się drzwi, podskakiwała niespokojnie i jeszcze

mocniej przywierała do ściany, jakby chciała zniknąć. Zastanawiała się, czy Gorc w ciężarnej kobiecie okutej w kozuch rozpoznałby panienkę z Łubinowa. To Florentyna wpadła na pomysł, by wokół pasa zawiązać koc, a na brzuchu umieścić poduszkę. Dzięki temu podczas długiej drogi Wiktorii było cieplej, a nocując w zajazdach, miała się czym przykryć. Dodatkowo uchodziła za mężatkę przy nadziei, która wraca do rodziny. W gorsecie ukryła klejnoty od matki, w maleńkim zaś woreczku, którego nie wypuszczała z rąk, trzymała sakiewkę z pieniędzmi i dokumenty na nazwisko Katarzyna Plucha. Starowała się nie zwracać na siebie uwagi innych pasażerów, a gdy ktoś próbował ją zagadywać, dotykała znacząco brzucha i zamykała oczy, dając do zrozumienia, że przyszła matka ma prawo być zmęczona. Jako panna Słoczyńska podróżowałyby w towarzystwie bliskich ekstrapocztą albo kareta, sypiała w zaprzyjaźnionych dworach, gdzie czekałaby wanna z gorącą wodą, wygodne łóżko z białą pościelą i trzydaniowa kolacja. Jako Kaśka Plucha musiała dzielić niewielką przestrzeń dyliżansu z trzynaściorgiem obcych ludzi, znosić to, że bezzębny sąsiad po prawej stronie wciąż mlaska i chrząka, jakby mu w gardle utkwił kawał cebuli, którą ciągle żuł, a sąsiadka po lewej nieustannie wbija łokieć w jej żebra. Kiedy powóz zatrzymywał się na stacjach pocztowych, gdzie czekał zaprzęg na wymianę, jadła specjały zapakowane przez Florentynę. Po kilku dniach musiała jednak zaopatrzyć się w to, co oferowały spiżarnie oberż, których czystość budziła spore wątpliwości. Wszystko wskazywało też na to, że już po pierwszym noclegu w karczmie zabrała ze sobą nieproszonych lokatorów, którzy zrobili sobie przytulisko w jej gęstych włosach.

Mimo to zносиła wszystkie niewygodny ze stoickim spokojem, drapała się po głowie i jednocześnie szeptała modlitwy do Świętego Krzysztofa. Jadła zupę kapuścianą i dziękowała Bogu, że z każdą

wiorstą oddala się od Warszawy. Bała się, że jeśli poskarży się choćby w myślach, zostanie zdemaskowana i carscy żołdacy odwiozą ją prosto do Gorca. Chwile grozy przeżyła dwukrotnie. Raz, gdy w połowie drogi żandarmi zatrzymali dyliżans i wyciągnęli ze środka jednego z podróżnych, niepozornego mężczyznę w średnim wieku. Nie słuchając tłumaczeń, pobili go dotkliwie i zabrali ze sobą. Drugi raz, kiedy strażnicy celni sprawdzali dokumenty. Mimo że kilka lat wcześniej została zniesiona granica między Królestwem Polskim a Rosją, Polacy nadal podlegali weryfikacji. Wiktoria gorąco wierzyła, że Abram przygotował wszystko, jak należy, ale nie potrafiła zapanować nad drżącymi kolanami. Gdy wyszła z powozu, poczuła, że koc, który zawiązała na biodrach, zaczyna spadać. Mocno ścisnęła poły kożucha, udając, że jest jej zimno, tymczasem strażnicy dalej patrzyli w jej paszport, wymieniając półgłosem jakieś uwagi. Z powodu strachu, głodu, a może zmęczenia nagle ogarnęła ją dziwna słabość. Świat zaczął rozmywać się przed oczyma i niewiele brakowało, a padłaby jak długa. Zmobilizowała wszystkie siły, oddychała głęboko, a wzrok wbiła w herb poczty na lakierowanym kapeluszu woźnicy. Kiedy strażnicy zwrócili jej dokumenty, wróciła do dyliżansu blada jak upiór o brzasku, co zauważyła jedna z podróżnych, komentując, że wstydu nie mają, żeby ludzi, a zwłaszcza ciężarną tak długo trzymać na mrozie.

Po kilku dniach podróży wreszcie była u celu. Ciemne chmury już dawno zdławiły światło dnia, mróz szczypał niemiłosiernie i dął północny wiatr. Wiktoria, trzęsąc się z zimna, odebrała bagaż, najęła dorożkę i poleciła woźnicy, żeby zawiózł ją do zaułka Młynowego<sup>[19]</sup>. Była zbyt wyczerpana, by zwracać uwagę na miasto, choć gdy przejeżdżali obok rzeki, uśmiechnęła się na poły z czułością, na poły z żalem.

– Wilia – szepnęła sennie.

Dorożkarz minął plac Katedralny, skręcił w dość szeroką, otoczoną z dwóch stron kamienicami ulicę Zamkową, po czym zatrzymał konia.

– Pójdziecie tędy. – Wskazał ręką na wąziutką drogę. – To zaułek Bernardyński. Trza iść prosto, skróćcie na lewo i będziecie na miejscu.

Wiktorcia podziękowała, zdjęła rękawiczki, sięgnęła po pieniądze i w tym momencie się zorientowała, że zniknęła jej sakiewka. Jęknęła głośno, jeszcze próbowała przetrząsnąć zawartość woreczka, ale zostały w nim jedynie dokumenty. Wreszcie zrezygnowana włożyła rękę do kieszeni kożucha, gdzie schowała kilka monet. Dobry początek – pomyślała z przekąsem. A Florentyna uprzedzała, żeby pilnowała swoich rzeczy. Odruchowo przyłożyła dłonie do piersi w obawie, że może i biżuterię ktoś jej wyciągnął z gorsetu albo ukradł wisior. Odetchnęła, czując medalion ogrzany ciałem. Chwyciła sakwojaż i brodząc w śniegu, ruszyła przed siebie – ku nowemu życiu.

\* \* \*

Fryderyk Ankwicz zanurzył pióro w kałamarzu, strząsnął nadmiar tuszu i po raz trzeci podjął próbę napisania listu do Gorca. Z wściekłości drżała mu ręka i na papierze zamiast liter ponownie pojawił się kleks. Zaklął, poderwał się z krzesła i zadzwonił na służbę. Nie doczekawszy się reakcji, wyszedł szybkim krokiem z gabinetu. Przeklęta hałastra! Już on im pokaże. Nie będą go więcej oszukiwać, lekceważyć i knuć za jego plecami.

Traf chciał, że pierwszą osobą, którą spotkał w korytarzu, była Ludwika. Bez zastanowienia doskoczył do niej i złapał oburącz za kołnierzyk.

– Gdzie ona jest?! – krzyczał, potrząsając nią. – Mów, starucho!

Ludwika, zaskoczona atakiem, w pierwszej chwili nie zareagowała, wpatrując się ze strachem w czarne oczy Ankwicza.

– Nie wiem... – wysapała, stojąc na czubkach palców. – Mówiłam

już...

– Nie wiesz?! Pomogłaś jej uciec, wiedźmo!

– Zostaw... – syknęła, próbując się wyrwać.

Odepchnięta straciła równowagę i upadła na plecy.

Ankwicz stał nad nią, dysząc ciężko, zbyt oszołomiony, by zareagować. Widział jej wykrzywioną bólem twarz. Widział Eufrozynę, wybiegającą na korytarz i przyklękającą przy Ludwice. I wtedy zobaczył coś jeszcze – coś, co sprawiło, że czarna rozpacz opadła mu na piersi. Dostrzegł pozbawione złudzeń spojrzenie żony.

## ROZDZIAŁ 14

Powitały ją rozkoszne ciepło, zapach zupy ryżowej, ciasta z serem oraz miły głos gospodyni. Zdawało jej się to wszystko pięknym snem, który grubą kotarą oddziela ją od uciążliwości minionych dni.

– Jest panienka, chwała Bogu! – Kobieta, zaprosiła gestem, by weszła do środka.

Wiktoria zdjęła futrzaną czapę, kozuch i odwiązała koc z bioder.

– Dobry wieczór. Dziękuję, że zgodziła się mnie Łankiewiczowa przyjąć – rzekła, po czym dodała cicho, czerwieniąc się ze wstydu: – Lepiej, żebym okrycie zostawiła tutaj. Chyba mam wszy.

– Zaraz coś poradzimy, niech się panienka nie martwi. Jedzenie czeka, ale pewnie wpieryw chciałaby panienka wziąć kąpiel?

– O tak! Będę bardzo wdzięczna.

– To już przygotuję, a tymczasem proszę skosztować ciepłego mleka z miodem, dopiero co zrobiłam. W taki mróz nie ma nic lepszego. Pokażę panience pokój. Proszę, proszę do środka.

Wiktoria z wdzięcznością wzięła kubek w obie dłonie, aby je rozgrzać, i usiadła na krześle, rozglądając się z ciekawością po sypialni.

Nie była duża, urządzona dość skromnie, ale gustownie. Centralne miejsce zajmował mały okrągły stół, na którym stał mosiężny świecznik. Po prawej stronie znajdowały się łóżko przykryte ozdobną kapą i komoda z trzema szufladami. Na przeciwległej ścianie dziewczyna dostrzegła prosty piec. Miała ochotę podejść i przytulić się do ciepłych, zielonych kafli, ale zabrakło jej sił, by wstać. Dopiero teraz, kiedy już była bezpieczna, poczuła, jak bardzo jest wyczerpana. Napięcie ostatnich dni, strach, że Gorc ją złapie, aż wreszcie długa i męcząca droga zrobiły swoje.

Pewnie zasnęłyby na siedząco, gdyby Łankiewiczowa nie zabrała



jej do kuchni, gdzie czekało spełnienie marzeń o kąpeli. Bez protestu oddała się w ręce gospodyni. Kobieta pomogła jej zdjąć ubranie i rozsypła tasiemki gorsetu, do którego Florentyna przyszyła niedużą kieszeń na biżuterię, a gdy Wiktoria w halce weszła do drewnianej balii, zajęła się jej włosami. Wyjęła szpilki, rozplotła warkocz i pasmo po paśmie zaczęła rozczesywać pukle dużym grzebieniem.

– Ma panienska wyjątkowo piękne włosy, takie długie. Nie widzę wszy, tylko ślady na szyi po ukąszeniu pcheł. Dla pewności umyjemy je octem, a ukąszenia posmarujemy maścią z łopianu.

Łankiewiczowa miała w sobie serdeczność Ludwiki i wigor Florentyny. Była niska i z powodu dużego biustu sprawiała wrażenie dość krępej. Jasne brwi i rzęsy kontrastowały z ciemną karnacją, która zdradzała domieszkę tatarskiej krwi. Wiktoria zwróciła uwagę na jej dłonie, duże, silne, prawie męskie, których dotyk był jednak nad wyraz delikatny.

Poddawała się wszystkim zabiegom z wdzięcznością, a potem ledwie spróbowała zupy, a już zasnęła, choć na zegarze nie było jeszcze szóstej godziny.

Przez całą noc śnił jej się pocztylion w zielonej kurtce z herbową blachą na ramieniu i karmazynowym kołnierzem, który wymachiwał batem, zmuszając ją, żeby wysiadła z dyliżansu. Płakała, tłumacząc, że musi jechać do Wilna, próbowała przekupić go pieniędzmi z sakiewki, ale okazało się, że ta jest pusta. Zaproponowała więc, że wyjmie biżuterię z gorsetu, a wtedy on oświadczył lubieżnie, że bardziej interesuje go to, co jest pod gorsetem. Gdy spojrzała mu w twarz, zobaczyła, że to Gorc. Przebudziła się gwałtownie, oddychając szybko. Czoło i szyję miała mokre od potu. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jest bezpieczna w domu Łankiewiczowej, i westchnęła głęboko, uspokojona. Niestety przypomniała sobie również to, że została okradziona. Straciła pieniądze Florentyny.

Złodziej, kimkolwiek był, nieźle się obłowił. Za taką sumę mógł spokojnie żyć przez kilka miesięcy. Odwróciła twarz w stronę okna, za którym świeciło słońce. Nie zamierzała się zamartwiać, tylko wziąć sprawy w swoje ręce. W głowie zaświtała jej pewna myśl. Przecież była młoda, zdrowa i wykształcona na najlepszej warszawskiej pensji. Bez trudu sobie poradzi.

Leżała jeszcze przez dłuższą chwilę, ciesząc się czystą, pachnącą pościelą oraz tym, że po wielu dniach jej ciało uwolniło się z gorsetu. W ciągu całej podróży ani razu się nie rozebrała. W karczmach czy na stacji pocztowej spała w ubraniu, przykryta kocem. Nagle uświadomiła sobie, że stawiała czoło utrudnieniom, jakich w życiu nie zaznała. Uciekła ze dworu, po raz pierwszy podróżowała sama, nielegalnie przekroczyła granicę. Tymczasem teraz, leżąc w łóżku w domu Łankiewiczowej, poczuła się zupełnie bezradna. I to właśnie z powodu gorsetu. W domu czy na pensji wystarczyło, że użyła dzwonka, a przychodziła służąca, która pomagała przy ubieraniu. Uśmiechnęła się drwiąco na myśl o tym, że zna odmianę łacińskich czasowników, a nie potrafi sobie samodzielnie zawiązać tasiemek.

Postanowiła, że tego dnia pod skromną sukienkę, którą zapakowała jej Florentyna, włoży jedynie halkę. Włosy, jeszcze nieco wilgotne, zaplotła w warkocz i wyszła z pokoju.

Dorota Łankiewiczowa siedziała w kuchni przy stole i szyła, ale kiedy zobaczyła Wiktorię, natychmiast zerwała się z miejsca.

– Panienko, proszę do głównego pokoju, już podaję śniadanie. Odpoczęła panienka?

– Tak, dziękuję.

Salon znajdował się naprzeciwko kuchni. Był urządzony podobnie jak pokój, w którym spała, z tą różnicą, że tutaj oprócz łóżka i komody stała również niewielka, oszklona biblioteczka. Wiktoria podeszła bliżej i zaciekawiona zaczęła czytać tytuły: *Początki*

*botaniki, Opisanie roślin litewskich według układu Linneusza, Rady zachowania się niewiast czasu brzemienności.*

– To książki mojego świętej pamięci męża Tomasza. – Łankiewiczowa położyła na stole okrągły bochen chleba, konfiturę z wiśni i biały ser. – Był wykładowcą na Uniwersytecie Wileńskim, przed powstaniem. Zajmował się botaniką, ale pasjonowały go też nauki medyczne. Żałował, że nie został lekarzem.

– Zginął w powstaniu?

– Nie, panienko. Na krótko przed jego wybuchem zachorował i zmarł. – Wyjęła z komódki serwetę. – Nie powiem, było ciężko, a jeszcze miałam małego synka. Teraz Tomuś, bo Tomasz ma na imię mój syn, po mężu, w Petersburgu pracuje przy budowie kolei. Jest inżynierem. Odwiedza mnie, gdy tylko może, pomaga. A ja, jak widzi panienka, mieszkam sama, komu co tam trzeba, uszyję, przesyję, poprawię, naprawię i tak się żyje. Nie mogę narzekać. Panienka pewnie kawy się napije?

– Bardzo chętnie, dziękuję.

Wiktoria usiadła do śniadania, odrzucając warkocz na plecy. Przez moment upajała się zapachem chleba, który gospodyni wyjęła z pieca zaledwie poprzedniego dnia. Miała wrażenie, że nigdy nie smakował jej tak żaden posiłek.

– Nic mięsnego nie postawiłam, bo już post przecie – tłumaczyła się gospodyni – ale odrobina masła, czy konfitur chyba wielkim grzechem nie jest.

– Wszystko jest wyśmienite, dziękuję.

Kobieta przysiadła na krześle, wycierając dłonie w ściereczkę.

– Panienko Wiktorio, wiem, jak wygląda sytuacja. Może tu panienka zostać tyle, ile będzie trzeba. Co prawda zbytków tu nie ma, ale – rozłożyła ręce – w czym będę mogła pomóc, to pomogę. Jakby kto pytał, jest panienką moją daleką krewną.

Wiktoria wytarła usta serwetką i spuściła wzrok.

– Jestem ogromnie wdzięczna za okazaną życzliwość. Nie wiem, jak długo będę zmuszona korzystać z waszej gościnności i dlatego chciałabym się czymś zająć. Może Tomaszowa zna kogoś, kto potrzebuje guwernantki?

Kobieta pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Panienko, to zupełnie niepotrzebne.

– Obawiam się, że tak. W podróży skradziono mi pieniądze. Mam jeszcze biżuterię, ale to rodzinna pamiątka i wolałbym ją sprzedać dopiero w ostateczności. – Uśmiechnęła się szeroko z całym entuzjazmem swych siedemnastu lat. – Poradzę sobie. Na pensji byłam jedną z najlepszych uczennic.

– Ale panienko, nie o to chodzi. To po prostu nie wypada, żeby...

– Łankiewiczowa zrobiła nieokreślony ruch ręką. – To, co mam, starczy na nas obie. Proszę się nie martwić. Czasami może mi panienska pomóc w szyciu.

– Och, szyc nie lubię i nie umiem zbyt dobrze, ale chcę wypełnić jakoś czas. Nie mogę tylko siedzieć w domu i umierać ze strachu, że Gorc mnie znajdzie.

– Panienko, hrabskie dziecko i praca? Przecież to nie do pomyslenia.

– Trzeba mieć odwagę, żeby myśleć o tym, co jest nie do pomyslenia, a tej mi nie brakuje – odparła pewnie i z determinacją, powtarzając słowa za ukochaną nauczycielką muzyki.

Idalia Iżykowska pojawiła się na pensji sióstr Skarżanek w drugim roku nauki i z miejsca rozkochała w sobie wszystkie uczennice. Była jak rwący strumień kryształowo czystej rzeki – w przeciwieństwie do innych nauczycielek przypominających raczej porośnięte tatarakiem, mętne stawy, z których uciekła ostatnia żaba. Gdy wchodziła do sali, wyprostowana, energiczna z niegasnącym

uśmiechem na pięknej twarzy, uczennice mimowolnie przybierały ładniejszą postawę, stawały się dla siebie życzliwsze, a te, które nie odróżniały sonat od nokturnów, wierzyły, że jeszcze nie wszystko stracone. Wiktorja nadal nie dała się przekonać do gry na instrumencie, ale okazało się, że ma bardzo dobry słuch i mocny głos. Panna Iżykowska bez trudu wydobywała z dziewcząt drzemiące w nich talenty, o których nie miały dotychczas pojęcia. Między sobą nazywały ją mademoiselle Emanation i czciły jak kapłankę, urzeczone jej charyzmą.

Rok później gruchnęła wieść, że ukochana nauczycielka odchodzi z pensji, a stoi za tym jakiś niebywały skandal. Uczennice omawiały ten problem każdej nocy, w zupełnej ciemności, podsuwając sobie co lepsze wyjaśnienia. „To pewnie przez zazdrość, nie mogli znieść, że tak ją kochamy” – ubolewały jedne. „Podobno zakochała się w biednym rosyjskim żołdaku” – ekscytowały się inne. Największą bombę rzuciła jednak przodująca w arytmetyce Malwina.

– Słyszałam od pokojówki panny Klary, że... – tu zniżyła głos, robiąc efektowną pauzę – związała się z żonatym mężczyzną.

Ciszę przecięły wówczas okrzyki grozy i niezdrowego podniecenia. Czy to aby pewne? Czy to możliwe?

Prawdę poznały kilka dni później, kiedy bez wyrzutów sumienia podsłuchiwały, przystawiając uszy do ściany w sali lekcyjnej, którą sąsiadowała z gabinetem sióstr Skarżanek.

– Idalio, dajemy pani ostatnią szansę – mówiła panna Marta. – Niech pani będzie rozsądna. Co powiedzą rodzice naszych uczennic, gdy się dowiedzą? Jaki pani daje przykład? Toż to niemoralne!

– Już postanowiłam.

– Czy wie pani, na co się naraża? – dodała panna Klara. – Straci pani szacunek, pozycję, godną pracę, powrotu nie będzie. Co by powiedzieli pani świętej pamięci rodzice? Żaden przyzwoity

mężczyzna nie zechce się pani oświadczyć!

– Przykro mi, że jestem przyczyną tak wielkiego zmartwienia, ale muszę odejść.

– Aby zostać aktorką?! Komediantką? Toż to prawie jak być kokotą! To niedopuszczalne, nieprzyzwoite, hańbiące! – powtarzała panna Klara z oburzeniem. – Żeby osoba tak dobrze urodzona jak pani, z licznymi przymiotami, chciała pracować w teatrze? Nie! To jest po prostu nie do pomyslenia.

– Trzeba mieć odwagę, żeby myśleć o tym, co jest nie do pomyslenia i żeby robić rzeczy, których nie zrobiłby nikt – odpowiedziała spokojnie Idalia.

Teraz słowa te powróciły do Wiktorii niczym błysk latarni w mroku. Panna Klara lubiła powtarzać za poradnikiem dla panien, że losem kobiety jest „nie wypatrywać nowej drogi, tylko iść ubitą, nie sięgać daleko, lecz widzieć świat w domu”<sup>[20]</sup>. Ona wolała ścieżki tajemnicze, ukryte głęboko w gąszczu, prowadzące do fascynującej niewiadomej. Czytała więc po kryjomu pisma Mary Wollstonecraft, Narcyzy Żmichowskiej i wspominała swoją antenatkę Wirydianę, która po śmierci męża sama zarządzała wielkim majątkiem, zakładała huty szkła, szpitale i przytułki.

Nie uważała, by uczciwa praca miała w jakikolwiek sposób położyć się cieniem wstydu na jej nazwisku. A już tym bardziej nie miała się czego obawiać jako Katarzyna Plucha.

## ROZDZIAŁ 15

Następnego dnia, a była to niedziela, Wiktoria poszła z Łankiewiczową na mszę do kościoła Świętej Teresy. W ciągu nocy zelżał mróz i ustał wiatr, a słońce mocno zaświeciło, jakby już było gotowe na powitanie wiosny. O takiej pogodzie ludzie zwykli mówić, że sam Bóg ją zesłał, aby ich pocieszyć.

Wiktoria z zainteresowaniem patrzyła na barokowe i klasycystyczne kamienice, które ciągnęły się wzdłuż ulicy Zamkowej, przechodzącej za placem Ratuszowym w ulicę Ostrobramską. Łankiewiczowa, wilnianka z urodzenia, rozprawiała o każdym obiekcie z dumą. Tu pałac Chodkiewiczów i Paców, tam księgarnia Zawadzkiego, tędy skręca się do gmachów dawnego uniwersytetu, tą drogą idzie się do kamienicy Łempickich. Wskazała na barokową budowlę o trzech wieżach, wyjaśniając, że dawniej był to kościół Świętego Kazimierza, a teraz zrobiono tu cerkiew i tylko patrzeć, aż proste zwieńczenia zastąpią cebulowymi kopułami. Zmian się nie zatrzyma – tłumaczyła. Nawet ratusz przed ośmiu laty przekształcono w teatr.

Zbliżały się już do kościoła, gdy Wiktoria zwróciła uwagę na znajdującą się po prawej stronie monumentalną bramę w falistym kształcie, zdobioną pilastrami i płaskorzeźbami.

– Kościół Świętej Trójcy i klasztor bazylianów. Carska swołocz zrobiła tam więzienie – rzuciła gniewnie Łankiewiczowa.

– Boże mój, to tam siedział Mickiewicz!

– I Mickiewicz, i Domeyko, i Konarski, i wielu innych. Ech! – Machnęła bezradnie ręką.

Gdyby mogła być tu ze mną panna Michalina... – pomyślała Wiktoria ze smutkiem.

Po mszy udały się jeszcze do Ostrej Bramy. Dziewczyna w

najwyższym skupieniu, wzruszona i przejęta, wchodziła po stromych, nieco wyłobionych schodach do kaplicy, żeby pomodlić się przed wizerunkiem Najświętszej Panny, która choć w bogato zdobionej szacie z pozłacanego srebra, wyrażała pokorę i skromność pochyloną głową i gestem zaplecionych na piersiach rąk.

– Oddaję się pod Twoją opiekę – szeptała – i tych, których kocham, i tych, którzy mi pomogli. Czuwaj nad nami, święta Pani.

Gdy wracały do domu, Łankiewiczowa opowiedziała, jak to się stało, że oszklono widoczną z ulicy kaplicę. Otóż przed wieloma laty zachorował syn hrabiny Apolinary Platerowej. Choć zajmowali się nim najznakomitsi lekarze, słabł z dnia na dzień i powiedziano matce, że musi przygotować się na najgorsze. Ona jednak, zamiast poddać się rozpacz, codziennie przez wiele godzin klęczała przed wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Zimno było, wiatr i chłód przenikały ją do kości, toteż w końcu się przeziębila. Nie zważała na to i wreszcie wymodliła łaskę zdrowia dla syna. W dowód wdzięczności i mając na względzie inne matki, hrabina ufundowała szklane okna. Dzięki temu wierni nie musieli już marznąć.

W ciągu kolejnych dni Wiktoria w towarzystwie Łankiewiczowej poznawała Wilno, które łatwo i szybko zdobyło jej miłość. Swoje zasługi miała w tym pewnie też panna Michalina. Podsuwając do czytania Mickiewiczowskie ballady i poezje, mimowolnie rozbudziła w niej tkliwe uczucia do miasta, które zdawało dziewczynie znacznie piękniejsze od Warszawy, chociaż i tu nie brakowało carskich mundurów oraz dwugłowego orła. Wiktoria miała wrażenie, że to miejsce jest przyjazne podróżnym, że wabi ich nieuchwytnym wdziękiem, obejmuje i zachęca, żeby odkrywać tajemnice zacisznych zaułków, wiekowych pałaców i wzgórz, pamiętających czasy Mendoga i Giedymina. Nawet ci, którzy widzieli Paryż czy



Petersburg i uważali Wilno za prowincjonalną miścinę, musieli przyznać, że jest to prowincja szczególna, opleciona legendarnymi opowieściami i najpiękniejszymi puszcami, w których podobno można było jeszcze spotkać mitycznego żelaznego wilka.

Z Dorotą Łankiewicz żyło jej się bardzo dobrze. Trzypokojowe mieszkanie w piętrowej kamienicze z przestronnym podwórzem położone było na uboczu, w pobliżu kościoła Świętej Anny, tak więc codziennie budziło ją bicie dzwonów. Krewna Florentyny nie narzucała swojego towarzystwa, była dyskretna, a jednocześnie po matczynemu troskliwa. Wiktoria pragnęła pomagać w codziennych zajęciach, gdyż było jej wstyd, że kobieta sama dźwiga wodę na mycie, pierze bieliznę i czyści suknię ze śniegu i błota. Podobne dylematy jakoś dotychczas nie zaprzętały jej głowy.

– Panienska to panienska – mówiła Tomaszowa. – Może sobie spacerować, malować, czytać i nic poza tym.

Wiktoria zatem spacerowała, czytała to, co oferował księgozbiór Tomasza Łankiewicza, i starała się nie poddawać fali tęsknoty za Łubinowem, za Czyżewskimi i Klementyną. Najtrudniej było wieczorami, kiedy z ciemności wyłaniały się melancholia i lęk, przywołując przed oczy twarze Ankwicza i Gorca. Patrzyła wówczas na rysunek dworu i Ludwiki, ścisnęła stary kasztan z alei, który zabrała z szuflady sekretarzyka, i połykała łzy, choć od wyjazdu minęły dopiero dwa tygodnie. Gdyby choć otrzymała wiadomość od Macieja albo Florentyny, że w domu wszystko w porządku, byłoby jej łatwiej. Umówili się jednak, że ze względów bezpieczeństwa nie będą pisać. Gorc na pewno roztoczył nadzór także nad służbą. Z tego samego powodu Wiktoria nie mogła korespondować z Klementyną – a miała jej tyle do opowiedzenia! Myślała o ostatniej rozmowie z matką, o tym, co tamta wyznała. Jeśli naprawdę się cieszyła, że urodzi dziecko, jeśli była wtedy najszczęśliwsza, to co potem zaszło

między nią i ojcem? Od domysłów bolała głowa i dziewczyna czuła się jeszcze bardziej przygnębiona. Żeby więc odegnać samotność, szła do kuchni i rozmawiała z Tomaszową, naciskając przy okazji, by pomogła jej znaleźć posadę guwernantki.

– To nie takie proste, panienko. Arystokraci i szlachta wolą zatrudniać mężczyzn albo cudzoziemki. Poza tym potrzebne są listy polecające, dyplom ukończenia pensji. Nawet gdyby go panienka ze sobą miała, to przecież i tak nie mogłaby pokazać. Nie powinna panienka używać też nazwiska z paszportu. Trzeba go spalić i wyrobić nowy dokument. Znam kogoś w magistracie, kto za odpowiednią cenę sprzedałby nawet własną matkę, więc nie będzie problemu.

– Jak tylko zarobię, to wam oddam – zapewniła Wiktoria.

– Mówiłam już, żeby się panienka tym nie martwiła, poradzimy sobie.

– Mam biżuterię...

– To niech ją panienka trzyma na czarną godzinę, ale oby nie nadeszła.

– A może zatrudniono by mnie w wydawnictwie jako ilustratorkę? Dobrze maluję.

– Nie przyjmą panienki.

– Bo jestem kobietą?

Łankiewiczowa rozłożyła bezradnie ręce z uśmiechem osoby, która dużo przeszła, dużo widziała i niczemu się nie dziwi.

– Będę się dowiadywała, może coś znajdziemy dla panienki, choć ja ciągle uważam, że to niepotrzebne. – Mrugnęła wesoło. – Do szycia się panienka nie przekonała?

– O nie!

– Nie rozumiem, przecież panienka maluje, a szycie to takie malowanie igłą i nitką.

– Na pensji nieustannie wyszywałyśmy patarafka według

podanego wzoru. – Wiktoria zrobiła ruch ręką, jakby trzymała tamburek. – Nie cierpiałam tego.

– Ach tak. Powinnałam być się domyślić, że panienka nie z tych, co lubią powielać cudze wzory.

Wiktoria po raz kolejny zwróciła uwagę, że Dorota Łankiewicz nie jest prostą kobietą jak Florentyna. Mówiła ładnie, bez gwarowych naleciałości, kupowała „Kurier Wileński”, prowadziła korespondencję z synem, interesowała się tym, co się dzieje na świecie. Nie była szlachetnie urodzoną, za to bez wątpienia miała szlachetność wrodzoną.

W drugim tygodniu marca przyniosła dokument na nazwisko Anna Zagórzanka oraz długo oczekiwaną wiadomość. W domu wdowca, doktora Bluszcza, szukano domowej nauczycielki dla trzech dziewczynek. Ważne, żeby była młoda i chętna do pracy. Wiktoria wpadła w zachwyty, ale Łankiewiczowa studziła jej zapał – że różnie o nim mówią. Podobno dobry lekarz i ojciec, ale nieznośny pracodawca i kobieciarz. Może to tylko plotki, lecz lepiej być ostrożną. Wiktoria nie zamierzała się przejmować cudzym gadaniem. Następnego dnia włożyła prostą, granatową sukienkę, którą gospodyni przerobiła, doszywając koronkowy kołnierzyk i mankieciki, a następnie w towarzystwie kobiety udała się na drugie piętro ładnej kamienicy w pobliżu ulicy Świętojerskiej.

Wysoki mężczyzna poprosił, by usiadła. Miał fantazyjnie podkrecone wąsy i wypomadowane włosy, lśniące jak smoła.

– Zaraz każę podać herbatkę, ale najpierw sobie porozmawiamy. Panienczka jest młodziutka – rzucił z podziwem. – Panienczka to nie ma doświadczenia?

– Jestem dobrze wykształcona – zapewniła szybko Wiktoria, odsuwając się nieznacznie, bo doktor Bluszcz zajął miejsce na sofie obok niej i dotykał swoim kolanem jej nogi. – Mówię biegle po

francusku, znam dobrze język rosyjski i łacinę...

– Oj, oj. – Zaczął kiwać palcem na wysokości jej oczu. – Panienczka mnie czaruje. Jak buziunia ładniutka, to języczki zbędne, chyba że jeden – zaśmiał się dwuznacznie, ubawiony własnym żartem. – Bardzo potrzebujemy pracy?

– Bardzo.

– A będę ja z panienczki zadowolony?

Popatrzyła na niego zde gustowana. O co mu chodzi? Skromna guwernantka nie potrzebowała przyzwoitki, ale teraz Wiktoria żałowała, że Tomaszowa została na dole, przed kamienicą.

– Będę się starała, żeby...

– O to to! Tak mi się podoba.

– Czy mogłabym zobaczyć pańskie córki? – Dziewczyna zaczęła kręcić się niespokojnie, jakby coś ją uwierało. – Chciałbym się dowiedzieć, ile mają lat, czy lubią czytać.

Mężczyzna klepnął ją w kolano.

– Ależ nie trzeba martwić tej śliczniutkiej główki głupstwami. To aniołeczki. Kłopoty z nimi nie będzie, ale ja i tak pensyjkę ustalę ładniutką – bredził dalej, wlepiając wzrok w jej biust rysujący się pod sukienką.

To wariat! – przeszło jej przez głowę. Jeszcze chwila i zacznie seplenić. Nie, to nie jest dla niej miejsce.

– Pan wybaczy, ale muszę już iść. – Ruszyła do wyjścia.

– A co to ma być? – Chwytał ją za łokieć. – Jak nie chciała pracy, to po co mi głowę zawracała? Po co cnotkę udaje? Stawkę chce podbić?

Wiktoria się wyrwała i aż zaniemówiła z wściekłości. Jedyne, co mogła zrobić, to zatrasnąć za sobą drzwi.

– No coś podobnego – powiedziała na głos, gdy znalazła się na ulicy.

Kilka dni później Tomaszowa umówiła ją na rozmowę z panią

rejentową, matką dwóch dziesięcioletnich bliźniaczek. Służąca, nim wpuściła ją do mieszkania, kazała wytrzeć buty i zaczekać w przedpokoju. Długo, jak się okazało. Wiktoria rozpięła okrycie wierzchnie i zaczęła wachlować się rękami, przestępując z nogi na nogę. Kiedy była już niemal bliska omdlenia, na korytarz wyszła starannie ubrana, młoda kobieta. Miała głowę w lokach, wielki pieprzyk nad górną wargą i minę tak kwaśną, jakby właśnie zjadła kapustę z beczki. Patrzyła na Wiktorię surowo, jak gdyby widziała wszystkie grzechy w jej rodzinie do piątego pokolenia wstecz i zamierzała je ujawnić.

Chyba mnie nie przyjmie w przedpokoju? Nie zaproponuje, żebym się rozebrała? W Łubinowie nawet folwarcznego chłopca prosiło się do kancelarii, gdy przyszedł ze sprawą.

– Tomaszowa ją bardzo wychwaliła – oświadczyła wyniośle rejentowa. – A ja wiem, że wtedy potrzeba wyjątkowej czujności. Nigdy nic nie wiadomo. Znałam taką jedną, którą wszyscy chwalili, a potem potopiła w stawie troje cudzych dzieci i jeszcze się tym szczyciła. Jeśli mam ją dopuścić do mych niewinnych córek, muszę mieć pewność, że jest uczciwa i sumienna.

Po chwili do rejentowej dołączył mąż. Był szczupły, niewysoki, miał sympatyczną twarz i przygarbione ramiona.

– Moja droga, może zaprosisz panienkę do salonu – zaproponował nieśmiało.

– Na to jeszcze przyjdzie czas. Powinnam wiedzieć, z kim mam do czynienia, nim wpuszczę na pokoje. Nauki pobierała w domu, czy tak? – zwróciła się do Wiktorii.

– Tak, proszę pani.

– A po francusku umie?

– *Bien sûr, madame.*

– A grać na fortepianie?

– Niestety nie, ale mogłabym uczyć rysunku.

– I co? Moje córki będą bawić towarzystwo rysunkiem? Nie wie, że obyta panna musi grać na fortepianie? Rysunek! A mówiła, że jest kształcona.

– Moglibyśmy zatrudnić kogoś tylko do muzyki – wtrącił małżonek lękliwie.

– Ani myślę płacić podwójnie. Możemy ją nająć, ale za połowę pensji, żeby nam się zwróciło za nauczyciela muzyki. Co jeszcze umie?

– Umie sama dojść do drzwi, proszę wybaczyć. – Wiktoria się odwróciła i ku zdumieniu państwa rejentostwa opuściła mieszkanie.

No coś podobnego! – powtórzyła w myślach rozczarowana i wściekła. Miała dość Katarzyny Pluchy i Anny Zagórzanki, dziewcząt, które traktowano protekcyjnie i z wyższością, którym czyniono nieprzyzwoite awanse i przyjmowano w przedpokoju.

Czekająca na nią przed kamienicą Dorota Łankiewicz, widząc marsową minę, rzekła pokrzepiająco:

– Głowa do góry, panienko. Znajdziemy coś innego. A kto wie, może lada dzień będzie mogła panienka wrócić do domu?

A jeśli tak się nigdy nie stanie? – pomyślała Wiktoria z przestrawieniem. Przecież nawet jeśli Gorc odpuści, Ankwicz jej nie daruje. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, że gdyby nie Tomaszowa, pewnie skończyłaby w rynsztoku. Naiwnie, a może nawet zarozumiale uważała, że bez trudu zostanie drugą Vigée Le Brun<sup>[21]</sup>, utrzyma się z pracy własnych rąk i umysłu, a życie rozwinie przed nią cały wachlarz barw, nagradzając za zuchwałą ucieczkę od Gorca. Spojrzała z ukosa na Łankiewiczową i nagle ogarnął ją wstyd. Żerowała na jej gościnności, a gdy pojawiła się szansa, żeby dostać posadę, trzasnęła drzwiami i wyszła.

Tamtego dnia postanowiła mieć więcej pokory, ale czas upływał, a ona wciąż siedziała w domu i czekała na zmiłowanie. Świat nie był

zainteresowany Anią Zagórzanką, niepotrzebne mu były jej talenty i praca. Tak naprawdę nic nie umiem – myślała wielokrotnie – nic nie wiem. Zaczęła sama chodzić po mieście, bo Łankiewiczowa nie zawsze mogła jej towarzyszyć, a ona dusiła się w czterech ścianach i coraz mocniej tęskniła za Łubinowem. Obserwowała młode panny z towarzystwa, za którymi dreptały służące lub stare ciotki, i te ubogie z gminu, dźwigające w umęczonych ramionach dzieci, pranie, a na barkach – niełatwy los. Gdy raz zapuściła się nad rzekę Wilejkę, zobaczyła także te, które handlują wdziękami, kobiety młode jeszcze i niebrzydkie, ale przedwcześnie przywiędłe, z poszarzałymi twarzami, na których malowała się cała niedola ich życia. Jedna z nich, wygrażając pięścią, wyraźnie dała jej do zrozumienia, co z nią zrobi, jak się tu będzie kręcić, próbując podebrać klientów. Zgrozą przejęła Wiktorię myśl, że mogłaby dołączyć do ich grona, a bez pomocy Tomaszowej, bez biżuterii od matki nie miałyby dużego wyboru.

– Może malowałabym obrazy na zamówienie – zastanawiała się na głos, siedząc w jasnej kuchni.

– Lepiej jak panienka nie będzie zwracała na siebie uwagi – ostrzegła Łankiewiczowa, obierając ziemniaki. – Nigdy nie wiadomo, kto komu i co doniesie.

– W takim razie sprzedam kolczyki. Nie mogę w nieskończoność korzystać z waszej dobroci.

– Panienko...

– Albo wyjadę. Do Paryża. Mieszka tam siostra mojej najlepszej przyjaciółki i na pewno mi pomoże. Mogłabym malować, sprzedawać obrazy. Tutaj kobieta jest bez szans, ale w Paryżu...

– Może niedługo będzie mogła panienka wrócić do domu? Trochę cierpliwości. Do Paryża droga daleka. Tu jest bezpieczniej.

– Tu w każdej chwili może mnie odnaleźć Gorc.

Łankiewiczowa wrzuciła ziemniaka do garnka, wytarła ręce i

oparła łokieć o stół.

– Źle tu panience ze mną?

– Ależ nie. Tyle dla mnie robicie, a ja... Może chociaż mogłabym dokończyć obieranie?

Gospodyni się uśmiechnęła i wręczyła jej nóż.

– No, proszę już więcej o Paryżu nie mówić.

Temat jednak powrócił, i to szybciej, niż obie myślały. Na kilka dni przed Świątami Wielkanocnymi<sup>[22]</sup>, w środę, Wiktoria wybrała się do kościoła Bernardynów. Już prawie od miesiąca przebywała w Wilnie, a jeszcze ani razu nie widziała renesansowych malowideł ściennych, o których opowiadała jej Łankiewiczowa. Wracała potem niespiesznie do domu, bo choć zapadał wieczór, nadal było jasno. Po długich zmaganiach wiosna zdołała wreszcie zdetronizować zimę i łapczywie brała w posiadanie świat, czyniąc go na powrót młodym i powabnym. Tylko patrzeć, aż w łubinowskich lasach zakwitną przyłaszczki i zawilce – rozmyślała Wiktoria. Rządca Balicki na pewno już zaplanował kwietniowe prace w polu i ogrodzie. Kucharka Janowa szykuje ciasta drożdżowe, mazurki i pieczone prosiaki. W Wielką Sobotę przed dworem odbędzie się świecenie pokarmów, jak zawsze zbiorą się ludzie z całej wsi. W niedzielę Wacław zawiezie matkę na rezurekcję do Unieszowa. Rozlegną się strzały z armatek wiwatówek, będzie wesoło, radośnie i tylko ja tego nie zobaczę. Po raz kolejny.

Przeszła obok kościoła Świętej Anny, gdzie okute chustami kobiety sprzedawały baze i wiklinowe koszyki, skręciła w zaułek Bernardyński, gdy nagle usłyszała, że ktoś zawołał jej imię. Odwróciła odruchowo głowę i w tym momencie cała krew odpłynęła z twarzy. Stała porażona, patrząc, jak zbliża się do niej mężczyzna w pelerynie i cylindrze. Dopiero po chwili odzyskała czucie w nogach, uniosła spódnicę ponad kostki i zaczęła biec przed



siebie, stukając głośno obcasami. W głowie miała tylko jedną myśl: ukryć się, schować! Wymijała przechodniów i gnała tak szybko, na ile pozwalały warstwowe, krępujące ruchy halki. Kapelusz zawiązany pod szyją opadł na plecy. Każdy oddech powodował nieznośny ból w płacach. Krew dudniła w uszach, serce łomotało. Wreszcie zdyszana dopadła do bramy i w tym momencie poczuła szarpnięcie.

– Wiktorio! Mój Boże, to naprawdę pani!

Uniosła głowę, oswobadzając ramię z uścisku. Patrzyła w ciemne oczy Marcina Zacharewicza i milczała.

– Tu pani mieszka? – Popatrzył ponad jej głowę na podwórze za bramą. Zdjął cylinder i przygładził ręką włosy. – Nic pani nie zrobię, proszę się nie obawiać.

– Muszę iść – wyjąkała błagalnie.

– Jest pani bezpieczna?

– Tak.

– Potrzebuje pani pomocy?

– Nie. – Pchnęła furtkę, ale Zacharewicz jeszcze raz, tym razem delikatniej, złapał ją za łokieć.

– Wiktorio, on nie zrezygnuje. Szuka pani.

– Muszę iść – powtórzyła i szybkim krokiem ruszyła przez podwórze, ani razu nie oglądając się za siebie.

## ROZDZIAŁ 16

Próbowała potem zrozumieć, jak mogła być tak lekkomyślna, żeby poprowadzić Zacharewicza wprost do kamienicy. Strach chyba odebrał jej rozum. Po raz pierwszy musiała przyznać Ankwiczowi rację. Mimo ukończenia pensji była głupią dziewczyną, która nie potrafiła pojąć najprostszych rzeczy.

Tomaszowa próbowała ją uspokoić, gdy nerwowo relacjonowała, co się wydarzyło, ale bezskutecznie.

– To koniec! – powtarzała, z trudem łapiąc oddech. – Znalazł mnie.

Podbiegła do okna, ostrożnie odsunęła firankę i wzrokiem śledziła mężczyznę, który długo jeszcze krążył koło bramy, aż wreszcie, gdy zapadł mrok, ruszył przez podwórze i wszedł do kamienicy. Wiktoria rzuciła Tomaszowej przestraszone spojrzenie. Kobieta położyła palec na ustach, po cichu podeszła do drzwi, nasłuchując odgłosów z sieni. Mężczyzna rozpytywał o pannę Słoczyńską, ale sąsiadki zgodnie odpowiadały, że takiej tu nie ma. Pukał także do nich, lecz Łankiewiczowa nie otworzyła. Wiktoria była rozdarta. Miała świadomość, że Zacharewicz mógłby jej powiedzieć, co się dzieje w Łubinowie, co z matką i Ludwiką, jednakże zwyciężył strach przed Gorcem.

Święta upłynęły w ponurej atmosferze. Obie kobiety na zmianę sterczały w oknie, podrywały się z miejsc, słysząc kroki na podwórzu, a w nocy długo nie mogły zasnąć, nasłuchując odgłosów z ulicy. Wiktoria była gotowa jechać do Paryża choćby zaraz i z trudem przyjmowała do wiadomości, że będzie musiała poczekać co najmniej kilka tygodni, nim uda się zrealizować plany. Potrzebowała mocnych dokumentów, paszportu, licznych zezwoleń na opuszczenie Rosji i tymczasowej kryjówki. Nie mogła być guwernantką, więc postanowiła tym razem nie grymasić i przyjąć pracę gdziekolwiek,

choćby w charakterze służącej, a była przy tym tak zdeterminowana, że Dorota Łankiewicz nie odważyła się protestować. Rozumiała, że każda kolejna godzina w jej domu stanowi dla Wiktorii zagrożenie.

W poniedziałkowe popołudnie przyniosła nowiny.

– Niedaleko Wilna w majątku Łempice szukają garderobianej dla starszej pani Łempickiej. Tam byłaby panienka bezpieczna. To bardzo zacna familia, jedna z najznakomitszych w tych stronach, tam dziedzic nawet pańszczyznę zniósł. Miejsce piękne, ludzie poczciwi, tylko starsza pani jest bardzo wymagająca. No i szyć będzie trzeba, i stroje prasować.

– Sprostam wszystkiemu. – Wiktoria się ożywiła. Zerwała się z miejsca, jakby już, w tej chwili była gotowa do nowych obowiązków. – Przecież to najwyżej kilka tygodni. Doskonale wiem, jakie są zadania panny służącej. Poradzę sobie z garderobą i układaniem fryzur. Pojedziemy jutro?

– Jutro to ja się będę starać w urzędzie, żeby Biuro Kontroli Służących wydało panience książeczkę. Bez tego nie można nająć do służby.

– Tak, rzeczywiście – strapiła się dziewczyna. – Potrzebna będzie łapówka. Dam wam biżuterię. Tym razem Tomaszowa nie może odmówić. Nie pozwolę, by...

Dorota Łankiewicz przykryła jej dłoń swoją.

– Dobrze, dobrze. Jak już wszystko się uda, to będziemy się rozliczać. Na razie proszę o tym nie myśleć, panienko.

Urzędnik sprawujący nadzór nad kontrolą zatrudnienia służących okazał się człowiekiem chętnym do współpracy. Miał dużą rodzinę, żonę sekutnicę, która ciągle mu wypominała, że zamiast robić karierę w Petersburgu, skazuje ją na biedowanie w tej zapadłej dziurze, i trzy córki na wydaniu, więc skwapliwie korzystał z okazji, które zsyłał

los. Wrócił do domu z wynagrodzeniem przekraczającym jego dwumiesięczne zarobki, a Dorota Łankiewicz z obietnicą, że już następnego dnia będzie mogła otrzymać książeczkę służbową.

Wiktoria, nie chcąc tracić czasu, postanowiła przygotować się do wyjazdu, a że nie miała zbyt wielu rzeczy, do wieczora była już spakowana. Zostawiała pod opieką gospodyni piękną, zdobioną haftami i jedwabnymi tasiemkami bieliznę, której zwykła służąca nie miała prawa posiadać. W zamian Łankiewiczowa dała jej halki z grubego płótna, proste koszule nocne i mocno sfatygowany gorset.

– Pewnie będzie panienka spała w jednym pokoju z innymi służącymi, więc lepiej nie budzić podejrzeń – tłumaczyła, dokładając do bagażu drewniany grzebień, szczotkę do zębów i grube, łatane w kilku miejscach pończochy.

– Bizuterię też wam zostawię. I łańcuszek od medalionu, ale sam medalion wezmę ze sobą – oznajmiła dziewczyna.

Nagle Łankiewiczowa opuściła ręce i odwróciła się do Wiktorii, obrzucając ją spojrzeniem.

– Och, no co ja robię? Mogę panienkę ubrać jak chłopkę, ale o! – Obrysowała ręką w powietrzu kształt jej postaci. – Nie poznają się, z kim mają do czynienia? Przecież wystarczy tylko popatrzeć. Wiotka, delikatna, no i te dłonie! Jak z takimi iść na służbę!? Może dajmy temu spokój. Jeśli do tej pory nie przyszli po panienkę, to już pewnie nie przyjdą. Ten młody pan, gdyby chciał panience zaszkodzić, od razu powiadomiłby władze.

– Nie mogę tu zostać, bo oszaleję ze strachu. – Wiktoria złapała ją za łokieć. – Zrozumcie mnie. Ja się nie boję pracy, nawet szycie zniosę – dodała z uśmiechem – byle tylko nie znalazł mnie Gorc.

Nim położyła się spać, długo rozczesywała swe długie, gęste włosy i nagle zdała sobie sprawę, że sama nie poradzi sobie z utrzymaniem ich w czystości. Do tej pory zawsze ktoś jej pomagał, a

u Czyżewskich podczas kąpieli asystowały nawet dwie służące. Rytuał mycia składał się z kilku etapów: od nacierania głowy i pukli wywarem z żółtek lub mydlnicy, poprzez płukanie wodą z rumiankiem i koniakiem, aż do suszenia, rozczesywania i układania fryzury. Od kiedy Wiktoria wyjechała z Łubinowa, nie nosiła wymyślnych koafiur, wystarczył skromny warkocz, który sama potrafiła spleść, ale już przy myciu za każdym razem potrzebowała pomocy Tomaszowej. Trudno – pomyślała.

Poszła do kuchni prosić Łankiewiczową o obcięcie włosów. Kobieta najpierw się przeżegnała, potem zaczęła protestować, aż wreszcie, przygnieciona argumentami nie do podważenia, ustąpiła. Wyciągnęła nożyce i przystąpiła do dzieła zniszczenia. Kosmyki jeden po drugim spadały na podłogę, wijąc się niczym złowrogie węże.

– Bóg mnie za to pokarze – sarknęła, wzdrygając się za każdym razem, gdy jej uszu dochodził chrzęst obcinanych pukli.

Po wszystkim podała Wiktorii lusterko. Włosy, dawniej długie do bioder, teraz sięgały ledwie za ramiona. Uwolnione od ciężaru wiły się mocno, przez co sprawiały wrażenie jeszcze krótszych.

– Ładnie – przyznała szczerze Łankiewiczowa. Gdy zobaczyła efekt końcowy, uznała, że może Bóg jej jednak odpuści.

– Lżej – pocieszała się Wiktoria, powstrzymując łzy, bo nagle zrobiło jej się żal swych pięknych włosów, które teraz kłębiły na podłodze, przypominając brunatną pianę. – I kim ja teraz jestem? Ani panna, ani mężatka.

– No przecież nie są aż tak krótkie, zresztą odrosną szybko. Zobacz panienka, jaka to wygoda.

Łankiewiczowa zamiotła dokładnie każdy kosmyk i wrzuciła do pieca. Żartowała, że jeśli się włosów nie spali, mogłaby je zabrać jakaś zmora, a wraz z nimi urodę właścicielki. Wiktoria tylko

wzruszyła ramionami, zastanawiając się, co by powiedziała Ludwika, gdyby ją teraz zobaczyła. Wiedziała za to, co by powiedział Ankwicz: „Szpetota”.

W nocy przyśniła jej się babcia Słoczyńska. Stała nad nią, wielka niczym figura kościelna z Unieszowów, i zmuszała do czyszczenia osmolonego saganka.

– Już nie mogę, babciu – skarżyła się Wiktoria, bliska płaczu.

– No, dalej, nie przestawaj. Zobaczysz, jaki będzie piękny i błyszczący.

– Ale ja nie mam siły.

– Nie przestawaj.

Po przebudzeniu długo analizowała w myślach każdy detal snu, próbując zrozumieć jego znaczenie. Babcia Słoczyńska zmarła już tak dawno temu, że dziewczyna z trudem przywoływała związane z nią wspomnienia. Pamiętała haftowane kwiaty na jej czepku, pokryte plamkami dłonie z niebieskimi żyłkami, szelest taftowej spódnicy i zapach wody kolońskiej, którą staruszka skrapiała szal. Pamiętała również, jak babcia skrzyczała ją, gdy miała może pięć, może sześć lat. Bawiła się w ogrodzie z Karusią, jej dwiema starszymi siostrami i bratem. Była to dość specyficzna zabawa, z której tylko ona miała uciechę. Czy odtwarzała jedną z baśni Ludwika, czy też po raz pierwszy pojęła, jaką dziewczynka z dworu może mieć władzę, w każdym razie kazała dzieciom Florentyny pleść dla siebie wianki, mówić do siebie „królewno”, klęczeć i kłaniać się przed nią do ziemi. Kiedy próbowały się buntować, groziła, że każe je zamknąć w ciemnym lochu z węzami. Brat Karusi, choć najstarszy z gromadki, rozplakał się wtedy w głos, pocierając piąstkami oczy. Gdy babcia to zobaczyła, wpadła w straszny gniew.

– Takie zachowanie nie przystoi damie! – grzmiała. – To grzech

straszny poniżać innych. To hańba. Postąpiłaś niegodnie.

Tamtego dnia wnuczka zawiodła ją po raz pierwszy – i ostatni. Babcia wkrótce zmarła. Tamta historia nabrała teraz nowego sensu, stała się lekcją, którą Wiktoria zamierzała wykorzystać, by z pokorą przyjąć, że przez najbliższe tygodnie nie będzie królewną, jaśnie panią i dziedziczką Łubinowa, ale prostą służącą.

# CZĘŚĆ IV

## Służąca

### ROZDZIAŁ 17

Dorota Łankiewicz mocno trzymała lejce, gdy najętym wozem późnym popołudniem jechały do Łempic. Pogoda była łaskawa, mimo że słońce wstydziło się dnia i chowało za chmury.

– Pierwszy dwór został rozebrany ponad sto lat temu. Na jego miejscu pradziadek pana Łempickiego zbudował rezydencję zaprojektowaną przez włoskiego architekta. Sama panienka zobaczy. To pałac. A jak położony! Z trzech stron otoczony lasami, tylko...

– Tylko? – podchwyciła Wiktoria, trzymając się mocno siedziska, bo droga po zimowych roztopach była nierówna, pełna dołów i wyschniętych, błotnistych wypukłości, na których podskakiwały koła wozu.

– Nie da się wejść do jednego, bo tam nigdy nie opada mgła biała jak mleko. Podobno mieszka tam wiedźma. A może duch wiedźmy? Różnie mówią.

– Taka stara, z haczykowatym nosem i chatką na kurzej stópce? – zaśmiała się dziewczyna, przypominając sobie opowieści Ludwiki.

– Nie, nie. Tamta żyła naprawdę, ze dwieście lat temu. Podobnież żaden mężczyzna nie był w stanie jej się oprzeć, nawet magnaci, choć była prostą chłopką. Sądzi ją w Wilnie i skazali na stos, a ona zamieniła się w upiora i mieszka w starym lesie. Ludzie tak gadają – dodała kobieta tonem usprawiedliwienia, bo choć nieobce jej były zabobony i gusła, uchodziła za osobę trzeźwo patrzącą na życie.

– Dlaczego akurat w lesie? – spytała rozbawiona Wiktoria – Nie powinna straszyć wilnian?



– Tego nie wiem, ale na wszelki wypadek proszę pamiętać, by trzymać się z daleka od tego przeklętego miejsca.

W opowieściach Ludwika postaci czarownic, które o północy ruszają na Łysą Górę, pojawiały się często, ale Wiktoria nigdy nie myślała o nich jak o nieziemskich, upiornych istotach. Kojarzyły się jej raczej ze swojskimi babami w fałdzistych spódnicach, ot chociażby z taką starą Jarzębichą – suchą, pomarszczoną, z jednym tylko zębem i resztkami włosów ukrytych pod cienką chuszczyną. Pamiętała, że gdy jako kilkuletnia dziewczynka poszła z Ludwiką do wsi, Jarzębicha, siedząc na ławce przed chatą, zawołała na jej widok:

– A to ci ładno dziełuska! A chodźże tu bliżej.

Przywarła wtedy mocniej do Ludwika, przekonana, że ta baba jaga jak nic gotowa pochwycić je obie i schrupać na surowo. Lękiem napawały ją szponiaste palce, którymi stara ścisnęła kostur, a wstrętem kępki siwych, sztywnych włosów wyrastających na brodzie. Potem, gdy Ludwika snuła swe barwne opowieści o czarownicach, widziała bezzębną Jarzębichę, jak ta, siedząc na miotle, gna na sabat w asyście innych straszylek.

Wiedźmę, o której wspomniała Tomaszowa, wyobraziła sobie inaczej: jako piękną i demoniczną kusicielkę, która wabi do przeklętego lasu, aby śmiałków więzić przy sobie przez kolejne stulecia.

### *LITWA, PAŹDZIERNIK A.D. 1640*

Vaiva usiadła do kołowrotka, gdy nad wsią rozlała się ciemna noc. W słabym, migoczącym świetle łuczywa przędła konopną nić, a choć miała zwyczaj śpiewać przy pracy, tym razem milczała. Gryząca woń dymu łączyła się z oparami unoszącymi nad kotłem, w którym bulgotała potrawa z rzepy i brukwi. Powietrze było ciężkie, ale to nie dlatego dziewczyna co chwila przecierała oczy.

– I co kwilisz, co kwilisz! – odezwała się Sigita, stając nad nią.

Była krzepka, niestara jeszcze, ale z twarzą naznaczoną ciężką pracą i zmartwieniami. Mówiła cicho, by nie obudzić śpiącego w kącie chaty dziadka, który przykryty starą kapotą posapywał przez sen.

– To ja powinnam się uskarżać, żeś mi się taka trafiła. A skończysz ty jak twoja matka, zobaczysz. I tyle będzie wszystkiego. Tylko żebyś sobie zapamiętała, że ja drugiej hańby dźwigać nie będę.

– Ciotko, jak trzeba, to pójdę w świat, ale nie zmuszajcie mnie, proszę – szepnęła Vaiva, kuląc się, jakby kto ją batem smagnął po plecach.

Czarne psisko leżące u jej stóp uniosło łeb i popatrzyło na nią z niepokojem.

– Pójdiesz, a pewnie! Już cię puszcza! Już tam na ciebie czekają! A co ty masz do niego, co? Kulawy on? Z jednym okiem? Pan na całą wieś, wszyscy mu się przypochlebiają. Poważaliby cię, gadanie by ustało. Tu ci pasuje? W tej bidzie? – Sigita gestem wskazała wewnątrz izby. – Poszłabyś za niego, to i mnie byś ulżyła, i dziadkowi, ale nie. Woli toto tu siedzieć i słozy lać.

Vaiva zacisnęła usta, zwinnymi palcami nawijając nić. Wiedziała jedno. Choćby ją kroili, choćby ogniem przypalali, za kowala się nie wyda. Prawda, ślepy nie był, do tego rosły, silny, w słusznym wieku. Nie odstraszała ją łysa czaszka ani to, że jedno ramię miał wiotkie niczym kibić młodej dziewczyny, a drugie potężne jak pień starego dębu. Odstrecało ją co innego. Łaził za nią od dawna, od kiedy skończyła piętnastą wiosnę. Zdarzyło się przed rokiem, że Sigita wysłała ją do najbliższej sąsiadki, Dainy, po trochę żaru. Ciemno było, ale ona każdą ścieżkę we wsi znała na pamięć, toteż chwyciła kociołek i wybiegła z domu. Gdy wracała, jakiś cień zaszedł jej drogę, a po chwili ktoś ucapił za ramiona. Szarpnęła się i upuściła naczynie z żarem.

– Chodź ze mną.

Natychmiast poznała głos kowala.

– Muszę do domu. – Próbowwała wywinąć się z uścisku.

– Dam ci co dobrego, jak ze mną pójdziesz.

– Nie chcę.

Zaśmiał się wtedy i sięgnął łapą do jej drobnej piersi. Ścisnął mocno, jednocześnie wkładając drugą rękę pod spódnicę. Vaiva krzyknęła i uderzyła na oślep. Kowal, zaskoczony atakiem, puścił ją. Nie zdarzyło się dotychczas, coby jakaś mu odmówiła. Dziewczyna tymczasem pognąła do domu, jakby ją sam bies gonił. Musiała potem wysłuchać, jaka jest nieużyta, jaka durna, że pożytku z niej żadnego. Nie dość, że żaru nie przyniosła, to jeszcze naczynie zgubiła. Lękała się wychodzić po zmroku i pilnowała się, żeby kowala nie spotkać, on zaś szukał sposobności, coby się do niej zbliżyć. Jakże go nienawidziła!

Bać się przestała, kiedy pojawił się pies. Nie potrafiła wyjaśnić, skąd się wziął. Pewnego ranka, gdy wyszła z chaty, zobaczyła leżące przy płocie wielkie zwierzę o czarnej, zmierzwionej sierści. Popatrzyło na nią błyszczącymi ślepiami i kulejąc, poczłapało w jej stronę. Sigita kazała przepędzić straszdyło, ale Vaiva zdążyła już zawrzeć z nim przymierze. Dała mu mleka, suchy kątek do spania i imię. Juodis miał jedną nogę krótszą, podkasany, jakby ucięty ogon i dziwacznie wysuniętą do przodu górną szczękę, przez co ciągle widoczne były jego potężne kły. Wieś nie znała dotychczas tak paskudnego psiska. Dla Vaivy był jednak najdroższym towarzyszem i obrońcą. Spokojny jak cielę, potrafił zmienić się w groźną bestię, gdy ktoś próbował jej dokuczyć. Prężył grzbiet, przez co wydawał się jeszcze większy, i warczał, tocząc ślinę z pyska. I zawsze kończyło się na strachu, bo nikt nie zamierzał sprawdzać, do czego jeszcze jest zdolny.

Vaiva sądziła, że kowal odpuści, bo nijak nie miał do niej

dostępu. Nie przewidziała, że swe zaloty uczyni oficjalnymi i przyśle do niej swatów z gorzałką. Ale było gadania! Wszystkie matki dziewcząt na wydaniu wyklinały ją, że takie pomiotło zabierze najbogatszego kawalera we wsi, a gdy się okazało, że dziewczka odmówiła, nikt nie miał dla niej litości, nawet rodzona ciotka. Zbiłaby siostrzenicę i do kowala na powrozie jak jałówkę zaprowadziła, gdyby się za nią dziadek nie wstawił.

– To nie jest dobry człowiek, Sigito – przekonywał, siedząc przed domem na nagrzanym od październikowego słońca kamieniu.

– Ano pewnie! Ojcu by pasowało, coby ona tak jak Milda wielkiego pana ucapiała i by potem psie wesele miała. Niedobry! – Wzniosła rękę. – A co to? Kowal okradł kogo? Ubił? Każdy mu się w pas kłania. On polewki z rzepy nie je, jego brzuch do innych specjałów nawykły. I tego mu żałujecie?

– A tobie te specjały oczy zamroczyły, że nie widzisz, jaki to niegodziwiec?

Sigita prychnęła coś wtedy pod nosem, ale ustąpiła. Dogadywała jednak siostrzenicy przy każdej sposobności, mimo że już prawie dwie niedziele minęły.

Teraz stała nad nią i znów wylewała żale.

Vaiva przyjmowała słowa ciotki spokojnie, choć słone łzy co rusz napływały do oczu. Wiedziała, co mówią o niej we wsi: bękarcie nasienie, które wzgardziło szczęściem, obłąkana niewdzięcznica, nieodrodna córki matki wszetecznicy. Przyzwyczajona była do obelg, nie pojmowała więc, dlaczego te wszystkie słowa sprawiają jej teraz taki ból. Gdyby tak mogła zabrać się i pójść z wiatrem przed siebie, od kowala, od ludzisków wygadujących na nią, choć nigdy nikogo nie ukrzywdziła, pracowała ciężko i żyła w zgodzie z Bogiem. Gdyby tak mogła pognać daleko, do miejsc, o których tyle rozmyślała w gwieździste noce! Trudno jej było pogodzić się z myślą, że człowiek

rodzi się do określonego losu, że tu, gdzie przyszła na świat, ma też dokonać żywota, że gdzieś tam za rzeką istnieje kraina, której dobrodziejstw nigdy nie pozna. Nie rozumiała głodu duszy, który kazał jej błądzić po lesie, wsłuchiwać się w szelest liści i szum wiatru. Nie potrafiła nazwać swych pragnień ani tym bardziej ich ugasić. Wciąż wspominała ten jeden, jedyny raz, kiedy przed dwoma laty za pozwoleniem wielmożnego pana ciotka mogła opuścić wieś i zabrała ją ze sobą do Wilna. Pojechały z młynarzem, który handlował w mieście, i zostały aż do zmroku. Vaiva po raz pierwszy w życiu zobaczyła domy wielkie jak drzewa w lesie i ręce same składały jej się do modlitwy, bo uznała, że takie cuda musiały być dziełem Boga. Dopiero gdy ciotka wskazała powstający tuż obok Ostrej Bramy nowy kościół<sup>[23]</sup> i uwijających się wokół majstrów i wyrobników, dziewczyna uwierzyła, że za tymi wspaniałościami stoją jednak ludzie. Oczu nie mogła oderwać od kopuł wieńczących cerkiew Świętego Mikołaja<sup>[24]</sup>, a chodząc między kramami na placu Ratuszowym, dziwiła się bezustannie tym wszystkim wspaniałościom, które kusily zapachami, kolorami i dźwiękami. Patrzyła z zachwytem na barwne tkaniny i święte obrazki, wzdychała aromat zamorskich przypraw, które drażniły nozdrza, upajała się widokiem kuglarzy w zabawnych strojach z czerwonego sukna, przysłuchiwała nawoływaniom przekupek zachwalających swoje towary – i wciąż jej było mało. Handlarki uśmiechały się do niej serdecznie, zachęcając, by skosztowała orzechów i owoców maczanych w miodzie. Śmiała się, szczęśliwa jak nigdy. Przycichła dopiero wówczas, gdy minąwszy jatki, zobaczyła drewnianą szubienicę, a obok pręgierz. Poczowała chłód na skórze i strach ją zdjął wielki, ale ciotka wnet pociągnęła ją za sobą do kościoła pod wezwaniem Świętego Kazimierza, gdzie ponownie dała się porwać fali zachwytu. Przez chwilę myślała, że to jeden z tych zamków, o

których opowiadała jej Daina, sąsiadka. Padła na kolana. Nie po to, by uszanować świętość miejsca, ale dlatego, że dłużej nie potrafiła udźwignąć doznań, które przeniknęły jej całe jestestwo.

Tamtego dnia Vaiva się przekonała, że poza ich wsią istnieje świat, w którym ona nie jest bękartim nasieniem, a jedną z wielu dziewcząt, zachwycającą się jak inni cudami życia. Gdyby zgodziła się zostać żoną kowala, może i tu, pośród tych kurnych chałup, gęstych borów i żyznych łąk, baby witałyby ją uśmiechem jak przekupki z Wilna, ale tak wysokiej ceny nie chciała i nie mogła zapłacić.

– Tyś Bogu powinna dziękować, że ktoś cię zechciał wziąć – rozprawiła dalej Sigita. – Bo po tym, co twoja matka... no, wiesz przecie.

Wszyscy we wsi wiedzieli i wciąż pamiętali, jak wiotka Milda została wybrana przez właściciela wsi do służby we dworze w Wilnie. Chłopom się ckliwie zrobiło, że im ta urodna młódka ubyła, do której niejeden zamierował iść w konkury, a dziewczki, nawet te, które do niedawna zwały się jej kumami, puchły z zawiści. Milda służyła w Wilnie całą jesień i zimę. Gdy zjechała raz do wsi, przywiozła najprawdziwsze trzewiki, kolorową chustę dla Sigity oraz uśmiech promienny, który rozświetlał całą jej smukłą postać. Powiedziała, że praca nie jest ciężka, a mości państwo traktują ją dobrze. Sąsiadki spoglądały na nią z podziwem i zazdrością, kiedy przez ubite dróżki paradowała w swych ciepłych bucikach niczym szlachcianka, jakby urągała ich bosym, pokrytym strupami i brudem stopom. Wyobrażały sobie te wszystkie nieodgadnione wspaniałości, które stały się udziałem prostej dziewczki z ich wioski, co to jeszcze niedawno za gęsiami chodziła i tyrała w polu do zmroku.

Wiosną jednak Milda powróciła do domu bez trzewików, bez uśmiechu i bez wianka, za to z nowym życiem kiełkującym w jej łonie. Całe dni spędzała w chacie, z dala od szyderczych spojrzeń,

skazana na gorzkie wymówki Sigity. A to się dopiero baby we wsi radowały! Po raz pierwszy od dawna były gotowe przyznać, że Bóg jest sprawiedliwy.

– A tak się pyszniła! Tak głowę pod niebo zadzierała! – paplały jedna przez drugą.

– Jakby ci była najpiękniejsza we wsi! I żaden z naszych chłopów nie był dla niej dość dobry.

– Pewnie! Głupia myślała może, że kasztelana ucapie. I co? W bajstruka się ubrała!

Gdy na świat przyszła Vaiva, Milda karmiła ją mlekiem zatrutym łzami, smutkiem i tęsknotą za ukochanym, który przez tyle miesięcy zapraszał do alkowy i odzierał z niewinności, kusząc obietnicą wiecznego miłowania, a potem wyjechał w dalekie strony. Wierzyła w czarowne zaklęcia, ufała, gdy zapewniał, że ją poślubi, choć była prostą chłopką, a on synem miecznika.

Vaiva nie pamiętała matki, ale obraz urodziwej i skrzywdzonej rodzicielki głęboko zapadł w jej duszę dzięki opowieściom dziadka i sąsiadki Dainy, która za młodu służyła jako piastunka u chorążego w Wilnie. Staruszka była dla niej jedyną przyjazną duszą. Opowiadała historie tak barwne, że potem długo w nocy dziewczyna zasnąć nie mogła, smakując w pamięci każde słowo. Sigitka nie była rada tym odwiedzinom i nie rozumiała, po co Daina uczy siostrzenicę gadać po pańsku<sup>[25]</sup>. Język polski dobry jest dla tych, co buławki noszą, a nie dla prostej dziewczki, co od świtu do zmroku robotą zajęta. Staruszka tłumaczyła tedy, że to język jej ojca. Był, jaki był, sprowadził hańbę na Mildę i zgryzotę na całą rodzinę, ale nie godzi się zapominać, że we krwi Vaivy płynie także jego krew, pańska krew.

– I pewnie dlatego jest taka nieużyta – odgryzała się Sigitka. – Nic, tylko po lesie by biegła, czas mitrężyła. Bodaj kowala przyjęła...

Tak, Vaiva wiedziała, że naraziła się ciotce, zalotnikowi i całej wsi,

ale uparcie trwała w postanowieniu, zawierając mądrości serca. Nie przypuszczała, jak wielką cenę przyjdzie jej za to zapłacić.



## ROZDZIAŁ 18

### *ŁEMPICE, KWIECIEŃ 1853 ROKU*

Bywają uczucia, które rodzą się powoli, tlą się delikatnie jak płomień świecy, by dopiero po dłuższym czasie zmienić się w pożar niemożliwy do ugaszenia. Bywają też takie, które w jednej chwili porywają, pozbawiają tchu i trzymają w swej mocy już na zawsze. Wiktoria, ujrawszy pałac w Łempicach, pomyślała, że nigdy nie widziała tak pięknego miejsca. To była miłość gwałtowna jak letnia burza. Wzruszenie chwyciło ją za serce i zastygło w gardle, uniemożliwiając wydobycie choć jednego słowa.

Tomaszowa nie wjechała przez paradną bramę, tylko popędziła konia w stronę zabudowań gospodarskich. Tam zostawiły wóz i ścieżką, mijając sad, poszły do bocznego wejścia, prowadzącego do kuchni i przeznaczonego dla służby. Wiktoria nie odrywała wzroku od klasycystycznej budowli, otoczonej zewsząd strzelistymi topolami, rozłożystymi wiązami i jesionami, które tylko czekały, by wybuchnąć zielenią. Wokół olbrzymiego gazonu rosły poprzycinane równo lipy, których nagie jeszcze korony odbijały się w oknach dwudziestojednoosiowego pałacu, składającego się z parterowych bocznych skrzydeł oraz piętrowej części centralnej z sześciokolumnowym portykiem, zamkniętym trójkątnym frontonem. Elewację ogrodową zdobił już nie portyk, a płaski, nieznacznie odstający od ściany ryzalit, podzielony sześcioma pilastrami i zwieńczony dekoracyjnym fryzem. Znać było tu rękę wielkiego artysty, który swe dzieło tworzył z miłością, zachwytem i dumą, mając świadomość, że przez kolejne dziesięciolecie każdy, kto spojrzy na pałac w Łempicach, westchnie rozmarzony: „Ach, żeby tu można było spędzić przynajmniej jeden dzień...”.

Dorota Łankiewicz nakazała gestem, by Wiktoria szła za nią. Nie czuła się dobrze z tym, że dziewczynę, którą powierzono jej opiece, prowadzi na służbę, nawet jeśli w ten sposób miała ochronić ją przed niechcianym narzeczonym.

Ledwie przekroczyły próg izby czeladnej, wyszła im na spotkanie ubrana na czarno kobieta, z pękiem kluczy wiszącym u paska. Ochmistrzyni przywitała się serdecznie z Łankiewiczową, bo znały się od lat, skinęła na Wiktorię i zaprosiła je do swego pokoju w pobliżu kuchni, składającego się z części sypialnej i służbowej.

Pani Róża nie wyglądała na ochmistrzynię, raczej na suchotnicę snującą się po domu resztkami sił. Była niska, drobniutka i tak delikatna jak porcelanowa laleczka, której nie wolno wyjmować z pudełka, bo mogłaby się rozpaść w rękach. Miała wąską twarz, maleńkie usta, maleńki nos, maleńkie uszy, jedynie oczy w oprawie jasnych rzęs były duże i ładne. Skóra twarzy, choć wolna od zmarszczek i plam, przypominała porażone upałem, przywiedłe liście sałaty. Zwiotczałe policzki ciągnęły ku ziemi, nadając buzi poważny i nieco frasobliwy wyraz.

Jak ktoś taki może zarządzać domem i służbą? – pomyślała w pierwszej chwili Wiktoria, oczekując kobiety silnej i zdecydowanej. Zdziwiła się zatem, gdy usłyszała niewiarygodnie mocny, nieco chropawy głos, jakby wydobywał się nie z piersi, a z bulgoczącego kotła. Mimowolnie ściągnęła łopatki, stając na baczność.

– Dostałam wczoraj waszą wiadomość. Bardzo mi przykro, ale spóźniłyście się. Ta posada jest już zajęta. Trzeba próbować za jakiś czas, może coś się zwolni.

Łankiewiczowa usiadła przy małym, prostokątnym stole, odwiązując chustę z szyi.

– Nic się nie znajdzie? Ania robiła sobie takie nadzieje...

– Zwolniło się jedno miejsce, ale nie jest odpowiednie dla panny

służącej. – Ochmistrzyni rozłożyła bezradnie ręce, po czym rzuciła bystrym okiem na Wiktorię. – Młode zazwyczaj ciągną do miasta. Na pewno znajdziecie coś odpowiedniego w Wilnie.

– Co to za miejsce? – wtrąciła cicho dziewczyna, siadając na ławie obok opiekunki.

– W kuchni – zwróciła się do niej ochmistrzyni. – Mówiłam, że to nie dla ciebie, a i ja wolałabym na podkuchenną najwyżej trzynastoletnią posługaczkę, by powoli się przyuczała i potem została z nami na dłużej. Starsze ledwie trochę popracują, a już wychodzą za mąż.

– A w Zielnej nikogo nie szukają? Albo u Hurczynów? – przypomniała sobie Łankiewiczowa.

– Nic mi nie wiadomo, więc pewnie nie. Popytam, może w innym majątku znajdzie się dobra posada. Powiadomię was, jak tylko się czegoś dowiem. A co tam u was, Tomaszowo? Syn nadal w Petersburgu?

Kobiety pograżyły się w rozmowie, a Wiktorja siedziała ze zwieszoną głową, pochłonięta myślami. Nie dawał jej spokoju sen o babci Słoczyńskiej. Uwierał jak kamyk w bucie, drażnił i niepokoił, prowokując do podjęcia decyzji, która byłaby wszelako jednym wielkim obłądem. Łempice zauroczyły ją od pierwszego wejrzenia i gdyby mogła tu pracować jako guwernantka albo przynajmniej garderobiana, nie wahałaby się ani chwili, ale podkuchenna? Stała najniżej w hierarchii służby domowej. Była zwykłym popychadłem, kopciuchem na usługach kucharki. Nie, takiego upokorzenia nie zniesie. Ale wiedziała też, że nigdzie nie byłaby tak bezpieczna jak tu.

– Czas na nas. – Usłyszała głos opiekunki. – Co poradzić, wracamy, Aniu.

– Ja nie wracam – odparła niespodziewanie dla samej siebie. Nie rozumiała, skąd to uczucie pewności, że powinna zostać. – Jeśli

posada podkuchennej jest wolna, to ją przyjmę. Nie mogę wam, ciotko, ciągle na głowie siedzieć.

– Pan... – Łankiewiczowa zdążyła ugryźć się w język. – Pamiętaj, że nawykłaś do innej pracy. Służyłaś na pokojach.

– Cóż to za pomysły, dziewczyno – fuknęła ochmistrzyni. – W Wilnie na pewno znajdziesz odpowiednią posadę. Masz bardzo dobre referencje. Nie ma powodu, byś się degradowała i zaczynała od początku, skoro...

– Bardzo proszę! – Wiktoria zignorowała błagalne spojrzenia Tomaszowej. – Nie służy mi miejskie powietrze i zawsze marzyłam, by robić w pałacu. Jeśli na początku mam zacząć od kuchni, to trudno.

Ochmistrzyni uśmiechnęła się lekceważąco, z niedowierzaniem kręcąc głową, gdy nagle przypomniała sobie okoliczności, w jakich sama przed czterdziestu laty znalazła się w Łempicach. Jej też się dziwiono, ale miała swoje powody. Kto wie, może dziewczyna też chce odpokutować jakieś winy?

– Jeśli tak ci zależy, nie będę oponować – oświadczyła mocnym głosem, łapiąc za pęk kluczy przy pasku, jakby sprawdzała, czy jest na miejscu. – Poręczenie twej ciotki daje mi pewność, że sumiennie przyłożysz się do wykonywania obowiązków i... że będziesz dyskretna.

– Oczywiście. – Pokiwała ochoczo głową.

– Dziś wszystko ci objaśnię, pokażę, a zaczniesz od jutra.

Gdy Wiktoria odprowadzała Tomaszową, ta wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– To szaleństwo. Nedorzecznosc! Czy panienka wie, jak ciężka jest praca w kuchni?

– Przecież to tylko miesiąc, najwyżej dwa.

– Miesiąc? Dwa? Panienka zobaczy, jak trudno dzień wytrzymać –

zniżyła głos. – Nie po to przysłano do mnie panienkę, żeby robiła za dziewczkę kuchenną.

– A ja nie po to tak wiele zaryzykowałam, by teraz wpaść w łapy Gorca. Nie z takim trudnościami radzili sobie moi przodkowie, a jeśli miałyby mnie wystraszyć praca, choćby w kuchni, to znaczy, że moje szlacheństwo nie jest wiele warte.

Dorota Łankiewicz ciężko westchnęła.

– Przyjadę po panienkę. Wystarczy jedno słowo i będę z powrotem.

Wiktoria dotknęła jej dłoni.

– Dziękuję za wszystko. I nie martwcie się o mnie. Poradzę sobie – dodała z chwackim uśmiechem.

A jednak, kiedy patrzyła, jak Łankiewiczowa odjeżdża, poczuła się straszliwie osamotniona.

## ROZDZIAŁ 19

Zebrani w izbie czeladnej służący patrzyli z ciekawością na nową posługaczkę. Wiktoria udawała, że nie dostrzega ich spojrzeń. Kroczyła za ochmistrzynią, która pokazywała jej, gdzie będzie pracować i spać. Z czeladnej wchodziło się wprost do kuchni – królestwa oparów wszelakich i codziennej krzątaniny, w którym berło, a raczej pierwszą chochlę dzierżyła kucharka Urszula. Mówiono, że Bóg nad nią miarę stracił, bo takiej wysokiej niewiasty w tych stronach jeszcze nikt nie widział. Każdy z niepokojem sprawdzał odległość między powałą a jej głową. Izba była wielka, czysta, obielona i dość jasna dzięki dwóm dużym oknom u sufitu, choć znajdowała się w suterenie. Na środku stał prostokątny stół, przy którym młoda dziewczyna pouczana przez drugą, starszą, mieszała ciemną zawiesinę w garnku. Po prawej stronie prezentował się dumnie potężny, murowany piec z kamienia. Nad otwartym paleniskiem wisiał gliniany kociołek, z którego buchały kłęby pary, a obok na kamiennej kuchence z fajerkami gotowała się woda. Po lewej stronie pysznił się okazały kredens wypełniony po brzegi rondlami, formami do pieczenia ciast i pasztetów. Niedaleko niego były drzwi do spiżarni. Półki w szafce uginały się od moździerzy do ucierania przypraw, glinianych naczyń, warząchwi i tasaków. Pod oknem postawiono pień do rąbania mięsa, a nieco dalej beczkę z wodą i wanienkę do mycia statków. Wzdłuż ściany tuż przy wejściu stała szafa z drewna olchowego, intarsjowana czarnym dębem i brzostem ze stalowymi okuciami, która pełniła funkcję apteczki.

Przeszły przez kuchnię, kierując się w stronę niedomkniętych drzwi obok spiżarni. Była to maleńka izdebka z niedużym oknem pod sufitem. Na wprost niego w poprzek ustawiono łóżko, nad którym wisiał upstrzony przez muchy obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Po jednej stronie znajdowała się szafka z miednicą, dzbankiem na wodę i lichtarzem, po drugiej proste, drewniane krzesło, skrzynia i rokokowa komoda na wygiętych nóżkach z pięcioma falistymi szufladami, która kiedyś z pewnością zdobiła pański salon, a na starość przyszło jej dogorywać w służbówce.

– Tu będziesz spała razem z drugą podkuchenną, Rozalią. – Ochmistrzyni odruchowo przejechała palcem po komodzie, z zadowoleniem konstatując, że jest czysta. – Dostaniesz ode mnie fartuchy do kuchni i na pokoje, kostkę mydła i ręczniki. Widzę po włosach i paznokciach, że jesteś czysta, i tego właśnie oczekuję: żebyś dbała o porządek i miała zawsze czyste ręce, gdy dotykasz jedzenia. Możesz rozpakować swoje rzeczy, a potem przyjdź do kuchni. Niedługo będzie wieczerza.

Kiedy ochmistrzyni wyszła, Wiktoria przysiadła na łóżku, błędząc wzrokiem po pustych ścianach. Ścieżka, na którą wstąpiła, uciekając z Łubinowa, stała się wyjątkowo wąska i niewygodna.

Ochmistrzyni, kamerdynerzy oraz garderobiane posilali się w izbie czeladnej. Pozostałej służbie domowej przypadał stół w kuchni. Wiktoria siedziała na jego końcu, sztywna jak spiżowa rzeźba, a choć kawałki smażonego suma pachniały zachęcająco, z trudem wmuszała w siebie każdy kęs.

Irytowały ją harmider, mieszanina intensywnych woni, siorbanie i ścisk, drażniły pytania służących, a jakby tego było mało, twarda ława uwierała w siedzenie. Cierpliwie wyjaśniała, że jest sierotą, że pracowała u zacnej damy pod Warszawą, a po jej śmierci przyjechała do swej jedynej krewnej, do Wilna. W zamian dowiedziała się, że zajęła miejsce po niejkiej Hance, która za męża idzie, że we wszystkim ma się słuchać kucharki Urszuli i że jaśnie państwo są dobrzy, tylko starsza pani to straszna złoźnica.

– Przed świętami wyrzuciła Mańkę, swoją pannę służącą – tłumaczyła jedna z dziewcząt, pracująca na pokojach. – I za co? Za nic! Mańka płakała, prosiła, a ta krzyknęła na koniec: „Precz mi z oczu”. Podobnież jeszcze szczotką cisnęła.

– Wściekła się, bo Mańka bawiła się jej wachlarzem – uzupełnił Franek, chłopak kredensowy, który przez cały posiłek posyłał Wiktorii arseniał zuchwałych uśmiechów.

– Oj tam, zaraz bawiła. Obejrzeć chciała, wielkie mi rzeczy. – Pokojówka przewróciła oczami. – Ale że ona ma hyzia na punkcie tego wachlarza, to zaraz się awantura zrobiła. Mańka poszła, a my tera mamy – zerknęła za siebie, by upewnić się, że drzwi do czeladnej są zamknięte i na wszelki wypadek ściszyła głos – Irminę hrabinę.

– To nowa garderobiana? – spytała Wiktorja, dziobiąc suma widelcem.

– Taka sama jęzda jak jej pani – orzekł Franek z pełnymi ustami. – Dobrze mówię, Agato? – zwrócił się do urodzivej dziewczyny, która razem z Urszulą kucharzyła. – Na ciebie się najbardziej uparła. „A tak mi zrób, a to sobie życzę, tamtego nie życzę” – zaśmiał się, czknał i otwartą dłonią obdarł usta. – Ma się za szlachciankę, bo jej matka w pole rękawiczki zakładała.

– Bo zakładała. – Urszula skórką chleba wytarła talerz. – Jej pradziadowie herby jakieś mieli, ale kiedy to było. No, kończcie rychlej, bo robota czeka.

Zapadło milczenie przy akompaniamencie mlaskania, przeżuwania i posapywania. Wreszcie wszyscy wstali, by w pośpiechu rozejść się do swoich zajęć. Franek mrugnął na Wiktorję, uśmiechnął się szelmowsko, ona zaś stała przez chwilę bezradnie, nie wiedząc, czym powinna się zająć. Po chwili ruszyła do swojej izdebki, ale zatrzymał ją głos Agaty.

– A ty dokąd?



– Ochmistrzyni powiedziała, że mam zacząć od jutra – wyjaśniła spokojnie.

– Hola, hola, a dziś się będziesz wylegiwać? Kto za ciebie posprząta? Przyjechałaś tu pracować czy czas mitrężyć?

Ponieważ Wiktoria nadal stała niepewna, co robić, wtrąciła się kucharka Urszula.

– No, wdziejaj fartuch. Pomyjesz naczynia. Rozalio, posprzątaj ze stołu.

Agata posłała nowej służącej triumfujące spojrzenie i uniosła brew. Nie polubimy się – pomyślała Wiktoria. Gdy zobaczyła ją po raz pierwszy, była pełna najlepszych intencji i nawet przyszło jej do głowy, że chętnie namalowałaby ją, taką urodziwą, hożą, ze złocistymi włosami i apetyczną sylwetką jako boginię urodzaju albo jako *La Belle Cuisinière*, wzorując się na obrazach francuskiego artysty<sup>[26]</sup>.

Zaniechała dalszych dyskusji, bo z Agatą mogłaby się jeszcze spierać, nie powinna jednak kwestionować poleceń kucharki. Włożyła jeden z fartuchów, który dostała od ochmistrzyni, dość gruby, z szarego płótna, i wróciła do kuchni. Najpierw musiała umyć w gorącej wodzie talerze jaśnie państwa. Została upomniana, by miała szczególne baczenie, bo to ślubna zastawa starszej pani, z manufaktury w Limoges, od ciotki – księżnej de Fontbonne. W Łubinowie używało się porcelany z Ćmielowa, bo miśnieński serwis razem z drogocennymi dziełami sztuki i bogatym księgozbiorem babcia Słoczyńska sprzedała, chcąc wykupić syna z carskiej niewoli.

Ostrożnie, sztuka po sztuce, Wiktoria przecierała talerze i półmiski ścierką z odrobiną popiołu, który spod kuchni wymiotła Rozalia, następnie płukała w szafliku i odstawiała na stojącą przy wanience półkę z przegródkami, z której woda spływała do koryta. Kucharka obserwowała te zmagania z wyraźnym zdziwieniem.

– A ty modlisz się nad tymi talerzami czy co? – rzuciła wesoło Urszula. – Może na pokojach jest czas, żeby tak się grzebać, ale tu trzeba szybciotko. Zobacz, ile ci jeszcze zostało do zrobienia.

Wiktorcia czyściła garnki, rondle i sagany, szorowała patelnie, zastanawiając się, czy nie zebrano tu przypadkiem wszystkich naczyń z całej Litwy. Gdy szczęśliwie dobrnęła do końca, Urszula kazała jej jeszcze zamieść podłogę w kuchni, w izbie czeladnej, schody prowadzące na dwór i drugie wiodące na pokoje. Po wszystkim dziewczyna marzyła już tylko o kąpieli i łóżku, a że musiała na jakiś czas zapomnieć o wannie, zadowoliła się miednicą i garnuszką. Kiedy zakończyła ablucje, do pokoju weszła Rozalia. Dziewczyna przez cały dzień zachowywała się dość powściągliwie i milcząco, spojrzeniami jedynie dając do zrozumienia, że jest ciekawa nowej służącej. Teraz udowodniła, że ma język i wie, do czego służy. Paplała nieustannie, z przerwą na pacierz i umycie twarzy. Wreszcie zdmuchnęła świecę i wsunęła się do łóżka.

– Wolisz spać od ściany czy krawędzi? Hanka wołała od krawędzi. Agata nie jest zła, tylko ma humory, ale robi najpyszniejsze słodkości. Takie, że ach, palce lizać. Irmina jest gorsza. Franek mówi na nią „Irmina Kwaśna Mina”. A z Franka też jest dokucznik. Strzela oczami do wszystkich służących, a jak mu coś nie spasyje, to się droczy. Urszula to jego ciotka i ciągle się ze sobą wadzą, bo on nie jest zbyt robotny, a wszystko dlatego, że się w pałacu urodził. Jego matka przysłała do Urszuli i akurat naszły ją bóle, to ją pani Róża położyła u siebie, a jaśnie pani Michałowa dała mu wyprawkę i matką chrzestną została. Ale przez to próżniak z niego straszny.

Wiktorcia, nieco oszołomiona potokiem słów, przesunęła się blisko krawędzi, bo Rozalia była dość korpulentna i zajmowała więcej miejsca. Niezręcznie jej było dzielić łóżko z obcą osobą i zatęskniła za intymnością.

– Właścicielem Łempic jest jaśnie pan Michał Łempicki, tak? – Próbowała ułożyć pod głową poduszkę, ale nie mogła znaleźć wygodnej pozycji.

– No. Starsza pani Oktawia to jego matka i wdowa po jaśnie panie Dominku, co w powstaniu zginął. Żona pana Michała, Agnieszka, to najmiłsza i najlepsza pani. Mają syna, też mu Dominik, po dziadku. O Matko Boska, jaki on piękny. Długo był w szkołach, a teraz wrócił. Wszystkie się w nim kochamy. Jak go zobaczysz, to pojmiesz. Jest taki... – Szukała właściwego słowa, ale musiała się poddać, bo opisanie panicza Dominika przekraczało jej możliwości. – No taki, że aż w piersiach kłuje. I jeszcze jest pan Bernard Hordziejewicz, kuzyn starszej pani. Po powstaniu zabrali mu majątek, to go jaśnie pan wziął do siebie. Ale z niego jest bezbożnik i to tak nieładnie, bo brat starszej pani jest księdzem. Będzie dopiero pięć lat, jak tu nastałam, ale wiem wszystko... – pochwaliła się i ziewnęła głośno.

Wiktoria postanowiła szybko skorzystać z pauzy, by wtrącić jeszcze jedno pytanie.

– Ile miałaś lat, jak zaczęłaś tu służyć?

– A ze dwanaście. Ckniło mi się z początku za matką, ale potem przywykłam. Roboty dużo, to i nie ma czasu na wspominki. – Rozalia przekreśliła się na plecy, odrzucając na bok długi warkocz.

– A nie czujesz się zawiedziona, że tak całe dni w tej kuchni...

– No co też ty mówisz? Przecie to praca w pałacu. To honor. Jak ja nie lubiłam roboty w polu! Albo słońce spiekało, albo zimno było, woda stała i człowiekowi się żyć odechciewało od tej harówki. Matko Boska, a jak mi było ciężko w żniwa. Odbieraj słomę i wiąż powróstem. I zadzieraj te ręce do góry i zadzieraj, a jakie pokłute miałam, jak szczypało. A teraz pole mnie nie obchodzi. I mam swoją własną izbę. A w innych dworach to przy piecu śpią albo pod

schodami, a ja mam łóżko, no razem z tobą. W domu nas było tyle, że zimą, jak wszyscy w izbie spali, to każdy kąć zajęty. Pięcioro na jedną ławę. Nawet przewrócić się na drugi bok nie było jak. I jedzenie dobre, jeszcze matce zaniosę. I nikt mnie tu nie krzywdzi. Od nas jak taka jedna poszła na służbę do Wilna, to nie dość, że ją bili, to jeszcze do wsi z brzuchem wróciła. Nawet nie wiedziała, czyje dziecko nosi, bo używali na niej i pan, i panicz. Paciorki czerwone jej tylko dali i przepędzili. Do stawu by skoczyła, ale ulitował się jeden wdowiec i wziął ją do siebie. A była jeszcze taka jedna... – ziewnęła głośno – ale to ci jutro opowiem, bo spać mi się chce niemożliwie. Dobranoc.

Wiktoria pomyślała, że dziwny to świat, w którym to, co dla jednego jest poniżeniem, dla drugiego zaszczytem. Od natłoku myśli w ogóle nie mogła zasnąć, choć była ledwie żywa. A gdy po kilku godzinach znalazła się wreszcie poza zasięgiem jawy ze sztywną, cerowaną wielokrotnie pościelą, poczuła, że Rozalia szarpie ją za ramię i z powrotem wciąga na siennik w ciasnej izbie, której ciemności rozpraszało światło świecy.

– Wstawaj, za niedługo piąta.

I to była ta chwila, w której zgodziłaby się na wszystko, nawet na ślub z Gorcem, byle tylko znów przyłożyć głowę do poduszki. U Czyżewskich dostawała kawę do łóżka, w Łubinowie przychodziła służąca, która czesała jej włosy i pomagała się ubrać, u Łankiewiczowej ledwie wstała, a już czekało na nią śniadanie. Tu nie mogła liczyć na podobne zbytki. Przeciągnęła się, usiadła i ziewając, sięgnęła po grube pończochy. Nagle podskoczyła przestraszona, bo coś kosmatego otarło się o jej łydkę.

– To Szelma – wyjaśniła Rozalia, podnosząc się z kolan po porannym pacierzu. – Niby kocur, ale tak naprawdę chochlik taki. Urszula mówi, że to dusza potępiona. Wszystko na noc pozamykane,

a on i tak rano wlezie. No nie ma na niego siły. Urszula to się bardzo denerwuje, że on coś wyje albo zabrudzi, ale po tym, jak go wzięli i utopili, a on wrócił, to się tak złąkła, że niech już będzie, mówi. I karmi go słoniną, żeby jej w nocy nie zadusił za to topienie. Naje się potem, Szelma znaczy, i cały dzień go nie ma.

Wiktoria pogłaskała kocura po wyliniałym, szarym grzbiecie, podrapała za uchem, aż ten wskoczył jej na kolana, mruczając głośno.

– Nie pieść się z nim, bo nie ma na to czasu – upomniała ją Rozalia, wydając spod łóżka nocnik. – Pójdę wylać, a ty w piecu rozpal i pod kuchnią.

– To może ja pójdę. Powiedz tylko, gdzie się wylewa nieczystości – zaproponowała Wiktoria pospiesznie, przerażona perspektywą rozpalania ognia.

Będę się musiała tego nauczyć – pomyślała.

Jeszcze się dobrze nie obudziła, ledwie siły miała, by powieki rozewrzeć z resztkami snu na rzęsach, a już za drzwiami czekały na nią garnki, saganki, kierzanka do ubijania masła, kury do oskubania, podłoga do umycia i rejuwach, od którego pękała głowa. Zaraz przyszła Urszula, po niej Agata, która przygotowywała dla pana Michała poranną kawę. Wszyscy ustawieni byli jak w zegarku, jak muzycy w najlepszej orkiestrze. Każdy wiedział, gdzie jego miejsce i co ma robić, ona zaś była jak uliczny grajek, dla którego zabrakło instrumentu i który – o zgrozo – wcale nie zna nut.

Mieszanie kapuśniaku, aby się nie przypalił, nie było trudne, krojenie ozorków, szynki i serów także nie, ale kiedy Urszula kazała oskubać pulardy, śmierć zajrzała jej w oczy. Nie śmiała przyznać, że robi to po raz pierwszy, więc zabrała się do dzieła, ale szybko została zdemaskowana.

– Co robisz?! – Agata stanęła nad nią z miską w rękach. – Tak to sobie możesz rwać włosy z głowy. Chcesz tu tydzień nad tymi

pulardami siedzieć? Rozalio, zajmij się skubaniem i patroszeniem, bo toto takie niegramotne!

Kolejne zadanie okazało się jeszcze gorsze. Franek przyniósł ze spiżarni wielki gar z wodą, w którym moczyła się połowa świńskiej głowy. Pouczono ją, by wyskrobała dokładnie ucho, ryjek i włożyła do saganka z warzywami i przyprawami. Na mdłości jej się zbierało, gdy nożykiem czyściła trupioblada skórę, i jakoś nie mogła uwierzyć, by z tego miała powstać, jak zapewniała Urszula, smakowita rolada z truflami. Próbowwała włożyć głowiznę do saganka, ale nijak się nie mieściła. Rozalia, widząc jej zmagania, podpowiedziała szybko, by złamała kość w szczęce. Wiktoria prędzej złamały własną, uderzając głową o stół, bo nagle zrobiło jej się ciemno przed oczami. Szczęściem na ratunek przybył Franek, który jednym szybkim chwytem zrobił, co trzeba, aż chrupnęło, uśmiechnął się przy tym szelmowsko, oczko puścił i szepnął:

– Oj, Anusia, Anusia, jak ty mi się wywdzięczysz?

Z wrażenia przysiadła na chwilę, łapiąc wdech jak ryba wyrzucona na brzeg, ale już ją Urszula zagoniła do obierania warzyw. Umyj, wytrzyj, oskrob, podaj, szybko, szybko! – i tak do śniadania. Jedząc kapuśniak, z niedowierzaniem patrzyła na stary zegar, wiszący koło szafy. Ósma rano? Chryste, chyba nie dożyję do wieczora. Marzyła o tym, by przespać się choć chwilkę, nawet na krześle, i żeby zmyć z siebie pot, którym nasiąknęły halka i bluzka. Gdyby mnie teraz zobaczył Ankwicz, powiedziała by, że wreszcie jestem na właściwym miejscu – pomyślała.

Zebrała po posiłku naczynia do mycia, a tymczasem Rozalia zalała popiół wrzątkiem, wyszorowała ługiem stół i przetała do sucha, by Agata mogła ustawiać dania i półmiski dla jaśnie państwa, które Franek i kamerdyner zabierali do jadalni. Z zazdrością patrzyła na nich wszystkich. Poruszali się szybko, jakby bez wysiłku. Żartowali,

Agata nawet podśpiewywała, siekając trufle. Ona zaś z trudem dotrzymywała im kroku.

Zdążyła pozmywać po śniadaniu, a już uzbierał się stos naczyń po obiedzie. Dopiero przed wieczerzą mogła odpocząć chwilę wraz z innymi w czeladnej, gdzie nie było tak gorąco i powietrze zdawało się lżejsze, mniej przetrawione kuchennymi woniami. Kiedy pod koniec dnia Wiktoria uporowała się z umyciem podłóg, okazało się, że raz w tygodniu przy sobocie trzeba jeszcze dokładnie wyszorować wanienkę do statków i cebrzyki. Półżywa ze zmęczenia, zniecierpliwiona i zła, w pośpiechu chwyciła garnek z gorącą wodą i chlusnęła sobie wrzątek na prawą rękę. Ból sprawił, że łzy trysnęły jej z oczu.

Urszula natychmiast pociągnęła ją do wiadra z zimną wodą.

– Włóż tu. Ależ ty masz białe te rączyny, upielegnowane – cmoknęła kilka razy, kręcąc głową. – Nie ma co płakać, mało to razy ja się poparzyłam? Trzeba być ostrożniejszą. Dopiero by się narobiło, jakbyś sobie wrzątek na pierś wylała.

– Specjalnie żeś to zrobiła. – Agata miała taką minę, jakby poparzona pierś Wiktorii nie była przykrą perspektywą. – Bo już ci się myć koryta nie chciało. A wiadomo, że z taką ręką to jutro też zmywać nie będziesz i wszystko na Rozalię spadnie.

– To nic... – zaczęła Rozalia, ale ubiegła ją Urszula.

– Specjalnie sobie rękę poparzyła? Ej, pleciesz.

Agata już otwierała buzię, ale zamilkła, bo do kuchni weszła ochmistrzyni, która chciała z kucharką omówić jadłospis na kolejne dni. Pani Róża od razu zorientowała się w sytuacji i niedużym, posrebrzonym kluczykiem wiszącym u paska otworzyła drzwi potężnej szafy, która w swoich trzewiach skrywała liczne skarby i nieprzebrane ingrediencje. Wyjęła pudełeczko z maścią i poleciła Wiktorii, by nasmarowała oparzenie na noc.

Dziewczyna podziękowała i udała się do pokoju. Ręka piekła ją niemiłosiernie. Nie miała sił, by przynieść wodę na mycie, więc jedynie opłukała twarz nad miską i wytarła wilgotną ścierką ciało do pasa. Nasmarowała skórę grubą warstwą maści, ale to nie przyniosło ukojenia. Najchętniej włożyłaby dłoń z powrotem do zimnej wody, ale Rozalia ostrzegła, że zrobią jej się paskudne pęcherze, a jak wytrzyma, to ładnie się zagoi.

Zasypiała z niewesołą refleksją, że Emilia Plater z pewnością nie płakałaby z powodu lekkiego oparzenia i nie omdlewałaby nad przetrąconą świńską szczęką.



## ROZDZIAŁ 20

Pensja kucharek Urszuli i Agaty okazała się szkołą trudną i Wiktoria musiała pogodzić się z tym, że w niej nie będzie prymuską, szczyjącą się wysokimi wynikami i listem pochwalnym. U sióstr Skarżanek odbywały się zajęcia przygotowujące do objęcia nadzoru nad domem i służbą, ale nikt nie uczył jak doprawić *souffle au fromage*, jak porąbać mięswo ani do czego służy ług.

Agata nie należała do cierpliwych nauczycielek.

– Jak to nie wiesz, czy piec ma właściwą temperaturę? To co ty wiesz?! Weź papier i włóż do środka. Jak się zrobi brunatny, to znaczy, że jeszcze za gorący, jak tylko pożółknie, będzie akurat. Ruszasz się, jakbyś szła za pogrzebem.

Raz się zdarzyło, że Wiktoria oberwała od niej ścierką po plecach za to, że się guzdrała, co według Agaty robiła naumyślnie. Poderwała się wtedy i unosząc wysoko podbródek, zawołała z oburzeniem:

– Jak śmiesz!

Agata przez moment się zawahała, nie rozumiejąc, dlaczego zrobiło jej się nieswojo, ale szybko odzyskała animusz.

– Hola, hola! – Złapała się pod boki. – A ty co? Na Irminę się zapatrzyłaś? Hrabiować będziesz? Jak śmiem? A śmiem. A ty myślisz, że jak miałaś wuja na uniwersytecie, to możesz się lenić? Za niskie progi dla ciebie, bo pokojową byłaś?

Wiktoria zazwyczaj nie odpowiadała, tylko rzucała wyniosłe spojrzenie, nie zdając sobie sprawy, że właśnie te spojrzenia i wysoko uniesiona głowa rozdrażniają Agatę najbardziej. Rozumiała natomiast, skąd się bierze niechęć młodej kucharki do garderobianej Irminy, która rzeczywiście zachowywała się tak, jakby praca służącej była wynikiem przypadku, żartu przekornego losu, który zamiast ustroić ją w taftę, perły i przywileje, odział w fartuch, ścierkę i

zafundował wypełnione obowiązkami dni. W izbie czeladnej garderobiana rozmawiała wyłącznie ze służbą pokojową, szczególnymi względami darząc młodego lokaja panicza Dominika, który może by i odpowiedział na jej awanse, gdyby nie Agata. Dlatego też Irmina żal za niespełnionym uczuciem wylewała na młodą kucharkę pod postacią nieustannych pretensji, pouczeń i kąśliwych uwag. Wiktoria była zdziwiona, że pyskata Agata nigdy nie odpowiada na te zaczepki.

– Zna swoje miejsce – wyjaśniła jej Rozalia. – Irmina to kawał cholery, ale ma we dworze mocniejszą pozycję. Starsza pani jest z niej bardzo zadowolona, a dogodzić pani Oktawii to nie lada wyczyn. Irmina niepotrzebnie się ciska, bo Agata i tak za lokaja nie pójdzie. Ona nie chce iść za mąż, tylko marzy, by mieć własną cukiernię.

Któregoś popołudnia, za pozwoleniem pani Róży, Wiktoria mogła przespacerować się po majątku. Był to dzień jej osiemnastych urodzin i przez chwilę wspominała, jak przed rokiem świętowała u Czyżewskich. Razem z Klementyną została odebrana z pensji i przywieziona na Kruczą, gdzie czekał uroczysty obiad, a wieczorem wszyscy razem udali się do teatru na *Cyrulika sewilskiego*. Było radośnie, beztrąsko i bezpiecznie. Teraz cieszyła się, że choć na godzinę może opuścić duszną kuchnię i skorzystać z jasnego dnia. Łapczywie wdychała zapach mokrej ziemi i wystawiała twarz do słońca, nie myśląc o piegach, których zawsze się wstydziła i które Ludwika na próżno starała się usunąć okładami z maślanki. Otuliwszy się chustą, zeszła ścieżką za pałac, gdzie od strony rozległego parku znajdowały się cztery połączone kanałami stawy, a nad nimi wznosiły się malownicze mostki. Dalej rozciągał się mieszany las, jeszcze nagi, ale powoli zmieniający brunatne i szare barwy na rozświetloną zieleń. W głębi parku niedaleko kamiennego

ogrodzenia stała cmentarna kaplica z czterokolumnowym portykiem zakończonym tympanonem i z witrażowymi oknami, ale Wiktoria nie odważyła się zajrzeć do środka. Przeżegnała się tylko i przez żeliwną furtkę wyszła na drogę. Idąc na prawo wzdłuż muru, mogła dojść do zabudowań gospodarczych i sadu, ale wybrała przeciwny kierunek. Ledwie zrobiła parę kroków, przystanęła, wpatrując się w oddalone od niej o ćwierć wiorsty wierzchołki iglastych drzew skąpanych w gęstej mgle. Popatrzyła na las rosnący naprzeciwko dworu, który był przejrzysty i doskonale widoczny. Ten przed nią, zlewający się w pewnym momencie z tamtym, przypominał wielką, kłębiastą chmurę. O ile można było jeszcze dojrzeć stare sosny rosnące w pierwszym szeregu, o tyle kolejne drzewa ginęły w szarobiałej masie. Zapominając o przestrojach Tomaszowej, by trzymała się z dala od nawiedzonego miejsca, ruszyła przed siebie, oczarowana tym niecodziennym zjawiskiem. Droga zmieniła się w dróżkę, a potem nagle się urwała.

Oto dziewczyna miała przed sobą scenerię żywcem wyjętą z ballad Mickiewicza i wcale by się nie zdziwiła, gdyby spomiędzy strzelistych sosen potoczyła się prosto pod nogi głowa bez ciała lub ciało bez głowy i gdyby przy modrzewiu usłyszała jęki potępionej duszy<sup>[27]</sup>. Zrobiło jej się bardzo zimno, choć kwietniowe popołudnie było wyjątkowo pogodne i ciepłe. Wyteżała wzrok, próbując dojrzeć coś przez wilgotną zaporę, i nie rozumiała, dlaczego wciąż idzie naprzód, jakby nogi same ją niosły. I gdy już parę kroków dzieliło ją od wejścia w gęstwinę lasu, zastygła w przerażeniu, bo rzeczywiście usłyszała przejmujące jęki i dostrzegła szary cień wynurzający się spomiędzy tarnin.

– Szelma! – zawołała z ulgą, przykucając, by pogłaskać kota ocierającego się o jej spódnicę. – Napędziłeś mi strachu. Miauczysz jak potępieniec.

W tym momencie przypomniała sobie obawy Urszuli i aż dreszcz ją przeszedł. Szelma chodził tam, gdzie człowiek nie mógł, a choć go topiono, powrócił... Cóż za głupstwa! – zbeształa się, drapiąc kocisko za uchem.

Nagle doleciał do niej ostry głos.

– A ty co tu robisz?

Wystraszona podniosła wzrok. Tuż obok niej na pięknym, gniadym wierzchowcu siedział dość młody jeszcze mężczyzna w eleganckim płaszczu, ale bez kapelusza.

– Wrażenie szukasz?

Podniosła się i otrzepując dłońmi spódnice, spojrzała jeźdźcowi hardo w oczy, gdy wtem przypomniała sobie swoją rolę. Wydukała przeprosiny i chowając głowę w ramionach, pognęła z powrotem do pałacu.

Gdy opowiedziała potem Rozalii o tym zdarzeniu, służąca najpierw zmówiła *Zdrowaś Mario* i zaczęła lamentować, gdzie ją poniosło, a potem dodała, że musiała spotkać jaśnie pana Michała albo pana Ksawerego z Zielnej, bo przyjechał do dworu. Gdyby to był pan Dominik, zorientowałyby się od razu, bo piękniejszego od niego nie ma.

Po zmroku przy wieczerzy Wiktoria zagaiła temat przeklętego lasu i więdźmy.

– Ano siedzi tam poczwara i czeka, aż kto sam jej w łapy wlezie – sapnęła Urszula, ocierając usta. – Niby tutaj człowiek bezpieczny, ale we wsi niejeden zabitą srokę wieszka nad drzwiami, żeby się ustrzec przed Vaivą Miglè.

– U nas matka kawałki gromnicy układała w krzyż – przypomniała sobie Agata.

– Vaiva Miglè? Tak się nazywała? – spytała Wiktoria.

– Wiadomo, że jej Vaiva było. – Urszula oparła łokcie na stole. – A

Miglè to ludzie dodali, bo to litewskie imię oznaczające mgłę.

– A skąd ta mgła?

– Od niej. Tak zrobiła, ażeby nie było widać, jak tam z diabłami ucztuje.

– Podobnież w tym lesie są straszne bagniska – wtrąciła Rozalia. – I niektórzy mówią, że Vaiva to tak naprawdę Łauma, bogini bagien.

– Bogini czy czarownica, któż wie. Jedno pewne: to taki las, że jak wejdziesz, to nie wyjdziesz – podsumowała uroczyście Urszula.

– Można by sprawdzić – stwierdził z humorem Franek, zakładając ręce za głowę.

– No, niejednen już był taki, co sprawdzał, to teraz sprawdza, jak jest w zaświatach. Nie daj Boże, pobłądzić w tym borze. – Kucharka złożyła dłonie jak do modlitwy. – Trzy razy ksiądz święcił, czarta wyganiał i nic nie pomogło. Pamiętam, jak tatulo mówili, że jeden młynarz był bardzo ciekaw, co tam w tym lesie jest. Jakby nie wiedział. Wszyscy wiedzieli, a ten się uparł, wziął syna i poszedł. Dał chłopakowi sznurek i wysłał do lasu, a sam stał na drodze i trzymał drugi koniec. Taki sprytny chciał być. Obmyślił sobie, że syn tam powęszy i wróci. Po sznurku. A nuż tam skarby jakie są albo co? – opowiadała zasłuchanym dziewczętom. – No i stał, i stał, ciemno się już zrobiło, to pomału zaczął sznurek zwijać, żeby syn wracał. Zwinął do końca, a syna nie było. Wołał, krzyczał i nic! Głupi, posłał wiedźmie własne dziecko na pożarcie. Od tego w głowie mu się pomieszało, chodził potem po wsi z tym sznurkiem i dyndał nim ludziom przed oczami. I każdy czekał, kiedy się na tym sznurku powiesi, ale on nie. Łaził tylko i dyndał.

Franek roześmiał się w głos, raniąc tym samym uczucia Urszuli, która oczekiwała innej reakcji.

– Zobaczysz, jak będziesz taki nieużyty, to przyjdzie po ciebie Vaiva Miglè – ostrzegła i wstała od stołu, z łoskotem odsuwając

krzesło.

– A niech przychodzi – rzekł lekceważąco, dłubiąc palcem w zębach.

– Żebyś się nie doigrał, bo jak w końcu przyjdzie, to zobaczysz, co ci zrobi.

– A co zrobi?

– A wszystko. Zobaczysz! I wtedy odechce ci się śmiechów! No! Koniec paplania. Do roboty.

Urszula była tą osobą, która od lat regularnie przypominała Frankowi, co z nim zrobi Vaiva Miglè, za enigmatycznym „wszystko” ukrywając najgorsze strachy, jakie tylko była w stanie pomieścić wyobraźnia. Gdy chłopak był młodszy, myślał, że paskudna wiedźma dłońmi potężnymi jak wrota stodoły zgniecie go na miazgę, podobnie jak tatulo zgniatał muchę albo komara. Jedno pacnięcie i zaatakowany z dwóch stron leżałby na ziemi. Szybko jednak wyzbył się lęków przed Vaivą, bo z natury nie był tchórzliwy. Od jakiegoś czasu obraz szpetnej poczwary, co dzieci porywa i na szufelce lata nocami na Szatryję<sup>[28]</sup>, przesłonił mu wizerunek ponętnej kusicielki, która ukryta pośród mgieł i mroków puszczy, stęskniona czeka na kochanka. Nie miałby nic przeciwko, by zagarnęła go dla siebie i robiła z nim to „wszystko”, o czym myślał, gdy podpatrywał piorące w rzece kobiety. Widok ociekających wodą ud i falujących pod bluzką krągłości zdawał mu się piękniejszy niż złota monstrancja w kościele, którą widział w święta. Po nocach marzył, by to piękno uchwycić, osiąść i zrozumieć. Na osiemnasty rok mu szło, a wciąż obywatł się smakiem, pomimo że natura nie poskapiła mu wdzięku i gładkiej mowy. Niejedna we wsi się za nim oglądała, a matrony cmokały z uznaniem, że akuratny, we dworze urodzony, ho, ho, panisko z niego będzie i zięć najlepszy. Cóż z tego, skoro matka i ciotka Urszula trzymały go krótko.

– Na żeniaczkę ma jeszcze czas, niech się robotą zajmie, leń jeden – mówiły.

Toteż na razie nie pozostawało mu nic innego, jak gasić pożar rozbuchanymi marzeniami o wyśnionej kochance, która przybierała coraz to inną twarz. Od jakiegoś czasu miała twarz nowej służącej Anusi.

Wiktoria dostrzegała jego spojrzenia. Śmiałe zaloty młokosa nie budziły w niej odrazy, tylko pobłażliwe rozczulenie, bo szczerze polubiła Franka i traktowała go jak młodszego niesforne kuzyna.

Wieczorem przed kolacją przykuśtykał do kuchni i trzymając się mocno za nogę, wyrzucił z siebie zboląłym głosem, że gdy wchodził po drabinie do wędzarni po szynki, pośliznął się i spadł. Przedstawił opis cierpień tak dotkliwych, że kamień by się wzruszył, ale nie Urszula.

– O, i taki z niego pożytek – mruzczała zdenerwowana.

Tymczasem Franek rozsiadł się przy stole i ułożył nogę na stołku, domagając się jakiejś maści, a przynajmniej liści kapusty.

– I co ty myślisz? – Urszula wzięła się pod boki, pochylając nad nim jak kura nad pisklętami. – Tak tu będziesz siedział? A kto zanieś strawę do kredensu? W tej chwili bierz półmiski i jazda na górę.

– Ja nie mogę, bo mnie noga boli – pochwalił się bardzo zadowolony.

– A ten pusty łeb cię nie boli?

– My z Anią zanieśmy – zaproponowała ochoczo Rozalia, na co Urszula skwapliwie się zgodziła. Dopiero na schodach służąca wyjaśniła, skąd u niej ten zapał. – Pokażę ci wreszcie panicza Dominika. Zobaczysz, od razu się zakochasz.

Wiktoria westchnęła, nieco rozbawiona entuzjazmem Rozalii dla kwestii, która w ogóle ją nie zajmowała. Stąpała ostrożnie po stopniach, bardziej podekscytowana tym, że po raz pierwszy wyszła

na pokoje. Kredens znajdował się w lewym skrzydle, na samym końcu. Był duży, wypełniony zamykanymi na klucz szafami, w których składano porcelanę, srebra i kryształy. Czekali tam już kamerdynerzy, którzy w liberiach z herbem Łempickich i w białych rękawiczkach przynosili potrawy do jadalni. Wiktoria wciągnęła powietrze, delektując się aromatem zupy z kołdunami.

Litewskie przysmaki trafiły w jej kulinarny gust. Zasmakowała w cepelinach – nadziewanych mięsem pulchnych pyzach ziemniaczanych, zjadała się kwaskowym kindziukiem i wędzonym białym serem. Jedynie ciemny chleb z kminkiem uznała za paskudztwo. Ciężki i wilgotny nie miał nic wspólnego z rumianymi, puszystymi bochenkami Janowej z Łubinowa.

Rozalia podeszła do otwartych drzwi i gestem zawołała Wiktorię.

– Popatrz. U szczytu stołu siedzi starsza pani. Po jej prawej stronie jaśnie pan i jaśnie pani. Po lewej jest pan Bernard i pan Ksawery z Zielnej. Nie widzę panicza... – zakończyła zawiedziona.

Wiktoria wyjrzała dyskretnie, ciekawa państwa, o których nasłuchiwała się tyle pod schodami. Spodziewała się, że surowa i wymagająca pani Oktawia będzie postawną matroną o kilku podbródkach, a tymczasem okazała się istotą równie kruchą i filigranową jak ochmistrzyni. Jasne, niemal białe włosy upięte były w kunsztowny węzeł, który rzeczywiście świadczył o wysokich umiejętnościach Irminy. Siedziała wyprostowana, okryta koronkowym szalem. Z pewnością nie była klasyczną piękną, ale w młodości wielkie, nieco skośne oczy musiały zwracać uwagę i nawet teraz jej twarz, choć pokryta zmarszczkami, przykuwała spojrzenie niepospolitymi rysami.

Pana Michała nie mogła ocenić, bo zasłaniała go uwielbiana i wychwalana przez służbę żona, a choć nie była najmłodsza, wyglądała, jakby zeszła z obrazów Jeana-Baptiste'a Greuze'a, miała



tę samą delikatność i urok, co modelki francuskiego mistrza.

Wiktorija przeniosła wzrok na drugą stronę stołu. Pan Bernard Hordziejewicz, ateusz<sup>[29]</sup>, o którego zasługach w kampanii napoleońskiej i powstaniu listopadowym krążyły legendy, nieco ją rozczarował. Oczekiwała poważnego starca z siwą brodą i urodziwym obliczem, a nie krępego i czerstwego na twarzy jegomościa, śmiejącego się w głos i żywo gestykującego. Mężczyzna siedzący obok niego był tym, którego spotkała przy lesie Vaivy. Zdawał się nad czymś intensywnie myśleć, bo nie reagował na dykteryjki wuja i nieustannie mrużył oczy, jakby męczyło go światło. Dopiero kiedy nóż wypadł mu z dłoni, uniósł wzrok, jakby zbudzony hałasem. Dotknął ust i brody pokrytej krótkim zarostem, chrząkając cicho. Sprawiał wrażenie równie surowego jak wtedy, gdy siedział na koniu.

– Chodźmy już – szepnęła do Rozalii, pociągając ją za rękaw.

– Poczekaj, musisz zobaczyć panicza. Jest! – pisnęła dziewczyna, przyciskając dłonie do ust.

Do jadalni wbiegł młody, szczupły mężczyzna, ucałował dłonie pani Oktawii i matki, przeprosił wszystkich, po czym zajął miejsce, w pośpiechu układając serwetę na kolanach.

I stało się to, czego Wiktorija nie przewidziała. Oniemiała z zachwytu wpatrywała się w Dominika, czując, jak oblewa ją fala dziwnego gorąca.

– Piękny, prawda? – Usłyszała głos Rozalii.

– Piękny... – powtórzyła z szeroko otwartymi oczami.

– Mówiłam! Ale musimy iść. No chodź już.

Wiktorija nie rozumiała, co się z nią stało. Wracała do kuchni jako inna osoba, jakby ktoś czarodziejską różdżką obudził w niej uczucia, które dotychczas były jej zupełnie obce. Myjąc naczynia, próbowała przywołać w pamięci twarz Dominika, lecz jego obraz przysłaniała

mgła równie gęsta jak ta w lesie Vaivy Miglè. Wiedziała jednak, że nigdy nie spotkała mężczyzny o tak fascynujących rysach, żaden nie uśmiechał się w tak piękny sposób. „Wszystkie się w nim kochamy” – przypomniała sobie słowa Rozalii. Tak, zdziwiłaby się, gdyby było inaczej. I nagle poczuła się upokorzona tym, że ten człowiek ma nad nią i wszystkimi kobietami taką władzę. Dawniej po cichu nieco drwiła z koleżanek, które z egzaltacją opowiadały o swoich wyimaginowanych albo realnych ukochanych. Ona wierzyła w związek oparty na małżeńskiej przyjaźni oraz szacunku, a miejsce westchnień, rumieńców, rozanielonych spojrzeń jest w poematach i wierszach. Jakaż byłam niemądra. Jak mało o sobie wiedziałam! – uznała teraz.

Mimo że w nocy nie mogła spać, rano nie czuła zmęczenia. Było jej dziwnie radośnie i błogo...

\* \* \*

Marcin Zacharewicz wszedł do pokoju na sztywnych nogach. Od razu uderzył go zapach mocnych perfum i papierosów. Nie cierpiał przychodzić do cytadeli. Brzydził się tym miejscem i swoim uwikłaniem.

– Wzywałeś mnie, wuju – rzucił sucho.

Piotr Gorc podniósł się zza potężnego biurka.

– Owszem. Wróciłeś do Warszawy kilka dni temu i jeszcze się nie pokazałeś.

– Byłem zajęty.

– Ty zawsze jesteś zajęty. I pewnie z racji wielu obowiązków nie mogłeś spędzić Wielkanocy ze mną, co?

Zacharewicz popatrzył mu prosto w oczy.

– Przecież ty nie obchodzisz katolickich świąt, wuju.

Gorc się uśmiechnął.

– Nie próbuj mnie prowokować. – Założył ręce na piersiach. – No

dobrze, dość o tym. Chcę, żebyś jak najszybciej pojechał do Wilczych Dołów. Przypilnujesz tam wszystkiego pod moją nieobecność.

– A rządcą?

– Rządcę też trzeba przypilnować.

– Rozumiem. Wyruszę jutro z samego rana. – Już miał wychodzić, gdy jeszcze zatrzymał się przy drzwiach. – Wuju, a co z panną Słoczyńską? Znalazła się?

– To tylko kwestia czasu, nie musisz się tym zajmować – odparł z triumfującym uśmiechem Gorc, choć jego oczy pozostały zimne jak lód.

### *LITWA, A.D. 1641*

Zima mijiała spokojnie. Ludzie łapali oddech przed wiosną, spotykali się po chałupach, robiąc ścieżki w kopnym śniegu, i jak co roku zastanawiali się wspólnie, czy starczy im zapasów, czy też będą głodować na przednówku. I nagle jakby лихо wpadło do wsi. Pierwsza zaniemogła żona młynarza. Poty na nią biły, gorączka paliła wnętrzności i nim ktokolwiek zdążył zmówić zdrowaśkę w jej intencji, zeszła z tego świata. Potem przyszła kolej na starą żebraczkę, która zimą pomieszkiwała to u jednych, to u drugich, następnie gorączka powaliła pięcioro dzieci Kluźbichowej. Strach błądy padł na wioskę. Ludzie przestali się nawiedzać, ściany łatali zebrany w lecie mchem, by zło przystępu do nich nie miało, ale co rusz trzeba było pospiesznie zbijać trumnę i dźgać zmarzniętą ziemię, coby choć płytki grób wykopać.

Vaiva pierwsza zauważyła, że z dziadkiem dzieje się coś niedobrego. Nocą zaczęło męczyć go pragnienie, którego nie mógł ugasić, i nim przyszedł ranek, skonał, nie zdążywszy nawet zamknąć oczu. Sigita okadziła chatę jałowcem i ziołami, ale na nic zdały się próby przepędzenia zarazy. Dwa dni później i ona poczuła bijące na nią poty i niemożliwe do wytrzymania gorąco w piersiach. Vaiva

poiła ją wywarem z suszonego piołunu, kwiatu lipy i wrotyczu, toczyła po wychudłym ciele jajo od kwoki, by przepędzić chorobę, a nawet zabrała przepoconą koszulę ciotki i wraz z siennikiem wrzuciła w rwący nurt rzeki, by gorączka popłynęła precz. Na nic się to jednak zdało, podobnie jak modły do zmartwychwstałego Boga i adoracja najstarszego dębu w lesie. Sigita słabła, rzucała się na posłaniu i dyszała głośno, aż po kilku dniach, nad ranem się uspokoiła, popatrzyła zupełnie przytomnie i rzekła ze smutkiem:

– Tak mi żal, że... że to już. – Chwilę potem westchnęła po raz ostatni i było po wszystkim.

Vaiva wypłakała wszystkie łzy, z pokorą, a może nawet rezygnacją czekając, aż i ona dołączy do ciotki i dziadka, ale stało się inaczej. Nie zmogło jej choróbsko. Morowa dziewczica zaspokoila apetyt, nakarmiła się ludzką niedolą i odeszła tak nagle, jak nagle się pojawiła. Wieś odetchnęła.

Kowal szybko postanowił wykorzystać szansę, którą zesłał mu los. Pewnego wieczora poszedł pod las do Vaivy, coby zabrać to, co – jak uważał – od dawna mu się należało. Nie mogło się lepiej poukładać. Dziewka została sama i teraz robi z nią, co będzie chciał. Wziął kostura, żeby psisko przegonić, ale nie zdążył nawet progu izby przekroczyć, gdy Juodis skoczył mu do gardła i powalił na ziemię. Kowal mało ducha nie wyzionął ze strachu, widząc nad sobą ostre kły i toczącą się z pyska ślinę, która kapała mu prosto na nos. Vaiva zawołała psa, który z niechęcią puścił swą niedoszłą ofiarę. Kowal zerwał się na nogi, otarł twarz, splunął i zaklął siarczyście.

– To jeszcze nie koniec. – Wymierzył w nią palec. – Popamiętasz mnie, suko!

Wracał do domu wściekły, sponiewierany i mało nie pobił swych pomocników w kuźni, którzy od dawna wykonywali za niego robotę. Gdy raz przyszła do niego sąsiadka, co to jej pomór zabrał córkę i

wnuka, postanowił, jak przystało na kowala, kuć żelazo, póki gorące.

– Tyle biedy, tyle nieszczęścia, zgryzota w każdej chałupie – żaliła się baba. – Skąd się ta zaraza wzięła? Czyje grzechy ją zwabiły?

Kowal wypuszczał zatrute strzały jedna za drugą, tak że wkrótce w całej wsi mówiło się tylko o Vaivie. A to nie ona urodzona w grzechu? A wiadomo, z kim matka ją miała? Czy nie z czartem jakim? Ktoś przypomniał sobie, że Vaiva nocą ganiała po lesie, zaklęcia odprawiając, ktoś inny się zarzekał, że widział, jak nożem dźgała bochen chleba i wzrokiem rozniecała ogień. Jedna baba uznała, że jej córka – pokraczna, dziobata i tępa jak siekiera po wyrębie lasu – to efekt czarów, klątwy jakiej. Następna wreszcie pojęła, czemu ongiś krowa padła. A jeszcze jedna odkryła, kto skradł czarnego koguta. A to nie dziwne, że dziadek i Sigita pomarli, a ona żyje? Takie słabowite chuchro? Ubiła ich, coby świadków nie mieć swych praktyk szkaradnych. I kowala odrzuciła, bo ona z diabłem żyje.

– To wiedźma – mówiono coraz głośniejsze i pewniej.

– Wiedźma – powtarzały chłopy, obarczając ją winą za swe rozpustne myśli.

– Wiedźma! – sfluwały na jej widok baby, które wciąż nie mogły darować Mildzie trzewików. – To ona sprowadziła na wieś zarazę. Wygnać ją, wygnać!

Na początku co mężniejsi mieszkańcy wioski za podszeptem kowala zdecydowali, że wpierw trzeba pozbyć się psa, bo to najpewniej sam diabeł. Wielki i czarny, chowa ogon pod siebie, by nikt nie dostrzegł, że to ogon czartowski. A nocami pewnie oddaje się lubieżnym uciechom z Vaivą, czarownicą. Zebrało się pięciu chłopa, uzbrojonych w widły i żelazne gwoździe, coby ich chroniły przed urokiem, i pewnego ranka wtargnęli do chaty pod lasem. Juodis rzucił się w ich stronę, zęby szczyrzył, kąsać chciał. Wycofali się za próg i otoczyli zwierzę kołem, za nic mając błagania Vaivy. Zbiegła

się wieś prawie cała, by popatrzeć, jak dzielni wojacy rozprawiają się ze złem. Był wśród nich także kowal, który z uśmiechem napawał się krzywdą tej, która go odtrąciła. Ktoś przytrzymał szamocącą się dziewczkę, by nie ruszyła na pomoc swemu zaklętemu w psa kochasiowi. Krzyki gawiedzi zagłuszyły słaby głos Dainy.

– Zawrzyj gębę, stara, bo i ty wideł posmakujesz. Z wiedźmą trzymasz? – rzekł do niej jeden młodzik, któremu jeszcze niedawno nos wycierała.

Juodis nie miał szans. Jego przeraźliwe wycie rozniosło się echem za las, gdy legł na zmarzniętej ziemi. Brocząca jucha szybko wsiąkała w śnieg. Vaiva dopadła do psa, położyła na kolanach jego ciężki łeb i zapłakała głośno nad swym obrońcą i przyjacielem. Chłopi zaś dumnie wypięli piersi. Do domów wracali podbudowani wyczynem i przepełnieni buzującą w nich odwagą. Wzruszeni swym męstwem prawie płakali. Oto dokonali wielkiej rzeczy, a ich zasługi zostaną wynagrodzone w niebie i na ziemi. W końcu nie co dzień zwycięża się samego czarta!

Vaiva tymczasem owinęła Juodisa starą kapotą dziadka, pogrzebała przed chatą, a potem długo płakała w ramionach Dainy.

– Co ja im zrobiłam, czym zawiniłam?!

Wydawać by się mogło, że wieś nasyciła się już krwią, że ludzie ukarali tę, która była winna wszystkich ich nieszczęść, ale gdzież tam. Zadżganie Juodisa tylko ich rozochociło. Ktoś musiał zapłacić za biedę i głód, za pomór, który zabrał ich najbliższych, za grzechy, które plamiły sumienia. Naradzali się u kowala, co zrobić z Vaivą. Jedni mówili, że trza ją wygnać, inni twierdzili, że wtedy mścić się będzie i jeszcze większe szkody na wieś spadną. Wiedźmę trzeba spalić. Tak jest! Spalić wiedźmę! I to zaraz. Niech zapłonie stos! I tu kowal, udając zatroskanie, uspokoił gawieź. Pod sąd ją trzeba oddać, po co wieś ma sobie ręce kalać zbrodnią, choćby i konieczną. Od tego kat

jest przecie.

Gdy mości pan, który przed kilkoma laty odkupił wieś od miecznika, dowiedział się o chłopskim konflikcie, na początku protestował przeciw ich naleganiom.

– Oj, głupi, głupi, mało wam nieszczęść? Da się dziewce porcję batów i starczy – oponował.

Ale jeśli tak prosić, tak namawiać, po kolei wszystkie swe szkody wymieniając, że wreszcie pan przekazał sprawę wójtowi. Bildziukiewicz<sup>[30]</sup>, który urząd ten piastował od dwudziestu lat, wyraźnie się ożywił. Proces o czary to przyjemne urozmaicenie po wieszaniu zbójców i złodziei. Niech ludzie mają widowisko. Właściciel wspomniał jeszcze na odchodnym, że jeśli trzeba, niech skażą dziewczkę, ale tylko ją. Dopiero co zaraza wymiotła mu połowę wsi i jak tak dalej pójdzie, nie będzie miał kto robić w polu.

Następnego dnia straż przyjechała po Vaivę. Skrępowali jej ręce i wsadzili na wóz. Daina krzyczała wniebogłosy, ale jedna z bab chwyciła ją mocno za ramiona.

– Przestańcie, bo i was zabiorą za to, żeście się z czarownicą sprzymierzyli.

Vaiva rzuciła ostatnie spojrzenie na swą chatę, przeniosła wzrok na ludzi, którzy stadnie się zgromadzili, ściskając w dłoniach wyroby z żelaza i poświęcone krzyżyki, coby odeprzeć wiedźmowe uroki. Niektórzy pokłonili się wcześniej wężom, które trzymali w kącie chaty, aby miały na nich baczenie. Wielu urągało Vaivie w najlepsze, ale byli i tacy, w których nagle obudziło się miłosierdzie. Bo po prawdzie, czy ona im kiedy co złego zrobiła? To biedne chuchro, co ledwie się na nogach trzyma, czarownicą? Pospuszczali głowy, ale kowal stał zadowolony jak kocur w pańskiej stodole. Zbliżył się do wozu i zdążył jeszcze szepnąć dziewczynie:

– Mówiłem, że mnie popamiętasz.

## *ŁEMPICE, KWIECIEŃ 1853 ROKU*

Wiktoria była zbyt dumna, by wypytywać Rozalię o Dominika, lecz prowadziła rozmowę w taki sposób, aby służącym sam rozwiązał się język. Jak się okazało, najwięcej do powiedzenia miała Urszula.

– Panicz to kropka w kropkę świętej pamięci jaśnie pan Dominik – mówiła, gdy wszyscy siedzieli w kuchni przy obiedzie. – Tamten też był taki urodny. Pani Oktawia szalała za nim. Jak zginął w powstaniu, aż taka stara jeszcze nie była, po czterdziestce. Niektórzy mówili, że pewnie jeszcze wyjdzie za mąż, ale ja od razu wiedziałam, że nie. Są takie kobiety, które kochają tylko raz w życiu. A w tym samym roku, co to zginął starszy pan, dostała na pociechę wnuka. I Dominik mu dali. I starsza pani tak za nim szaleje, jak kiedyś za mężem szalała. A zresztą, wszyscy za nim szaleją. Dobrze mówię? – zwróciła się do pokojowych, które zachichotały, posyłając sobie porozumiewawcze spojrzenia. – I nie popsuło go to kochanie, nie rozpuściło. Od dziecka kryształ.

– Kryształ, kryształ – burknął Franek, choć z typowym dla siebie humorem. – Bo ciotka to się obcyymi zachwyca, a swoich to gani.

– A żeś ty se pyska nie połamał, jak z tej drabiny zleciałeś. Jak do roboty, to go noga boli, jak do pyskowania, to pierwszy – odgryzła się kucharka.

Wiktoria, widząc, że rozmowa schodzi na niewłaściwe tory, szybko podsunęła wątek.

– Panicz to chyba najlepsza partia na okolicę?

– A jakże! – Urszula zgarnęła łyżką resztki cepelinów. – Przyszły dziedzic Łempic, ho, ho.

– Jakby był taki wspaniały, jak mówicie, toby się już dawno ożenił – stwierdziła Wiktoria.

– Ale przecie się żeni.

Dziewczyna otrzymała cios prosto w serce.



– A jaką ma piękną narzeczoną! Panicz zapatrzony w nią jak w obraz. Tak jak on jedynaczka, posażna. Po żniwach nas czeka weselisko i będziemy mieć jeszcze jedną panią w łempicach – oznajmiła Urszula.

Wiktorii mało ziemniaki nie stanęły w gardle. To nieprawda! Bóg nie może być tak okrutny, żeby rozkochać ją w mężczyźnie, który żeni się z inną. I naraz obudził się w niej duch walki. Gdyby mnie poznał, gdyby zobaczył, gdybym mu mogła powiedzieć, kim jestem... Boże, błagam, pomóż mi, niech mam szansę!

Ponieważ Franek wciąż skarżył się na nogę, to Wiktoria chodziła z Rozalią do kredensu. I za każdym razem stawała dyskretnie przy drzwiach, by choć przez chwilę spojrzeć na Dominika. Chłoneła go całą sobą, próbując zapamiętać każdy detal. Rysowała w pamięci ciemne, nieco dłuższe włosy, ciemne oczy i wyraziste brwi, prosty nos, wysokie kości policzkowe i piękne, kształtne usta. Najpiękniejszy był jednak uśmiech. Dominik rozchyłał delikatnie wargi, mrużąc powieki. Wyglądał wówczas, jakby nosił w sobie słodką tajemnicę, którą nie zamierzał się dzielić. Wiktoria próbowała przypomnieć sobie rzeźbę albo obraz mężczyzny, który mógłby się z nim równać, ale daremnie. Wszystko też wskazywało, że jego charakter dorównywał nieprzeciętnej urodzie.

Zastanawiała się, kim była dziewczyna, którą pokochał. Czym zasłużyła sobie na takie szczęście?

Na odpowiedź nie musiała długo czekać. Okazało się, że państwo Ruczyńscy z córką Elizą zapowiedzieli się na wieczerzę następnego dnia. Franek czuł już się dobrze, ale Wiktoria poprosiła Urszulę, aby mogła mu pomóc. W końcu trzeba zanieść do kredensu więcej potraw, a potem będzie dużo sprzątanego. Musiała zobaczyć narzeczoną Dominika, spojrzeć na tę, którą modlitwami chciała usunąć z jego życia.

Gdy już wszystkie półmiski ustawiła na stole, stanęła przy drzwiach, szukając wzrokiem dziewczyny, ale zasłaniali ją rodzice. Zniecierpliwiona przeszła na drugą stronę i udając, że poprawia wiązanie przy fartuchu, lekko się wychyliła. Najpierw zauważyła modną fryzurę: ciemne, niemal czarne włosy z przedziałkiem ułożone w fale i ozdobione grzebykiem z perłami. Zaraz potem dostrzegła pełny profil Elizy. Cofnęła się i oparła plecami o ścianę.

– Co ci? – Franek podszedł bliżej.

Nie odpowiedziała, tylko pokręciła głową, dając do zrozumienia, że nic jej nie jest, i zeszła do kuchni. Narzeczona Dominika była równie doskonała jak on sam. Wiktoria w życiu nie widziała kogoś tak pięknego, no może poza swoją matką. Jeszcze się łudziła, że może panna nie posiada innych zalet, może jest nudna albo złośliwa, albo zwyczajnie nierozgarnięta. Wieczorem, gdy kładła się spać, Rozalia rozwiąła jednak jej nadzieje.

– Mówiła mi kuzynka, która służy u Ruczyńskich, że panienska Eliza jest bardzo dobra i nigdy złego słowa nie powie służbie, nigdy nie uderzy, nie nakrzyczy. A jak gra na fortepianie! Czasem to aż w kuchni słyhać, jak z paniczem Dominikiem ćwiczą na cztery ręce. Może po ślubie będziesz mogła zostać jej garderobianą? Na pewno cię wezmą, bo jesteś obyta i wysłowić się potrafisz. Pomyśl tylko, taka dobra i piękna pani.

Jeszcze chwila, a wytarga Rozalię za włosy. Oto panna Słoczyńska poznała, czym jest piekło zazdrości.

## ROZDZIAŁ 21

Na nabożeństwa wiosną i latem łempiccy jeździli do Wilna, do kościoła Świętej Teresy, zimą i jesienią, a także w deszczowe dni msze odbywały się w domowej kaplicy i uczestniczyć w nich mogła również służba.

Wiktorija stała na samym końcu wraz z Rozalią i kilkoma folwarcznymi dziewczynami i choć ręce miała splecione w modlitwie, jej wzrok, zamiast być utkwiony w kopii obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, szukał Dominika. Nie było to łatwe, bo stojąca bliżej służba zasłaniała jej widok. A jednak świadomość, że on jest tak blisko, że może na niego spojrzeć, gdy będzie wychodził, napełniała ją słodyczą i na krótko koiła tęsknotę. Miała nadzieję, że formalności związane z wyjazdem do Paryża potrważą jeszcze długo, bo nie potrafiła sobie wyobrazić, by teraz mogła opuścić Łempice. Zdawała sobie sprawę, że szaleństwem jest marzyć o tym, co niemożliwe, ale nie potrafiła zmusić serca, żeby przestało bić. Teraz lepiej rozumiała pannę Michalinę – jakże trudno jest się oprzeć uczuciu, choćby najbardziej bzdurnemu i grzesznemu!

Zazwyczaj w ciągu dnia Wiktorija nie miała zbyt wiele czasu, aby myśleć o swojej beznadziejnej miłości. Mimo że w kuchni radziła sobie coraz lepiej, rola Anusi Zagórzanki zaczęła ją jeszcze mocniej uwierać. Przeszkadzały jej zbyt krótkie włosy, które można było spleść w warkocz ledwie zasłaniający kark, przeszkadzały szorstkie dłonie z łamiącymi się paznokciami, przeszkadzała woń dymu i pieczonego mięsa, która zdawała się wypełniać pory skóry, przeszkadzało to wszystko, co tworzyło przepaść między nią a Dominikiem. Brakowało jej intelektualnej podniety, oczy tęskniły do książek, ręce do pędzla. Nagłe romantyczne uczucie wprowadziło ją w stan dziwnego rozedrgania, mieszanki euforii i zniechęcenia,

radości i smutku. Wyciszała się, gdy mogła choć na chwilę wyjść z dworu. Biegła wtedy nad rzekę, mostkiem przechodziła na drugą stronę do lasu, gdzie w alei opierała się o pień starej lipy i oddychała głęboko. Nie przeszkadzał jej deszcz ani wiatr, wystarczyło, że pobyła chwilę w leśnym gwarze. Wracała potem do pałacu spokojniejsza. Ludwika powiedziała kiedyś, że kto potrafi żyć z przyrodą, kto ją kocha i szanuje, nigdy nie będzie samotny. Wiktoria uważała, że z tą samotnością różnie bywa i czasami nic nie jest w stanie jej wypełnić, ale natura jest niewątpliwie źródłem ukojenia i siły. Nie dziwiła się, że dawnymi czasy ludzie czcili drzewa jak bóstwa, bo gdy patrzyła na sękaty pień lipy albo rozłożyste, sięgające obłoków korony dębów, miała ochotę pokłonić się nisko tej potędze uwięzionej między słońcem a czeluściami ziemi.

Czasami podchodziła pod kamienny mur i z daleka spoglądała na las Vaiivy Miglė. Mgławica unosiła się nad sosnami niczym opary nad wrzącym kotłem. Jesteś prawdziwą wiedźmą czy tylko bohaterką ludowych wierzeń? – zastanawiała się. Prawdziwa wiedźma...

Dawniej powiedziałyby, że to baba Jarzębicha z kosturem, ale teraz wizerunek ten nabrał nowych barw i zyskał nieco subtelniejszą kreskę. Czarownica... Niczyja córka, niczyja siostra, niczyja żona, nieskrępowana gorsetem i nakazami, wolna, niezależna, za towarzyszy mająca siły natury. Szkaradna, a może jedynie pozbawiona cnót uznawanych za niewieście. Nie łagodna, lecz silna, nie lękliwa, lecz odważna, nie bezrozumna, lecz mądra, nie uległa, lecz dzika.

Wiktoria pociągało takie wcielenie kobiecości, bo było ono sprawcze, nadające swój własny rytm kolejnym dniom, a ona już dawno zrozumiała, że nic tak nie dokucza w życiu jak bezradność.

### *LITWA, WILNO, MARZEC A.D. 1641*

Głód nie przeszkadzał jej aż tak bardzo. Była do niego

przyzwyczajona jak do robactwa, które latem wciskało się do chaty przez każdą szparę i gryzło w nocy. Towarzyszył od czasu, gdy matka odstawiła ją od obfitej piersi, zamykając dostęp do źródła słodkiego pokarmu i sytości. Głód ćwiczył wyobraźnię, kiedy gryzła chleb z mielonego perzu i surową rzepę, rojąc sobie, że to plaster słońiny albo kawał pieczonej gęsi, którą raz jeden skosztowała u Dainy.

Gorzej było z zimnem. Przenikało do kości, mroziło krew, skórę, wszystkie członki i sprawiało niewypowiedziany ból. Wywlekli ją z chaty niespodzianie, bosą, a choć miała na sobie grube odzienie, zdarto z niej ciepłą spódnicę i wełniany kubrak ciotki. W zamian dostała o wiele za dużą płócienną koszulę. Ogrzewała ona tyle co pajęczyna i nieustannie zsuwała się z wychudzonych ramion. Dawniej Vaiva otuliłaby się włosami jak futrzanym płaszczem, ale gdy tylko wrzucono ją do lochu w ratuszu, obcięto czarne pukle do skóry. Mamrotano przy tym, że w takiej gęstwinie niejeden diabeł mógł się ukryć. Ale i to im nie wystarczyło. Pozbawiano ją każdego włosa na ciele, wystawiając niewinność na dotyk obcych dłoni i widok obcych oczu. Nie rozumiała, co złego uczyniła, że wiedźmę z niej zrobili. Ci sami, którzy po równo czcili węże i Jezusa Zbawiciela, którzy pielęgowali wiarę przodków, którzy szacunkiem darzyli wiedźmy i bardziej bali się Perkūnasa<sup>[31]</sup> niż piekła, nagle uznali, że zagrażają im pies i samotna dziewczka? Nie żałowała, że odrzuciła kowala, wszak nijakiego prawa do niej nie miał. Była gotowa zapłacić najwyższą cenę. Bała się tylko bólu i cierpień, które jej zadadzą.

Nazajutrz przyprowadzono ją na przesłuchanie do sali, gdzie przy długiej ławie siedziało kilku mężczyzn. Jeden z nich trzymał w gotowości pióro.

- Czy to prawda, żeś zarazę sprowadziła na wieś? – spytał wójt.
- Nieprawda – zaprotestowała gwałtownie, drżąc z zimna i

strachu.

– Czy to prawda, że wzrokiem ogień rozniecasz?

– Nieprawda.

Wówczas dali znak i z głębi sali wyłonił się niski mężczyzna z twarzą pokrytą dziobami i bliznami. Jako że kat wykonywał wyrok w innym mieście i jeszcze nie powrócił, obowiązki przejął hycel. Zdarł z niej odzienie, a wtedy jeden z ławników podszedł i zaczął ją oglądać z każdej strony.

Vaiva próbowała się osłonić, ale hycel uderzył ją brutalnie po dłoniach. Stała więc, a łzy wstydu i upokorzenia płynęły jej po twarzy. Pozostali mężczyźni dostali niezdrowych rumieńców, zaczęli mlaskać i wlepić w nią lubieżny wzrok.

– Mam! – zawołał z trumfem ławnik, odwracając ją tyłem do zgromadzenia. – Spójrzcie tylko na prawy pośladek. Wszak to wyryta litera L. Sam Lucyfer podpisał się na jej ciele.

Mężczyźni pokiwali głowami z fałszywą zgrozą.

– To blizna – sprzeciwiła się Vaiva. – Upadłam w rzece i rozcięłam skórę na ostrym kamieniu.

– Łżesz, przyznaj się!

Gdy nie ustępowała, hycel z całej siły uderzył ją w twarz. Padały kolejne pytania. Czy to prawda, że żyła z diabłem pod postacią psa? Na kogo rzuciła urok? Jakie spowodowała plagi? Kto jej pomagał? Któremu demonowi służy? Za każdym razem odpierała zarzuty.

– Jestem niewinna, nic złego nie uczyniłam – powtarzała.

Ławnicy splunęli dziewczce pod nogi i kazali ją zabrać. Oświadczyli przy tym, że dają jej szansę. Niech się w nocy pokaja przed Bogiem i przyzna do wszystkich bezceństw, a jeśli dalej będzie taka uparta, już oni znają sposoby, by wyciągnąć z niej prawdę. Po Vaivie przyprowadzono świadków: kowala, kilku chłopów i dwie baby. Klęli się na wszystkie świętości, że oskarżona ma uroczone oczy. Wystarczy,

że spojrzę tylko, a zboże czernieje, ze źródła żaby skaczą, a chleb w dzieży rosnać nie chce. Opowiedzieli o zarazie, o gusłach, jakie czyniła, a jedna baba, z tych, co to do śmierci miała pamiętać o trzewikach Mildy, przysięgła, że widziała, jak Vaiva nacierała się krwią z jej czarnego koguta.

Nazajutrz hycel przyprowadził dziewczkę na miejsce tortur. Była to izba ciemna, duszna, bez okien. Mrok rozpraszało jedynie światło pochodni. Za stołem siedzieli ci sami ławnicy z wójtem na czele. Na ich twarzach znów gościło lubieżne podniecenie.

– Czy przyznajesz się, żeś czarownicą?

– Nie!

– Mistrzu, czyń swą powinność.

Wtedy zbliżył się do niej wysoki i rosły jak niedźwiedź mężczyzna. Ubrany był na czarno, jedynie płaszcz miał szkarłatny. Dłońmi odzianymi w rękawice obnażył ją przed wójtem i ławnikami, chwycił bat i rozpoczął chłostę. Vaiva uchylała się, próbowała zasłaniać rękami, ale nie uniknęła palącego bólu.

– Czy przyznajesz się, żeś z diabłem żyła?

– Nie! – zaszlochała.

– Mistrzu, wahadło.

Kat stanął przed nią i opuścił na plecy kaptur. Twarz miał dziwną, ni to szkaradną, ni to piękną. Kości policzkowe tak wystające, jakby lada chwila mogły przebić skórę, a usta nietypowo szerokie i duże, z opadającymi kącikami, nadającymi mu wyraz człowieka wiecznie niezadowolonego. Popatrzył dziewczynie w oczy, nachylił się i wiążąc jej na plecach szczupłe nadgarstki, wyraźnie szepnął do ucha:

– Powiedz im wszystko, co chcą. Nie ma już ratunku, ale nie będziesz cierpieć. – Gdy po chwili znów spojrzął jej w oczy, miała wrażenie, że dostrzega w nich współczucie. – Wybacz. – I podszedł do

znajdującego się za nią kołowrota.

Vaiva najpierw poczuła szarpnięcie, a zaraz potem jej stopy oderwały się od ziemi. Odruchowo zgięła się wóół i krzyknęła z bólu.

– Nie, proszę... – jęknęła przekonana, że jeszcze chwila, a sznur wyrwie ręce ze stawów. – Błagam! Miejcie litość.

– Czy przyznajesz się, żeś stosowała magiczne praktyki i sprowadziła na wieś zarazę?

Wisząc nad ziemią, zamroczona bólem uprzytomniła sobie, że kat ma rację. Nie wypuszczą jej. Opór tylko przedłuży cierpienie.

– Tak, przyznaję! – krzyknęła, płacząc.

Spostrzegła, że na posadzkę wraz ze łzami spadają krople krwi. Oblizwała wargi i poczuła metaliczny smak.

– Czy przyznajesz się...

– Tak! Tak!

Nie opierała się, nie próbowała bronić – pragnęła już tylko szybkiej śmierci, która zakończy tortury. Niepotrzebna była próba wody i kozioł czarownic<sup>[32]</sup>. Wyrok wydano natychmiast. Czarownica winna śmiercią zapłacić za swe bezecne uczynki, w płomieniach odkupić krzywdy wszelakie.

Noc całą czekała Vaiva w lochu, aż na rynku, który przed dwoma laty zwiedzała z ciotką, ustawią stos. Nie miała nawet już sił, by płakać, półprzytomna po katuszach, które jej zadano. Nie była już Vaivą, a jednym wielkim cierpieniem.

Następnego dnia baby ubrały ją w popielaty, skropiony wodą święconą worek, a strażnicy przeprowadzili z ratusza na plac. Wiał mocny wiatr i jeszcze gdzieś leżał zmieszany z błotem śnieg, ale Vaiva nie czuła zimna, nie słyszała krzyków gawiedzi, nie widziała twarzy księdza, który kazał jej się pokajać. Bliską omdlenia podtrzymał kat.



– Zostań mą żoną, a będziesz żyła – powiedział nagle, obejmując ją mocno w pasie.

Uniosła twarz i spojrzała mistrzowi w oczy. Zobaczyła w nich dziadka i Dainę, a także ciotkę Sigitę, kiedy mówiła: „Tak mi żal, że to już”.

– Zostaniesz mą żoną? – powtórzył cicho.

Kiwnęła głową i osunęła się w jego ramiona.

Kowal wracał do wsi wściekły jak rój szerszeni. Nie tak miał wyglądać jego triumf! Stojąc w tłumie pokrzykujących mieszczan, handlarzy i chłopów, widział, jak prowadzą ją na miejsce kaźni, łysą prawie, w zgrzebnym worku. Nawet żal mu się jej zrobiło. Sama sobie winna – usprawiedliwiał się. Żeby była jego, odziałby ją w jedwabie i na rękach nosił, a tak – trudno. Wola Boża. Jakby była bez grzechu, toby ją puścili. A juści, poznali się, że to wiedźma, co gorączkę zmysłów na bogobojnych mężów sprowadza. Nie miała litości, że dzień w dzień trawił go pożar, to niech teraz sama spłonie.

I naraz zrobiło się wielkie poruszenie. Kat nie wprowadził dziewczki na stos, tylko ukląkł przed księdzem, podtrzymując skazaną w ramionach. Kowal się znecierpliwiał i począł przeciskać przez tłum. Nie może być. Skoro jego odrzuciła, najlepszego kawalera na okolicę, nie mogła przyjąć kata, istoty nieczystej, zbrukanej krwią, zgnilizną i śmiercią. Nie, nie, nie! I wtedy na środek placu wyszedł wójt, zwracając się do spragnionych widowiska gapiów, którzy na ten dzień odeszli od straganów, opuścili szynki i domy, by ujrzeć, jak płonie czarownica.

– Skazana należy teraz do kata – obwieścił. – Mistrz pojął ją za żonę i zgodnie z prawem dziewczka nie poniesie kary.

Kowal zatrząsł się cały. Żółć w nim wezbrała i nawet krzyku nie był w stanie wydusić z piersi. Bezradnie patrzył, jak kat owija Vaivę

swym szkarłatnym płaszczem i bierze na ręce. Wierzyć mu się nie chciało, że to ten wielki zwierz posiadzie ciało tej, o którym on marzył dniami i nocami.

Jeszcze trochę, a zapłakałby nad swą krzywdą. Wlókł się potem noga za nogą, a gdy zbliżył do wsi, ruszył przez zamrznięty staw, coby sobie drogę skrócić. Tak mu się w duszy kotłowało, że nawet nie usłyszał pękającego lodu ani krzyków ludzi, którzy stali na drugim brzegu i machali, by uważał.

– Vaiva, Vaiva... – powtarzał jak opętany.

Z tym imieniem wpadł do wody, która zamknęła go na zawsze w śmiertelnym uścisku.

## ROZDZIAŁ 22

### *ŁEMPICE, KWIECIEŃ 1853 ROKU*

Cały pałac spał utulony spokojną wiosenną nocą i tylko jedna mucha, nie wiedzieć czemu, uparła się, że zrobi z tym porządek. Wiktoria przeganiała ją z twarzy i chowała głowę pod pierzynę, ale gdy tylko na chwilę wychyliła czubek nosa, by nabrać powietrza, już zjawiała się dręczycielka, doprowadzając ją do białej gorączki. Nic więc dziwnego, że potem przez cały dzień dziewczyna chodziła półprzytomna i rozdrażniona, a jakby tego było mało, Urszula nieustannie wynajdywała jej nowe zadania, toteż ani razu nie mogła pójść do kredensu.

– Od tego jest Franek – oświadczyła kucharka, gdy Wiktoria zaproponowała pomoc w zanoszeniu dań. – A ty mi tu jesteś potrzebna. Pokroisz półgęski.

I znów wystawiła się na kpiny Agaty, kiedy okazało się, że nie ma pojęcia, co to półgęski.

– Anusia jest z Królestwa i może tam nie jest to tak popularna wędlina jak na Litwie, to skąd ma wiedzieć – stanęła w jej obronie Rozalia. – To taki przysmak. Bierze się połówkę gęsi, patroszy i wędzi z przyprawami, a potem kroci w plastry – wyjaśniła podkuchennej.

Wiktoria po raz kolejny zwróciła uwagę, ile dobroci i ciepła jest w tej młodej dziewczynie. Była jak maślana bułeczka, okrągła, rumiana i słodka. Wieczorem po wieczerzy razem postanowiły rozprawić się z muchami, przy czym Rozalia uważała, że trud to daremny, bo skoro kot potrafi wcisnąć się do izby, to tym bardziej robi to maleńki owad.

– Ja tam nigdy nic nie czuję. – Machnęła ręką. – Mogą po mnie łazić, gryźć, a i tak ledwie głowę przyłożę, to już chrapię. Matka

mówiła, że spać nie może albo ten, kto ma sumienie nieczyste, albo zakochany. Może tyś się zakochała?

Oj tak! – pomyślała Wiktoria, wzdychając.

Naraz do izdebki weszła ochmistrzyni.

– Pójdiesz, Aniu, zanieść szkandelę<sup>[33]</sup> do sypialni, która jest nad kuchnią. Jaśnie pan z Zielnej nocuje dziś w pałacu. Przy okazji sprawdzisz, czy w kominku nie wygasło. Noce są jeszcze bardzo zimne.

Wiktoria miała ochotę ucałować ją z radości. Każde wyjście na pokoje dawało nadzieję, dawało szansę, że może, może... Pospiesznie zmieniła fartuch, złapała naczynie i jak na skrzydłach pognąła na górę. Choć wiedziała od pokojówek, że sypialnia panicza znajduje się w centralnej części pałacu na piętrze, gdzie nie miała wstępu, to przecież mógł przebywać w salonie na parterze albo w gabinecie. Szła przez korytarz powoli, z namaszczeniem, jak ksiądz podczas procesji, aż w końcu zganiła siebie za głupotę. Nie było powodu, by Dominik o tak późnej porze spacerował po domu, by zrobić jej przyjemność.

Sypialnia Ksawerego Łempickiego wyłączona z amfilady była typowa męska, surowa, bez bibelotów i eleganckich mebli. Stały w niej jedynie duże łóżko, szafa, dwie skrzynie, dwa krzesła z drewnianymi oparciami oraz stolik pod miednicę i dzbanek.

Wiktoria umieściła szkandelę pod pierzyną, poprawiła poduszkę, po czym uklękła przed kominkiem i przez chwilę wpatrywała się w płomień, ruszając pogrzebaczem szczapy drewna.

Nagle drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i ujrzała, jak pan Michał wraz z bratem wznoszą na rękach omdlałego mężczyznę, któremu spod płaszcza wystawała zakrwawiona koszula.

Natychmiast poderwała się i zabrała szkandelę z łóżka, przytomnie odsuwając pościel, aby mogli położyć ранiego.

– A ty co tu robisz! – huknął na nią Ksawery Łempicki, jak wtedy

przy lesie Vaivy, i nie czekając na odpowiedź, polecił, ścisząc głos: – Idź do ochmistrzyni i powiedz, że potrzebujemy bandażu, nici i... Ona już będzie wiedziała. Tylko nic nikomu nie mów, rozumiesz?

Pani Róża nie wydawała się zaskoczona. O nic nie pytała, tylko wręczyła jej nieduże pudełko i nakazała milczenie.

Kiedy Wiktoria wróciła, Ksawery Łempicki odebrał od niej medykamenty i w pośpiechu zaczął ustawiać na stole środki do odkażania i paski czystego płótna. Ranny mężczyzna leżał na brzuchu, bez koszuli i jęczał cicho z bólu. Przy nim klęczał pan Michał, burym gałganem tamując krew. Właściciel Łempic był bardzo podobny do matki, miał jej rysy twarzy, kształtny nos i duże oczy.

– Kula tylko przecięła bok – powiedział po francusku. – Krwawi jednak mocno. Może lepiej sprowadzimy lekarza?

– Wiedzą, że jest ranny, i na pewno już są pod domem Nasierowicza. Poradzę sobie – odparł Ksawery również po francusku, szorując ręce nad miską. Po chwili zwrócił się do dziewczyny: – Opłucz mi ręce i podaj ręcznik.

Posłusznie wykonała polecenie, zwracając uwagę na jego duże, bardzo silne dłonie. W tym czasie otworzyły się drzwi i do środka weszła ochmistrzyni, niosąc przybornik do szycia. Nic nie mówiąc, złapała zakrwawioną koszulę, schowała pod fartuch i opuściła pokój. Wszystko wskazywało na to, że każdy zna tu swoją rolę i kwestię na pamięć.

Bracia zamienili się miejscami. Teraz Ksawery Łempicki klęczał przy rannym, nasączoną gazą myjąc postrzał. Co jakiś czas odrzucał opadające mu na czoło ciemnoblond włosy.

– Dominik już zawiadamia, kogo trzeba – kontynuował pan Michał, wrzucając przesiąknięty krwią opatrunek do kominka. – Ja pojedę do jego matki. Musi wiedzieć. – Wytarł ręce i nim wyszedł, polecił Wiktorii: – Weź lampę i pomóż panu.

Zbliżyła się do łóżka i dopiero wtedy spostrzegła, że ranny mężczyzna jest bardzo młody, pewnie niewiele starszy od niej. Najwyraźniej zemdlał, bo z jego ust nie wydobywał się najmniejszy dźwięk. Nagie plecy miał całe w świeżych bliznach po chłóście. Boże! – pomyślała przejęta grozą.

– Potrzebuję dużo światła. – Usłyszała głos Ksawerego. – Przykucnij. Trzymaj lampę o tak. – Ustawił jej dłonie. – Spokojnie. Trochę niżej. Dobrze. I... nie patrz.

Oczywiście, chcąc nie chcąc, zerknęła akurat wtedy, gdy igła przebiła skórę. Zacisnęła powieki i szybko przełknęła ślinę. Przypomniała sobie świńską szczękę, symbol jej słabości i wstydu.

– Nie trzęś ręką. – Ksawery rzucił dziewczynie ostrzegawcze spojrzenie. – Podeprzyj łokieć kolaniem, będzie ci wygodniej.

Tak też zrobiła. Utkwiła wzrok w skupionej twarzy mężczyzny. Widziała krople potu na skroniach i lekkie zmarszczki wokół dużych, niebieskich oczu. Z bliska wydawał się młodszy. Lat dodawały mu zarost i wyraźna bruzda między prostymi brwiami. Dostrzegła też niewielką bliznę na policzku, przy uchu. Pamiątka z dzieciństwa? Rysy twarzy, bardzo męskie i dość regularne, musiał odziedziczyć po ojcu. Odnajdywała spore podobieństwo do Dominika, który ponoć był żywym wcieleniem dziadka.

– Otrzyj mi czoło – poprosił dziwnie łagodnym głosem, zagryzając wąskie wargi.

Czyżby i on słabł? Nie mogła nie zauważyć, jak bardzo był zdenerwowany.

Rozejrzała się pospiesznie, aż w końcu jedną ręką mocniej ścisnęła lampę, a drugą złapała za swój fartuch i starła mu pot. Przez cały czas próbowała pojąć, co się tu dzieje. Kim jest ranny mężczyzna? Uciekinierem? Więźniem? Było jej gorąco, czuła zapach krwi, obrzydliwy i ciężki, więc z ulgą przyjęła koniec operacji.

Ksawery podniósł się z kolan i pochylił nad młodzieńcem, przykładając dłoń do jego policzka.

– Wytrzymaj – szepnął.

Ochmistrzyni znów bez pukania wsunęła się do pokoju. Tym razem przyniosła dzbanek z zimną wodą i kolejne paski płótna.

– Ma gorączkę?

– Niestety – potwierdził Ksawery, odwracając rannego na plecy, aby go zabandażować.

– Zaraz przyniosę napar.

Mężczyzna podszedł do niej.

– Musi się Róża przygotować, jeśli...

– Oczywiście. Stróż też wie, co ma mówić.

Wiktoria spostrzegła, że wskazał na nią spojrzeniem.

– Jest nowa – przeszedł na francuski, pocierając czubek nosa.

– Tak – odpowiedziała ochmistrzyni, również po francusku. – Ale to protegowana Łankiewiczowej. Można jej zaufać. – Podeszła do Wiktorii, podała kawałki płótna, a miednicę odstawiła na szafkę. – Rób mu zimne kompresy na czoło. I gdyby Rozalia pytała, źle się czułam i siedziałas przy mnie, rozumiesz? – zwróciła się do niej.

Wiktoria kiwnęła głową. Przysiadła na łóżku i najdelikatniej, jak umiała, zaczęła zwilżać mokrym ręcznikiem twarz rannego. Żal ją brał, gdy patrzyła na spieczone, poranione wargi i wyraźny siniec wokół oka. Niewątpliwie cierpiał, ale omdlenie choć na chwilę przynosiło mu ulgę.

Naraz stało się to, o czym marzyła cały dzień. Do sypialni wbiegł Dominik.

– Stryju, co z nim? – zapytał.

Zamknął cicho drzwi, zdejmując z siebie popielatą pelerynę.

Ksawery gestem głowy dał znać, że nie są sami, i dalej rozmowa potoczyła się po francusku.

– Stracił dużo krwi, ma gorączkę, ale jestem dobrej myśli. Zrobiłeś, co trzeba?

– Tak.

Dominik podszedł do łóżka, więc Wiktoria ustąpiła mu miejsca, aby mógł pochylić się nad rannym. Ta niespodziewana bliskość onieśmiała ją i wprawiała w zachwyt.

– Kanalie. – Dominik poprawił pościel. – Tchorze. Strzelali mu w plecy.

– Musimy go stąd szybko zabrać.

Ksawery usiadł na krześle, przetarł czoło i na chwilę zasłonił ręką oczy, wyczerpany.

– Może nie przyjadą. Łempice są jednak dość daleko.

– Przyjadą, przyjadą. Już węszą. Wcześniej na pewno zrewidują Zielną. Będą tu za kilka godzin. – Stryj spojrzał na rannego. – Musimy dać mu trochę czasu. To zbyt wielkie ryzyko przenosić go w tym stanie. Wciąż jest nieprzytomny.

Wtem mężczyźni usłyszeli podniesione głosy na korytarzu. Popatrzyli na siebie, na rannego i natychmiast opuścili pokój. Wiktoria podbiegła do drzwi, uchyliła je cichutko i zobaczyła, jak pan Bernard i kamerdyner pana Michała tłumaczą coś, gestykulując nerwowo. Cofnęła się i przeczuwając niebezpieczeństwo, chwyciła miednicę i odstawiła ją na stolik, a mokre ręczniki wsunęła za poduszki. Podbiegła do kominka, ale na szczęście zakrwawiony gałgan zdążył się już spopielić. Boże, przecież nie mogą go na razie przenosić – pomyślała z lękiem, patrząc na siną twarz walczącego o życie mężczyzny.

Naraz usłyszała szybkie kroki na korytarzu i po chwili do pokoju wbiegł Ksawery. Zatrzasnąwszy drzwi, oparł się o nie ciałem i otarł z czoła kropelki potu. Patrzył to na nią, to na leżącego w łóżku rannego, aż wreszcie przekręcił w zamku klucz i zaczął ściągać z siebie



koszulę.

– Musisz mi pomóc! – zawołał w jej stronę. – Rozbierz się! Szybko! Mamy mało czasu.

Wiktoria w ułamku sekundy pojęła sytuację. Odwróciła się tyłem, drżącymi dłońmi zdjęła bluzkę i rzuciła na podłogę. Zaczęła szarpać za wiązanie przy fartuchu, ale w żaden sposób nie mogła poradzić sobie z supłem.

– Zaplątało się – jęknęła w panice.

Ksawery bez słowa doskoczył do niej i rozerwał materiał.

– Dalej, szybko – instruował, zdejmując spodnie. – Spódnica. Halka też. Rozpuść włosy. Do łóżka, no już!

Wiktoria była mu wdzięczna, że odwrócił się i czekał, dopóki nie skryła nagości pod pościelą. Sama również odważyła się spojrzeć na niego dopiero wtedy, gdy założył szlafrok.

– Pozycja półleżąca, oprzyj plecy o zagłówek – wydawał komendy, układając przy jej lewym boku rannego. Przykrył go całego pierzyną, cofnął się, by z odległości ocenić efekt, poprawił prześcieradło i dopiero wtedy na nią spojrzał. Uśmiechnął się z trudem. – Spokojnie. Nie bój się. Podtrzymuj pościel nad jego twarzą, musi mieć czym oddychać. Cokolwiek się wydarzy, nie odzywaj się.

W tym momencie usłyszeli stukot ciężkich butów na korytarzu. Po chwili ktoś złapał za klamkę i zaczął pięścią uderzać w drzwi, krzycząc po rosyjsku:

– Otwierać! W imieniu jego carskiej mości otwierać!

Ksawery wzrokiem ogarnął pokój, posłał Wiktorii uspokajające spojrzenie i położył palec wskazujący na wargach, nie zważając na łomotanie i coraz ostrzejszy głos. Odczekał chwilę, przekręcił klucz w drzwiach i otworzył, zasłaniając ciałem wejście. Przed nim stało trzech żandarmów w pełnym umundurowaniu.

– Jak śmiecie o tej porze najeżdzać nasz dom!

Mężczyźni, nieco skonfundowani jego neglizmem, zmusili się do grzeczniejszego zachowania.

– Pan wybaczy, hrabio, ale mamy rozkaz. Szukamy zbiega. Proszę nas przepuścić, musimy zrewidować pokój.

– Nie obchodzi mnie wasz zbieg. Jestem zajęty.

Wiktorcia zamarła w przerażeniu, kiedy tamci mimo protestów Ksawerego wtargnęli do środka. Zatrzymali się gwałtownie, gdy ją dostrzegli. Z nagimi ramionami, które nieporadnie próbowała zakryć, ze zmierzwionymi włosami, zarumienionym policzkami i błyszczącymi od emocji oczami wyglądała tak, jak powinna wyglądać kochanka przyłapaną *in flagranti*. Dwaj żołnierze uśmiechnęli się głupkowato, zbici z tropu. Zerknęli na porozrzucane ubrania, mrugnęli do siebie porozumiewawczo i zaczęli się wycofywać.

– Nie chcieliśmy przeszkadzać. W tej sytuacji...

Trzeci z nich, prawdopodobnie dowódca, okazał się bystrzejszy.

– Przykro nam, ale i tak musimy dokonać rewizji.

Wiktorcia okryła się szczelniej pierzyną, poszukała wzrokiem Ksawerego, który posłał jej uspokajające spojrzenie. Miała wrażenie, że widzi w jego oczach ulgę, jakby już uważał sprawę za wygraną. To jej dodało otuchy. Starła się oddychać normalnie, ale serce dudniło w piersiach, a na czoło wystąpiły kropelki potu. Lewa ręka, którą unosiła pościel, drętwiała. Przy nagim udzie czuła trawione gorączką ciało mężczyzny. A co, jeśli ranny się ocknie i zacznie jęczeć?

Żandarmi zaglądali do szaf, za kotary, do skrzyń, pod łóżko.

– Wniosę skargę do gubernatora Bibikowa za bezprawne naruszenie spokoju mego i mojej rodziny! – Ksawery obrzucił ich wyniosłym spojrzeniem. – Może jeszcze pod pierzynę zajrzyjcie! Może tam ukrył się wasz zbieg. To jest skandal, co tu się wyprawia!

Wreszcie dowódca, widząc że nic tu po nim, oświadczył krótko:

– Proszę nam wybaczyć najście, wykonujemy tylko obowiązki. – Stuknął obcasami, skinął na kompanów i wraz z nimi opuścił pokój.

Wiktoria przymknęła powieki i wyszeptała bezgłośnie:

– Dzięki ci, Boże!

Odsunęła pościel i popatrzyła na rannego. Oddychał spokojnie, w przeciwieństwie do niej.

Ksawery usiadł na łóżku w nogach. Przez chwilę nic nie mówił, aż wreszcie spojrzał na nią i powiedział zmęczonym głosem:

– Już dobrze. Byłaś dzielna. – Dźwignął się z miejsca, nachylił nad śpiącym mężczyzną i dotknął gorącego policzka. – Gdzie miednica z wodą? – spytał, rozglądając się.

– Na stoliku.

Zmoczył świeży ręcznik, obmył rannemu twarz i zrobił kompres na czoło.

– Musimy poczekać. – Zatrzymał na niej wzrok. – Na razie się nie ubieraj.

Podciągnęła pierzynę, żeby okryć szczelnie ramiona, choć było jej bardzo gorąco. Wolała sobie nie uświadamiać osobliwej sytuacji, w której się znalazła. Leżała naga w łóżku z obcym mężczyzną, a drugi obcy mężczyzna w samym szlafroku siedział obok. Nie wiedziała, gdzie podziąć oczy i jak zapanować nad wstydem, który wypełził na policzki.

Gdy rozległo się ciche pukanie, Ksawery podbiegł do drzwi.

– Już po wszystkim. – Dominik wszedł do środka. – Odjechali. Oczekamy trochę i będziemy mogli go przenieść. Nie domyślili się...?

– Mieliśmy szczęście. Nasiliew nie wahałby się zajrzeć pod pierzynę. Widziałeś się z babcią?

– Jest wściekła. Źle znosi takie niespodzianki. Teraz jest u niej mama.

Ksawery zwrócił się w stronę Wiktorii, informując, że wyjdzie na chwilę, aby mogła się ubrać. Gdy wrócił, siedziała przy rannym, zmieniając mu kompres. Rozdarty fartuch położyła sobie na kolanach.

– Posłuchaj – zwrócił się do niej, podchodząc bliżej. – Zapamiętaj, że zaraz po wieczerzy posłałem po ciebie i byliśmy razem, rozumiesz?

Kiwnęła głową, robiąc się czerwona aż po koniuszki uszu.

– I to nie był pierwszy raz. Od kiedy tu jesteś?

– Zostałam zatrudniona drugiego kwietnia.

– Dobrze, więc powiedzmy, że od dwóch tygodni przychodzisz do mnie, gdy jestem w Łempicach. I spokojnie, nie obawiaj się o swoją reputację, to są informacje przeznaczone wyłącznie dla carskiej policji. Możesz już odejść.

Wiktorii wróciła do swej izdebki przejęta nagłym strachem. Carska policja? Boże, a miała być taka bezpieczna w Łempicach!

## ROZDZIAŁ 23

Następny dzień rozpoczął się od powtórnej rewizji pod dowództwem szefa tajnej policji na okręg wileński, Aleksandra Aleksandrowicza Nasiliewa. Był to człowiek niemłody już, ale wciąż ambitny, spragniony chwały jak dziecko grzechotki. Kochał cara, uległe kobiety i uległe konie, nienawidził zaś Wilna, które uważał za miasto pełne spiskujących szumowin. Nieustannie każdego dnia tropił, śledził, opłacał szpiegów, nagradzał donosicieli, a i tak nie mógł się dostać do tych, których uważał za podżegaczy i prowodyrów antycarskich organizacji. Szczególne baczenie miał na Tułasiewiczów, Hurczynów i Łempickich. Był pewien ich winy, choć wciąż wymykali mu się z rąk. Czekał na chwilę, kiedy zdobędzie ostateczne dowody i pogrąży przeklętych buntowników. Już się wydawało, że triumf jest bliski. Młody Dauksza pociągnąłby za sobą innych. Oczywiście podczas przesłuchania odpierał zarzuty, ale szybko złamałby jego opór, gdyby nie zuchwała ucieczka. Ograli go. Wbrew sobie czuł coś w rodzaju podziwu dla brawury tych, którzy zdecydowali się ratować więźnia. Nie miał wątpliwości, że spiskowcy w końcu popełnią błąd – a wtedy ich dopadnie. Z doświadczenia wiedział, że czasem wystarczał z pozoru nieistotny drobiazg. Był cierpliwy i potrafił czekać. Instykt podpowiadał mu, że nie będzie czekał długo.

W nocy, gdy dowiedział się o ucieczce pojmanego, szalał z wściekłości. Na pierwszy ogień wziął Hurczynów i Tułasiewiczów, teraz pozostali mu Łempiccy.

Oczywiście nikt nic nie słyszał, nikt nic nie widział, wszyscy głusi, ślepi i wręcz teatralnie oburzeni. Stara Łempicka nazwała go nikczemnikiem i oprawcą. Zapamięta to sobie. Już on się do nich dobierze, już on im pokaże oprawcę!

Po jaśnie państwu przyszedł czas na służbę. Nasiliew rozsiadł się w pokoju ochmistrzyni razem z żandarmem, który w nocy rewidował pałac, i po kolei wzywał wszystkich na przesłuchanie.

Wiktoria szła na trzęsących się nogach przekonana, że od razu zostanie zdemaskowana i odesłana do Gorca. Kiedy weszła do pokoju, żandarm obrzucił ją spojrzeniem i zwrócił się do swego przełożonego:

– Jego kochanka – oświadczył półgłosem po rosyjsku.

Twarz Nasiliewa się rozpogodziła. Rozparł się wygodnie na krześle i uśmiechnął szeroko.

– Jak ci na imię?

– Anusia, proszę łaski pana.

– Służysz prawie od miesiąca, tak? – upewnił się, zerkając w spis przygotowany przez ochmistrzynię.

– No tak.

– A od jak dawna służysz panu hrabiemu Ksaweremu Łempickiemu?

Spuściła wzrok, rumieniąc się. Trudno, trzeba przez to przejść.

– Znaczą...

– Znaczą, od kiedy z nim żyjesz? – spytał nieco ostrzejszym tonem.

– Ze dwie niedziele – rzekła cicho i zawstydzonym, którego wcale nie musiała udawać. Wbiła wzrok w podłogę, miętoląc w dłoniach fartuch – Kiedy przyjeżdża do dworu, posyła po mnie.

– Wczorajszej nocy dotrzymywałaś mu towarzystwa?

– Dotrzymywałam...? – Włożyła palce do buzi i zaczęła obgryzać paznokcie, mając nadzieję, że uwiarygodni się jako osoba do tego stopnia ograniczona, że nie warto prowadzić z nią rozmowy.

– Byłaś z nim sama w pokoju?

– No tak, proszę łaski pana.

– O której kazał ci przyjść?

– Po wieczerzy.

– I poszłaś?

– No tak, proszę łaski pana. – Starą się nadać mowie pospolite brzmienie, a twarzy wyraz bezmyślności. Kiwała się nieznacznie w przód i w tył, modląc się, żeby wreszcie pozwolili jej odejść.

– Przez cały czas był z tobą?

– No...

– Nigdzie nie wychodził? Nikt go nie wzywał?

– Nie.

– Pewna jesteś?

– No jestem.

– Dobry jest dla ciebie? Lubisz go?

Wzruszyła ramionami.

– Rozumiem... – westchnął z udawanym współczuciem, choć musiał zmobilizować wszystkie siły, żeby nie stracić cierpliwości. – Sięgnął po ciebie, kiedy mu przyszła ochota. A dostajesz od niego chociaż jakieś zadośćuczynienie? Parę monet?

Chryste Panie, powinienam coś dostać czy nie? Myśl szybko, Wiktorio!

– Paciorki czerwone.

– A pewnie przydałoby się trochę kopiejek, co? Chustę byś sobie na jarmarku sprawiła, wstążki do włosów. Z pewnością bystra z ciebie dziewczyna. Gdybyś zauważyła, że pan hrabia robi coś... nietypowego, i powiedziała nam o tym, mogłabyś liczyć na naszą hojność.

– Ale że co?

Podniosła wzrok na Nasiliewa i kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, zrozumiała, że pierwszorzędnie odegrała rolę przygłupiej dziewczki. Idalia Iżykowska byłaby z niej dumna. „Toż to skończona tępota” – zdawały się mówić jego przymrużone oczy i wykrzywione

w pogardliwym grymasie usta. „Nadaje się tylko do tego, by łożko ogrzać”.

– No nic, możesz odejść.

Dygnęła niezgrabnie i ruszyła do drzwi, powstrzymując się przed głośnym westchnieniem ulgi. Gdy weszła do izby czeladnej, posypał się grad pytań, ale ochmistrzyni natychmiast zagoniła ją do kuchni, za co była jej bardzo wdzięczna, bo nie miała siły rozmawiać. Czuła się wyczerpana i dopiero podniósłszy wiadro z wodą, spostrzegła, że drżą jej ręce.

Przesłuchanie trwało do południa. Wśród służby panowało nieprzystojne podniecenie, rodzaj dziwnej gorączki, bo oto znaleźli się w samym środku niezwykłych wydarzeń, o których będą mogli opowiadać rodzinie, ubarwiając nieco całość.

Po obiedzie ochmistrzyni zawołała Wiktorię do swojego pokoju. Tam czekał na nią Ksawery Łempicki.

– Słyszałem, co mówiłaś podczas przesłuchania.

Zaskoczył ją, ale nie dała tego po sobie poznać. Domyśliła się, że w pokoju pani Róży musi być miejsce, z którego dyskretnie można śledzić poczynania innych.

– Bardzo dobrze sobie poradziłaś.

– Nie byłam pewna, jaśnie panie. Starłam się zastosować do polecenia jaśnie pana i żywię nadzieję, że mi się udało.

Uśmiechnęła się nieśmiało, ale on nie odwzajemnił uśmiechu. Zamiast aprobaty dostrzegła w jego oczach złość... i niepokój? Natychmiast spuściła wzrok.

– To, czego zeszłej nocy byłaś świadkiem... – zawiesił wyczekująco głos.

– Rozumiem, jaśnie panie. Nie widziałam niczego, czego nie powinnam.

– Tak... Wczoraj też dobrze sobie poradziłaś. Nie straciłaś zimnej



krwi.

– Dziękuję, jaśnie panie. – Dygnęła.

– A gdybym zażyczył sobie, żebyś jeszcze raz mi pomogła?

– Poczytywałabym to sobie za honor, jaśnie panie. – Zadarła głowę, by spojrzeć mu w oczy, zadowolona, że obdarzył ją zaufaniem. Przypuszczała, że niechęć i rozdrażnienie malujące się na jego twarzy to wynik ogromnego napięcia i wyczerpania. Sama również ledwo trzymała się na nogach. – Proszę mi wybaczyć śmiałość, co z... rannym?

– W porządku – odparł lakonicznie. – Jak na służącą mówisz ładnym językiem – stwierdził niespodziewanie.

Zesztywniała, czując suchość w gardle.

– Moja pani, u której wcześniej służyłam... ona chciała, ona czuwała... – płątała się o wiele bardziej przestraszona, niż gdy stała przed Nasiliewem. – Pilnowała, żebym ładnie mówiła. Poprawiała mnie.

– Taka umiejętność rzeczywiście może być przydatna – rzekł w zamyśleniu. – To za wczoraj. – Wręczył jej monetę i wyszedł, nim zdążyła podziękować.

## ROZDZIAŁ 24

Jak to się dziwnie układa. Gdyby ochmistrzyni wysłała ze szkandelą Rozalię, nie byłoby mnie tutaj.

Wiktorია stała w niedużej, prawie pustej garderobie i patrzyła na własne odbicie w lustrze. Po raz pierwszy od kilku tygodni widziała wyraźnie swą twarz. Gdy przybyła do Łempic, przeglądać się mogła jedynie w szybie kuchennego kredensu, bo w izdebce nie było choćby najmniejszego zwierciadła. Dotknęła policzków, ust. Chyba wszystko jest na swoim miejscu. Łącznie z piegami.

– Przyniosłam rzeczy. – Do środka weszła niemłoda już służąca z przewieszoną przez ramię suknią i kilkoma kompletami halek – Najpierw gorset.

Za tym jednym nie tęskniła. Wciągnęła gwałtownie powietrze, gdy kobieta ściągnęła mocno tasiemki. Jako Anusia Zagórzanka nie musiała wbijać się w ten pozbawiający tchu pancerz, ale dama z towarzystwa nie mogła pozwolić sobie na taką ekstrawagancję. Dama z towarzystwa... Nie była pewna, jaką rolę przyjdzie jej odegrać, ale rozpierała ją duma, że dołączyła do grona zaufanych służących, zaangażowanych w spiskową działalność Łempickich. Jeśli istniał jakikolwiek sposób, by mogła wyrazić opór wobec zaborcy, gotowa to była zrobić bez wahania. Widziała plecy postrzelonego uciekiniera pokryte krwawymi pręgami i teraz już wiedziała, że jej dawne wyobrażenia o bohaterskiej walce to jedynie romantyczne mrzonki, nasycone barwami i dźwiękami z poematów Mickiewicza, Słowackiego czy Gaszyńskiego. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa i konsekwencji, które nie miały w sobie nic romantycznego, ale to nie osłabiło jej zapału.

Ucieszyła się, gdy dwa dni po rewizji późnym wieczorem ochmistrzyni powiedziała, że woźnica zawiezie ją do Zielnej. Pani

Róża nie zdradziła żadnych szczegółów, dodała tylko, że gdyby ktoś pytał, ma mówić, że była w Wilnie u ciotki.

Tak oto znalazła się w majątku drugiego z braci Łempickich, w starym, drewnianym dworze, który przed laty wniosła w posagu pani Oktawia. Nie wiedziała, czego się spodziewać, kiedy na spotkanie wyszedł jej kamerdyner i poinformował, że jaśnie pan życzy sobie, aby się przygotowała. Do czego? Nie wyjaśnił. Dopiero gdy służąca zabrała ją do garderoby i obwieściła, że ma ją przebrać za panienkę, sytuacja stawała się bardziej czytelna. Bez względu na to, kogo miała odegrać, Wiktoria pragnęła spełnić pokładane w niej nadzieje.

Kiedy była już gotowa, raz jeszcze przejrzała się w lustrze i pozwoliła sobie na krótką chwilę próżności. Suknia była prześliczna. Ciemnoniebieska, strojna, z grubszego atłasu, z kołnierzykiem haftowanym srebrną nicią, który zalotnie odsłaniał szyję, z podwójną spódnicą zdobioną wstążkami z aksamitu i rękawami w pagodę<sup>[34]</sup>. Talię podkreślał usztywniony włosiem pas.

Gdyby mnie teraz zobaczył Dominik... Zarumieniła się na myśl, że może jest w Zielnej, może na nią czeka, może razem wezmą udział w zadaniu, którego nie podjęłaby się panna Eliza. Spuściła wzrok, wzdychając cicho. Nawet w tej sukni będzie dla niego tylko jedną ze służących, kimś przezroczystym, kogo w sypialni swego stryja prawie nie zauważał. Po ostatnich wydarzeniach zauroczyła się jeszcze mocniej. Do przymiotów idealnego wybranka doszedł nimb człowieka niezwykle odważnego i prawego – wspaniałego bohatera.

Służąca poprowadziła ją przez sień do niewielkiej jadalni, urządzonej skromnie, ale ze smakiem. Na środku stał owalny stół zastawiony do kolacji, z krzesłami o zapleckach wyplatanych trzcina. Prosty, mahoniowy kredens zajmował południową ścianę razem ze stojącym zegarem, który uchodziłby za dość niepozorny, gdyby nie

mosiężna, grawerowana tarcza z posrebrzanymi wskazówkami. Po drugiej stronie pokoju znajdowało się kilka niedużych stolików, nad którymi wisiały stare, barokowe portrety.

Wiktoria powiodła wzrokiem na koniec jadalni, gdzie o gzyms kominka opierał się plecami właściciel Zielnej. Stłumiła westchnienie zawodu.

– Dobry wieczór, zapraszam. – Ksawery Łempicki skrzyżował ramiona, przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku. – Mam nadzieję, że jesteś głodna.

Niecierpliwym ruchem ręki wskazał miejsce, a sam podszedł do stołu dopiero wtedy, gdy usiadła. Wiktoria nie tego się spodziewała, ale szybko pojęła, że jest poddawana próbie, od której wyników będzie zależało, czy zostanie jej powierzony zadanie. Najwyraźniej oczekiwano, że będzie wiarygodna jako panienska – i tu pojawiał się kłopot. Wiedziała, jak udawać służącą, ale jak odegrać damę, żeby się nie domyślono, iż naprawdę nią jest? Co czułaby Rozalia, gdyby była na jej miejscu? Skrępowanie? Niepewność? Bałaby się, że coś rozleje albo zaplamie? Wiedziałyby, co zrobić z serwetą?

Postanowiła, że będzie poprawna, ale przesadnie ostrożna. Wzrok obowiązkowo wbity w talerz, ramiona zgarbione, pokora w każdym słowie.

Ksawery zachęcił ją, by spróbowała dania, więc przełykała kęs za kęsem, mając świadomość, że jest obserwowana. Niespodziewanie posiłek zaczął jej sprawiać przyjemność. Kapłony zapiekane z truflami i jabłkiem w potrawce ze szparagami wręcz rozpływały się w ustach, a łagodna cisza, brak odgłosów mlaskania i żucia były przyjemną odmianą po miesiącu jedzenia w kuchni.

Ksawery odprawił służącego i gdy zostali sami, zapytał:

– Wiesz, po co tu jesteś?

– Domyślałam się, jaśnie panie. Bardzo chętnie pomogę.

– To poufna sprawa, wymagająca dyskrecji.

Zaczerwieniła się pod jego czujnym, poważnym spojrzeniem.

– Oczywiście. Rozumiem.

– Zawsze pracowałaś jako służąca?

– Tak, jaśnie panie.

– Ciekawe... Nie mówisz jak prosta dziewczyna.

– To zasługa mojej pani, u której służyłam.

Dlaczego o to pyta? Przecież już mu to raz wyjaśniłam – pomyślała z rozdrażnieniem.

– Umiesz czytać?

– Trochę, jaśnie panie.

– Chętnie się uczysz?

– Bardzo chętnie – zapewniła gorąco.

Wiedziała, że rozmowa jest kolejnym egzaminem. Nie wiedziała jednak, które odpowiedzi są poprawne.

– Czy jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć?

– Nie rozumiem, jaśnie panie.

– Myślę, że rozumiesz. Pracowałaś jako pokojowa, a zostałam pomywaczką? To kim naprawdę jesteś?

– Nikim.

– Kim jesteś? – powtórzył szorstko. – Pokojówką, pomywaczką, a może kimś innym?

Oblał ją zimny pot. Wydukała, że pomywaczką jest tylko chwilowo, że ochmistrzyni obiecała jej awans, ale Ksawery wciąż szybko zadawał pytania jedno po drugim, nie dając czasu na złapanie tchu.

– Od dawna służysz?

– Od kiedy skończyłam jedenaście lat. Mówiliście, jaśnie panie, że mogłabym pomóc – zaczęła, by przestał drażnić temat. – Że chodzi o jakąś poufną sprawę.

– Zgadza się. – Napił się wina, otarł usta i wstał z miejsca. Podszedł bliżej, spoglądając na nią z góry.

– Czy dlatego jest ta kolacja? Jaśnie pan sprawdza, czy podołam?

– Jestem pewien, że podołasz.

– W takim razie, jak mogłabym pomóc, jaśnie panie?

– Myślałem, że wiesz.

Wstała z miejsca, zadzierając głowę, by spojrzeć mu w twarz. Był równie wysoki jak Dominik.

– Jaśnie pan życzy sobie, żebym kogoś udawała?

– Przeciwnie, masz być sobą.

– Ale ta suknia...

– To prezent, zaliczka.

– Zaliczka? Za co?

Patrzył na nią pobłaźliwie, jakby bawiło go to, że musi jej tłumaczyć rzeczy oczywiste.

– A wydawałaś się tak pojętna. Naprawdę się nie domyślasz czy tylko udajesz? A po co miałbym cię w tajemnicy, nocą tutaj przywozić? – Uśmiechnął się cynicznie. – Jesteś bardzo pociągająca, a ja jestem bardzo samotny.

– Pan chce, żebym... – zaczęła, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Tak, żebyś została moją kochanką. Zapewniam, że ci się to opłaci. Dostaniesz coś więcej niż czerwone paciorki.

W jej żyłach zadudniła krew wszystkich dumnych prababek z rodu. Kiedy mężczyzna pochylił się, by ją pocałować, odwróciła głowę i cofnęła się gwałtownie, ale on natychmiast chwycił ją za ramiona i mocno przytrzymał.

– No chyba nie będziesz się opierać. Nie mamy na to czasu. Wkrótce trzeba cię odwieźć do Łempic.

– Proszę mnie puścić! – zawołała piskliwie, czując gorący oddech na szyi i ręce przesuwane się po ciele.

– Coś mi się chyba należy za suknię i kolację. Potraktowałem cię jak damę, choć takie dziewczki jak ty można brać i bez tego.

Próbowała walczyć, szarpała się i odpychała go za całej siły, ale wiedziała, że nie ma najmniejszych szans. Gdzieś między wściekłością i strachem pojawiło się uczucie dotkliwego zawodu. Zaufała temu człowiekowi, podziwiała go, a okazał się niewiele lepszy od Gorca.

– Ja nie chcę! Panu nie wolno! Na pomoc!

– No, tylko bez hysterii. Nikt ci nie pomoże. Powinnaś się czuć wyróżniona, że cię wybrałem, jesteś tylko prostą służącą, dziewczką kuchenną – wycedził przez zęby, jedną dłoń przyciskając ją do siebie, a drugą unosząc fałdy ciężkiej sukni.

– Nie jestem! – wrzasnęła na całe gardło. – Nie jestem służącą!

Puścił ją natychmiast, cofnął się i popatrzył na nią poważnie, spokojnie. Nie wyglądał na zaskoczonego.

– Może więc starczy już tej komedii?

Dopiero wtedy zrozumiała, czego dotyczył egzamin, i omal nie parsknęła gorzkim śmiechem. Zaiste, doskonała z niej konspiratorka. Przyłożyła obie dłonie do rozpalonych policzków, łapała płytkie wdechy, w głowie dudniła jej jedna myśl: „Przepadło, koniec, koniec”.

– Podejrzewałem, że coś jest na rzeczy, ale musiałem mieć pewność. I zyskałem ją w chwili, gdy weszła pani do jadalni. To jak jest naprawdę? Po co ta maskarada? Kto panią nasłał do Łempic w przebraniu służącej? Po co to wszystko?

– Nie jestem szpiegiem – zapewniła pospiesznie.

– Wiem, choć na początku miałem takie podejrzania. Scena z Nasiliewem mogła być przecież tylko przedstawieniem, żeby uwiarygodnić panią w moich oczach, ale po rozmowie z Dorotą Łankiewiczową porzuciłem ten trop. Ona nie zdradziłaby naszej rodziny. A jednak gdy ją pytałem, cały czas się upierała, że jest pani

jej daleką krewną i służącą. Najwyraźniej chciała panią chronić. Dlaczego? Kim pani jest?

Ze wzrokiem wbitym w podłogę wyrecytowała szybko:

– Nazywam się Wiktoria Słoczyńska. Pochodzę z Łubinowa na Sandomierszczyźnie. Ukryłam się w Łempicach przed człowiekiem, którego miałam poślubić.

Usiadła na krześle przy stole i opowiedziała o ojczymie, jego groźbach, o zaręczynach z Piotrem Gorcem, podróży do Wilna i planach wyjazdu do Francji.

Ksawery milczał przez dłuższą chwilę, wreszcie sam również usiadł, przetarł twarz ręką i popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Proszę wybaczyć, ale chyba pani sama rozumie, że ta historia nie brzmi wiarygodnie. Młoda panna, która woli palić w piecach i szorować posadzki, niż brylować na salonach?

– Uważam, że mniejszą hańbą jest szorowanie posadzek niż brylowanie na salonach u boku kogoś takiego jak Gorc. Zresztą i tak byłyby to salony wątpliwej reputacji.

– Nie byłaby pani pierwszą ani ostatnią Polką, która związała życie z carskim lojalistą.

– Ach, i ta myśl miałaby mnie pocieszać w małżeństwie z człowiekiem, którego nienawidzę? Którym gardzę? Walczy pan z zaborcą, a dziwi się, że nie chcę jednego z nich?

– Nie zamierzałem pani urazić, przepraszam. Jeśli to wszystko prawda, to uciekając, skazała się pani na bardzo niepewny los.

– Wiem, ale... to mój los i ja będę o nim decydować.

Wiedziała, że Ksawery przygląda jej się przez cały czas. Raz czy dwa podniosła wzrok, ale nie potrafiła niczego wyczytać z jego twarzy.

– Proszę o wybaczenie. Nie chciałam nikogo oszukiwać, naprawdę. Jeszcze dziś odejdę, wrócę do Wilna, tylko błagam...



– Spokojnie. Proszę się nie bać. Nie chcę pani krzywdy. Naprawdę jest pani zdeterminowana, żeby jechać do Paryża?

Zawahała się.

– Tak. Jestem gotowa na wszystko, byle tylko uwolnić się od tamtego człowieka.

Wstał z krzesła, pokręcił głową, jakby nie chciało mu się w to wszystko uwierzyć.

– Mam panią odwiedzić do Łempic?

– Poproszę. – Podniosła się z miejsca i stanęła na drżących nogach. Służąca pomogła jej się przebrać, ani jednym spojrzeniem nie dając poznać, co sądzi o nocnych gościach swego pana.

W powozie milczeli przez dłuższą chwilę, każde pogrążone w swych myślach.

– Co mnie zdradziło? – Wiktoria nieśmiało podniosła wzrok. – Powiedział pan, że pewnośc zyskał w momencie, gdy weszłam do pokoju.

Nie widziała zbyt dobrze jego twarzy w ciemności, ale miała wrażenie, że się uśmiechnął.

– Doceniam pani starania. Przyznaję, że ładnie odegrała pani fałszywą nieporadność przy stole, ale następnym razem proszę pamiętać, że służąca nie potrafiłaby nosić z taką swobodą gorsetu i drogiej sukni. – Po chwili dodał z napięciem w głosie: – Bardzo proszę, by pani wybaczyła mi to, co się stało. Nie wiedziałem, jak inaczej zmusić panią do wyznania prawdy. To było okrutne.

– A ja proszę o zachowanie w tajemnicy, kim jestem – rzekła, zaciskając dłonie na kolanach.

Rozstali się przed bramą i gdy powóz odjechał, dziewczyna oparła się o kamienny mur. Nie słyszała ujadania psów, dźwięków budzącej się do nocnych harców przyrody, tylko swój świszczący oddech.

## ROZDZIAŁ 25

Jeszcze tylko przetrę podłogę i koniec na dziś – pomyślała Wiktoria, wymiatając popiół z pieca. Była sama, bo wszyscy już rozeszli się do siebie, a Rozalia myła się w izdebce. Lubiła ten moment, gdy wibrująca żarem, bulgotaniem i rejuwaniem kuchnia zastygała w bezruchu.

Zerknęła na dłonie. Stały się szorstkie i ciemne, mimo że co noc nacierała je maścią z wosku i oliwy. Trudno, nałoży rękawiczki i nie będzie widać. Prędzej czy później będzie musiała wrócić do swojego życia – i po raz pierwszy nie myślała o tym z radością. Tomaszowa pojawiła się w Łempicach nazajutrz po wydarzeniach w Zielnej. Przyjechała, by ją ostrzec i zabrać do Wilna, ale Wiktoria nawet słyszeć o tym nie chciała. Ufała Ksaweremu i choć zazwyczaj była nadmiernie ostrożna, wierzyła, że w Łempicach nic jej nie grozi. A może tylko chciała wierzyć, odurzona porywami niemądrego serca? Powtarzała sobie, że szaleństwem jest uczucie do człowieka, który nie ma pojęcia o jej istnieniu, który żeni się z inną. Wiedziała, że jeśli zostanie w Łempicach, będzie tylko rozciągać w czasie niepotrzebne cierpienie, ale nie potrafiła wyzbyć się nadziei.

Wysypała nieco popiołu na kamienną podłogę przy kominie, wygładziła ręką i zaczęła palcem rysować twarz Dominika. Duże oczy, wysoko uniesione brwi, wydatne kości policzkowe i piękne, zmysłowe usta... Naraz usłyszała kroki. W pośpiechu zmasała rysunek, wzbijając w powietrzu siwy obłok, i kichnęła w momencie, gdy do kuchni weszła ochmistrzyni. Popiół miała wszędzie. W oczach, w nosie, w zębach i we włosach. Otarła powieki wierzchem dłoni i wtedy go zobaczyła. Przez chwilę miała wrażenie, że to ułuda, ale nie. Stał tuż za ochmistrzynią, która srebrnym kluczykiem otwierała drzwi apteczki.

- Pomarańczówkę czy wiśniówkę, paniczu?
- Jedną i drugą, babcia sama wybierze. – Dominik wetknął głowę do wnętrza starej szafy. – Ileż tu skarbów! Cała łąka w tych słoiczkach i buteleczkach. Pamięta Róża, jak w dzieciństwie lubiłem tu zaglądać i wdychać zapach przypraw?
- I wyjadać cukier i migdały.
- A raz dostałem od Róży po rękach, gdy chciałem ukraść cykatę<sup>[35]</sup>.

Ochmistrzyń wręczyła mu dwie nalewki i dopiero wtedy zauważyli Wiktorię, która klęczała przy piecu.

– Zanim umyjesz podłogę, umyj twarz – poleciła pani Róża swym mocnym, generalskich głosem. – A fartuch oddaj do prania.

Dominik zaś uśmiechnął się szeroko, spoglądając na nią z rozbawieniem. Wiktorie nie odwróciła wzroku. Patrzyła na niego z żarliwością, jakby chciała zawołać: „Zobacz, kim naprawdę jestem pod tą brudną twarzą, dostrzeż mnie, pokochaj!”.

Nie usłyszał, nie odgadł próśb i opuścił kuchnię, odprowadzany jej stęsknionym spojrzeniem.

Nazajutrz, a był to ostatni dzień kwietnia, ochmistrzyń wezwała ją do siebie i zakomunikowała, by zaraz po obiedzie poszła do cmentarnej kaplicy w parku. Niech powyciera płyty nagrobne i uprzątnie wyschnięte kwiaty z wazonów.

Uczyliła to z radością, ciesząc się, że w tak ciepły dzień może wyrwać się z dusznej kuchni. Pobiegiła, zabierając ze sobą ścierkę i cebrzyk z ciepłą wodą. Wewnątrz kaplicy panował przyjemny półmrok, bo przez witrażowe okna z wizerunkami męczenników wileńskich wpadało niewiele światła. Na ołtarzu paliła się jedna świeca, której płomień to przygasał, to znów rozbłyskał mocno. Odstawiła cebrzyk na ławkę i w tym momencie usłyszała, że ktoś

wchodzi do środka. Drgnęła, wstrzymując oddech.

– Nie chciałem pani przestraszyć.

Nie widziała Ksawerego Łempickiego od tamtego wieczoru w Zielnej. Dziwnie się teraz czuła w jego obecności. Nie wiedzieć czemu powróciły do niej słowa i gesty, którymi chciał ją tylko sprowokować, a które tak bardzo do niego nie pasowały. Od kiedy go poznała, wydawał się taki poważny, rozsądny i zasadniczy, nawet w obliczu zagrożenia nie tracił zimnej krwi i doskonale panował nad emocjami. Gdy teraz na niego patrzyła, trudno jej było uwierzyć, że czuła na szyi jego oddech, że ją obejmował i mówił: „Takie dziewczki można brać i bez tego”. Mniemała, że nie jest Gorcem czy doktorem Bluszczem, że nie wykorzystuje swojej przewagi, by być z kobietą. „Jestem bardzo samotny...” – tak wtedy powiedział. Oczywiście to tylko jedna z nic nieznaczących kwestii, ale kto wie, czy nie tkwiło w niej ziarno prawdy. Nie był żonaty ani zaręczony, ale może żył z właścicielką pięknej atłasowej sukni?

– Dzień dobry – przywitała się. – Przysłała mnie tu ochmistrzyni.

– Tak, wiem, to ja ją o to prosiłem. Chciałem z panią porozmawiać. – Gestem ręki wskazał, by usiadła na ławce. – Potrzebowałem kilku dni, by się czegoś dowiedzieć. – Zaczął chodzić w tę i z powrotem. – Generał major Gorc od wielu tygodni nie wyjeżdżał z Warszawy, a jego narzeczona, panna Słoczyńska, leczy płuca w Italii – zrobił krótką pauzę. – Na pewno pani szuka, ale raczej nie odkrył, że przebywała pani w Wilnie.

– Jestem niezmiernie wdzięczna, że zadał pan sobie tyle trudu. Będę teraz spokojniejsza.

Zatrzymał się i uważnie na nią popatrzył.

– Wiktorio, mogłaby pani wrócić do Łankiewiczowej. Jeśliby się pani upierała przy wyjeździe do Paryża, to mógłbym pomóc. Mój kuzyn z Grodna, Bolesław, wybiera się na początku lipca do Francji.

Zorganizuję wszystkie dokumenty. Będzie pani uchodziła za siostrę jego żony. Tak będzie bezpieczniej i wygodniej.

Spuściła głowę, wyłamując palce. Początek lipca... Jest jeszcze czas, jest jeszcze szansa, żeby Dominik...

– Panno Wiktorio? Powiedziałem coś nie tak? – Usiadł obok niej.

Zaprotestowała szybko, wyrażając najgłębsze podziękowania. Nie spodziewała się tyle dobroci i nie chciała sprawiać kłopotu.

– Może pani wrócić do Wilna i...

– Nie, proszę. – Popatrzyła błagalnie.

– Rozumiem pani obawy. Mogę więc panią ukryć u moich przyjaciół. Byłaby tam pani damą do towarzystwa.

Poderwała się z ławki i złożyła ręce jak do modlitwy.

– Proszę mi pozwolić zostać w Łempicach aż do dnia wyjazdu.

– Nie rozumiem. – Obrzucił ją spojrzeniem, luzując wiązanie fularu przy szyi. – Chciałaby pani, żebym opowiedział o wszystkim bratu?

– Ależ nie.

Tym razem rozsądek wziął górę nad sercem. Gdyby została damą do towarzystwa pani Oktawii albo pani Agnieszki, Dominik musiałby ją zauważyć. Ryzyko było jednak zbyt wielkie. Całej służbie była znana jako Anusia. Zaczęłyby się pytania, domysły i kto wie, czym by się to skończyło.

– Chciałabym zostać w kuchni, jak dotychczas.

Podniósł się z ławki, krzyżując ramiona na piersi.

– Jeszcze bardziej nie rozumiem. Nie wierzę, że aż do tego stopnia polubiła pani mycie podłóg i skubanie drobiu. Proszę się nie obawiać, mój przyjaciel Kajetan Tułasiewicz jest człowiekiem godnym zaufania, u niego będzie pani bezpieczna.

– Nie, bardzo proszę pozwolić zostać mi w Łempicach. – Jeszcze trochę, a uczepliłaby się jego ramienia.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Aż tak pani na tym zależy? Dlaczego?

Patrzył na nią tak przenikliwie, jakby już znał odpowiedź. Nie była w stanie odwrócić wzroku.

– Z powodu... bo... właściwie... Pokochałam Łempice.

Widziała w jego oczach rozbawienie. Najwyraźniej uznał, że żartuje, i czekał, kiedy wyjawi prawdziwy powód. Po chwili jednak zrozumiał.

– Pokochała pani Łempice – powtórzył powoli, kiwając głową w zamyśleniu. – Mieszkańców również?

Spuściła wzrok, rumieniąc się. Zapadła długa cisza.

– Czy warto tak się torturować? Przecież pani wie, że Dominik jest zaręczony...

– Tak, wiem – przerwała natychmiast. – Proszę, nie mówmy o tym więcej. Bardzo proszę.

– Jest pani pewna swojej decyzji? Takiego losu chce pani dla siebie? Kolejne tygodnie w kuchni?

– Jestem pewna.

Westchnął, wypuszczając powietrze przez zęby.

– Jak pani sobie życzy. Gdybym mógł jakoś pomóc...

– Dziękuję, już mi pan bardzo pomógł i nigdy nie zapomnę pańskiej dobroci.

Napięcie zelżało.

Wiktoria sięgnęła po ścierkę i namoczyła ją w wodzie.

– Proszę to zostawić – poprosił łagodnie. – To miał być pretekst.

– Skoro już tu jestem, mogłabym wytrzeć tablice.

– Ja to zrobię.

Zdjąwszy surdut, odłożył go na ławkę i podwinął rękawy. Wiktoria tymczasem zaczęła czytać wyryte na ścianie nazwiska: Dominik Michał Łempicki 1778–1831, Emilia z Tułasiewiczów

Łempicka 1781–1802.

– Taka młoda...

Ksawery podążył za jej wzrokiem.

– Pierwsza żona ojca – wyjaśnił, usuwając pajęczyny. – Zmarła wraz z nienarodzonym dzieckiem niecały rok po ślubie.

– To straszne. Pański ojciec musiał być zdruzgotany.

– Z pewnością była mu bardzo droga. Jej portret nadal wisi w Łempicach, ale... – Uśmiechnął się lekko, sam do siebie. – Nigdy nie miałem wątpliwości, że kochał moją matkę najbardziej na świecie.

Wiktoria wbrew sobie poczuła ukłucie zazdrości. Był dzieckiem miłości, Dominik zapewne też. A ona?

– Leontyna Joanna Łempicka – przeczytała kolejny napis na kamiennej płycie, zawieszając głos.

– Moja siostra. Pierworodna córka rodziców – powiedział, przecierając palcem wklęsłe litery. – Żyła niecałe trzy miesiące.

– Boże mój. Wolę nie myśleć, co musiała czuć pańska matka.

– Nadal ją wspomina i tęskni. Marzyła o wnuczce, ale gdy urodził się Dominik... – zamilkł gwałtownie.

– Ile pan miał lat, gdy stracił ojca? – pospieszyła z pomocą. Nie chciała, by znów powróciło to nieznośne napięcie.

– Dwanaście.

Wykonała w pamięci szybki rachunek. A więc właściciel Zielnej ma dopiero trzydzieści cztery lata.

– Bardzo panu współczuję straty.

– A ile pani miała lat, gdy zmarł pani ojciec?

– Trzynaście.

– Rozumiem, jak bardzo musiała pani cierpieć. Bardzo mi przykro. Jaki był pan Słoczyński?

Mimowolnie się uśmiechała, opowiadając o jego prawości i dobroci, o wspólnych rozmowach, przejażdżkach, o Wilii i dumie z

bycia jego córką. W tej opowieści nie mogło zabraknąć Łubinowa, miejsca, o którym mówiła z uwielbieniem ślepym i namiętym, jakby wspominała najdroższego kochanka. Zamilkła na chwilę, zawstydzona swą egzaltowaną paplaniną i zdziwiona, że tak łatwo otworzyła się przed obcym człowiekiem. Ksawery nie wydawał się jednak znużony i zadawał kolejne pytania. Zasepiła się, na wspomnienie matki. Nie potrafiła rozmawiać o niej bez żalu, więc ucichła. Podeszła do kolejnej tablicy, jednej z najstarszych, z fantazyjnie dekorowanymi literami. Powiodła palcem po nieco już startej inskrypcji. Cecylia z Kosakowskich Łempicka, Ksawery Łempicki...

– Moi dziadkowie. – Ksawery wrzucił brudną ścierkę do cebrzyka i stanął za nią. – Rodzice ojca. Widziała pani figurę Najświętszej Marii Panny przed bramą Łempic, po drugiej stronie drogi?

Wiktoria przytaknęła. Gdy jechała do pałacu z Tomaszową, zwróciła uwagę na piękną rzeźbę Matki Boskiej, z dłońmi splecionymi na piersiach i pochyloną głową. Ustawiona na okrągłym postumencie z piaskowca widoczna była już z daleka.

– Kazała ją postawić babcia Cecylia. Po klęsce insurekcji kościuszkowskiej dziadek Ksawery został aresztowany i wywieziony do Petersburga. Groziła mu śmierć, a w najlepszym razie zsyłka. Babcia jak lwica walczyła o jego życie. – Ksawery oparł się o ścianę tuż przy tablicy. – Słała listy do wszystkich wysokich urzędników, przekupywała, błagała, nawet groziła. Każdego dnia razem ze służbą, moim ojcem i czterema starszymi córkami modliła się w łempickiej kaplicy przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Wierzyła, że sprawi ona cud i uratuje jej ukochanego męża. Sama jednak nie próżnowała. Pojechała do Petersburga i tam błagała o ratunek. Z kim się spotkała i jak udało jej się wyjednać łaskę, nigdy nie zdradziła. Wróciła do Łempic, a kilka miesięcy potem stał się ów cud, o który



tak się modliła. Gdy dziadek Ksawery zbliżył się do domu, wysiadł z furmanki, którą go chłopci wieźli, padł na kolana i w ten sposób pokonał drogę, która dzieliła go od pałacu. A był to nie lada wyczyn dla kogoś wycieńczonego prawie rocznym więzieniem i daleką podróżą. – Spojrzał na tablicę, pogładził ręką inskrypcję. – Padł do stóp tej, która nie wahała się poruszyć nieba i ziemi, żeby go ocalić. Babcia na pamiątkę tego radosnego wydarzenia kazała postawić figurkę dokładnie w tym miejscu, z którego dziadek Ksawery przyszedł do niej na kolanach.

Wiktoria uśmiechnęła się szeroko.

– Jaka piękna historia. Ta figura jest więc pomnikiem miłości. – Spojrzała na daty śmierci. – Dziadka Ksawerego nie może pan pamiętać, skoro zmarł w tysiąc osiemset dwudziestym roku. A babcię?

– Pamiętam ją bardzo dobrze. Zawsze kojarzyła mi się z wielkim, starym drzewem, które przetrzyma każdą wicherę. Nie byłem łatwym dzieckiem, w każdym razie tak mówią – uzupełnił z poważnym uśmiechem – ale ona wybacziała mi wszystko. Nie dlatego, że była babcią bezkrytycznie wielbiącą wnuka, ale dlatego, że naprawdę mnie rozumiała.

Spojrzeni na siebie, przez dłuższą chwilę nic nie mówiąc. Mimo zimnego, cmentarnego anturażu zrobiło im się niespodziewanie ciepło. Pierwsza ocknęła się Wiktoria.

– Proszę wybaczyć, ale muszę już iść – rzekła, spuszczać wzrok, choć tak naprawdę wcale jej się nie spieszyło do kuchni. Najchętniej zostałaaby jeszcze i posłuchała opowieści Ksawerego. – Długo mnie nie ma.

Wyciągnęła z dwóch wazonów zwiędłe róże i chwyciła za cebrzyk.

– Oczywiście. – Ksawery zaczął z powrotem opuszczać podwinięte

rękawy. – Mógłbym coś zrobić? Potrzebuje pani czegoś?

– Nie. Dziękuję stokrotnie za wszystko i przepraszam, że swoją osobą zrobiłam kłopot.

– Proszę nie przepraszać. – Podeszedł do drzwi, uchylając je lekko. – Ja tu jeszcze chwilę zostanę. Do zobaczenia, panno Wiktorio.

## ROZDZIAŁ 26

Zaczął się maj, największa miłość wiosny. Łempice rozkwiwały, pęczniały i upajały słodkim zapachem fiołków oraz bzów w parku i lasach. W pierwszą niedzielę miesiąca chłopcy, jak kazał obyczaj, wyszli na pola, by posadzone drzewka przyozdobić kolorowymi wstążkami, nucąc przy tym: „O maju! O maju, przynieś nam bogaty i obfity rok”<sup>[36]</sup>. Kobiety z folwarku przystroiły figurkę Najświętszej Marii kwiatami ofiarowanymi przez panią Oktawię z oranżerii i codziennie rzewnym śpiewem wypraszały łaski i chwaliły łąki umajone.

Wiktoria lubiła te wieczorne spotkania. Sprawiało jej przyjemność obserwowanie niewieścich twarzy: i tych młodych, gładkich, i tych przeoranych latami pracy, bo każda z nich w modlitewnym uniesieniu wydawała jej się w jakiś szczególny sposób piękna. W wyobraźni chwyciła za pędzel, wybierała farby, nanosiła je na płótno i tworzyła obraz za obrazem, wymyślając odpowiednie tytuły.

Nadal, gdy tylko nadarzyła się sposobność, biegała z jadem do kredensu, z którego mogła podglądać Dominika. Za każdym razem wypatrywała również Ksawerego i cieszyła się, gdy był w pałacu. Traktowała go jak sojusznika, może nawet przyjaciela, i była mu wdzięczna, że nie zmusił jej do opuszczenia Łempic. Domyślała się, że otoczył ją dyskretną opieką, bo ochmistrzyni często wyciągała ją z kuchni i zlecała lekkie, trywialne zadania. Posyłała Wiktorię do lasu, aby urwała kilka modrzewiowych gałązek, albo do wsi, żeby zaniósła zwitek materiału tej czy innej gospodyni. Nawet jeśli pani Róża dziwiła się niespodziewanej protekcji pana z Zielnej, nie dała nic po sobie poznać. To u niej w pokoju Wiktoria spotkała Ksawerego po raz

drugi. Spytał, czy niczego nie potrzebuje i czy nie zmieniła zdania. W każdej chwili może ją przewieźć do pięknego dworu, gdzie zostanie damą do towarzystwa. Gdy uprzejmie odmówiła, pożegnał się i wyszedł, ku jej wielkiemu rozczarowaniu, bo chętnie dłużej by z nim porozmawiała.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. Siostry Skarżanki pewnie odsądziłyby ją od czci i wiary za to, że nie widzi niczego zdołnego w przebywaniu z mężczyzną sam na sam. Na pensji, gdy zajęcia prowadził nauczyciel, jedna z sióstr obowiązkowo siedziała w sali, pełniąc funkcję przyzwoitki i strzegąc młode umysły przed ewentualną deprawacją. Wszak mężczyzna może zdeprawować jednym słowem, ba, jednym spojrzeniem.

Któregoś dnia stała się mimowolnym świadkiem złośliwości Irminy.

– Kawa się nie nadaje, jest niedobra – oświadczyła garderobiana, wnosząc do kuchni filiżanki na tacy. – Niech Agata zrobi nową, a najlepiej niech Urszula się tym zajmie.

Młoda kucharka popatrzyła spode łba. Zaczęła szybciej ucierać pieprz w moździerz. Wiktoria wiedziała, że to jawna niesprawiedliwość. Kawą Agaty zachwycali się wszyscy. Tylko ona potrafiła przygotować ten aromatyczny napój tak, by zaspokoić najbardziej wymagające podniebienia, i każdy marzył, by spróbować śmietanki zapiekanej w garnuszku pod leszczynowym liściem. Agata raz dodawała do niej żółtko, a raz migdały z wanilią. Wszystko w odpowiednich proporcjach, w odpowiedniej temperaturze i w odpowiedniej porcelanie.

– Starsza pani tak powiedziała? – spytała Urszula, łapiąc się pod boki.

Garderobiana przyglądała gęste, starannie uczesane włosy i zmarszczyła duży, niepasujący do drobnej twarzy nos.

– Ja tak mówię. Kawę powinna przygotowywać kawiarka, jak to dawniej bywało, a nie wątpliwych umiejętności służąca.

– A ty to niby kto? Hrabina Irmina?

– Hrabina Irmina, co karku nie zgina – zaśpiewał Franek na melodię popularnej przyśpiewki.

Garderobiana uśmiechnęła się z wyższością, podeszła do wiadra i powoli wylała zawartość filiżanki.

– Przygotujcie nową kawę, bo jak nie, poskarżę się pani.

Gdy wyszła z kuchni, Agata dała upust wściekłości.

– Zamorduję, łeb ukręcę!

Franek klepnął kucharkę w łopatki.

– A chodź, w nocy wyniesiemy ją do Vaivy Miglè. Ja za ręce, ty za nogi, szast-prast i po Irminie Kwaśnej Minie. Już by się tam nią Vaiva nakarmiła.

– A przy okazji i wami – sarkąła Urszula.

– A właściwie dlaczego ona straszy w tym lesie? – spytała Wiktoria, myjąc filiżankę po kawie. – Skoro spalili ją w Wilnie...

– Ano właśnie nie spalili. – Urszula przysiadła na zydlu, sapiąc. – Rzuciła urok na kata i ją uratował. Wcześniej podobnież zarazę na wieś sprowadziła, taką miała moc.

– I co? – dopytywała Wiktoria.

– I nic! Wywinęła się wiedźma. Ale i na nią przyszła pora. Ja to zawsze mówię, że na każdego przyjdzie. Na Irminę też. Jak się dalej tak będzie rzucała jak wsza na grzebieniu, to się doigra.

### *LITWA, MARZEC A.D. 1641*

Z trudem chwytąca powietrze. Ostry kaszel niemal rozrywał płuca, a gorączka trawiła umęczone ciało. Był przy niej. Czuła, że przykładając zimne kompresy do czoła i smarując piersi ostro pachnącą maścią. Gdy otworzyła oczy, podstawił jej pod usta gliniane naczynie.

– Wypij – polecił. – Musisz pić.

Pomógł jej, podtrzymując głowę ramieniem. Godziła się na wszystko, zbyt wyczerpana, by protestować.

Dzień zlewał się z nocą, noc zlewała się z dniem w wirującym pędzie, którego dziewczyna nie potrafiła zatrzymać. Śmierć się do niej dobijała, już uderzała kosą, już była gotowa porwać ją w tany, ale nijak nie mogła uradzić katowskiej obronie, więc znudzona odeszła.

I tak pewnego ranka Vaiva po raz pierwszy złapała oddech bez bólu. Odsunęła na bok otulającą ją derkę i usiadła na łóżku. Miała na sobie koszulę, która – choć o wiele za duża – była miękka i ciepła. Odruchowo dotknęła głowy i szybko cofnęła rękę, nie znajdując włosów. Westchnęła ciężko, rozglądając się po izbie. Dwie duże skrzynie, prostokątny stół z żeliwnymi okuciami na rogach, wąska ława pod oknem, a pośrodku solidne palenisko z kominem. U powały wisały resztki suszonych ziół z zeszłego lata, rozchodnik, wilcza jagoda, tojeść i macierzanka. W oknach zamiast błon zwierzęcych połyskiwały najprawdziwsze szyby, przezroczyste jak źródłana woda. Za wrotami widać było jeszcze jedną małą izdebkę. Vaiva się podniosła i na drżących nogach podeszła do stołu. Spozrzegła, że stopy owinięte ma płótnem nasączonym czymś żółtym. Usiadła na prostym stołku. I co teraz będzie? – pomyślała złęczona. Gdy do izby wszedł kat, spuściła szybko oczy.

– Wstałaś. To dobrze.

Sięgnął po glinianą miskę, przykucnął przy ogniu i nalał z saganka brunatną zawiesinę.

– Zjedz.

Popatrzyła na niego wystraszona.

– Nie bój się, jedz. – Podał jej drewnianą łyżkę. – Jak nie będziesz jadła, sił nie nabierzesz.

Przejęta chciała przysunąć miskę bliżej i chwyciwszy ją niezgrabnie, rozlała wywar na stół. Zastygła w bezruchu. Popatrzyła

strwożona na kata, spodziewając się, że za karę wysmaga ją batem.

– Wybaczcie, panie – pisnęła, kuląc się, jakby już spadały na nią ciosy.

– Nie mów mi „panie”, tylko Wilkomir – rzekł, ponownie napełniając miskę. Usiadł na stołku obok i zaczął ją karmić. – Jesteś jeszcze licha. Powinnaś wypoczywać.

Przełykała posłusznie, czując, jak ciepła strawa wypełnia żołądek.

– Muszę jechać do miasta, ale nie bój się, tu jesteś bezpieczna. Obejścia pilnuje Dalius. Jest niemową od urodzenia, ale dużo słyszy i widzi – powiedział jej, nim wyszedł z izby w swym karmazynowym płaszczu.

Patrzyła za nim, myśląc o tym, że ten wielki, barczysty mężczyzna z mieczem u boku jest jej mężem. Bała się go okrutnie, choć wydarł ją śmierci. Czemu to zrobił? Woląta nie wiedzieć. Gdy odjechał na koniu, narzuciła na siebie derkę i wyszła przed chatę. Dom stał na polanie między lasem a łąkami, za którymi widać było dachy wileńskich budowli. Przy płocie rosła lipa o potężnym pniu i dwie wymizerowane jabłonie, nachylające się ku sobie jak dwie siostry staruszki. Koło chałupy dostrzegła jeszcze stajnię, skleconą byle jak z nieoheblowanych desek.

Dokuczliwy wiatr zagonił ją z powrotem do izby. Zakaszła głośno, pokuśtykała do łóżka i padła wyczerpana, oddychając płytko.

A jednak z każdym kolejnym porankiem wracały jej siły. Nie musiała już nosić opatrunków na stopach. Ślady po chłości zniknęły, podobnie jak czerwone pręgi wokół nadgarstków. Wilkomir sprawił jej sukienki i ciepłe kaftaniki, a nawet chustkę z białego lnu, co by głowę chronić. Z początku zostawiał dla niej jadło przy ogniu, aż wreszcie poprosiła, by mogła sama warzyć. Przywoził więc z Wilna ryby, mleko, kasze i kawałki mięsiwa, ona zaś piekła chleb, i to z prawdziwej mąki, a nie otrębów, przyrządzała strawę i czekała z

wieczerzą. Powoli oswajała się z jego obecnością. Spał w drugiej, małej izbie na rozłożonym na ziemi sienniku. Nie próbował przychodzić do niej w nocy, czego bała się najbardziej. Gdy przyjeżdżał z miasta, szedł najpierw do lasu i kąpał się w rzece, jakby niestraszne mu były lodowata woda i najeżone chłodem powietrze. Zjawiał się w chacie w sięgającej do kolan koszuli, przebierał i dopiero wtedy zasiadał do wieczerzy. Mówił mało, prawie wcale. Zdarzało się, że ktoś do niego zachodził. Jakaś babina z dzieckiem na ręku, kulejący starzec albo młodzik z opuchniętym ramieniem. Nie pozwalał im jednak wejść do środka. Wyciągał ze skrzyni jakieś buteleczki, odcinał z sufitu pęk ziół i szedł przed chatę. Zdarzało się, że ukroił też kawał chleba i razem z gorzałką wręczał tym, którzy szukali u niego ratunku. Dla biedoty był kimś więcej niż medyk. Był ich ostatnią nadzieją. Bali się go jak ognia i potrzebowali jak powietrza.

Vaiva z początku nie opuszczała domostwa. Kiedy już okrzepła i zrozumiała, że to nowe życie nie musi być piekłem, zaczęła chodzić do lasu, który jeszcze ziewał, jeszcze przeciągał się niezgrabnie, ale już był gotów na ponowne narodziny. Ona również.

Wieczorami, w migoczącym świetle łuczywa, przypatrywała się Wilkomirowi. Trudno było ocenić, ile zim już przeżył. Chyba był młodszy od ciotki Sicity. Dziwną miał twarz. Kanciastą taką, dużą, z wąskim, długim nosem i wysokim czołem. Gdy łąpał na nią ciemnymi oczami, dziwiła się jego brwiom, tak jasnym, że wręcz niewidocznym.

Za każdym razem dopytywał się, co jej przywieźć, co by chciała, aż wreszcie ośmielona poprosiła o kwokę z kurczętami. Wilkomir nie oponował, a nawet polecił Daliusowi zrobić klatkę. Vaiva chciała być użyteczna, więc zrobiła za domem warzywniak, co by nie trzeba było wszystkiego z jarmarku brać, a gdy w lesie znalazła malinowy



chruśniak, jeden krzak posadziła pod oknami. Po raz pierwszy od dawna znów zaczęła śpiewać przy pracy. Wilkomir niczego jej nie bronił. Przeciwnie: zachęcał, by wprowadzała zmiany, jakich tylko sobie zażyczy. Vaiva z niepokojem czekała, kiedy zażąda czegoś w zamian. Był jej mężem, miał prawo, ale jak dotychczas ani razu z niego nie skorzystał.

– Czego ode mnie oczekujecie, panie? – spytała, przyłapując go, jak przyglądał się jej przy stole.

– Że nie będziesz mówiła mi „panie”.

– A... czego jeszcze?

Milczał przez dłuższą chwilę, przeżuując chleb. Odłożył łyżkę, patrzył to na nią, to na stół, aż wreszcie sięgnął po kielich.

– Nie wezmę niczego, czego sama nie zechcesz mi dać – orzekł, wypijając trunek do dna.

– Dlaczego mnie uratowaliście?

– Pożałowałem cię.

– I nie lękaliście się, że mogę być czarownicą?

Uśmiechnął się tylko.

– A jesteś?

– Nie.

Opuściła głowę i niespodziewanie z jej ust popłynęły słowa o matce, ciotce i kowalu, o życiu we wsi, z której została zabrana, o Juodisie i niesłusznych oskarżeniach. Słuchał uważnie, nie spuszczać z niej wzroku. A potem opowiedział o sobie. Matki prawie nie pamiętał, bo zmarła, gdy był dzieckiem, ale jej obraz, silnej i mądrej, przechowywał w sercu jak relikwię. Ojciec, wileński kupiec, ożenił się po raz drugi z młodą wdową. Dzieci swoich nie miała, więc zdawało się, że będzie troskliwą macochą, a okazała się niegodziwą matką i niewierną żoną. Ojciec wiele jej wybaczał, ale kiedy raz pewnego przyłapał ją z kochankiem, rzucił się na gacha.

Odepchnięty upadł i uderzył głową o twardą ramę łóżka. Macocha winę zrzuciła na Wilkomira. Miał dopiero dwanaście lat, ale wysoki już był i silny jak dorosły mężczyzna. Łatwo było zrobić z niego kozła ofiarnego. Ojacobójca. Morderca. W ten sposób macocha przejęła majątek, a niechcianego pasierba pozbyła się raz na zawsze. Darowano mu życie i wtrącono do lochu. Pokazał na bliznę ciągnącą się od ucha. Niejednokrotnie go atakowano i nauczył się bronić, potem z syna kupca stał się pomocnikiem kata, hyclem, który budził wstręt i pogardę. Kiedy nabrał biegłości, sam został egzekutorem. Mówiono, że świetny jest w swoim fachu, bo ścina głowy za pierwszym razem. Nienawidził tej roboty, ale z czasem przywykł, okrzepł, zobojętniał. Cóż innego mu pozostało?

– Panie – chwyciła go za rękę – wiele wycierpieliście.

– Nie więcej niż ty. – Przytrzymał drobną dłoń, patrząc na nią swymi ciemnymi oczami.

Spuściła wzrok, spłoszona, bo jakoś dziwnie jej się zrobiło. Lekko i przyjemnie.

– Panie, potraficie czytać, prawda?

Pokiwał głową.

– A nauczycie mnie?

Nie zapytał, na co jej to, nie zaśmiał się wzgardliwie, nie burknął, że czasu nie ma na głupstwa.

– Nauczę – obiecał.

I tak wieczorami wysypywał na klepisko w izbie piasek i kreślił w nim kijem litery, które potem zaczął składać w wyrazy. Vaiva powtarzała na głos słowa ruskie i polskie, a wkrótce zdania całe. I dobrze im było razem, gdy siedzieli głowa przy głowie. Nie raz śmiali się w głos, wymieniając myśli. Pewnego dnia Wilkomir przywiózł jej w podarunku trzewiki.

– Ach, to przecie niepotrzebne – zaprotestowała onieśmielona. –

Tu i tak chodzę boso.

– Ale jak cię do Wilna wezmę, to włożysz.

Spochmurniała wtedy, wzrok spuściła, ręce w pięści zacisnęła. Podszedł do niej i uniósł ku sobie jej twarz.

– Wiele złego cię spotkało, ale nie można bać się życia ni ludzi.

Gdy wyznała, że swoje odbicie widziała tylko w rzece, obdarzył ją prezentem niezwykłym i drogim – zwierciadłem osadzonym w drewnie z ładnie dekorowaną rączką.

– Zobacz, jaka jesteś urodna – rzekł z uśmiechem.

Jak to dobrze przejrzeć się w swoich oczach – pomyślała Vaiva, patrząc w lusterko. Do tej pory oglądała się wyłącznie w cudzych. Widziała w nich siebie odstręczającą, czasem rozpustną, a niekiedy tak piękną, jakby zjawiskiem niecodziennym była, a nie człowiekiem. Teraz się przekonała, że w jej twarzy nie ma diabła, nie ma wiedźmy, bękartego nasienia ani wszetecznicy. Włosy powoli zaczęły odrastać, zniknęły wystające żebra, sterczące obojczyki. Jej ciało, nieznaną już głodu, nabierało nęcących krągłości. Widziała, że Wilkomir coraz częściej zawiesza na niej wzrok. Czasem, gdy uczył ją czytać, brał za rękę i prowadził po piasku, aby i pisać potrafiła. Dotyk ten nie był niemiły. Mąż z każdym dniem stawał jej się coraz droższy, ale nie potrafiła odpowiedzieć na jego chęci. Z lękiem myślała o wspólnym dzieleniu łoża, bo w snach powracała do niej twarz kowala, twarze ławników, ich chutliwe spojrzenia, gdy stała przed nimi obnażona. Mimo to coraz częściej budziły się w niej ciekawość i słodka tęsknota. Do tej pory poza dziadkiem znała tylko takich mężczyzn, którzy gwałtem brali to, czego chcieli. Wilkomir był inny. Cierpliwie czekał. Nie podeptał przemocą powoli budzących się pragnień.

Raz, gdy wrócił z miasta, zapuściła się nad rzekę i ujrzała, jak stoi po pas w wodzie. Ciotka Sigita powtarzała, że kąpać można się dopiero po Świętym Janie, bo inaczej utopiec albo rusałki mogą

porwać i wciągnąć w groźną kipieli. Wilkomir nic sobie z tego nie robił. Szorował ciało wierzbową witką, mył sięgające za kark popielate włosy. Wiedziała, że nie powinna patrzeć, ale stojąc za drzewem, spoglądała na jego muskularną pierś pokrytą gęstym włosiem jak u zwierzęcia. Ramiona miał silne i potężne, jakby mógł wpół przełamać najgrubsze drzewo. Zdawało jej się, że oto ma przed sobą Giraitisa, bóstwo lasu, i jeśli się nie wycofa, on porwie ją w tę wodę, zakołysze, zdobędzie. Pognała do domu, myśląc o tym, że po raz pierwszy w życiu zachwycała się męskim ciałem.

Któregoś wieczora, gdy wiosna już na dobre zapanowała nad ziemią, bo maj się zbliżał, Vaiiva siedziała przed domem na starym pniu. Patrzyła ogarnięta zachwytem w niebo, które po zachodzie słońca rozlało się rubinową barwą. W pewnym momencie poczuła, że stoi tuż za nią. Odwróciła się i napotkawszy jego spojrzenie, podniosła się i zbliżyła. W milczeniu uniósł dłoń, dotknął delikatnie jej policzka, brody, ust. Nie zrobił nic więcej. Czekał. Wtedy ona również pogłaskała go po twarzy. Zrazu nieśmiało, a potem już pewniej muskała opuszkami palców jasne brwi, napięte żyły na czole, wydatne kości policzkowe, skronie, na których skóra była zaskakująca gładka, bliznę ciągnącą się od ucha do szyi i wreszcie wargi. Były ciepłe, miękkie, wilgotne. Gwałtownie cofnęła rękę, jakby ogniem się sparzyła, ale było już za późno, bo żar rozlał się po ciele, wypełniając ją czymś ciężkim, rozedrganym, dziwnie nęcącym. Przytrzymała się Wilkomira, by nie osunąć się w nicość, a on chwycił ją w pasie, podniósł i postawił na pniu. Teraz nie musiała zadzierać głowy, by spojrzeć mu w oczy. Oplotła jego szyję ramionami i oparła czoło o czoło, przymykając powieki. Rozchyliła usta, czując na języku ich gorące oddechy i słowa, jeszcze niewypowiedziane, a już smakujące słodko, jak oblane miodem owoce, których skosztowała ongiś na jarmarku w Wilnie.

– Miłuję cię. Miłuję. – Szept Wilkomira pieścił ją, zaczarowywał, kusił.

Przywarła do niego mocniej, by wziął wreszcie to, do czego miał prawo jako mąż. A jednak, gdy przyłgął wargami do jej warg, otworzyła oczy, szarpnęła się i odwróciła głowę. Postawił ją z powrotem na ziemi z głośnym westchnieniem zawodu.

– Wybaczcie, panie – szepnęła, uciekając do izby.

W ciągu kolejnych dni nie próbował się do niej zbliżyć. Nie nalegał, nie przymuszał, ale wiedziała, że tego pragnie. Jak długo mogła odtrącać człowieka, który ocalił ją przed okrutną śmiercią, ofiarował jej dom, opiekę i prawo wyboru?

Pewnej nocy, zanim poszedł spać do swej izdebki, spytał:

– Czy gdybym dał ci wolność, odeszłabyś?

Popatrzyła na niego strwożona.

– Dajecie mi wolność, panie. I nie chcę od was odchodzić – powiedziała bez wahania.

Nie wyobrażała sobie, by mogła go opuścić. Był jej miłszy niż Daina, niż ciotka Sigita, a nawet dziadek, choć żyć z nim jak z mężem jeszcze nie umiała.

Kiedy następnego dnia przy wieczerzy przyglądała się Wilkomirowi, pragnęła znów poczuć te silne, wielkie dłonie na swoim ciele. Wyobrażała sobie jego usta na szyi, potężne ramiona oplatające ją w pasie – i przenikał ją wtedy rozkoszny dreszcz. Powracała myślami do tamtego wieczora, gdy była z nim tak blisko, gdy zapewnił ją o swej miłości, i żałowała, że uciekła wtedy spłoszona. Każdej nocy rzucała się na posłaniu, zgrzana i niespokojna, dręczona gorejącym w dole brzucha ogniem.

Pewnego wieczora przed snem siedzieli obok siebie na stołkach, pochylając się nad klepiskiem. Wilkomir pisał, ona bez trudu rozszyfrowywała słowa i całe zdania dumna, że wszystko rozumie.

Patrzyła w piasek, gdy pojawiła się kolejna fraza.

– Zostaniesz... dziś... ze mną? – przeczytała na głos.

Napięła mięśnie. Gorąco zawładnęło jej ciałem. Spuściła wzrok, nic nie mówiąc.

Wilkomir tymczasem wstał i nogą pospiesznie stał napis.

– Zajrzę do stajni, do Daliusa – rzekł powściągliwie. – Możesz już zgasić łuczywo. Śpij spokojnie.

Miała chęć pójść za nim, poprosić, by wrócił. Bała się. Bardzo się bała, ale pragnienia, które w niej dojrzały, silniejsze były niż strach. Włożyła nocną koszulę, zgasiła ogień i wsunęła się do łóżka, spoglądając na ledwo migoczące w ciemności skry. Siennik szeleścił, gdy przewracała się z boku na bok, słyszała pohukujące w lesie sowy i skrobanie myszy w tylną ścianę chaty. Derka zdała jej się nagle chropawa, więc odsunęła ją, ale koszula także jej przeszkadzała. Ściągnęła ją w końcu i rzuciła na klepisko. Nozdrza drażniła woń polewki, którą jedli na wieczerzę, i ziół, które wisały u powały.

Usłyszała w końcu, że wraca. Wsunął się po cichu, przechodząc do swej izdebki. Odczekała chwilę i poszła do niego. Dygotała, gdy naga kładła się przy nim na pościeli. Była jednym wielkim oczekiwaniem na to, co nieznane, a tak intrygujące. Kiedy więc poczuła, że przygarnia ją do siebie, że jego silne, szorstkie dłonie zgłębiają sekretne miejsca jej ciała, przymknęła powieki, choć w ciemności i tak nie mogła nic zobaczyć. Mimo onieśmienia wtuliła się w niego ufnie, spragniona gorąca, którym promieniował. Pachniał mokrą trawą i dymem z paleniska – przyjemnie i drażniąco zarazem. Pozwalała na pocałunki, pieszczoty języka, coraz żarliwsze, coraz bardziej niecierpliwe, odnajdując w tym dziwną przyjemność, której nigdy przedtem nie zaznała. Ach, więc tak to wygląda! – przemknęło jej przez głowę. Poczowała się bezwstydnie upojona bliskością tego mężczyzny, który unosząc się nad nią, zdawał się wielki jak

sklepienie lasu. Dziwne bolesno-rozkoszne napięcie przybierało na sile i nagle Vaiva się przestraszyła, że może nie zazna ukojenia, że Wilkomir będzie ją dręczył, póki nie oszaleje. Wtedy ich ciała złączyły się w szybkim, niemalże drapieżnym rytmie. W pierwszej chwili nie rozumiała, co się dzieje, dlaczego w miejsce przyjemności wdarł się nieznośny ból, ale pierwotny instynkt podpowiadał jej, że tak być musi. Walczyła ze sobą, by go nie odepchnąć, by nie krzyknąć: „Puść mnie, przestań”. Przerazały ją jego siła i gwałtowność, z jaką ją zdobywał. Przez chwilę nie widziała w nim człowieka, lecz najprawdziwszego wilka, poczynającego sobie z nią jak z upolowaną ofiarą. Może nawet pożałowała, że przyszła do niego zwiedziona ciekawością i tym pulsującym, niespokojnym ogniem, który jednak mimo bólu nie przygasł, ale powoli rozprzestrzeniał się od łona przez piersi i ramiona aż po końce palców, które bezwiednie zaciskała. Nie wiedziała już, czy jest jej dobrze, czy źle. Wszystko stało się dziwną mieszaniną błogości i udręki. Oddech Wilkomira parzył wrażliwą skórę ramion i szyi dziewczyny, dłońmi prawie miażdżył szczupłe nadgarstki, gdy w emocjach złapał je i przycisnął do pośladka. Nagle usłyszała zduszony krzyk. Swoój czy jego? Kiedy wyczerpany opadł na nią i puścił jej rękę, odruchowo objęła go z całych sił. On należy do mnie – pomyślała – a ja należę do niego. Nie spodziewała się, że to, czego doświadczy, będzie tak proste i trudne. Rozkoszne i bolesne. Cudowne i wstrętne. Niechciane i wyczekiwane. Czułe i brutalne.

– Każdej nocy czekałem, aż do mnie przyjdiesz, aż spojrzysz na mnie jak na męża.

– Wilkomirze – szeptała mu do ucha. – Wilkomirze.

## ROZDZIAŁ 27

### *ŁEMPICE, MAJ 1853 ROKU*

– Aniu, przerwij na chwilę swoją pracę – zarządziła ochmistrzyń, wchodząc do kuchni. W ręku trzymała zwitek białego materiału. – Idź do kaplicy i połóż świeży obrus na ołtarz. A tamten przynieś do prania. – Poszukała wzrokiem Urszuli. – Jutro na obiad zapowiedzieli się Tułasiewiczowie, a dziś będzie pan dziedzic z Zielnej.

Wiktoria spuściła głowę, żeby ukryć uśmiech. Pobiegnęła do swojej izdebki i zmieniła fartuch. Zawahała się przez moment, ale w końcu wyjęła ze skrzyni schowany pod ubraniami rysunek Łubinowa, starannie go złożyła i ukryła w kieszeni. Zerknęła jeszcze na swe odbicie w szybie kredensu i ukradkiem przygładziła włosy. Z kuchni wyszła rażnym krokiem, idąc w kierunku kaplicy.

Ksawery czekał na nią w środku. Gdy ją zobaczył, podszedł się przywitać, po czym usiedli w ławce naprzeciwko ołtarza.

– Mam dobre wieści – oznajmił. Wyglądał na wypoczętego i zadowolonego. Do twarzy mu było w ciemnogramatowym surducie. – Pani dokumenty i wszystkie zezwolenia na wyjazd wkrótce będą gotowe. Byłem u Łankiewiczowej, żeby już się o to nie kłopotowała. Pozdrawia panią i chce zabrać do siebie. Nadal nie zmieniła pani zdania?

– Miałabym zrezygnować ze skubania pulard i z towarzystwa Urszuli? Za nic na świecie!

Ksawery roześmiał się w głos, nie bacząc, że wesołością może zakłócać spoczynek swych przodków. Wiktoria popatrzyła na niego zdumiona i oczarowana tą niespodziewaną zmianą. Zawsze był taki poważny, uśmiechał się powściągliwie, jedynie kącikami ust. Nie potrafiła oderwać oczu od jego twarzy. Zauważył jej spojrzenie,



opanował się, chrząknął.

– Przepraszam, jeśli moje zachowanie wydało się pani niestosowne – mruknął zmieszany.

– Ależ nie... – zaprotestowała. Spuściła wzrok i aby się usprawiedliwić, dodała nedorzecznie: – Uśmiecha się pan podobnie jak Dominik.

W sekundę pożałowała tych słów.

– Naprawdę? – Ksawery spoważniał. – Nie wiedziałem.

Zapadła dziwna, nieprzyjemna cisza.

– Wiktorio, to są próżne marzenia – rzekł, nie patrząc na nią. – Nawet gdyby Dominik był wolny, mój brat nigdy nie zgodziłby się, żeby...

– Tak, wiem – przerwała, dziwiąc się swemu rozdrażnieniu. – Zapomniałam, że jestem warta tyle, ile mój posag.

– Proszę tak nie mówić. Nie mam cienia wątpliwości, że w innych okolicznościach byłaby pani dla niego najlepszą żoną... choć chyba trochę kłopotliwą. – Spojrzał na nią z ukosa, z lekkim uśmiechem, próbując żartem zażegnać wiszący w powietrzu konflikt. – Trudno wymagać od pani posłuszeństwa, prawda? Istnieje również ryzyko, że gdyby coś się pani nie spodobało, uciekłaby pani na drugi koniec świata, żeby skubać pulardy.

Odwzajemniła uśmiech z radością. Napięcie zelżało.

– Dziękuję, że był pan u Tomaszowej, i dziękuję za pozdrowienia. Nie wiem, jak się odwdzięczę za tyle dobra. Jeśli będzie trzeba znów odegrać scenę przed Nasiliewem, chętnie to uczynię.

– Nie jest pani moją dłużniczką – zaprotestował ciepło. – Ale kto wie, może kiedyś poproszę o pomoc.

– Wiele pan ryzykuje. Gdyby tamtej nocy odkryli zbiega... Nie boi się pan?

– Boję – przyznał po chwili ociągania. – Ale nie można inaczej.

Oni nie mają prawa czuć się u nas jak u siebie. Robią z nami, co chcą. Wywożą, aresztują, konfiskują. To się musi skończyć.

– A jeśli nie? – spytała z marsową miną. – Co nam pozostaje?

– Praca. Codzienna żmudna praca. W Zielnej założyłem szkołę. Teraz razem z Michałem budujemy kolejną w Łempicach.

– To wspaniale. – Popatrzyła na niego z podziwem i nagle uzmysłowiła sobie, że poza fantazjowaniem o walce z Moskalami niewiele zrobiła.

A przecież w Łubinowie też potrzebna była szkoła. Jakie pojęcie miała o chłopach w swoim majątku, o ich problemach, chorobach? Żadnego. Znała Łubinów, ale ten pański, czysty, porcelanowy, gdzie pola i łąki były zachwycającym elementem wiejskiego krajobrazu, a włościanie, których praca przygniatała do ziemi, wdzięcznym tematem rysunków i rzewnych piosenek. Zdawało jej się, że skoro nieraz zaglądała do stajni i obór i bywała częstym gościem Florentyny, to wie już wszystko, a tak naprawdę nie wiedziała nic.

– Zamilkła pani tak nagle – zauważył Ksawery.

– Bo zdałam sobie sprawę, jaka ze mnie ignorantka i egoistka. Pan tyle robi, zajmuje się ważnymi sprawami, ludźmi w majątku, naraża swe życie, a ja? Wstyd mi.

– Zupełnie niepotrzebnie. Ja w pani wieku beztrząsco studiowałem w Dorpacie i proszę mi wierzyć, nie myślałem wtedy o zakładaniu szkół ani o walce z zaborcą. Po śmierci ojca długo nie chciałem nawet słuchać o powstaniu, a na słowo „ojczyzna” cierpła mi skóra. Gdyby nie pewne wydarzenie, dziś pewnie byłbym lojalnym poddanym jego carskiej mości. Pani wykazała się wielką odwagą, uciekając przed generałem Gorcem. Nie znam damy, która zdecydowałaby się na taki krok.

– Och, nic bym nie zdziałała, gdyby nie pomoc wielu osób. Moja mamka, woźnica Abram, Tomaszowa dużo dla mnie zaryzykowali i

żywię nadzieję, że kiedyś będę mogła im to wynagrodzić, o ile... – westchnęła ciężko. – O ile kiedykolwiek wrócę do domu.

– Tęskni pani, prawda?

– Bardzo. Kilka dni temu zobaczyłam za stawami łubiny, fioletowe, różowe... Przypomniałam sobie, że u nas rosły wszędzie: w parku, przy drogach, w lasach. Nigdy ich nie zauważałam, nie ceniłam, a teraz wydają mi się najpiękniejszymi kwiatami.

– Paryż jest bardzo daleko od Łubinowa – zauważył ostrożnie.

– I od Gorca. – Potrzaskała głową, jakby odpędzała złe wspomnienia. – Chciałabym panu coś pokazać. – Wyjęła z kieszeni fartucha złożony na pół rysunek. – Oto mój Łubinów. – Wręczyła Ksaweremu szkic.

– Piękny dwór – przyznał, rozprostowując zagięte rogi. – Doskonała praca. Wyszła spod pani rąk?

– Tak. – Pokraśniała z radości, zaciskając palce na trzymanym w dłoniach obrusie.

– A jak radzi sobie pani z portretami? – Zamyślił się.

– Podobno nie najgorzej. – Nagle przypomniała sobie, że od dawna chciała o coś zapytać. – Proszę mi powiedzieć, ten zamglony las... to naprawdę siedziba Vaivy Miglè?

– Ależ skąd. – Przymrużył oczy, kręcąc głową. – Owszem, jest tam bardzo niebezpiecznie, ale z powodu bagnisk. Stąd też mgła.

– A ludzie opowiadają, że ona tam żyje.

– Ludzie potrzebują, żeby ich lęki miały konkretną twarz, i wolą wierzyć w zabobony. Vaiva mogła być taka jak pani.

– Porównuje mnie pan do wiedźmy? – Teatralnie przewróciła oczami. – To chyba nie jest miłe.

– Porównuję panią do niepospolitej kobiety, która wolała poniewierkę od dostatniego życia z niekochanym człowiekiem. O Vaivie wszystko może pani opowiedzieć Jurga. To stara prządka,

która wiosną i latem chodzi od dworu do dworu. Ma już chyba ze sto lat, jest niewidoma, ale... dużo widzi.

– Zupełnie jak Tejrezjasz. – Uśmiechnęła się, a potem wstała, by uprzątnąć ołtarz i położyć na nim świeży obrus.

– Rzeczywiście. Tylko brody nie ma.

Gdy uporała się z zadaniem, stanęła przy ławce.

– Powinnam już iść – rzekła cicho, ociągając się.

Wewnętrzny gorset przyzwoitości i wpojonych zasad nakazywał, by zakończyła spotkanie, nawet jeśli sprawia jej ono przyjemność, a może zwłaszcza dlatego.

– Nie musi się pani martwić tym, co powie Róża.

– Wiem, ale w kuchni będą się dziwić, że długo mnie nie ma. Kucharka Agata i tak już uważa mnie za wałkonia.

Podawała Ksaweremu rękę na pożegnanie i z żalem wróciła do pałacu.

Siekając marchew, zastanawiała się, jak to naprawdę było z Vaiivą Miglè. Próbowwała wypytać Urszulę, ale kucharka burknęła, by nie zawracała jej głowy.

– Ze wszystkim jestem sama – narzekała, zagniatając ciasto na placek drożdżowy.

Wiktorcia się dziwiła, że Agata od rana prasuje w czeladnej, zamiast zająć się pieczeniem, przecież każdy mówił, że nikt nie robi lepszych słodkości od niej. Spytała półgłosem Rozalię, czy kucharki się czasem nie pokłóciły.

– Nie, tylko Urszula nie dopuszcza Agaty do kuchni, jak ta ma miesięczną słabość, mówi, że wtedy ciasto nie urośnie i mleko skisnie. Nawet do ognia nie pozwala się zbliżać, bo to ogień obraża. Nas to nie dotyczy, bo jesteśmy tylko do posług.

Co za ciemnota – pomyślała Wiktorcia bez szacunku dla Urszulinych przesądów. Zabrała się za krojenie w cieniutkie plasterki

słoniny, żeby wyłożyć dno brytfanki pod pasztet, upominana przez kucharkę, by zostawiła skrawki dla Szelmy. Drzwi do kuchni były teraz ciągle otwarte, bo z każdym dniem robiło się coraz cieplej i trudno było wytrzymać w duchocie. Słyszała, jak w czeladnej mężczyźni rozmawiają o zbliżającym się pod koniec czerwca wielkim polowaniu. Żartowali, śmiali się i w pewnym momencie zaczęli podśpiewywać, z początku niewyraźnie, cicho, a potem coraz pewniej, z werwą.

*Pojedziemy na łów, na łów,  
Towarzyszu mój,  
Na łów, na łów, na łowy,  
Do zielonej dąbrowy,  
Towarzyszu mój!*

Wiktorii udzieliła się wesołość i także zaczęła nucić pod nosem.

*Aż tam biegnie sarna, sarna,  
Towarzyszu mój!  
Puszczaj charty ze smyczą,  
Niechaj sarnę uchwycą,  
Towarzyszu mój!  
Aż tam biegnie panna, panna,  
Towarzyszu mój!  
Puszczaj charty ze smyczą,  
Niechaj pannę uchwycą,  
Towarzyszu mój!*

Nagle zamilkła skonsternowana. Oblało ją dziwne gorąco, przyjemne i odpychające zarazem. Jakoś do tej pory ta uchwycona panna nigdy nie podziałała jej na wyobraźnię. A teraz zobaczyła w niej siebie i mężczyznę, który ją sobie przydzielił. Widziała doskonale twarz myśliwego i nie była to twarz Dominika. Co za głupstwa! –

zbeształa się. Skąd mi się to wzięło?

Wiedzę o tajemnicy pożycia w alkowie zdobyła razem z Klementyną od jej siostry, młodej mężatki. Słuchały tyleż zaciekawione, co zgorżone.

– Chybabym umarła ze wstydu – podsumowała wykład o obowiązkach małżeńskich Klementyna.

– Od tego się nie umiera – uspokoiła Konstancja. – To miłe. Nawet bardzo. Jak mężczyzna wyzwoli w kobiecie coś takiego... silnego, to ona przestaje się wstydzić i jest jej dobrze.

Jeśli Wiktorii zdarzyło się myśleć o tych sprawach, to z niechęcią. Robiła się chora z odrazy na wspomnienie umizgów Gorca i wolałaby umrzeć, niż znaleźć się w jego łóżu. Nie rozumiała więc, dlaczego niewinna piosenka ożywiła w jej umyśle bezecne obrazy, które wprawiały ciało w stan przyjemnej gorączki. Ignorowała głos, który podpowiadał, że nie o piosenkę tu chodzi.

W nocy śniła o ucieczce z Łubinowa. Przedzierała się przez las, śmiertelnie wystraszona, gdy nagle znalazła się w Łempicach, w sypialni Ksawerego. Wiedziała, że aby zatrzeć za sobą ślady, musi pozbyć się ubrań, płaszcza, pięknej sukni, halek. Rozebrała się, wrzuciła rzeczy do kominka, a sama zanurkowała pod pierzynę. Nagle do pokoju wszedł Ksawery. Kiedy ją zobaczył, uśmiechnął się. Ona ukryła twarz w poduszce zawstydzona, a wtedy on wsunął się do łóżka.

– Musisz mi pomóc – powiedział, leżąc na boku, przodem do niej.  
– Chodź bliżej – kusił. – Inaczej charty cię pochwyca.

Obudziła się skonfundowana, zgrzana i wystraszona. Rozalia jeszcze spała, a ona usiadła na łóżku i próbowała wyrównać oddech. Co to było? I dlaczego? Przecież ja o nim wcale nie myślę. Wcale! Nic a nic. Podeszła do miednicy i obmyła twarz wodą. Znow się położyła, po chwili wstała i tak się męczyła, aż wreszcie nie znajdując

innego ratunku, padła na kolana i zaczęła się modlić. Chciała jak najszybciej zapomnieć o tym, że we śnie nie zbliżyła się do Ksawerego z powodu wpojonych zasad. I tylko dlatego.

## ROZDZIAŁ 28

Od samego rana w kuchni mówiło się tylko o Jurdze, a opowieściom tym towarzyszyła ekscytacja połączona z nieukrywaną radością. Przy śniadaniu pokojówki wspomniały, że stara prządka jest już w Wejszyszkach, więc lada dzień powinna dotrzeć do Łempic. Wiktoria nie rozumiała, skąd ta udzielająca się wszystkim żywiołowość, jakby oczekiwano przyjazdu co najmniej świętej, i podpytywała Rozalię, siedzącą obok niej przy stole. Dowiedziała się, że Wejszyszki to jeden z folwarków Łempickich, a Jurga, odkąd pamięć ludzka sięga, gdy tylko zbliża się lato, przychodzi do dworu i przędzie na kołowrotku. Tkaniny, które powstają z jej nici, są wyjątkowo trwałe, miękkie i odporne na brud, więc wszyscy chcą mieć od niej choć jedną włóczkę.

– Potrafi też przyszłość przepowiedzieć lepiej niż wszystkie cyganki razem wzięte – dodała Urszula, żując skórkę od chleba.

– Nie ma rodziny? Czemu się tak poniewiera? – spytała Wiktoria.

– Bliskich nie ma – wyjaśniła kucharka. – Jakoś tak tam u niej w rodzinie było, że matka rodziła tylko jedną córkę. Szkoda, że ona za nikogo się nie wydała i dziecka nie ma. Może przez tę ślepotę? Zająłoby się nią na starość – westchnęła z lubością, najedzona. – A chodzi po chałupach, bo chce. Wszędzie jej proponowali: „Zostańcie, Jurgo, kąć się znajdzie”, ale ona nie i nie. Zimą to mieszka sama za Wilnem, z drugiej strony, za Werkami. – Pokazała ręką. – A wiosną i latem odwiedza ludzi.

– U mnie to mówią, że ona błogosławieństwo w ten sposób roznosi, jak dziady wędrownie – dodała młoda pokojówka. – Sami zobaczcie. Gdzie się pojawi, to jakoś lżej się człowiekowi robi.

– Ta wasza Jurga to zupełnie jak bohaterka baśni o *Srebrnym wrzecionie* – zaśmiała się Wiktoria.



Służący podnieśli na nią wzrok.

– A co to za baśń? Nie znamy, opowiedz.

Wiktoria odsunęła się nieco z krzesłem od stołu, ogarniając wszystkich spojrzeniem.

– W pewnej wiosce – zaczęła, przypominając sobie każde słowo Ludwiki – pojawiła się tajemnicza staruszka. Miała ze sobą zwykły, drewniany kołowrotek, ale wrzeciono było całe ze srebra. Kobieta siadała na polanie na małym pieńku i przędła. Dziwili się ludzie, lecz nie odważyli się jej zaczepić, bo było w niej coś złowrogiego. Wystarczyło, że spojrzała, a człowiek widział sam siebie takim, jakim był naprawdę. Dla niektórych nie było to przyjemne. Niepokój wzbudzała też swoim wyglądem, bo choć stara, wychudzona i przygarbiona, dłonie miała gładkie i jasne jak u młodej dziewczyny, a brzuch napęczniały jak u brzemiennej kobiety. Pewnego dnia – ciągnęła Wiktoria, spoglądając na twarze zaciekawionych słuchaczy – na polanę do staruszki przyszła młoda wieśniaczka z mlekiem i pajdą chleba. Śliczna była, ale smutna jak deszczowy poranek. Siadła przy prządce i pożałowała, że brat ją siłą za męża wydaje, a ona nie chce. Sprzeciwić się jednak nie może. Taki to już los kobiety. Wtedy staruszka zapytała, czy chciałaby ten los odmienić. „Oczywiście, tylko jak?”, odparła dziewczyna. Staruszka posadziła ją przy kołowrotku i wręczyła kądziel. „Sama prządz nić swojego życia”, powiedziała. „Zastanów się jednak, czy na pewno chcesz. Możesz wiele stracić, ale możesz też wiele zyskać”. Dziewczyna bez wahania podjęła się próby. Nić była mocna, czysta, piękna i takie też było jej życie. Wieść szybko się rozeszła i do tajemniczej prządky zaczęły przychodzić kolejne kobiety. Młode i stare, biedne i bogate, panny i mężatki, te, które chciały same decydować o swoim losie. Nie wszystkim to wyszło na dobre. Damy, którym brakowało cierpliwości, przędły nić mizerną, gotową zerwać się w każdej chwili. Inne rezygnowały, bo kłuły się

w palce. Jeszcze inne twierdziły, że ze szkaradnej, kiepskiej kądzieli nie zrobi się pięknej nici, ale to nie odstraszało kolejnych – opowiadała Wiktoria. – Mężczyźni w wiosce się buntowali, bo oto zaczęli tracić władzę nad swoimi córkami, żonami, siostrami. Żaden jednak nie ośmielił się igrać z czarodziejską mocą prządki. Aż wreszcie jeden odrzucony zalotnik postanowił rozprawić się ze staruszką i gdy spała, ukradł jej kołowrotek. Chciał go porąbać, ale ten okazał się niezniszczalny, jakby cały był ze srebra. Chłopak próbował wyjąć wrzeczono, myślał, że może je sprzeda, lecz niespodziewanie poparzył sobie palce. Ukrył więc kołowrotek w skalnej grocie i zadowolony wrócił do wioski. Następnego dnia staruszka zniknęła, a kobiety poczęły rozpaczać.

– I co? – ponaglała Urszula, gdy Wiktoria zamilkła.

– I nic. Po jakimś czasie większość kobiet zapomniała o tajemniczej prządce, ale niektóre szukały kołowrotka, aż zrozumiały, że mogą prąść nic swego losu bez niego.

– Dziwna ta baśń jakaś. – Pokojówka zmarszczyła nos i wygięła wargi. – O czym to właściwie było?

– O tym, że jak masz co cennego, to nie trzymaj na widoku, bo ci kto ukradnie – zniecierpliwiła się Urszula, wstając od stołu. – Czas mitrzymy, a tyle roboty.

Wiktoria zabrała się do zmywania, prowadząc ze sobą szczególną grę. Nie chciała już nigdy więcej widzieć Ksawerego, mając mu za złe swoje dziwaczne myśli i sny, a jednocześnie wciąż czekała, aż ochmistrzyni wyśle ją do kaplicy.

W nocy dręczyła ją okropna mara. Była w swojej izdebce, w łempicach, i zaglądała do skrzyni, w której leżała miniatura ukochanego fotela – La Fontaine’a. Wyciągnęła rękę, żeby wziąć cacko do ręki, i wtedy spostrzegła wijące się na dnie węże. Wzdrygnęła się z odrazy i przerażenia. Próbowwała sięgnąć po fotel,

ale obrzydliwe gady syczały i kąsały jej rękę. Przez całą noc rozprawiała się z nimi, siekała szablą, zalewała wodą, ale nic nie pomagało.

Rano obudziła się niewyspana i tak rozdrażniona, że nawet się nie schyliła, by pogłaskać Szelmę, który ocierał się o jej nogi. Tego dnia wszyscy byli bez humoru, nawet Franek nie miał ochoty na żarty. W czeladnej każdemu udzieliło się niezrozumiałe napięcie, jakby czekano, aż piorun wpadnie do izby. Tak też się stało. Wieczorem do kuchni wbiegła rozemocjonowana pokojówka.

– Słuchajcie, jaki skandal! – Wytrzeszczyła oczy. – Zaręczyny panicza zerwane!

– Skąd wiesz? – Rozalia doskoczyła do niej.

– Bo słyszałam, jak Ruczyńscy rozmawiali z jaśnie panem i paniczem. Kajali się, przepraszali, a panicz im powiedział, że już się rozmówił z panienką Elizą i zwrócił jej wolność, że nie będzie postępował wbrew jej woli. Rozumiecie? Porzuciła go!

Wiktoria zastygła przy piecu ze szczapą drewna w dłoni.

– No to doczekali się łempiccy wdzięczności – sapnęła Urszula, odwiązując fartuch. – Jedyńka dali pięknego jak marzenie, dobrego, z majątkiem takim, że na okolicę lepszego nie znajdziesz, a tu taka obraza.

– To wesela nie będzie – zmartwiła się Rozalia, chowając do szafki umyte talerze.

– Tę dziewczuchę Ruczyńskich chyba opętało – myślała na głos Urszula. – Naszym paniczem wzgardzić!

Po chwili do kuchni weszła ochmistrzyni, wyjęła z apteczki ciemną buteleczkę i poleciła, żeby Agata przygotowała dla pani Oktawii napar z melisy.

– Widzicie? – Gniew Urszuli rozrastał się jak ciasto drożdżowe. – Jeszcze się starsza pani wykończy przez to wszystko. Taki wstyd!

Wiktoria powoli podniosła się z kolan, otrzepując spódnicę. Jeszcze nie tak dawno żadna wiadomość nie sprawiłaby jej większej przyjemności, a teraz było jej po prostu smutno. Współczuła Dominikowi i zastanawiała się, co skłoniło pannę Elizę do cofnięcia danego słowa. Nie wierzyła, by przyczyną rozstania mógł być inny mężczyzna. Panicz z Łempic to nie Piotr Gorc z Wilczych Dołów. Od takich narzeczonych się nie ucieka, takich narzeczonych się nie porzuca.

\* \* \*

Aleksander Aleksandrowicz Nasiliew z wielkim apetytem zajadał zraziki cielęce. Otarł serwetą tłuszcz spływający mu po chudej brodzie, wreszcie sapnął zadowolony i rozparł się wygodnie na krześle, trzymając w dłoni kieliszek wina.

Proszę, proszę, co za miła niespodzianka. Łempiccy dostali po nosie. Już nie będą tak wysoko zadzierać głów. Panna pogoniła kawalera – myślał. Słyszał to i owo o pannie Elizie. Ładniutka sikorka. Może ktoś jej wcześniej pod spódnicę zajrzał i sprawa się wydała? Kto wie? Polki potrafią być bardzo rozpustne. Wiedział, co mówił, bo niejednym razem próbował tego miodu.

Skandal u Łempickich to dobry znak. Wkrótce i on się do nich dobierze. Był już bardzo blisko. Nie będzie więcej słuchał, że w innych guberniach to potrafią wykryć tajne stowarzyszenia, rozbijają grupy spiskowców, a jemu więźniowie uciekają. Skończy się sarkanie na jego nieudolność, straszenie, że wyślą go do jakiejś zapadłej dziury. Już on im wszystkim pokaże. Zabrakło mu szczęścia, ale nie intuicji. Nie miał wątpliwości co do działalności Łempickich. Wiedział, że coś planują, pozyskują broń, werbują ludzi. Młody Dauksza zniknął, ale byli jeszcze inni. Maskowali się, zabezpieczali, nie można im było nic zarzucić, nic udowodnić, ale do czasu. Był już blisko, bardzo blisko...

## *LITWA, LATO A.D. 1641*

Wilkomir nie mówił wiele, nie prawił zaklęć miłosnych, ale wciąż się uśmiechał tym szczególnym uśmiechem szczęśliwego człowieka. Wodził za krzątającą się wokół stołu żoną rozplomienionym wzrokiem, a gdy postawiła przed nim dzban miodu, objął ją wpół i wtulił twarz w brzuch. Gładziła go po włosach, muskała palcami silny kark, a kiedy podniósł ku niej głowę, nachyliła się i bez wahania pocałowała go w usta.

– Wiedziałem, czym jest piekło, ale dopiero tyś mi pokazała, czym może być niebo – powiedział, sadzając ją sobie na kolanach.

Był katem, istotą nieczystą, upodloną i pogardzaną. Ludzie się pilnowali, by nie tknąć choć jednym palcem tego, z czym on się zetknął, jakby przejść na nich miała największa zaraza. Kiedy czasem zaszedł do gospody, mężczyźni unikali go jak ognia, a gdy któryś ośmielony mocną gorzałką odważył się wypić z nim kielicha, był potem zaciągany przez kompanów do beczki z deszczówką, co by zmył z siebie smród ścierwa. Szanujące się niewiasty wołałyby uschnąć w staropanieństwie, niż obdarzyć go choćby jednym uśmiechem, więc kiedy gorączka zmysłów potrzebowała ukojenia, szukał go u handlujących cielesnymi igraszkami dziewczek wszetecznych. Po tych krótkich chwilach uciechy wracał do domu jeszcze bardziej niezaspokojony, jeszcze bardziej samotny.

W końcu pogodził się z myślą, że nie zazna na tym świecie miłowania, jego pragnienia przygasły jak żar w palenisku i nawet dobrze mu z tym było. Gdy pierwszy raz ujrzał Vaiwę, jej posiniaczone, wiotkie ciało nie obudziło w nim żądzy, za to w przerażonych, pełnych bólu modrych oczach zobaczył samego siebie sprzed lat. Dostrzegł ten sam bezsens cierpienia, brzemię niesłusznych oskarżeń i straszliwy los, który ją czekał. Ogarnęła go żalność i zły był, że dręczyć mu kazali to chude kocię, które tyle miało

wspólnego z wiedźmą, co jagnię z wilkiem. Pomóc mógł tylko w jeden sposób i postanowił skorzystać z przywileju, jakie dawało mu prawo. Skazana, jeśli tylko zgodziłaby się zostać jego żoną, mogła uniknąć kary. Słyszał, że z tego dekretu nieraz korzystali mistrzowie w innych miastach, ale dziewczki częstokroć wolały piekło płomieni niż piekło obcowania z katem. Radość miał wielką, gdy Vaiva wybrała małżeństwo, choć nie wiązał z tym żadnych nadziei. Z początku nie widział w niej żony, raczej siostrę czy córkę, samotną istotę, której może udzielić schronienia. Pierwej przypomniał sobie, że jest człowiekiem, później nieoczekiwanie uświadomił sobie również, że i mężczyzną. Sam nie wiedział, kiedy ta drobna dziewczyna wdarła mu się do duszy, a choć jego uczucia stawały się coraz żarliwsze, nawet mu w głowie nie powstało, by siłą egzekwować małżeńskie prawa. Wolałby zawisnąć obok swych ofiar, niż zobaczyć w jej oczach nienawiść i wstręt.

Gdy wreszcie do niego przyszła, była miękka i ciepła, zupełnie inna od bezwolnych mieszkanek lupanaru, z którymi swego czasu miał do czynienia. Żałował, że nie potrafił nad sobą zapanować i dość brutalnie uczynił ją swą żoną. Nie odepchnęła go jednak, co więcej, wtuliła się w niego mocno. Wtedy pomyślał, że chciałby już umrzeć, że takiego szczęścia nie udźwignie.

– Dobrze ci ze mną? – Popatrzył jej w oczy.

– Wiesz przecie. – Oparła czoło o czoło. – Mój Wilkomirze.

Vaiva nie widziała w nim już groźnego wilka. To raczej ona stała się wilczycą, wciąż głodną jego silnego, twardego ciała, spragniona rozedrganego żaru, którym ją wypełniał. Nie ulegała już tylko jego chęciom. Sama wychodziła mu naprzeciw i widziała, że Wilkomira wprawia w zachwyty jej gotowość, że uszczęśliwia go, dzieląc z nim rozkosz.

Rozmawiała się w nim z mocą, o jaką by się nie podejrzewała,

bo nikt nigdy tak głęboko nie zapadł jej w serce.

Razu pewnego zostawił ją samą na całą noc. Strachem zdjeta, że coś mu się stało, to siedziała przy oknie, to znów wychodziła przed chatę, próbując dojrzeć w mroku jego sylwetkę. Kiedy nad ranem usłyszała tętent kopyt, wybiegła na spotkanie, a gdy zsiadł z konia, zarzuciła mu ręce na szyję, śmiejąc się i płacząc na przemian. Przytuliła go i nie chciała wypuścić z objęć, choć odzienie wydzielało odpychającą woń. Próbował ją odsunąć, tłumaczył, że musi się umyć, ale trzymała go kurczowo, tak więc razem poszli nad strumień. Długo nurzali się w zimnej wodzie, a potem legli na brzegu, scałowując z siebie wilgoć i woń lasu. Gdy brał jej ciało w posiadanie, nie zamknęła oczu. Widziała nad sobą potężne korony dębów i jaskrawe światło wnিকające w młodą, rozszalałą zielen. Ogarnęło ją złudzenie, że tym światłem jest Wilkomir, a ona drzewem, które pnie się ku niemu, karmi jego ciepłem, potężnieje, rozrasta. To mój raj – pomyślała oszołomiona doznaniem.

Rzadko wspominała rodzinną wieś. Tęskniła jedynie za Dainą, która zmarła wkrótce po jej aresztowaniu. To Wilkomir przywiózł smutne wieści – razem z tą, że kowal utopił się w stawie. Śmierć dawnego adoratora Vaiva przyjęła bez mściwej satysfakcji. W nowym życiu, które wiodła u boku umiłowanego człowieka, nie było miejsca na nienawiść i urazy. Nawet ludzi bać się przestała.

Wielu przychodziło do chaty po pomoc, bo Wilkomir potrafił zaradzić ludzkiemu nieszczęściu. Komuś trzeba było kość nastawić albo uleczyć wyłamany staw, niektórzy kupowali stryczek po wisielcu na amulet. Zdarzyło się, nie raz i nie dwa, że baby, które kłopotowały się zwierzyć ze swych dolegliwości mężczyźnie, zwracały się po poradę do Vaivy. Wszyscy wiedzieli, że kat wziął sobie wiedźmę za żonę. Taka urok może zdjąć, w przyszłość zajrzeć albo uradzić coś na ropnie, które we wstydlwym miejscu się zrobiły.

Vaiva, choć z początku protestowała, że czarować nie potrafi, szybko pojęła, że nie o prawdę tu idzie, a o pomaganie. Na ziołach znała się dobrze. Wiedziała, co trzeba na gorączkę, co na bóle w krzyżu, a co na świerzb, potrafiła pozbyć się kołtuna i wyleczyć chore oczy gęsim smalcem, ale o innych sprawach pojęcia nie miała, dlatego też Wilkomir uczył ją anatomii na jej ciele. Pokazywał, że pod gładką skórą kryje się płatanina żył, mięśni i wnętrzności, wyjaśniał, jak nastawić złamaną kość i zatrzymać krwawienie. Vaiva, by sprawdzić potem, czy dobrze zapamiętała, dotykała jego torsu, brzucha, ud i lekcja ta za każdym razem kończyła się jeszcze jedną nauką – że ciało to drzwi do rajy, które można otworzyć pocałunkiem, pieszczotą dłoni i języka, oddechem.

Gdy była sama, chodziła do lasu, zbierała jeżyny i jagody, podbierała pszczołom miód, wyszukiwała najlepsze zioła, które potem suszyła i wieszała w pękach u powały. Wracając do domu, przechodziła przez rzekę i kładła się przy brzegu na mchu. Nad sobą miała korony dębów tak starych, jakby rosły od stworzenia świata. Gdy patrzyła w jedną stronę, widziała przelewającą się między kamieniami wodę i podchodzące do strumienia sarny. Kiedy zwracała twarz w drugą stronę, mogła ujrzeć za wysokimi topolami polanę, na której stała chata. Dobrze jej było w tym ustroniu, nie spieszyła się. Lubiła obserwować, jak spacerują po niej żuki i mrówki, chłonęła zapach kory i zbieranych ziół, nasiąkała owadzym buczeniem i ptasim świergotem. Myślała o dziecku, którego pragnęła coraz bardziej. Wilkomir martwił się tym, jaką przyszłość będzie miało potomstwo kata, ale również z niecierpliwością czekał na dzień, aż żona stanie się brzemienna. Od jakiegoś czasu Vaiva podejrzewała swój odmienny stan, jednak wolała jeszcze poczekać, by zyskać pewność. Wiele wskazywało na to, że za rok na wiosnę utuli w ramionach dziecko.



Pewnego wrześnieowego dnia, gdy przędła przed chatą, na podwórzu zajechał strojnie odziany młodzian. Zeskoczył z konia i podbiegł do niej.

– To dom mistrza, prawda? – spytał po rusku. – Mój pan jest ranny, potrzebuje pomocy.

Wyjaśniła, że męża nie ma. Szybko zabrała z domu kawałki czystego płótna, gorzałkę, zawołała Daliusa i razem pobiegli za nieznanym do lasu.

– Byliśmy na polowaniu – wyjaśnił, prowadząc ich za rzekę. – Koń się spłoszył.

Vaiva już z daleka zobaczyła leżącego na ziemi mężczyznę i warującego przy nim myśliwskiego psa. Ranny trzymał się za lewą rękę, a między palcami, na których błyszczały złote pierścienie, ciekła krew.

– Pozwólcie, panie – zawołała, klękając.

Dalius podał jej butlę i chlusnęła gorzałką na zraniony nadgarstek. Mężczyzna nawet się nie skrzywił. W milczeniu patrzył, jak dziewczyna sprawnie i szybko zakłada opatrunek. Nigdy nie widział kogoś równie pięknego. Kiedy się nad nim pochylała, miał ochotę wsunąć dłoń w jej krótkie czarne loki, posmakować soczystych jak poziomka ust. Nawet bólu już nie czuł, oczarowany tym cudnym zjawiskiem.

– Gotowe, panie. To głęboka rana, ale szyc nie trzeba. Wkrótce się zagoi.

– Waćpanna widać lepsza niż niejeden medyk. – Wstał podtrzymywany przez kompana.

Dopiero wtedy Vaiva mogła mu się przyjrzeć. Młody był jeszcze, postawny, urodziwy, ubrany w ciemnoniebieski, przetykany srebrną nicią żupan i nieco jaśniejszą delię<sup>[37]</sup>. Zdjął jeden z pierścieni i chciał jej wręczyć, ale się cofnęła.

– Nie trzeba, panie. – Skinęła na Daliusa. – Musimy wracać. Ostańcie w zdrowiu.

Pognała do domu, nie wiedząc, że opatrzyła podczaszego, wielkiego pana z łempickiego zamku.

Nie mógł jeść, nie mógł spać. Ręka nie dokuczała mu już wcale, ale chodził jak otumaniony. Odwiązał płótno z nadgarstka i podstawił materiał pod nos, szukając w nim zapachu swojej wybawicielki. Jawiła mu się jako leśna bogini, rusałka, czarodziejka, nie miała w sobie nic z pospolitej chłopki. Nie pamiętał, by kiedykolwiek pragnął tak bardzo jakiejś dziewczyny, a posiadał ich wiele, nawet zliczyć by nie potrafił. Żona Katarzyna wniosła mu w posagu łempickie dobra wraz z zamkiem, ale na tym kończyły się jej zasługi. Dziedzica dać mu nie potrafiła, w łóżu już dawno przestała go rozpalać, gdy więc przed rokiem podjęła decyzję o wyjeździe do kuzynki – przeorowskiej klasztoru, przyjął to z ulgą i zadowoleniem. Znakomicie czuł się jako pan na zamku, zasług dla ojczyzny nikt mu odmówić nie mógł, wszak to on u boku króla Władysława IV odbijał Smoleńsk. Po chwalebnych walkach przyszła wreszcie pora na odkrywanie innych przyjemności życia. Pościel nigdy mu nie stygła, zawsze znalazła się jakaś chętna, a jeśli nie, to brał bez pytania. Ostatnimi czasy, jako że wigor przygasał, rozkosze alkowy zaczęły go nużyć. Wprawdzie chwilową rozrywkę znalazł w ramionach młodziutkiej, zamężnej chłopki, ale dopiero spotkanie leśnej bogini obudziło w nim na nowo dawnego witalnego wojaka. Wiedział już, że to katowska małżonka, czarownica uratowana przed stosem. Powinno go to odstręczyć, wszak dziewczyna żyjąca z egzekutorem była zbrukana. Jemu wcale to nie przeszkadzało, a to, że uznano ją za wiedźmę, dodawało sprawie pikanterii. Z taką mieć syna... – rozmarzył się. Po nim wzięłby siłę, a po niej wszystkie magiczne

moce.

I tak roił sobie przez całą noc, a rankiem dosiadł konia i pojechał za las. Kiedy się przekonał, że kata nie ma w domu, wszedł do chaty.

Vaiva nie kryła zaskoczenia, ale uprzejmie spytała, czego sobie życzy. Nie bardzo wiedział, jak zagaić rozmowę. Ze szlachcianką prowadziłby wysublimowaną konwersację, pełną ukrytych, acz zrozumiałych aluzji, ale na to nie miał czasu. Chłopce nakazałby wprost, by zrzuciła odzienie. Postanowił być szczery, wierząc, że dziewczka padnie mu z zachwytem w ramiona.

– Przyjechałem, aby wyznać waćpani, że od dnia, gdy mię opatrzyła, myślę tylko o niej, i prosić, by zechciała ulżyć mym cierpieniom.

Vaiva popatrzyła na niego zniesmaczona.

– Mam męża.

Z początku próbował bagatelizować opór. Co to za mąż? Hańba dla porządnej niewiasty. Kiedy się zorientował, że dziewczka nie ustąpi, naszedł go gniew. Odrzuca go? Bohatera? Magnata? Pana na zamku? Rzucił się na nią rozjuszony, ale nie docenił przeciwnika. Dziewczyzna złapała stołek i zaczęła wywijać nim przed sobą, jednocześnie wrzeszcząc, ile jej sił w płucach starczyło. Po chwili drzwi się rozwarły i do chaty wbiegł Dalius, dzierżąc w dłoniach widły. Podczaszy opanował się, dysząc ciężko.

– Nie myśl, że mi się wywiniesz. Już do mnie należysz. – Wyszedł, klnąc głośno.

Gdy wrócił Wilkomir, Vaiva opowiedziała mu o wszystkim przestraszona. Przytulił ją mocno, czułym szeptem kojąc strach.

– Musimy udać się do Wilna – zdecydował. – Jeszcze dziś. Panowie nie przyjmują odmowy.

Ubrali się ciepło, bo wrześnieowe wieczory robiły się coraz chłodniejsze, i poszli do stajni, polecając Daliusowi, by miał baczenie

na dom. Nagle usłyszeli głośny stukot kopyt. Przed chatę zajęchało pięciu mężczyźn. Podczasy wysunął się naprzód, a gdy dostrzegł Vaivę, zdjął kołpak z głowy i ukłonił się.

– A dokąd to się wybieracie, mistrzu? – zawołał. – I to z moją własnością?

Wilkomir zasłonił ją ciałem, zaciskając mocniej dłoń na mieczu przytroczonym do boku.

– To moja żona, a waszmość wtargnął na nie swoją ziemię!

– Oddajcie ją, mistrzu, a nic się nikomu nie stanie – napierał podczasy.

– Za mną stoi prawo. Nawet stan szlachecki nie uchroni waszmości przed karą śmierci, jeśli rękę na mnie podniesiecie.

– Oddajcie ją, mistrzu! – zawołał głośniejszym głosem, wyjmując szablę.

Wtedy zbliżył się do niego jeden z kompanów i rzekł cicho:

– Czy to warto dla głupiej dziewczki tyle ryzykować?

Podczasy spiorunował go wzrokiem. Był jak opętany, nie myślał już o następstwach czynów, o tym, że kła honor. Przyjechał tu po swoją boginię i bez niej nie wyjedzie.

– Brać go! – krzyknął do swoich ludzi.

Wilkomir odepchnął za siebie dziewczynę i wyciągnął miecz. Na pomoc przybył Dalius z widłami w dłoniach. Obydwaj zaczęli wymachiwać bronią, płosząc konie, które cofały się z głośnym rżeniem. Mężczyźni otoczyli ich kołem, stojąc w bezpiecznej odległości.

Vaiva rozglądała się za czymkolwiek, co mogłaby chwycić, by ruszyć mężowi na ratunek. Nagle w półmroku zobaczyła, jak podczasy wyciąga broń, kierując króciwą<sup>[38]</sup> wprost na Wilkomira. Czas zwolnił, stanął w miejscu, aż wreszcie porwał ją szaleńczym wirem w przeszłość. Znów była w swej rodzinnej wsi i patrzyła, jak chłopci otaczają Juodisa. Zobaczyła, jak psisko pada, brocząc krwią.

– Nie! – wrzasnęła, rzucając się między jeźdźców, ale było już za późno.

Usłyszała huk i po chwili zobaczyła, jak Wilkomir osuwa się na ziemię. Daskoczyła do niego, przywarła całym ciałem, krzycząc z rozpacz. Przyciskała dłoń do rany, prosząc przez łzy, żeby się obudził. Nie słyszał. Nie mógł.

Obok niej przyklęknął Dalius, kręcąc bezradnie głową. Jeden z mężczyzn zsiadł z konia i próbował podnieść dziewczynę, ale zawarczała jak dzikie zwierzę. Nie przestawała tulić Wilkomira, całowała jego twarz, czoło, powieki, usta, aż nagle porażona bólem zemdląła. Może i lepiej, że nie widziała, co zrobili z Daliusem.

Uzgodnili, że dwaj zawiozą nieprzytomną dziewczkę do zamku, a podczasy wraz z pozostałymi dwoma kompanami udadzą się do Wilna. Muszą powiadomić wójta, że byli świadkami, jak jacyś zbójcy ubili kata i niemowę.

## ROZDZIAŁ 29

### *ŁEMPICE, CZERWIEC 1853 ROKU*

Wiktoria szła ścieżką obok sadu, wymachując koszykiem. Dzień był prześliczny, ciepły, ale nie skwarny. Kiedy Urszula poprosiła, by przyniosła z ogrodu warzywnego zioła, ucieszyła się na krótki spacer. W czeladnej nieustannie mówiło się Dominiku i zerwanym zaręczynach. Jego kamerdyner wyznał, że panicz zachowuje się jak dawniej, ale po oczach widać zgnębienie. Irmina, choć zazwyczaj hołdowała zasadzie, by nie wynosić pańskich spraw pod schody, tym razem zdradziła, że pani Oktawia zabroniła wymawiać przy niej imię Elizy. Pokojówki zauważały jasną stronę tego dramatu. Panicz jest wolny, więc jakaś dziewczyna zazna szczęścia, a występna panna Ruczyńska po takim skandalu na pewno nie doczeka się pieśni o chmielu <sup>[39]</sup>.

Wiktoria rozmyślała o Dominiku, wyobrażając sobie, jak bardzo musiał się poczuć upokorzony i zraniony, ale za każdym razem owe rozważania obejmowały także jego stryja. Sama nie wiedziała, czy ma się cieszyć, że już jej się nie śnił, czy też trapić, bo teraz każdej nocy nawiedzały ją mary z węzami. Tak bardzo żałowała, że nie może zwierzyć się Klementynie, poradzić się, co robić. Razem na pewno znalazłyby remedium na tę niechcianą fascynację.

Przechodziła przez furtkę, gdy nagle go zobaczyła. Szedł w jej stronę, rozmawiając żywo z jakimś niedorostkiem. Nie miał surduta, rękawy białej koszuli podwinięte były do łokci. W prawej ręce trzymał kapelusz. To był aż nadto swobodny strój jak na dziedzica majątku.

Zauważył ją, zwolnił i pożegnał chłopca, lekko klepiąc go po plecach. Gdy się zrównali, ukłonił się, dyskretnie oglądając na boki.

Dygnęła, mając nadzieję, że nie zauważy, jak się rumieni. Nie śmiała podnieść oczu ze strachu, że dostrzeże w nich te wszystkie drożne myśli, których ostatnio był bohaterem.

– Dzień dobry – przywitał się ciepło.

Lubiła jego niski głos, powściągliwy uśmiech, przenikliwe spojrzenie. Lubiła tak, jak nie powinna. Za mocno, za bardzo.

– Wizytowałem z przyszłym uczniem szkołę. Dziś położono już dach.

– Wspaniale. – Starła się nadać głosowi surowe brzmienie z obawy, że Ksawery ją zdemaskuje, ale to właśnie nienaturalne zachowanie zwróciło jego uwagę.

– Wszystko w porządku? Coś panią martwi? – Delikatnie chwycił ją za łokieć i pociągnął za sobą ze ścieżki pod kwitnący jaśmin.

Pragnęła od niego uciec, schować się w swojej izdebce i oblać wodą z dzbanka. Dlaczego jest jej tak cudownie i jednocześnie źle, niezręcznie i pobudzająco?

– Ależ nie. Słyszałam... – Wciąż nie podnosiła głowy. – Słyszałam o pańskim bratanku. Bardzo mi przykro.

– Dziękuję – rzucił sucho, obserwując ją bacznie. – To trudne dla Dominika, ale i tak w gorszej sytuacji jest panna Ruczyńska.

– Nie mogę pojąć, dlaczego to zrobiła.

– Kocha innego – rzekł otwarcie.

Zaskoczył ją. Podniosła zdumiony wzrok.

– Jak to możliwe? – spytała bardziej siebie, niż jego.

– Tak, jak to możliwe? – powtórzył rozdrażniony, jakby z pretensją do niej. – Jak można nie kochać Dominika? Przecież jest wcieleniem doskonałości.

Zapadła niezręczna cisza i Wiktorii zrobiło się jakoś nieprzyjemnie.

– Bardzo się cieszę, że szkoła wkrótce będzie gotowa – odezwała się wreszcie.

– Tak, ja również.

Napięcie nie zelżało, wisiało nad nimi niczym chmura gradowa. Patrzyli na siebie, nic nie mówiąc, ale żadne z nich nie kwapiło się, by odejść. Nagle Wiktoria spostrzegła, jak ścieżką od strony zabudowań gospodarczych zbliża się panicz.

– Stryju! – zawołał. – Szukałem cię. Chciałem... – Spojrzał na Wiktorię, a gdy nie zareagowała, dodał zniecierpliwionym tonem: – Zostaw nas.

Zmieszła się. Rzuciła Ksaweremu krótkie, pożegnalne spojrzenie, dygnęła i już chciała się wycofać, kiedy on chwycił ją pod rękę.

– Panno Wiktorio, proszę pozwolić, że przedstawię pani mojego bratanka, Dominika Łempickiego. Dominiku, to panna Wiktoria Słoczyńska z majątku Łubinów na Sandomierszczyźnie.

Mężczyzna popatrzył na nich rozbawiony, jakby mu prezentowano mało wyrefinowane przedstawienie, lecz spoważniał, gdy dostrzegł surowe spojrzenie stryja.

– Proszę wybaczyć, obowiązki czekają – rzuciła Wiktoria, niemal uciekając spod jaśminu.

Nie odwróciwszy się za siebie, szła szybko w stronę ogrodu nieco oszołomiona. Poznała Dominika, nie będzie już dla niego jedną z anonimowych służących. Dlaczego zatem w ogóle ją to nie cieszyło?

Gdy wróciła do kuchni, próbowała skupić się na siekaniu, szorowaniu i namydłaniu, ale opornie jej szło. W pewnym momencie przyszła ochmistrzyni, informując, że na wieczery będzie pan dziedzic z Zielnej.

– A co on tu tak ciągle przesiaduje? – zdziwił się Franek. – Ostatnio prawie codziennie przyjeżdża, jakby domu swojego nie miał.

Wiktoria nadstawiła uszu.

– Szkołę buduje – odparła Agata, mieszając w misce śmietanę z



żółtkami.

– No przecie nie on buduje. Co najwyżej postoi i popatrzy.

– A tobie co przeszkadza? – ofuknęła go Urszula, czyszcząc młode pędy sosny z brązowych łusek. – Bo talerzy trzeba więcej zanieść, ty próżniaku? Najbardziej to by ci pasowało, żeby wszyscy do Wilna wyjechali i wtedy mógłbyś leżeć do góry brzuchem.

– Pan z Zielnej lubi tu przyjeżdżać, prawda? – spytała niewinnie Wiktoria.

– Pewno, że lubi – potwierdziła kucharka. – Sam żyje jak palec. Żony nie ma, dzieci nie ma, to przykrzy mu się.

– A dlaczego się nie ożenił? – indagowała dalej Wiktoria, mając nadzieję, że nikt nie zauważył, jak drży jej głos.

– A bo taki dzikus z niego. Zawsze taki był. Żadna mu nie spasowała. Starsza pani to się bardzo tym gryzie i wielokrotnie już go swatała, ale on się woli włościąnami zajmować, szkoły budować, niż pomyśleć o własnej matce, która wnuków nie może się doczekać.

– Może niedługo się doczeka – wtrąciła Agata z tajemniczą miną. – Mówiła mi pokojówka od Daukszów, że bardzo często u nich bywa. Młodego panicza aresztowali, nie wiadomo, co z nim, gdzieś przepadł. Nasz pan Ksawery opiekuje się panią Daukszową. Wiecie, jaka jest schorowana, z łóżka się nie rusza. No, przyjeżdża niby do niej, a tak naprawdę to po to, żeby się zobaczyć z jej córką Natalią. Podobno ciągle przesiadują razem, patrzą sobie w oczy. Jedno wesele się rozgoniło, ale tylko patrzeć następnego.

Wiktoria zmroziło, jakby ktoś oblał ją wodą ze źródła.

– A widzisz. – Urszula uśmiechnęła się zadowolona. – To może coś z tego będzie. Panna Natalia śliczna, dobra i doświadczona przez los, nie tak jak ten latawiec Ruczyńskich, toby umiała docenić dobrego męża.

Dlaczego to tak strasznie boli? – zastanawiała się Wiktoria. Co się

ze mną dzieje?

– Niech no ktoś pójdzie do lasu i przyniesie mi jeszcze trochę tych pędów – poleciała Urszula, zasypując cukrem zielone odrostki. – Będzie naleweczka, że palce lizać.

– Ja pójde – zawołała Wiktoria, chwyciła koszyk i już jej nie było.

Zbiegła w dół dróżką przez park i zwolniła, dopiero gdy znalazła się w głównej alei lasu. Oparła się plecami o starą lipę i przymknęła powieki, próbując powstrzymać zdradzieckie łzy. Czuła pulsujący ból w skroniach, więc przyłożyła ręce do głowy, zmuszając się do głębszych oddechów. Jestem chora – pomyślała. Albo opętana. To przecież o Dominiku marzyłam, nie o nim!

Gdy dowiedziała się o Elizie, była zazdrosna, ale to nic w porównaniu z tym, co przeżywała, wyobrażając sobie Ksawerego pogrążonego w poufnej rozmowie z panną Natalią. Czy to jej suknię miała na sobie w Zielnej? Dopiero teraz pojęła sens wypowiedzi młodej służącej z Łubinowa, która zauroczona przed laty panem Słoczyńskim, wzdychała: „Tak mnie do niego ciągnie, oj, jak ciągnie”. Kiedy myślała o Dominiku, dusza unosiła się ku niebu, przy Ksawerym rozumiała, że poza duszą ma także ciało, pragnienia, o jakie by się nie podejrzewała, i serce, które powierzchowny zachwyty wzięło za miłość.

Odwróciła się przodem do drzewa i objęła ramionami potężny pień, przytulając policzek do szorstkiej kory. Stała tak dłuższą chwilę, szukając u lipy pociechy i rady, aż wreszcie ruszyła w głąb lasu po młode pędy sosny.

Kiedy wróciła, w czeladnej zatrzymała ją ochmistrzyni.

– Niech sobie Ania w izdebce postawi – rzekła, wręczając jej dzbanek z wielkim bukietem kolorowych łubinów. Nie powiedziała nic więcej, nie wyjaśniła, nie tłumaczyła, bo też i nie musiała.

Wiktoria patrzyła ze zdumieniem to na kwiaty, to na

ochmistrzynię, która jak zwykle miała nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Dziękuję – wydukała uszczęśliwiona.

Świat znowu nabrał barw.

Wieczorem Rozalia poszła na noc do swojej matki, więc ona przejęła wszystkie obowiązki. Wykonywała je z zapałem i uśmiechem, ciągle mając w pamięci łubiny od Ksawerego. Gdy zapadła noc, wygasła ogień w piecu i już szykowałą się do spania, kiedy niespodziewanie do kuchni zajrzał Dominik.

– Jesteśmy sami? – spytał półgłosem, a kiedy kiwnęła głową, wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. – Panno Wiktorio, stryj opowiedział mi o wszystkim.

Spuściła głowę, wzdychając ciężko.

– Proszę się nie obawiać. Tu jest pani bezpieczna.

– Dziękuję i... przepraszam.

– Ależ nie ma pani za co przepraszać. To dla mnie zaszczyt poznać tak odważną osobę jak pani. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie przyjęła pani propozycji stryja. – Rozejrzał się po kuchni. – To nie jest miejsce dla jaśnie panienki.

– Proszę mi wierzyć, tak jest dobrze.

– Mnie z pewnością dobrze nie jest. – Zrobił komicznie zboląłą minę. – Nie zasnę spokojnie, wiedząc, że czyści pani saganki i śpi w służbówce.

– Już niedługo.

Uśmiechnął się tym swoim pięknym, tajemniczym uśmiechem i podszedł bliżej.

– Jest bardzo późno i na pewno jest pani śmiertelnie zmęczona, ale potrzebuję pani pomocy. – Ściszył głos. – Trzeba komuś namalować portret. W tajemnicy.

– Rozumiem. Chętnie to zrobię.

– Dziękuję. Proszę zabrać coś ciepłego. Pójdziemy razem, lecz dla

bezpieczeństwa będę musiał zawiązać pani oczy. To ważne. I trzeba zachować ciszę.

Wyszli przez czeladną na zewnątrz. Ciemność rozpraszało jedynie przyćmione światło księżyca, bo Dominik nie miał ze sobą lampy. Zawiązał jej na oczach leciutki szal, po czym wziął za rękę. Wiktoria stapała ostrożnie, myśląc o tym, że dość lekkomyślnie daje się prowadzić obcemu człowiekowi nie wiadomo gdzie. Z początku poznała, że idą w dół do parku i przechodzą przez mostek na stawie, ale potem było trudniej. Raz skręcali w lewo, raz w prawo, to znów się cofali. To miotanie się przyniosło efekt, bo dziewczyna szybko straciła orientację. Dominik trzymał jej dłoń mocno, pewnie, dając poczucie bezpieczeństwa, a jednak żałowała, że to nie Ksawery. Był przecież w pałacu. Dlaczego to nie on po nią przyszedł?

W pewnym momencie się zorientowała, że weszli do jakiegoś pomieszczenia i schodzą po schodach. Wyczuwała ostry zapach wilgoci i stęchlizny. Zrobiło się zimno, więc jedną ręką naciągnęła mocniej ciepłą chustę na szyję. Mężczyzna puścił jej dłoń, by zapalić świecę.

– Jeszcze chwila cierpliwości. – Jego głos odbijał się echem od ścian. – Wszystko, co pani zobaczy, musi zachować w tajemnicy.

Wiktoria miała wrażenie, że droga ciągnie się w nieskończoność, aż wreszcie padła komenda:

– Jesteśmy na miejscu.

Dominik zdjął z jej oczu szal. Zamrugnęła kilkakrotnie, wysilając wzrok. W pomieszczeniu paliły się świece, więc widziała wyraźnie wysokie, łukowate sklepienia, solidne mury i poukładane przy ścianie owinięte suknom podłużne pakunki. Za sobą miała nieduże, żelazne drzwi, na wprost zaś przejście do kolejnego pomieszczenia.

Z boku dostrzegła stół i ławę, z której podniósł się młody mężczyzna. Gdy zaczął iść w ich stronę, rozpoznała go natychmiast.

– Teraz wygląda znacznie lepiej, niż kiedy ostatnio go pani widziała, prawda? – Dominik delikatnie ujął ją za ramię. – Przedstawiam pani Adama Daukszę, naszego przyjaciela. – Zwrócił się do młodzieńca: – Adamie, z racji bezpieczeństwa nie podam imienia, ale poznaj pannę, której zawdzięczasz życie.

Dauksza ujął jej dłoń i pocałował.

– To dla mnie zaszczyt. Zostałem już poinstruowany, że mam o nic panią nie pytać. Proszę przyjąć najszczerze podziękowania.

– Cieszę się, widząc pana w zdrowiu – odparła, przypominając sobie jego poranione plecy.

– Pan Dauksza, jak się pani domyśla, musi wyjechać, być może na zawsze. Chciałby, żeby jego matka miała po nim pamiątkę, stąd prośba o portret.

– Postaram się, by był jak najlepszy – zapewniła.

Dominik przesunął stół na środek, Wiktoria usiadła na ławie i poprosiła, by Dauksza zajął miejsce naprzeciwko. Ołówki i papier już czekały. Na prośbę dziewczyny dostawiono więcej świec i panna Słoczyńska rozpoczęła pracę. Rysowała w milczeniu, wykonując szybkie ruchy. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo za tym tęskniła. Dokładnie odwzorowała łagodne rysy twarzy, zaokrąglony podbródek, łukowate brwi i nieduży nos. Gorzej, że przeniosła na papier także spojrzenie pełne smutku i zmęczenia oraz troskę w opadających kącikach ust. Taki portret nie mógł trafić do matki drżącej o życie syna. Poprosiła Daukszę, żeby się uśmiechnął, i wprowadziła poprawki. Radosne oczy, lekko rozchylone wargi, jakby chciał powiedzieć: „Zobacz, mamu, jaki ze mnie zuch”.

– Wspaniały rysunek – ocenił Dominik, zaglądając jej przez ramię.  
– Cały Adam. Pani ma naprawdę talent.

Podarła szkic Daukszy. Długo nic nie mówił.

– Dziwne, mam wrażenie, że patrzę w lustro i widzę odbicie

sprzed... tych wszystkich spraw. – Spojrzał na nią i uśmiechnął się serdecznie. – Bardzo pani dziękuję. Moja matka będzie wzruszona.

Naraz usłyszała za sobą kroki. Odwróciła głowę i zrobiło jej się gorąco. Ksawery. Przywitał się i podszedł do Daukszy.

– Przywiozłem ci listy z domu, od matki i siostry.

Wiktoria drgnęła, ściągając mocno brwi. A więc tam był. U niej. U Natalii. Spuściła głowę, udając, że rozplątuje frędzle przy chuście. Mężczyźni wymieniali między sobą jeszcze jakieś uwagi, a po chwili Ksawery zwrócił się w jej stronę.

– Odprowadzę panią do pałacu. – Ukłonił się.

Sama przed sobą udawała, że jest to jej obojętne, ale serce rozpiekała radość. Gdy pożegnała się z Daukszą i Dominikiem, ruszyła w stronę żelaznych drzwi, ale Ksawery ją zawrócił.

– Pójdziemy inną drogą – oświadczył, wskazując przejście do drugiego pomieszczenia, gdzie stało bardzo dużo beczulek po winie. Przed dość szerokimi, kamiennymi schodami podał jej rękę. W drugiej trzymał lampę.

– Powinnam zawiązać szal na oczach? – spytała.

– To nie będzie konieczne. Sama się pani przekona.

Gdy wyszli na powierzchnię, miała wrażenie, że straciła wzrok. Rozglądała się to w jedną, to w drugą stronę, aż wreszcie spojrzała do góry i dostrzegła nieco zmętniały księżyc.

– Gdzie my jesteśmy?

– Nie poznaje pani? – Ksawery zgasił lampę, czekając, aż ich oczy przyzwyczają się do ciemności.

Wiktoria zaczęła rozróżniać przed sobą niewyraźne, rozmyte kształty, spowite siwymi oparami.

– Boże – szepnęła, zdjeta zgrozą. – Las Vaiuy Miglè. A więc jednak można tu wejść... i przeżyć?

– Owszem, choć raczej się tym nie chwalimy.

- Z Dominikiem szłam przejściem podziemnym.
- Zgadza się. Teraz pójdziemy lasem.
- Przecież nic nie widać.
- Znam drogę na pamięć – odparł pogodnie, stając tuż przy niej.
- Te lochy to pozostałość po zamku?
- Po zamku obronnym – przyznał. – To była wyjątkowo piękna magnacka rezydencja z czterema basztami, wielkim dziedzińcem i mostem zwodzonym. Kiedyś to miejsce otaczała głęboka fosa, stąd też bagniska.
- Co się stało z zamkiem?
- Spłonął ponad dwieście lat temu. Właściciel był bezdzietny i majątek trafił do siostry jego żony, naszej antenatki. Nikt już nie myślał o odbudowie, zresztą wkrótce zaczęła się wojna moskiewska. Ponieważ miejsce zaczęła spowijać mgła, zdecydowano później, by dwór postawić w innym miejscu. Tu zaś z czasem wyrósł las.
- A lochy okazały się doskonałą kryjówką – rzekła w zamyśleniu.
- Mgła, bagniska, opowieści o Vaivie Miglè...
- Przyznaję, że Vaiva bardzo nam się przysłużyła.
- Te liczne pakunki to broń? A w beczułkach przechowywany jest proch?
- Milczeniem potwierdził jej domysły.
- Dziękuję, że obdarzył mnie pan zaufaniem.
- A ja dziękuję, że zechciała nam pani pomóc. Wątpliwe jest, by pani Daukszowa zobaczyła jeszcze kiedyś Adama. Ten portret będzie dla niej najcenniejszą pamiątką.
- Wiktoria postanowiła wykorzystać okazję i wtrąciła niby od niechcienia:
- Słyszałam, że została sama z córką.
- Z Natalią, tak.
- Poczuła się jak myśliwski pies tropiący ślady. W jego głosie

słyszeć było wzruszenie czy też nie? Uśmiechnął się, wypowiadając jej imię, czy nie? Boże, oszaleję!

– Adam jest bardzo związany z siostrą i martwi się o nią, ale niepotrzebnie. Natalia jest wspaniałą i silną dziewczyną, przetrzyma wszystko.

Aż syknęła, jakby ją uderzył. Bolały plotki powtarzane przez Agatę, lecz wyrazy zachwyty nad panną Natalią z ust Ksawerego nie pozostawiały złudzeń. Zrobiło jej się bardzo zimno i nie potrafiła opanować drżenia brody.

– Chodźmy. – Delikatnie dotknął jej dłoni. – Pozwoli pani?

A miała wybór? Nie cofnęła ręki.

– Boże, jaka lodowata! – zawołał. – Zmarzła pani w tych lochach.

Zdjął z siebie płaszcz i okrył ją. Nie protestowała uszczęśliwiona, że przez chwilę jest blisko. Wreszcie mocno spleli palce i ruszyli przed siebie. Jego dotyk przyjemnie rozgrzewał, odurzał. Gdy od czasu do czasu Ksawery poruszał kciukiem, gładząc szorstką skórę dłoni, przenikał ją błogi dreszcz. Rozżalenie, smutek i zazdrość zbladły, ustępując miejsca ekscytacji. Za nim mogłabym pójść wszędzie – pomyślała. Gdyby tak i on zechciał pójść za mną...

Nie widziała wiele, jedynie siwe błyski unoszące się nad mokradłami i białą parę, kontrastującą z atramentową czernią nocy. Ciszę zakłócał tylko szelest ich kroków. Nie słyszeć było ani rechotu żab, ani gry świerszczy, ani pohukiwań sów. Dziwne, zupełnie wymarły las – pomyślała. Za to w niej buzowało życie. Uśmiechała się pod nosem, gdy nagle kroki stały się ciężkie i z trudem unosiła nogi. Po chwili zaczęło brakować jej tchu i miała wrażenie, że coś osacza ją z każdej strony, dusi, wypełnia gniewem i niewyobrażalną rozpaczą. Poczuła palący ból brzucha i odór dymu. W uszach dudniła krew, wargi drętwiały, serce łomotało z przerażenia i wysiłku.

– Vaivo, proszę, nie... – szepnęła.



– Wiktorio, co się dzieje? – Usłyszała jakby z oddali. – Wiktorio! Proszę na mnie spojrzeć. – Ksawery otoczył ją w pasie ramieniem, a drugą rękę położył na policzku dziewczyny. – Słyszysz pani? Proszę na mnie spojrzeć.

Powoli wybudzała się z koszmarne transu. Znow mogła normalnie oddychać. Widziała, jak Ksawery pochyła się nad jej twarzą.

– Już... już dobrze – wyjąkała. – Przepraszam, chwilowa słabość.

– To moja wina. Jest pani od piątej rano na nogach, a ja, zamiast pozwolić pani wypocząć, wywlokłem do lasu. Proszę mi wybaczyć – dodał, po czym zdecydowanie wziął ją na ręce.

– Nie trzeba – zaprotestowała niezbyt przekonująco.

– Trzeba – uciął.

Upiorna słabość minęła. Zarzuciła mu ręce na szyję, wspierając głowę na ramieniu Ksawerego. Dotknęła palcami mocnego karku i musiała się powstrzymać, by nie wsunąć palców we włosy, by nie musnąć ustami policzka. Czuła ciepło jego ciała, przyjemny zapach męskiej skóry mieszał się woniami lasu. Rozkoszne gorąco rozlało się po ciele dziewczyny – od twarzy, przez brzuch, po stopy.

– Dziękuję za łubiny – szepnęła.

– Podobały się pani?

– Ogromnie. To jakbym miała część domu przy sobie.

– Żałuję, że nie mogę zrobić nic więcej – zawahał się, chrząknął. – Po ostatnich wydarzeniach... tym bardziej nie będzie chciała pani opuścić Łempic, prawda?

Wniebowzięta jego bliskością przez chwilę nie rozumiała, o czym mówi, ale wreszcie pojęła sens. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, jak wyjaśnić zmiany, które zaszły, więc milczała.

Wtuliła się tylko mocniej, wyczuwając mocne bicie serca. Starła się panować nad oddechem, lecz łapała powietrze coraz łapczywiej.

Miała wrażenie, że oblepia ją dziwny, nieparzący ogień, i obawiała się, że Ksawery czyta w jej ciele, że na palcach pozostaną mu ślady płomieni, których sam był przyczyną. I pomyśleć, że leżałam naga w jego łóżku – przypomniała sobie nagle bez cienia wstydu. Czy nie to właśnie tłumaczyła Konstancja? Nieśmiałość blednie i znika, gdy męczyzna wyzwoli w kobiecie coś tak silnego, coś tak cudownego.

– Mogę iść już sama – zasugerowała niezbyt ochoczo, kiedy opuścili las i ruszyli ścieżką w stronę żeliwnej furtki w murze, którą obwąchiwał pies stróża.

Wyżeł zaszczekał, poznał, że to swoi, i pobiegł w inną stronę.

– Proszę pozwolić sobie pomóc.

Nie musiał jej namawiać. Cieszyła się z każdej sekundy, którą mogła spędzić w jego objęciach. Była to jedna z tych chwil, o których myślała potem jak o pełni szczęścia. Ksawery nie pozwolił sobie na żaden intymny gest, a mimo to czuła dotyk silnych dłoni na twarzy, szyi, piersiach, brzuchu, wsłuchiwała się w ich wspólny oddech wibrujący nieznośnym napięciem i słowami, których jeszcze lękali się wypowiedzieć. Mało nie jęknęła rozczarowana, gdy przy drzwiach do czeladnej postawił ją na ziemi.

– Dziękuję stokrotnie i raz jeszcze przepraszam, że naraziłem panią na...

– To ja dziękuję – przerwała mu, chwytając go za rękę. – Za zaufanie, za łubiny, za pomoc, za wszystko.

Uśmiechnął się szorstko, jak to miał w zwyczaju, po czym nachylił się i ucałował jej dłoń. Niemal zachłysnęła się powietrzem. Nie chciała się z nim jeszcze żegnać i rozpaczliwie szukała pretekstu, byle tylko go zatrzymać. Nie puszczał jej ręki.

– Tam w lesie... Pewnie uzna mnie pan za osobę przesadną, która dała się uwieść ludowym wierzeniom, ale w pewnym momencie naprawdę miałam wrażenie, że... Nie wiem, jak to wytłumaczyć.

Czułam obecność kogoś bardzo nieszczęśliwego i zagniewanego. Myśli pan, że uległam sugestiom?

– Nie – odparł spokojnie. – Mnie też się czasami wydaje, że coś tam jest. Coś... nie z tego świata.

– A jeśli ludzie mają rację? Dlaczego Vaiva związana jest z tym lasem? Co tam się wydarzyło, że jej dusza nie może zaznać spokoju?

– Na pewno pani wie, że uratował ją wileński kat, prawda? Problem w tym, że spodobała się podczaszemu z zamku. Zabrał ją do siebie, a kat zginął. Oczywiście według miejscowej legendy to Vaiva przyczyniła się do jego śmierci, bo zachciało jej się być wielką panią.

– A jak było naprawdę i co się z nią stało? – spytała cicho, szczęśliwa, że wciąż czuje ciepło jego palców.

W tym momencie usłyszeli głos Dominika, który idąc do pałacu, rozmawiał ze stróżem.

– Jurga pani wszystko opowie – zdążył szepnąć. – Dobranoc, Wiktorio.

Puścił jej dłoń, odebrał płaszcz i odszedł.

### *LITWA, WRZESIENÍ A.D. 1641*

Wynurzała się z otchłani powoli, a gdy powróciła do przytomności, długo nie pojmowała, gdzie jest i co się stało. Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą purpurowy, przetykany złotą nicią baldachim. Uśmiechnęła się. Jakie to ładne – pomyślała i nagle zmarszczyła brwi, bo zauważyła brak ziół. W jednej chwili powróciły wspomnienia i przeszła ją paraliżująca boleść. Zawyła przeraźliwie, zerwała się z łoża i rzuciła w stronę drzwi. Waliła pięściami, krzyczała, płakała. Gdy do środka wkroczył podczasz, zaczęła wymierzać mu razy, uderzała na oślep, jak popadnie, wrzeszcząc:

– Zabójca!

Odepchnął ją wreszcie od siebie, wycierając krew z rozciętej wargi.

– Siedz cicho, głupia!

Nie ustąpiła, znów do niego doskoczyła, a w głowie miała tylko jedną myśl: wydrapać mu oczy, unicestwić, rozerwać na kawałki. Nie sądziła, że jest zdolna do tak szaleńczej nienawiści. Razem z Wilkomirem odeszła dawna Vaiva. Teraz stała się furią, zdolną jedynie mścić się i niszczyć.

Podczaszy raz i drugi wymierzył jej mocny policzek, a gdy upadła na kamienną posadzkę, wyszedł z komnaty. I znów się poderwała, znów tłukła pięściami w drzwi, wykrzykując najgorsze obelgi. Dławiła się łzami, wyła głośniejsz niż ranna wilczyca, aż wreszcie wyczerpana osunęła się na plecy. Mimo spuchniętych powiek widziała nad sobą złocone belki, a między nimi barwną panoramę Wilna.

Nagle widok ten przesłoniła pochylająca się nad nią baba z krwiakiem na czole.

– Wypij to.

Podetknęła pod usta kielich i nim Vaiva zdążyła zareagować, wlała jej zawartość do gardła. Dziewczyna się zakrztusiła, poczęła kasłać, ale po chwili zwiotczała. Dostrzegła jeszcze, że wrócił podczaszy. Próbował ją podnieść, ale odsunęła się krewko i poczołgała w stronę okna.

Nie wiedzieć kiedy spadł na nią błogosławiony sen niepamięci. To budziła się, to znów zapadała w letarg.

– Wilkomir... – zawodziła cicho.

Czekała na śmierć jak na wybawienie, a gdy wreszcie oprzytomniała, poczuła pulsujący ból w dole brzucha. Dziecko! Dziecko Wilkomira. Nagle zdało się jej ciężarem, bo przymuszało do trwania, do walki. Jak pomieścić w sobie życie i agonię? Uciekać – podpowiadał jej instynkt. Uciekać jak najdalej, schować się, ukryć.

Podparta na łokciach rozejrzała się wokół. Komnata była

ogromna, z marmurowym kominkiem, hebanowym stoliczkiem, arrasami na ścianach i skrzyniami pokrytymi skórą. Zerwała się z łóżka i dobiegła do drzwi. Zamknięte. Popatrzyła w okno. Ciemność spowijała ziemię niczym całun.

Nagle usłyszała chrzęst przekręcanego klucza. Gdy wszedł podczaszy, cofnęła się, byle dalej od niego, byle nie oddychać tym samym powietrzem.

– Nareszcie spokój – orzekł, głaszcząc się po czarnych wąsach. – Nie bój się, będzie ci tu dobrze. Zadbam o ciebie, zobaczysz.

– Jesteście zabójcą – syknęła. – Żałuję, że nie wykrwawiliście się wtedy na śmierć!

Podczaszy nie rozpoznawał w tej ziejącej jadem chimerze swojej słodkiej wybawicielki, ale że polowanie było jego żywiołem, nie zraził się. Im bardziej narowisty koń, tym większa przyjemność z poskromienia, a im oporniejsza dziewczka, tym mocniejsza rozkosz. Zrobił krok w jej stronę, ale wyciągnęła przed siebie rękę.

– Nie zbliżajcie się do mnie! – krzyknęła. – Nie wiecie, kim jestem?! Jeśli mnie tkniecie, zmienię was w psa! Przysięgam, że to zrobię!

Zaśmiał się.

– Nie takie już miałem, i dziewczki, co służą, i panny bogate, ale z wiedźmą jeszcze nie próbowałem.

– Ostrzegam was! Rzucę na was klątwę i już nigdy nie przemówicie ludzkim głosem!

Jednym susem dopadł do niej i chwycił za włosy.

– Jeśli będziesz mi przychylna, dam ci wszystko: stroje, klejnoty. Jak pani żyć ze mną będziesz. Jeśli jednak nie ulegniesz, każę cię powrozem związać i oddam moim ludziom, coby z tobą poigrali. A kiedy już się tobą nasycą, wrzucą twoje truchło do fosy. Wybieraj! Nie masz dla mnie litości, ja nie będę miał dla ciebie.

Splunęła mu w twarz. Puścił ją, wycierając policzek rękawem.

– Pomiarkuj się, daję ci ostatnią szansę.

Kiedy została sama, padła na kolana i zaniósła się płaczem. Gdyby nie dziecko w jej łonie, rzuciłaby się z okna. I tak już nie żyła. Została jedynie skorupa, poraniona i rozbita. Muszę uciec... – myślała gorączkowo. Słyszac szmer przy drzwiach, dźwignęła się szybko z kolan. Strażnik wprowadził do środka służkę, która trzymała tacę z jadłem.

– Zostaw i wychodź – upomniał ją srogo strażnik.

Służka posłała Vaivie pełne współczucia spojrzenie. Podeszła bliżej i stawiając na stoliku tacę, szepnęła:

– Wiem wszystko, pomogę wam.

– Wyłazić! – ryknął strażnik.

Vaiva popatrzyła na nią z rozpaczą. Gdy drzwi się zamknęły, chciała jednym ruchem zrzucić jadło, ale przypomniała sobie o dziecku. Musi jeść, musi wytrwać.

Całą noc i dzień spędziła samotnie, w zamknięciu. Pod wieczór przyszła do niej baba z krwiakiem na czole. Przyniosła pańską suknię i sakiewkę z biżuterią.

– To dla ciebie. Przygotuj się. Pan cię zaraz odwiedzi.

Vaiva popatrzyła na nią pustym wzrokiem i syknęła:

– Służysz diabłu.

Rzuciła w nią suknię. Zrozumiała, że wyrok już zapadł, że jeśli chce ocalić dziecko, musi przystać na występne żądania podczaszego, ale nie zamierzała stroić się dla niego w bogate szaty. Myślał może, że plugawy gwałt udekorowany jedwabiami i świecidełkami stanie się miłowaniem?

Baba wykrzywiła w uśmiechu bezzębne dziąsła.

– To tyś mu służyła, więdźmo. Katowska ładacznicą – dodała tonem największej obelgi.

Vaiva chwyciła staruchę oburącz za szyję i zacisnęła palce.

– Katowska żona – wycedziła powoli, po czym puściła szamoczącą się babę. – Ladacznicą będę teraz.

Gdy została sama, usiadła przy stoliku i pochyliła głowę, czekając na przyjście podczaszego jak na egzekucję. Już nawet sił nie miała, by rozpaczać. Patrzyła tępo w jeden punkt.

– Namyśliłaś się? – Usłyszała naraz chropawy głos podczaszego. – Wybierasz mnie czy moich kompanów?

– Zapłacicie za to! Zapłacicie za wszystko! Przysięgam! – zawołała, ale położyła się na łożu.

Najwidoczniej sprawiła mu tym dużą radość, bo wypiął pierś do przodu i podkręcił wąsa. „Oto ja, pan i zdobywca” – mówiła jego postawa. Ściągnął z siebie odzienie i legł przy dziewczynie. Przez chwilę kontemplował jej urodę, wsunął dłoń pod cienką koszulę, dotknął wargami ramion. Vaiva leżała na wznak, z zamkniętymi oczami, nieruchomo. Nie wydała z siebie nawet jednego jęku, gdy ją hańbił, gdy brutalną siłą profanował ciało. Po wszystkim odwróciła się, przysuwając na brzeg łoża.

– Moja najmilsza – szeptał pieszczotliwie podczasz, ukontentowany po zbliżeniu.

Nie trapił się jej obojętnością. Wiedział, że z każdej dziewczyny można wykrzesać ogień, jeśli tylko jest się wystarczająco cierpliwym i uważnym. Posiadał swoją boginię, ale nie zamierzał na tym poprzestać. Już on ją rozochoci. Jeszcze będzie go błagać.

Przychodził do niej codziennie i zostawał do rana. Wobec żadnej kochanki, nawet wobec żony, nie był tak czuły i pomysłowy jak wobec Vaivy. Całował czubki palców u stóp, głaskał piersi, kolana, pieścił ją długo i wytrwale, czekając, aż zapłonie, ale ona za każdym razem leżała cicha i nieruchoma jak nieboszczka na katafalku. Nawet nie bardzo pojmowała, co podczasz z nią wyrabia, bo w tamtych

chwilach zmieniała się w prawdziwą wiedźmę. Tą resztką duszy, która jej została, opuszczała ciało i wylatywała oknem, unosząc się wysoko z wiatrem. Widziała z góry gęsty las, sarny na polanie i wijącą się rzekę. Krążyła nad Wilnem, patrzyła na dachy i wyciągała czasem rękę, by dotknąć strzelistych wież kościołów. Wracała, gdy było po wszystkim.

Podczaszy coraz bardziej się niecierpliwiał. Wolałby chyba nawet, bodaj zaczęła z nim walczyć, bo przynajmniej wtedy widział w niej płomień. Czuł się bezradny, że w żaden sposób nie potrafi przymusić jej do wzajemności.

– Urodzi waszmości dziecko, to się wszystko odmieni – pocieszała go baba z krwiakiem, którą trzymał na zamku, bo się na chorobach znała.

Przynosił kochance kosztowności, perły białe jak śnieg, coraz to wymyślniejsze, francuskie suknie, trzewiczki śliczne jak dla królowej. Stroił ją jak lalkę w barwne, obcisłe kaftaniki o szerokich rękawach i obszerne, zdobione klejnotami spódnice. Kazał podawać najlepsze kąski z kuchni na fajansowej zastawie<sup>[40]</sup>, ale w jej oczach za każdym razem widział nienawiść tak wielką, że aż ciarki szły mu po kręgosłupie.

Kiedy pojął, że czułymi pieściami nic nie wskóra, przestał się wysilać i brutalnością, zaprawioną mocnym alkoholem, zaczął domagać się odzewu. Na próżno. Gdyby choć wzdychała zniecierpliwiona jak Katarzyna, ale ona nic. Leżała pod nim martwa.

– Dlaczego taka jesteś? Wszak dałem ci wszystko! – pytał rozżalony.

– Zabraliście mi wszystko.

Nie pozwalał jej wychodzić, trzymał ją w zamknięciu jak rzadki okaz ptaka i pilnował, by nie wyfrunęła.

Pewnego dnia w komnacie wreszcie pojawiła się służka, która



przed czterema niedzielami obiecała pomoc. Miała asystować przy kąpieli, więc tym razem strażnik wycofał się za drzwi i nie poganiał.

– Jestem Biruta. Próbowałam przyjść wcześniej, ale mnie nie wpuszczano. Wyprowadzę was stąd – rzekła, lejąc do miednicy wodę.  
– On odwołuje strażę, gdy jest u was. Poczekacie, aż zaśnie. Będę czuwała pod drzwiami.

Niespodziewanie do środka wtargnęła baba z krwiakiem, trzymając w pokrzywionych palcach flakon z pachnidłem. Służka pobiegła po prześcieradło i okryła dziewczynę, ale starucha zbliżyła się i obnażyła ją ponownie. Wbiła wzrok w pełne piersi i brzuch. Splunęła i wyszła, gderając pod nosem.

– Ona wie, że jesteście brzemienna – zmartwiła się Biruta, pomagając dziewczynie nałożyć halki i suknię. – Nie pijcie niczego, co wam przyniesie – ostrzegła.

Vaiva czekała tej nocy na podczaszego, ale się nie pojawił. Za to następnego dnia, tak jak przewidywała służka, starucha przyniosła czarkę gorącej zawiesiny.

– Wypij – rozkazała.

W powietrzu rozniósł się odór rozłożonego wrotyczu i krwawnika.

– Wypiję później, zostawcie na stoliku – odparła obojętnie dziewczyna, ale baba nie dała się zbyć.

– Masz wypić przy mnie. To żeby ci dziecko dobrze rośło.

Przystawiała jej pod usta wywar, próbowała przymusić, aż wreszcie Vaiva złapała naczynie i chlusnęła zawartość babie na piersi. Ta wrzasnęła, łypnęła na nią złowrogo i opuściła komnatę. Niedługo potem wróciła w towarzystwie podczaszego.

– Wypij! – rzucił ostro magnat, podając jej czarkę z cuchnącą zawiesiną.

– Nie.

Wtedy kazał się babie wynosić, a sam podszedł do Vaivy i ścisnął palcami z dwóch stron policzki, by otworzyła usta. Próbował wlać jej zawiesinę do gardła, ale wyrwała się i wypluła cuchnący wywar.

Dostał wypieków na twarzy, nozdrza mu drżały, gdy oddychał szybko, jak po bitwie.

– Nie pozwolę, byś urodziła mi katowską znajdę – warknął, łapiąc ją za ramię i potrząsając. – Mnie dasz dziecko! Tylko mnie!

– Wolałabym umrzeć! – rzuciła mu prosto w oczy.

Wówczas dotarło do niego, że przegrał. Ta pałająca wrogością dziewczka nie chciała być jego boginią. Choć się starał, choć pieniędzy nie żałował i traktował ją jak wielką panią, pomiatała nim jak byle kmiotkiem.

Pchnął ją na posadzkę i zaczął okładać kopniakami. Chciał wydrzeć z niej dziecko i uczucie do kata, chciał zatłuc wiedźmę, która odmawiała mu miłości, zabijała go nienawiścią i jadem. Vaiva próbowała zasłaniać brzuch, ale uderzał jak szalony, raz za razem. Zamroczone ostrym bólem resztką świadomości zaczęła czołgać się w stronę kominka, próbując uciec przed ciosami. Nagle dostrzegła pogrzebacz. Wyciągnęła rękę, złapała pręt i przeciągając po podłodze, z całej siły zdzieliła napastnika w nogi. Zaskoczony atakiem poleciał do tyłu. Upadając, potrącił stojący na podłodze lichtarz z grubą świecą i uderzył głową o kolumnienkę łóżka. Popatrzył zdziwiony i osunął się na posadzkę.

Vaiva spostrzegła, że z rozbitej czaszki wypływa krew. Po chwili w ogniu stanęły grube kotary zasłaniające łóżko. W powietrzu szybko rozszedł się zapach spalenizny i dymu. Dziewczyna próbowała się dźwignąć i wtedy poczuła lepkie ciepło między udami.

– Dziecko... – szepnęła.

Opadła na plecy i zamknęła oczy. Poddała się.

## ROZDZIAŁ 30

### *ŁEMPICE, CZERWIEC 1853 ROKU*

Ochmistrzyń przysła do kuchennej izdebki skoro świt.

– Jesteś chora, więc możesz pospać, ile chcesz – zarządziła.

Wiktoria przeciągnęła się z błogim uśmiechem. Ach, więc nawet o to zadbał! Objęła poduszkę, wspominając minioną noc, silne ramiona Ksawerego, ciepły uścisk dłoni, jego troskę i życzliwość.

Głaskała Szelmę, który wskoczył na łóżko, mrużeniem dopraszając się pieśczoć, i jednocześnie bujała w obłokach. Nie była śpiąca, wręcz przeciwnie, pobudzona i pełna wigoru, gdy więc usłyszała głosy kucharek w kuchni, postanowiła wstać i zająć się pracą, tym bardziej że Rozalia miała wrócić od matki dopiero po południu.

– A ty co? Już nie chora? – powitała ją Urszula.

– E tam, chora! Robić się nie chce, to chora – skomentowała Agata, rozpalając w piecu.

Wiktoria nie odezwała się ani słowem, nie rzuciła wyniosłego spojrzenia. Nawet przytyki Agaty nie były w stanie sprowadzić jej z chmur na ziemię.

Późnym popołudniem przywędrowała do Łempic słynna Jurga. Entuzjastycznie powitano ją w czeladnej. Róża kazała podać wcześniej wieczerzę, a Franek przyniósł kołowrotek i postawił w kącie. Wszyscy obstąpili ją jak ukochaną babunię, która wróciła z dalekiej podróży.

Wiktoria stała z boku i przyglądała się staruszce. Była krucha i niewysoka, ubrana w długą ciemną spódnicę i brązowy kubrak. Patrzyła przed siebie jasnymi, pogodnymi oczami, mrugając często prawą powieką. Mimo siwych włosów i porytej zmarszczkami

twarzy sprawiała wrażenie niezwykle żywotnej.

Każdy miał do niej jakąś sprawę, każdy chciał być pierwszy. „Niech mi Jurga powie, niech pomoże, niech wyjaśni”, aż wreszcie ochmistrzyni huknęła, żeby rozeszli się do swoich zajęć i dali jej zjeść w spokoju. Gdy Wiktoria postawiła przed nią talerz cepelinów, staruszka chwyciła ją za rękę.

– Ciebie tu nie było.

– Jestem nowa – wyjaśniła, dziwiąc się silnemu uściskowi.

– Ale ślepe te ludzie – rzuciła Jurga z uśmiechem. – Nie widzą, kto w kuchni służy.

Wiktoria zdębiała. Szybko obejrzała się za siebie, czy ktoś nie słyszał. Powoli uwolniła dłoń. Ona naprawdę jest niezwykła – pomyślała. Wiedziała, że ją podziwiają i szanują, ale jak bardzo, przekonała się, gdy do czeladnej przysłała sama pani Oktawia. Nawet ona chciała powitać Jurgę. Pojawił się także Dominik. Zagadnął staruszkę, ucisnął jej rękę, po czym wypatrzył Wiktorię, która wkładała do szafy w czeladnej wyprasowane ściereczki. Uśmiechnął się ciepło i ruszył w jej stronę, ale w izbie było zbyt wiele osób, aby można było spokojnie porozmawiać. Zdążył tylko szepnąć:

– Dziękuję.

Wiktoria po raz kolejny, gdy patrzyła za nim, jak wychodzi, próbowała zrozumieć motywy panny Elizy. Jak mogła porzucić takiego mężczyznę? A ona? W którym momencie doskonały obraz Dominika został przysłonięty wizerunkiem jego stryja?

Staruszka posiedziała trochę w kuchni, a potem usiadła przy kołowrotku. Muszę ją namalować – obiecała sobie Wiktoria. Miała przeczucie, że Jurga i jej może pomóc. Taka czarodziejka na pewno zna się na zaklęciach miłosnych.

Czekała, aż ochmistrzyni wyśle ją do kaplicy, do lasu, gdziekolwiek, ale niestety. Kiedy się dowiedziała, że po obiedzie pan

Ksawery wyjechał, przygasła i dopiero wtedy poczuła zmęczenie.

Tymczasem Rozalia wróciła od matki zmartwiona. Wieczorem, gdy kładły się spać, opowiedziała Wiktorii, że jej starsza siostra Józia miała wyjść za mąż, ale rodzina narzeczonego nie chce się zgodzić na małżeństwo z biedną dziewczyną bez posagu. Państwo Łempiccy może by i pomogli, matka jednak nie śmie prosić, bo już wielokrotnie udzielali im wsparcia. Józia chodzi jak struta, jej narzeczony skłócił się z rodzicami, a jeszcze najmłodszy braciszek Boluś cierpi na bóle w piersiach. Same nieszczęścia.

– Dobrze, że Jurga przysłała, może ona co poradzi.

Wiktorii się zamyśliła. A gdyby tak poprosiła Dominika? Jest szlachetny i nie odmówi. Po chwili przypomniała sobie, że sama może pomóc, przynajmniej w jednej kwestii. Musi tylko pojechać do Wilna, do Tomaszowej.

– Nie martw się. Mam pomysł. Józia dostanie swego ukochanego, a i Bolusiem się zajmiemy.

– Ale jak?

– Pomyślę, ale obiecuję, że nieszczęścia się skończą.

Rozalia mocno się do niej przytuliła, pokrzepiona dobrym słowem. Zasnęła spokojniejsza. Wiktorii zaś długo się męczyła. Zajrzała do czeladnej, gdzie na ławie spała Jurga, wreszcie usiadła w opustoszałej kuchni przy stole, podpierając twarz rękami. Poprzedniej nocy cieszyło ją to, że Ksawery jest blisko, jego sypialnia znajdowała się prawie nad kuchnią. Teraz, gdy był u siebie w Zielnej, bardzo za nim tęskniła. Za niskim głosem, za szorstkim półuśmiechem, za jego spokojem i męską siłą. Choć był od niej dużo starszy, fascynował ją, wyzwalał w niej ukryte głęboko uczucia. Zauroczona Dominikiem fantazjowała co najwyżej o pocałunku, romantycznym, niewinnym i delikatnym jak skrzydła motyla. Myśląc o Ksawerym, zmieniała się w rozedrganą pochodnię. Nie miała pojęcia, jak go do siebie

przyciągnąć, jak usidlić, bo na pensji tępiono wszelki przejaw zalotności. Porządna panna nie może się narzucać, nie może flirtować, a już nie daj Boże, żeby miała świadomość swego ciała od pasa w dół. To dobre dla kobiet z półświatka.

Westchnęła głośno. Ksawery organizował jej wyjazd do Paryża. Jak miała mu teraz powiedzieć, by tego nie robił, by pozwolił jej zostać w Łempicach, bo tylko tu może go widywać? Tak czy inaczej, nie mogła wyjechać. Będąc damą do towarzystwa u jego przyjaciół, mogła mieć nadzieję, że przyjedzie, że ją odwiedzi.

Powzdychała jeszcze trochę, aż w końcu zgasła świecę i wróciła do izdebki. Długo się wierciła, nim wpadła w objęcia Morfeusza.

Znów przysniły jej się węże w skrzyni. Próbowwała się ich pozbyć, gdy nagle jeden z nich przemówił ludzkim głosem:

– Dlaczego to robisz? Nie bój się.

Zaprzestała walki, przyjrzała mu się bliżej i dopiero wtedy zauważyła, jaki jest piękny. Wzięła go do rąk bez wstrętu i lęku, a on oplótł ją pasie.

Obudziła z przyjemnym uczuciem zgody na kłębiące się w niej emocje.

Znów czekała, aż ochmistrzyni wywoła ją z kuchni, a kiedy tak się wreszcie stało, musiała przełknąć gorzkie łyżo rozczarowania. Róża bowiem wezwała ją do siebie tylko po to, by oznajmić, że zgadza się na jej wyjazd do Wilna, do Tomaszowej, o który prosiła o świecie.

Po obiedzie niespodziewanie do kuchni wbiegł Szelma. Zakręcił się wokół stołu, podreptał do komina i ułożył przy ciepłej ścianie, chowając pyszczek między łapkami.

– Jak nic będzie burza – oznajmiła Urszula, rzucając kotu resztki ze swojego talerza. – On się tak zachowuje tylko wtedy, gdy zmienia się pogoda. Niedobrze, niedobrze. Trzeba zawczasu gromnicę naszykować.

Służący popatrzyli po sobie. Jaka tam burza. Dzień taki piękny, słoneczny, wcale nie jest duszny. Ani jednej chmurki. A jednak niedługo potem rozległy się pierwsze grzmoty. Niebo zrobiło się granatowe, jakby noc nastąpiła, a zaraz potem lunął rześisty deszcz.

Urszula postawiła w oknie zapaloną świecę, a reszta zebrała się w czeladnej, wsłuchana w rytmiczny turkot kołowrotka Jurgi.

– Największa burza dopiero przyjdzie – rzekła tajemniczo prządka.  
– I nic się na to nie poradzi.

Naraz rozległ się w pomieszczeniu dźwięk dzwonek. Kamerdynerzy i Franek zerwali się z miejsc i wybiegli na schody wiodące na pokoje.

– Niedobrze – powtórzyła Urszula. – Znaczy, że gdzieś się pali.

Rozalia złożyła ręce do modlitwy, myśląc o swoim rodzinnym domu, o matce i chorym Bolusiu.

Co pewien czas pałacem wstrząsały potężne grzmoty. Deszcz tłukł o szyby w kuchni, a rażące światło błyskawic regularnie wypełniało demonicznym blaskiem wnętrza izb. Kobiety uklęknęły w czeladnej i zaczęły recytować monotennie *Pod Twoją obronę...* Modlitwy najwyraźniej przyniosły skutek, bo powoli zaczęło się przejaśniać. Ucichły gromy i tylko ulewa wciąż zacięła.

Naraz do czeladnej wpadł przemoczony Franek.

– Ale polało! – zawołał, strząsając z siebie wodę.

– I co? Gdzie się paliło? – ponagliła Urszula.

– A trafiło w chałupę Walusiów. A to przecie przy tej szkole, co ją tera budują. Panicz tam pomaga. U Walusiów to prawie wszystko poszło z dymem, a szkołę ugasili. Tylko że akurat tam pan dziedzic z Zielnej był i belka na niego spadła...

Wiktoria już nie słuchała. Jak stała, wybiegła z czeladnej na dwór, nie zwracając uwagi na rześisty deszcz. Serce łomotało jej mocno, jakby zaraz miało wyskoczyć. Potworny strach ścisnął za gardło.

Pędziła do wsi, ile jej sił starczało, choć nogi ślizgały się w błocie. Nie miała pojęcia, gdzie mieszkają Walusiowie, ale pogorzelnisko widziała z daleka. Wokół kręcili się mieszkańcy. Coś sobie pokazywali, kiwając głowami. Zatrzymała się i rozejrzała bezradnie. Odgarnęła z twarzy mokre kosmyki i zapytała przechodzącego obok mężczyznę:

– Paliło się? Ktoś jest ranny?

– Nie wiem. Dopiero żeśmy ugasili.

Wytężyła wzrok, przeskakując z nogi na nogę. Czuła, jak w butach chlupocze woda.

– A pani co tu robi? – Usłyszała za sobą niski głos.

Odwróciła się, tłumiąc okrzyk ulgi i radości. Ksawery stał nad nią ze zmarszczonym czołem. Był zupełnie przemoczony, bez płaszcza i surduta. Chwycił ją za łokieć i pociągnął pod wystającą strzechę jednej z chałup.

– Chciałam... tylko... – plątała się. – Podobno ktoś został ranny i...

– Dominik jest bezpieczny – odparł krótko, ocierając wierzchem dłoni twarz.

– A pan? Franek mówił, że belka spadła.

– Na mnie? – zdziwił się. – Otarła się tylko o moje ramię. Nic groźnego.

Patrzył na nią przez chwilę nieodgadniętym spojrzeniem, aż w końcu dotknął jej twarzy ledwie opuszkami palców.

– Przemokła pani i zmarzła, a ja nawet nie mam, czym panią okryć. Proszę wracać. Nic złego się nie dzieje. Walusiom pomożemy.

Najchętniej przytrzymałaby jego rękę na policzku. Nie było jej zimno. Wręcz przeciwnie: gorąco, cudownie i słodko.

– Pan również powinien wrócić i się przebrać.

Uśmiechnął się, jakby jej troska sprawiła mu przyjemność.



– Tak zrobię – zapewnił.

Wiktoria dygnęła, odwróciła się i pobiegła w stronę pałacu. Nogi same ją niosły. Jeszcze trochę, a zaczęłaby się unosić nad ziemią. Odchyłała głowę, pozwalając, by deszcz obmywał twarz. Uśmiechała się, nie zwracając uwagi na błoto i wiatr. Ksawery... Wery...

## ROZDZIAŁ 31

Ulewny deszcz ustał dopiero wieczorem. Wiktoria przebrała się i rozwiesiła mokre ubrania na krześle i oparciu łóżka, podśpiewując:

*Stach mi pierścioneł przyniół z jarmarku,  
Józio jedwabnych róż wianek,  
Tyś mi żadnego nie dał podarku,  
Lecz, Janku! Tyś mój kochanek<sup>[41]</sup>.*

Gdy wycierała naczynia, powstrzymywała kichanie, co nie uszło uwadze Urszuli.

– No i na co żeś tam poleciała? W taką ulewę! Jeszcze się rozchorujesz i tyle będzie wszystkiego.

– Wiadomo – wtrąciła Agata, biorąc się pod boki. – Jak jej się robić nie chce, to tylko patrzy, żeby się wykręcić.

– E tam – odparła Urszula. – Ciekawa byłaś, tak? A nie pamiętasz, jak mówiłam o młynarzu, co też był ciekawy? I jak się to skończyło? No jak?

Wiktoria, wyrwana niespodziewanie do odpowiedzi, miała wrażenie, że przyszło jej właśnie zdawać egzamin.

– Syna stracił – przypomniała sobie. – Vaiva Miglè go zabrała.

– A co to za brednie? – odezwała się Jurga, odsuwając od siebie pusty talerz.

Urszula była zbyt rozsądna, by wchodzić w zatarg z prządką, ale nie mogła pozwolić, by przy świadkach podważano jej autorytet.

– Nie brednie, tylko najszczerza prawda – przekonywała, uderzając się w piersi, czego Jurga i tak nie mogła zobaczyć. – Tatulo mi opowiadali.

– A ja wam mało naopowiadałam, że w lesie żadnej Vaivy nie

ma?

Urszula usiadła przy stole, przecierając wcześniej siedzisko ręką.

– No, Jurga mówi jedno, a ludzie drugie – zaczęła niby pokornie. – Ja tam wam wierzę, wiadomo. Wiecie najlepiej, ale mgła jest? Jest. Ludzie wejść nie mogą? Nie mogą. Zginął tam niejeden? Zginął. To przez kogo, jak nie przez wiedźmę?

– Oj, wyście, Urszulo, większą wiedźmą – zachnęła się Jurga ze śmiechem, mrugając powieką. – Co se ludzie gadają, to ich, ale wy moglibyście już mieć więcej rozumu.

Kucharka się zapłoniła, oczy postawiła, gotowa bronić swych racji.

– Ale że co? Wymyśliłam sobie, że ukatrupiła tego magnata, że zamek podpaliła?

– Zabiła podczaszego? – zainteresowała się Wiktoria.

– No – odparła Urszula, jakby mówiła rzecz powszechnie znaną. – Przyłapał ją, jak się oddawała praktykom magicznym, to ją chciał przepędzić z zamku. No to się rozeźliła, krzyczała, że go w psa zamieni, że klątwę rzuci... – Szybko spojrzała na Jurgę. – Tak było – dodała, jakby się chciała bronić przed jeszcze niewyartykułowanymi zarzutami. – I w końcu go zabiła. Złapali ją i utopili w fosie, a ona wcześniej klątwę rzuciła na zamek i siedzi tam po dziś dzień. – Uderzyła kilkakrotnie pięścią w stół, chcąc wzmocnić efekt.

Jurga westchnęła, podniosła się z ławy i skierowała do czeladnej.

– A może utrę wam pierwszych poziomek z cukrem, co? – Urszula próbowała załagodzić sytuację, bo za nic nie chciała stracić przychylności prządki.

Od dawna uważała, że najlepszym sposobem, by wkraść się w czyjeś łaski, to porządnie napełnić mu brzuch smakołykami. Na Szelmę działało.

– A utrzymaj, jak ci się chce – rzekła pojednawczo Jurga.

Wiktoria zaproponowała, że chętnie to zrobi, ale Urszula wysłała ją do pracy w czeladnej. Rozalia myła schody i podłogę, a ona niech stół i szafki poprzeciera z kurzu.

Jurga tymczasem usiadła przy kołowrotku. Zgrubiałymi, powykręcanyymi ze starości palcami wydzielala z kądzieli pasemko włókien i wprawiała mechanizm w ruch. W pewnym momencie zastygła, czując na sobie spojrzenie Wiktorii.

– Podoba ci się, co robię? – Uśmiechnęła się szeroko.

– Bardzo. – Dziewczyna podeszła bliżej, po raz kolejny dziwiąc się temu, że prządka, choć niewidoma, wszystko widzi. – Macie takie zręcznie dłonie, ale to wcale nie jest łatwa praca.

– Ano nie jest. Jakbym nie była cierpliwa, to nic by z tego nie było.

Wiktoria pokiwała głową. Bez względu na to, czy bierze się w dłonie kądziel, czy też swój los, potrzeba wytrwałości, zapału i wiary, że to, co się robi, ma sens – pomyślała. I choć trafiają się fatalne włókna, trzeba próbować.

Od dłuższego czasu chciała porozmawiać z Jurgą, zwierzyć się jej ze swoich rozterek i prosić o radę, ale brakowało sposobności, bo w ciągu dnia kuchnia i czeladna były pełne ludzi, a gdy o zmroku izby pustoszały, prządka już spała. Teraz również, ze względu na obecność Urszuli, Agaty i Rozalii, Wiktoria nie mogła zacząć rozmowy o Ksawerym, ale postanowiła skorzystać z okazji i spytać o czarownicę z przeklętego lasu.

– Jurgo, a jak to jest naprawdę z Vaiivą? Była wiedźmą czy nie?

Staruszka znów się uśmiechnęła i zaczęła prząść wraz z Inianą nicią długą opowieść.

### *LITWA, PAŹDZIERNIK A.D. 1641*

Nie miała już nawet sił, by zakasłać, by wyrzucić z płuc gryzący dym, by zawalczyć o oddech. Pogodzona z losem czekała na szybki

koniec, gdy nagle poczuła, że ktoś chwycił ją za ramię.

– Obudźcie się, musimy iść. – Usłyszała.

Wbrew sobie została postawiona na nogi. Zaraz przeniknęła ją paraliżująca bolesć, zgięła się wpół i mało nie padła na kolana.

– Biruto – wysapała z trudem. – Zostawcie mnie, nie chcę...

Służąca nie dała za wygraną. Była silna i krzepka, przyzwyczajona do mocowania się z życiem i ludźmi. Stanowczo złapała dziewczkę w pasie i wyprowadziła z komnaty. Gdy doszły do drewnianych schodów, krzyknęła na cały głos:

– Gore!

Włokła z sobą półprzytomną dziewczynę, co jakiś czas uderzając ją po policzkach.

Vaiva wciąż z trudem łapała powietrze. Zdawało jej się, że cała stoi w ogniu, że płomienie wyżerają gardło, oczy i brzuch.

– Nie śpijcie, musimy iść. – Usłyszała gniewny głos Biruty. – Jeśli tu zostaniecie, zabiją was.

I dobrze – chciała opowiedzieć, ale słowa ugrzęzły w krtani, przyduszone bólem. Każdy kolejny krok był torturą. Otumaniona cierpieniem, nie zauważyła, że zeszyły do lochów, że służka otworzyła kratę, a potem niewielkie żelazne drzwi. Ogarnęło ją złudzenie, że to jakaś droga piekielna, że już umarła, a nienawiść sprowadziła ją w szatańskie czeluści, o których kiedyś opowiadała ciotka Sigita. Ciągnięta przez Birutę upadła, lecz nie do wrzącego kotła ze smołą, a na trawę. Poczowała zapach wilgotnej ziemi i dopiero wtedy zaczęła się gwałtownie krztusić.

– Już dobrze. – Biruta odwróciła ją na plecy i okryła swoją chustą.

– Zabiorę was stąd. Musicie tylko poczekać. Sprowadzę pomoc.

Vaivie było wszystko jedno. Chciała tylko spać, a najbardziej przestać istnieć.

Obudził ją potworny ból. Czyjeś ręce wyswobodziły ją z miękkiej

spódnicy i halek, rozwarły uda i dotykały brzucha. Szarpnęła się, otwierając zapuchnięte powieki. Leżała na sienniku w małej izbie. Ogień buzował na palenisku, syczał i trzaskał, jakby był żywą istotą. W jednym kącie mała dziewczynka doła jałówkę. Mleko z głośnym pluskiem rytmicznie wpadało do skopka.

Rozejrzała się, pojękując. Próbowwała podnieść głowę, gdy naraz zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz Biruty.

- Gdzie jestem? – wycharczała, znów zanosząc się kaszlem.
- U mojej babki, Giedrè. Nic wam nie grozi.
- Co z dzieckiem? – spytała, chwytając się ostatniej nadziei.

Podążyła za wzrokiem swej wybawicielki i wtedy zobaczyła, że badały ją ręce chudej staruchy.

Giedrè odłożyła łuczywo do paleniska i wytarła dłonie o fartuch.

- Trza ją umyć. Wszędzie krew.

Nie musiała nic więcej mówić. Vaiva zrozumiała.

- Pozwólcie mi umrzeć – poprosiła. – Nie mogę już dłużej...

Wtedy Biruta podetknęła jej pod spierzchnięte wargi naczynie z wywarem z chmielu.

- Pij.

Vaiva posłusznie przełykała napój razem ze łzami. A myślała, że już wszystkie wypłakała. Podtrzymywana przez Giedrè podniosła się i weszła do cebra. Tępym wzorkiem patrzyła, jak Biruta obmywa jej łono i uda, po których spływała brunatna maź. Uciekało z niej życie, które poczęli z Wilkomirem, wpadało do wody, barwiąc ją na czerwono. Zachwiała się na nogach i pewnie upadłaby, gdyby nie mocne ramiona staruchy. Z powrotem została położona na sienniku, czystym i suchym. Zamknęła oczy, czując na skórze dotyk ciepłych palców.

– Ten, który ci to zrobił, gorzko zapłaci – rzekła Giedrè, smarując maścią krwawe wybroczyny na jej brzuchu, piersiach i rękach.

– Już zapłacił – mruknęła Biruta. – Nie żyje.

– I co? Ten diabeł pójdzie do swoich? To dla niego żadna kara.

Stara włożyła świeży gałgan między uda Vaivy i przykryła ją derką. Sama zaś zebrała z ziemi pańskie halki, podeszła do paleniska i drąc materiały na pasy, zaczęła rzucać w ogień. Gęsty dym wypełnił izbę, zakotłował się i począł uciekać przez drzwi, które rozwarła Biruta.

– A bodajbyś spokoju nie zaznał, bodajbyś trafić do piekieł nie mógł – mruzczała starucha, patrząc, jak płomienie pochłaniają zakrwawioną tkaninę. Jej oczy zrobiły się wielkie, a pokrytą bruzdami i naroślami twarz wykrzywił paskudny uśmiech. – Zapłacisz za niewinne życie, za krzywdę. A żebyś się tułał, żebyś wyjścia nie znalazł, żebyś błądził przez wieki, póki krew się z krwią nie zleje, póki krew się z krwią nie zleje. – Wreszcie wyczerpana zakończyła rytuał, upadłszy na kolana przy palenisku. – Póki krew się z krwią nie zleje...

Vaiva, ilekroć powracała do przytomności, błagała o jedno: co by pozwoliły jej umrzeć. Nie chciała jeść ani pić i żal miała do Biruty, że wywlekła ją z zamku, skazując na powolne konanie z rozpacz i cierpienia. Postanowiła, że gdy tylko nabierze sił, pójdzie przed siebie i sama zakończy swój żywot.

– Ja wiem, że od stosu ocalił cię kat Wilkomir – rzekła jej raz Giedrè, wmuszając w nią strawę. Były same w chacie, nie licząc leżącej w kącie izby krowy. – Wiem, żeście się miłowali. Tu też się mówiło o wiedźmie, co ludziom pomaga. Tera ja ci pomogę.

– Mnie już nie można pomóc. Wszystko straciłam. Wszystko.

Starucha się zachnęła i zmęła w bezzębnych dziąsłach przekleństwo.

– Masz to, co najważniejsze. Życie.

– I na cóż mi ono?  
– Ejże, to tak pogardzasz darem od Wilkomira?  
– Żałuję, że mnie uratował! Przeze mnie zginął! Przeze mnie! –  
wybuchła płaczem.

Stara gładziła ją po włosach.

– Płacz, dziecko, płacz. Ból trzeba wypłakać. – Naraz przyłożyła swą wielką, gorącą rękę do jej czoła i przymknęła oczy. – Dałaś mi szczęście, jakiego nigdy nie zaznał. Nie wróci do ciebie w tym życiu, ale w tym drugim będzie czekał, jeśli w pełni wykorzystasz to, co jemu zabrano.

– Nie mam... już sił...

– Tak... Dziś jesteś martwa, ale przyjdzie dzień, że się odrodzisz, odtajesz jak ziemia wiosną. I zapragniesz jeszcze życia i sama je dasz. Zajmiesz należne ci miejsce...

Giedrę rozwarła powieki, nabrała powietrza i dmuchnęła jej w twarz. Vaiva się uspokoiła, otarła łzy i posłusznie zaczęła przełykać mamałygę z resztek chleba. Nie wierzyła, by pęknięte serce znów kiedyś zabiło, ale niespodziewanie opuściło ją pragnienie śmierci. Z każdym dniem wracały jej siły, a rany na ciele szybko się goiły. Często, gdy leżała, podchodziła do niej Rūta, córka Biruty, brała ją za rękę i bez słowa koiła czułym uściskiem. Vaiva za każdym razem miała wrażenie, że dziewczynka wlewa w nią ożywczy nektar, że jest słońcem, które wyciąga ją z mroku.

– Co się stało z jej ojcem? – spytała Birutę pewnej nocy.

– Nie żyje. Krótco go miałam dla siebie. Zmarł, zanim urodziła się Rūta. W mojej rodzinie żaden mężczyzna nie może długo się uchować, taki los.

– Wasza babka... ona wiele potrafi.

– Tak, ale nikogo nie krzywdzi – zapewniła, a po chwili dodała cicho, z uśmiechem: – Nie tych, co dobrze czynią. Wychowała mnie,



bo matka zmarła przy porodzie.

– Wy też macie takie moce?

– Gdzie tam! – Machnęła ręką. – Ale Rūta jest wyjątkowa. Wiecie, że mleko, które ona wydoi, w ogóle się nie psuje? Może stać tygodniami i nic. A jak mnie albo babce coś dolega, wystarczy, że potrzyma nas za rękę i przechodzi. Lękam się o nią, chronię, by nikt się nie dowiedział. To takie niesprawiedliwe, że wszystkie zmuszone jesteśmy bać się samych siebie, tego, co jest w nas, przemykać przez życie ukradkiem, a choćbyśmy się nie wiem jak starały i tak ktoś krzyknie: „Wiedźma!”, „Wszetecznica!”, „Kobieta!”<sup>[42]</sup>. – Dorzuciła drew do paleniska, po czym usiadła na drewnianej ławie przy posłaniu Vaivy. – Opowiedzcie mi o sobie. Co nieco wiem. Mówiło się tu o tym, że w Wilnie kat uratował czarownicę i pojął za żonę, a potem zaczęto opowiadać, że ona leczy, że pomaga. Kiedy podczaszy was przywiózł do zamku, domyśliłam się, że stało się najgorsze. Ludzie powiadali, że wam męża zabili i że pan was uratował, ale to on...

– On! On zabił Wilkomira! – syknęła jadowicie. – Cieszę się, że zginął. Tylko co teraz będzie z wami? Ze wszystkimi, co służyli na zamku?

– Pani przyjedzie, to zdecyduje. Czekają na nią z pogrzebem. Spłonęła główna część, ocalały baszty i boczne skrzydła. Może odbudują, może nie, ale z głodu nie pomrzemy. A wy? Macie jeszcze kogo bliskiego?

I wtedy Vaiva opowiedziała swe dzieje. Ubierała w słowa wspomnienia straszne i piękne, raz jeszcze przeżywając każdą chwilę, którą spędziła w rodzinnej wiosce i w chacie Wilkomira.

– Pochowano go koło domu, razem z tym niemową – westchnęła ciężko Biruta. – Podczaszy niejedno życie miał na sumieniu, ale to was ludzie oskarżają o całe zło. Mówią, że pan się nad wami

ulitował, wziął na zamek, a wy żeście zagładę sprowadzili, ogień i śmierć. Myślą, że zginęliście w płomieniach, ale pewności nie mają i boją się was bardziej niżli piekła.

Giedrè, wróciwszy z obejścia, przysiadła się do nich, pokaszując lekko.

– Musisz stąd odejść, i to szybko – zamruczała.

– Wiem. – Vaiva uniosła się na posłaniu, jakby już była gotowa.

Stara dała znak sękatą ręką, by się nie ruszała.

– Nie idzie o nas, bezpieczne tu jesteście. O ciebie chodzi. Trzeba zostawić stare i iść ku nowemu, a to nowe jest daleko. Jesień jest, będzie coraz zimniej i trudniej.

Vaiva wciąż jeszcze nie bardzo wierzyła, by to „nowe” miało jej przynieść co dobrego, ale pogodziła się z myślą, że musi odejść, jeśli znów nie chce skończyć na stosie.

Gdy poczuła się już silna i zdrowa, Biruta zapakowała jej w gałganek krzesiwo, trochę chleba, surowych jaj i suszonej rzepy, a Giedrè przyniosła buty i wyczyszczonej spódnicę.

– Rozum wam odjęło? Nie włożę tego! – zaprotestowała, wzdrygając się z odrazą.

– Włóżysz.

– Będzie na siebie uwagę zwracała – wtrąciła z niepokojem Biruta, spoglądając na bordowy adamaszek wyszywany perłami.

– I tak ma być. Musisz ją włożyć, wiem, co mówię – zwróciła się stara do Vaivy. – Biruta wywiezie cię koniem za miasto. Nie szukaj schronienia w karczmach ani chałupach. Wejdz do puszczy i idź tam, gdzie słońce zachodzi. Wiesz, co robić, dobrze znasz lasy. Dopiero za puszcza możesz prosić ludzi o pomoc. Dopiero tam.

Vaiva nie bez obrzydzenia wdziała spódnicę, ciepły kaftanik i trzewiki. Chciała oderwać perły, zostawić je Giedrè, ale ta stanowczo ją powstrzymała. Staruszka wyciągnęła jeszcze ze skrzyni

ciemnofioletową kiereję<sup>[43]</sup>, którą Biruta zabrała po pożarze z zamku.

– To do niego należało! Nie chcę!

– Do niego czy nie do niego, co za różnica! – fuknęła ze złością stara. – To tylko odzienie, które pomoże ci przeżyć, gdy będziesz spała na ziemi w lesie.

Vaiva nie protestowała. Chwyliła zniszczone dłonie Giedrè i przywarła do nich ustami.

– Żebym tak kiedyś mogła oddać wam to dobro, którego od was wszystkich zaznałam.

Starucha nic nie powiedziała, uśmiechnęła się tylko, za to Rūta, pociągając ją za płaszcz, rzekła z przekonaniem:

– Spotkamy się jeszcze kiedyś, zobaczycie...

### *ŁEMPICE, CZERWIEC 1853 ROKU*

– I co dalej? – Wiktoria siedziała obok Jurgi na ławie, zapomniawszy zupełnie o swoich obowiązkach.

Nawet Rozalia, myjąc podłogę w czeladnej, zastygła ze ścierką w dłoniach w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

– A bo to wiadomo? Vaiva odeszła, zamek podczaszego opustoszał i popadł w ruinę, bo dziwne rzeczy tam się działy.

– Jak to: dziwne? – Rozalia wstała z kolan i wrzuciła ścierę do miednicy.

– No dziwne. A to ktoś stał na dziedzińcu, gdy nagle taka mgła się podnosiła, że nie mógł z powrotem do komnat wrócić, a to coś wyło, a to straszło. I ludziska zaraz Vaivę obwinili, że to wiedźmy sprawka, że klątwę rzuciła, że zamku nie chce opuścić. No a potem zarosło wszystko, zdziczało.

Wiktoria westchnęła, próbując poukładać sobie słowa Jurgi. Wstrząsnęła nią historia Vaivy. Nazwali ją czarownicą, bo śmiała odrzucić niechcianego adoratora. Okrzyknięto bohaterką upiornych legend, złowrogą Vaivą Miglè, bo wbrew sobie została sprowadzona

na zamek przez zabójcę, który nie wahał się wziąć jej gwałtem.

– Jurgo – zaczęła, spoglądając na nią z szacunkiem – ludzie aż tak bardzo się nie pomylili. Czarownica naprawdę rzuciła klątwę.

Prządka zrobiła niewinną minę, uśmiechnęła się.

– A kto tam wie, jak było. Opowiedziałam to, co mnie moja babka.

– Która była prawnuczką tamtej małej dziewczynki, Rūty – rzekła Wiktoria w zamyśleniu. – Jurgo, pochodzicie z niezwykłego rodu kobiet. Szkoda, że... – urwała zawstydzona swym nietaktem.

– Szkoda, że na mnie się kończy, co? – Jurga nie wyglądała na urażoną. – Ech, nie ma co żałować. Nie takie więdźmy chodzą po ziemi.

– A Vaiva spotkała się jeszcze z Rūtą? – Wiktoria przysiadła obok prządki.

– Spotkała, spotkała. Wróciła tu, gdy moja babka już była na świecie. Ech, stare dzieje.

Urszula, która przysłuchiwała się rozmowie, uznała, że czas odzyskać władzę.

– Jazda do kuchni, a żywo! – zawołała, dla większego efektu wymachując ścierką. – Tu już wszystko zrobione.

Wiktoria zajęła się zmywaniem, myślami błądząc wokół Vaivy i podczaszego, który od dwóch wieków nie mógł znaleźć wyjścia z łempickiego lasu.

## ROZDZIAŁ 32

Nazajutrz, jeszcze nim Agata zdążyła przygotować poranną kawę dla jaśnie pana, Wiktoria ruszyła głównym gościńcem ku rozwidleniu dróg, gdzie miała na nią czekać Łankiewiczowa. Granatowa sukienka z mankiecikami, w której przybyła do majątku, była dobra na kwietniową zmienną pogodę, ale nie na czerwcowe upały, więc im dłużej szła, tym bardziej doskwierał jej żar, choć jeszcze nie było szóstej rano. Otarła pot z czoła i oblizwała usta, czując słony smak i piasek w zębach. Uniosła dół sukni ponad kostki, ale na więcej się nie odważyła, choć najchętniej ściągnęłaby odzienie, by zostać w samej halce.

Naraz zatrzymała się zdumiona, mimowolnie rozchylając wargi w szerokim uśmiechu. Na końcu drogi stał kryty powóz, a obok spacerował Ksawery Łempicki. Gdy ją dostrzegł, wyszedł jej naprzeciw.

– Dzień dobry – przywitał się, zdejmując kapelusz. Ukradkiem rozejrzał się, czy ktoś ich nie widzi. – Ochmistrzyni mówiła, że wybiera się pani do Wilna, a ponieważ mam kilka spraw do załatwienia, zawiozę panią. Tomaszowa już wie.

To zbyt wielkie szczęście – pomyślała Wiktoria, w sekundę zapominając o upale i nieodpowiedniej sukience. Gdy usiadła w powozie naprzeciwko niego, musiała się bardzo pilnować, by rozanielonym wyrazem twarzy nie zdradzić kipiących w niej uczuć.

Z początku mówili o szkodach, jakie spowodowała burza, by potem pogрузić się w bardziej poufalej rozmowie.

– Powiedział pan kiedyś, że byłby lojalnym poddanym cara, gdyby nie pewne wydarzenie – przypomniała mu, znacząco zawieszając głos.

– Tak... – Odłożył kapelusz na siedzisko, zmarszczył brwi i spuścił

wzrok. – Słyszała pani o Szymonie Konarskim?

– Oczywiście. Powstaniec listopadowy, znany działacz i spiskowiec – wyrecytowała jednym tchem, pamiętając opowieści panny Michaliny. – Rozstrzelano go.

– Czternaście lat temu, zgadza się. Widziałem jego śmierć. Wie pani może, gdzie jest Pohulanka w Wilnie? Tuż za Trocką Bramą. To miejsce straceń. Tłumy przyszły go pożegnać. Michał akurat spędzał zimę w mieście, a ja na krótko przyjechałem z Dorpatu. Wcale nie chciałem tam iść. Kolejny szaleniec, który myślał, że wygra z mocarstwem. Tak wtedy uważałem, przyznaję – zamilkł na chwilę, przypominając sobie siarczysty mróz, kobiety ubrane na czarno i studentów Akademii Medyko-Chirurgicznej, którzy mimo zakazu masowo przybyli na egzekucję. – Ale potem, gdy go zobaczyłem, takiego umęczonego po torturach, a mimo to spokojnego i pogodzonego z losem... Do dziś pamiętam, jaki ogarnął mnie wstyd i... rozpacz. Zrozumiałem, że są sprawy, wobec których nie można być obojętnym, bo obojętność oznacza zdradę.

– Zdradę?

– Tak. Kraju, mojej rodziny, ojca. – Dla obojętnych dusz nie ma miejsca ani w niebie, ani w piekle<sup>[44]</sup>. – Podniósł wzrok i spojrzał na Wiktorię. – Spytała pani niedawno, czy się nie boję. Boję się każdego dnia. Wolałbym Polsce służyć, niż za nią umierać, ale jeśli będzie trzeba walczyć...

Strach chwycił ją za gardło. Raniąca już była sama myśl, że mogłoby się mu coś stać.

– Co pan mówi? Chyba nie planuje pan kolejnego powstania?

– Ależ nie – rzekł z ociąganiem. – W każdym razie nie dziś, nie jutro – dodał z tym swoim intrygującym półuśmiechem.

– A broń gromadzona w lochach ruin? Zakładam, że prędzej czy później ktoś z niej skorzysta?

Westchnął.

– Wolałbym, żeby do tego nie doszło, ale inaczej nie odzyskamy kraju. I na pewno nie bez wsparcia włościan. Powinni być wolni. Pańszczyzna to przeżytek i niepotrzebne okrucieństwo.

– Oczywiście! Co za różnica: car czy polski pan, jeśli to dla nich oznacza tę samą niedolę.

– Ładna z nas para rewolucjonistów – zażartował, patrząc na nią z nieukrywaniem podziwem. – Żałuję, że inni nie są tak postępowi jak pani. Szlachta czci Kościuszkę, ale jakoś nie chce brać z niego przykładu i sprzeciwić się pańszczyźnie, nawet w obliczu tego, co wydarzyło się w Galicji.

– Bo trudno jest zrezygnować z przywilejów – odparła uszczęśliwiona jego słowami i przychylnym spojrzeniem.

– Pani, Wiktorio, zrezygnowała. Nie znam damy, która potrafiłaby... Nie znam nikogo takiego jak pani.

Spąsowiwała, czując, jak zalewa ją fala trudnego do wytrzymania ciepła. Natychmiast odwróciła wzrok w stronę okna, by nie poznać, co się z nią dzieje.

– Wiktorio... – zaczął powoli, z oporem. – Chciałem... Proszę pamiętać, że gdyby się pani zdecydowała nie wyjeżdżać do Paryża, może to pani zrobić w każdej chwili, choćby w dniu wyjazdu.

Zdołała jedynie skinąć głową, udając, że pochłania ją oglądanie krajobrazów. Mogła już teraz wyznać, że zamierza zostać, ale obawiała się, że następnego dnia Ksawery odeśle ją z Łempic, a wtedy, kto wie, kiedy znów go zobaczy. Nie miała wystarczająco dużo odwagi, by spytać, czy pozwoliłby jej objąć posadę nauczycielki w Zielnej. Zerknęła na niego, zastanawiając się, czy chciałby, żeby została. Czy choć trochę mu na niej zależy? Czy wszystkie te drobne gesty, chęć pomocy, zaufanie, którym ją obdarzył, wynikają wyłącznie z altruistycznych pobudek, pozbawionych romantycznych

odcieni? „Ładna z nas para rewolucjonistów... Ładna z nas para...”.

W powozie zaległa cisza, dysząca, gęsta i ciężka jak powietrze, którym oddychali.

To patrzyli na siebie, to znów odwracali wzrok, by po chwili ponownie ukradkiem na siebie spojrzeć. Wiktoria czuła, jak palą ją policzki, jak nieznośne, a zarazem przyjemne gorąco oblepia ją całą, nie tylko na zewnątrz, ale również w środku. Patrzyła na swoje kolana, które były tak blisko nóg Ksawerego. Próbowwała zapanować nad przyspieszonym i nierównym oddechem. Dobrze jej było, rozkosznie, słodko, choć męczyła się okrutnie, trzymając w ryzach wygłodniałe zmysły. Pragnęła, by ta podróż nigdy się nie kończyła, a jednocześnie nie mogła się doczekać, by wreszcie uciec od tego mężczyzny i pożądlivosti, którą w niej wyzwalał.

Pogrążona w myślach nawet nie zauważyła, kiedy znaleźli się w Wilnie. Ksawery odprowadził ją pod bramę kamienicy. Miała wrażenie, że przytrzymał jej dłoń dłużej, niż należało.

– Wrócę po panią po południu – dodał, nim się rozstali.

Dorota Łankiewicz przywitała ją obfitym śniadaniem: dopiero co wyjętym z pieca białym chlebem bez kminku, serami, plastrami bandziuka, kiszka ziemniaczaną i filiżanką mocnej herbaty. Wiktoria nie była głodna, napełniona uczuciami, które z każdym dniem stawały się coraz silniejsze, ale nie odmówiła poczęstunku. Opowiedziała wszystkie nowiny z Łempic, wspomniała o Vaivie i Jurdze, unikając jednak mówienia o Ksawerym z obawy, że Tomaszowa szybko ją przejrzy. Nie żeby jej nie ufała, wręcz przeciwnie. Rozmowa z mądrą, doświadczoną kobietą byłaby wręcz wskazana, ale Wiktoria nie wyobrażała sobie, by mogła podzielić się aż tak intymnymi myślami.

Po śniadaniu rozpięła górę sukni i obmyła ciało wilgotną szmatką, a Łankiewiczowa przyniosła puzderko z biżuterią.



– Panienko, jeśli potrzeba panience pieniędzy, to pożyczę.

– O nie, i tak już jestem waszą dłużniczką i czas najwyższy wszystko spłacić.

Kobieta machnęła lekceważąco ręką, ale Wiktoria mówiła dalej:

– Wezmę bransoletkę. A wam chciałabym ofiarować kolczyki i proszę, żeby Tomaszowa nie protestowała.

– Panienko, nie.

– Ciężko pracujecie, na łapówki poszło mnóstwo pieniędzy i...

– Panienko. – Kobieta popatrzyła jej z determinacją w oczy. – To nie panienka ma dług do spłacenia, tylko ja. I to tak wielki, że pewnie życia mi nie starczy, by wszystko oddać.

– Nie rozumiem. Jesteście winni Florentynie pieniądze?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie chodzi o pieniądze. Proszę mi zaufać. Pomagając panience, spłacam własne zobowiązania.

Wiktoria uznała, że będzie musiała to załatwić inaczej, bez szkody dla Łankiewiczowej i swojego sumienia.

Gdy o dwunastej rozległy się dzwony w kościele Świętej Anny, wyszła na krótką przechadzkę w stronę Ostrej Bramy, myśląc o tym, jak wiele się zmieniło od czasu, kiedy ostatnim razem spacerowała uliczkami Wilna. Z końcem marca uciekała do Łempic wystraszona spotkaniem z Zacharewiczem, niepewna, co ją czeka, i przekonana, że jedzie objąć posadę garderobianej. Nie miała wtedy pojęcia ani o istnieniu Ksawerego, ani o tym, jak wielkie drzemią w niej pokłady miłości. Wciąż kochała Łubinów, wciąż tęskniła, ale niespodziewanie odkryła banalną prawdę, że domem może być drugi człowiek. I ten dom, ukochany, wymarzony, bezpieczny, zobaczyła w Ksawerym. Gdyby tylko...

W połowie drogi musiała przystanąć, bo choć gęste chmury przydusiły promienie słońca, to jednak wciąż było zbyt gorąco na

spacery. Z zazdrością spoglądała na damy, które siedziały w bryczkach jadących ulicą Zamkową i osłaniały twarze parasolkami z jedwabiu. Po chwili zastanowienia przyznała jednak, że możliwość samodzielnego chodzenia po mieście, bez asysty przyzwoitek i opiekunów, wynagradzała inne niedogodności.

Wracając do kamienicy, już z daleka dostrzegła powóz i przyspieszyła kroku. Ksawery czekał na nią w salonie Łankiewiczowej, popijając herbatę. Wiktoria poprosiła o chwilę cierpliwości, w kuchni raz jeszcze opłukała twarz zimną wodą i przygładziła włosy.

– Proszę wybaczyć mi niedyskrecję – zaczął Ksawery, gdy jechali przez miasto. – Jeśli potrzebuje pani funduszy... – zawiesił głos.

– Niedyskrecji dopuściła się Tomaszowa, a nie pan – rzekła spokojnie, z uśmiechem.

– Panno Wiktorio, nie zamierzam ingerować w pani decyzje ani odwozić pani od zamiarów bez względu na to, jakie są. Proszę jedynie, bym to ja mógł odkupić od pani bransoletę. Tak będzie bezpieczniej.

– To bardzo szlachetne... – zawahała się.

Miał rację. Jak wytłumaczyłaby Rozalii posiadanie tak drogiej biżuterii?

– Może najpierw zechciałby ją pan zobaczyć?

Rozsupłała sakiewkę i podała mu szafirowe cacko, przez chwilę znów czując na skórze dotyk jego palców.

– Drogocenna rzecz – ocenił, przyglądając się ciemnoniebieskim kamieniom w obramowaniu pereł. – I niezwykle piękna.

– Prezent od ojca dla mojej matki.

Popatrzył na nią uważnie.

– I nie żal pani?

– Może trochę. A jeśli dzięki niej mogę zrobić coś dobrego...

– Rozumiem. Jeszcze dziś dostanie pani pieniądze – obiecał, chowając klejnot do kieszeni.

Miała ochotę zapytać, jaki użytek zrobi z bransolety. Nie wybaczy mu, jeśli ofiaruje ją Natalii Daukszy.

– Rozmawiałam z Jurgą – przypomniała sobie. – Jest wyjątkowa.

– Prawda? Zdążyła już pani coś przepowiedzieć ta nasza wieszczka?

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Opowiedziała mi za to o Vaivie.

– Więc już pani wie, kto naprawdę błądzi po zamglonym lesie?

– Wierzy pan w to?

Wzruszył ramionami.

– Na co dzień o tym nie myślę. Podchodzę sceptycznie do takich opowieści, ale nieraz widziałem, ile potrafi Jurga, więc kto wie, jaką moc miała jej praprababka. A poza tym – nieznacznie nachylił się w jej stronę – to pani wyczuła obecność jakiejś mary w lesie.

Wiktoria popatrzyła mu w oczy, ale nieopatrnie jej wzrok opadł na wąskie wargi mężczyzny. Szybko wciągnęła powietrze i zaczęła mówić, szybko i bezrefleksyjnie, byle tylko zagadać, zasłonić słowami to wszystko, co w niej gore.

– Podczaszy zasłużył na wieczną tułaczkę po tym, co zrobił. O ile to zrobił. Któż przy zdrowych zmysłach zechciałby się wiązać z katowską żoną, na której ciąży piętno czarownicy? Musiała go opętać albo rzucić urok – podsumowała z nerwowym grymasem.

Ksawery uśmiechnął się jakoś smutno.

– Nie trzeba być czarownicą, żeby rzucić urok na mężczyznę. A jeśli wiedźmą jest ta, która ośmiela się decydować o sobie, o swoim życiu i ciele, to wydaje mi się, że dawniej czekałby panią stos, Wiktorio, Vaivo. A i teraz nie jest łatwiej.

I znów popatrzyli na siebie, przez dłuższą chwilę nic nie mówiąc. Ocknęli się, dopiero gdy stangret zatrzymał konie.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała, spoglądając za okno na rozległą

łąkę.

– Za miastem. Pozwoliłem sobie nieco zboczyć z drogi, by coś pani pokazać.

Wysiadł pierwszy i podał dziewczynie rękę, prowadząc ją wzdłuż rzeki w stronę kępy drzew. Panosząca się swawolnie tarnina podgryzała już wąską ścieżkę, więc Wiktoria stąpała ostrożnie, uważając na ciernie, by nie podrzeć sukni. Wreszcie mogła złapać głęboki oddech. Powietrze pachniało pokrzywami i miętą, która porastała zbocza strumienia. Lekki wiatr przyjemnie chłodził rozgrzane twarze.

Ksawery zatrzymał się przy strzelistych topolach.

– W tym miejscu stał kiedyś dom kata – wyjaśnił, przyklękając przy dużym głazie. – Proszę zobaczyć – dodał, gdy odgarnął na boki trawę i pokrzywy.

Wiktoria, nachyliwszy się, dostrzegła na kamieniu nieregularne wklęsłe linie. Przesunęła palcem po omszałych wyżłobieniach, strząsając na ziemię pająka.

– To jakiś rysunek... Pies?

– Wilk. Proszę spojrzeć. – Ksawery ujął jej dłoń i poprowadził nieco wyżej. – Tu ma pysk.

– Rzeczywiście – przyznała, nieco zawiedziona, gdy cofnął rękę. – I coś jest na grzbiecie...

– Gołąb. Przypuszczam, że z gałązką oliwną w dziobie. Niżej był jakiś napis, ale nic już nie widać.

Odwróciła ku niemu twarz.

– To nagrobek Wilkomira! Wilk i symbol pokoju, czyli miru.

– Tak. Tam dalej jest jeszcze jeden głaz, mniejszy, ale nic już się nie da z niego odczytać.

Wiktoria raz jeszcze z czułością pogładziła nagrany słońcem kamień. Towarzyszyło jej dziwne uczucie, którego nie rozumiała.

Zupełnie, jak gdyby...

– Wilkomir... A więc ktoś go upamiętnił.

Ksawery podniósł się z kolan.

– Jego żona. Jurga nie mówiła pani, że Vaiva tu jeszcze powróciła?

– Wspominała, że spotkała się z Rūtą, która w tamtym czasie miała już prawnuczkę, czyli musiała być bardzo stara.

– Pewnie wtedy kazała postawić tutaj te głazy. Jeden dla kata, drugi dla człowieka, który im pomagał.

Wiktoria przeżegnała się, zmówiła cicho *Wieczny odpoczynek*, po czym rozejrzała się wokoło.

– A więc tu mieszkała. Ciekawe, czy zaznała jeszcze szczęścia.

– Tego nie wiem, ale Jurga mówiła, że przyjechała do Rūty karetą. Ponoć ofiarowała sakiewkę kosztowności.

– Czyli była zamożna, ale czy szczęśliwa? – Raz jeszcze popatrzyła na głaz. – Tyle lat, a ona wciąż o nim pamiętała... Wiadomo, jak umarła i gdzie jest pochowana?

Pokręcił głową.

– Dziękuję, że pokazał mi pan to miejsce. – Miała wrażenie, że nie rozumie czegoś, co powinna dobrze znać, co powinna wiedzieć.

### *LITWA, LISTOPAD A.D. 1641*

Leżąc przy ognisku, wdychała zapach dymu, mokrej ziemi i zbutwiałych liści. Szczelnie otulona kiereją nie potrafiła rozgrzać przemarzniętych członków. Zdawało się jej, że tak już będzie zawsze, że nigdy nie pozbędzie się tego lodu, który skuwał ciało i duszę. Mimo to każdego poranka maszerowała dalej z myślą, że najmie się do jakiej służby i tak już trwać będzie zawieszona między życiem a śmiercią. Doświadczenie podpowiadało jej, którą drogę obrać, by nie trafić na legowisko dzików czy wilków, jak stawiać kroki, by wtopić się w leśne królestwo, na co mieć baczenie, by pozbyć się zapachu intruza, który zuchwałą obecnością narusza spokój tajemnej kniei.

Nie obawiała się dzikich zwierząt, bo nauczyła się, że gorszej bestii od człowieka nie ma. Pozostawały jeszcze bóstwa puszczy: łowczyni Medeina<sup>[45]</sup>, leśne lica i zbłąkane dusze ukrywające się w dziuplach drzew. Zdawało się nieraz, że Vaiva czuje ich zimne oddechy na policzku, ale wierzyła, że nie chcą jej krzywdy. Może miały ją za swoją? Za kolejną duszę, która co prawda jeszcze kolebie się w ciele, ale już czeka, by w stosownym momencie uciec przez półotwarte usta?

Wstrząsana dreszczami jeszcze bliżej przysunęła się do ognia, chowając głowę w ramionach.

– Wilkomir... – szeptała, próbując przywołać go do siebie, ogrzać się dźwiękiem imienia, otulić wspomnieniem, ale na próżno.

Następnego ranka obudziły ją płatki śniegu, które grubym kożuchem opadały na twarz. Zabieliła się polana, na której spała. Zabieliły się drzewa. Zmusiła się, by wstać, sprawdziła, czy w palenisku nie zostały się skry, i zebrawszy z ziemi węzełek, ruszyła na zachód. Zwilżyła usta śniegiem, przemyła oczy. Pragnienia nie czuła, bo wody było pod dostatkiem w licznych strumieniach, ale od kilku dni żywiła się jedynie twardymi żołądziami, owocami tarniny i kłęczami uspionych roślin. Robiła się coraz słabsza, ból dręczył żołądek i rozsadzał głowę. Gdy opadała z sił, nachodziło ją złudzenie, że słyszy głos Giedrè: „Idź, trzeba iść”. Stawiała więc kolejne kroki, podpierając się na kij. Po zmroku znów rozpała ogień, przygotowała sobie barłóg z gałęzi i położyła się skulona z zimna. Mające w ciemności żółte ślepie wilka tylko dodawały jej otuchy. Przynajmniej nie była sama. A może to ukochany stał na warcie? Może przyszedł do niej w innej postaci? Choć każdej nocy spała krótko i czujnie, tym razem odpłynęła w głęboki i cudowny sen. Znów była z Wilkomirem w ich chacie. Zimno stało się odległym wspomnieniem, bo rozpierały ją gorąco, sytość i szczęście, które

wydzierała z ust i ramion męża. Wyraźnie czuła jego zapach, smak, miękkie włosy i szorstki zarost. Śmiała się przekonana, że podczaszy, zamek i Biruta to tylko koszmar, z którego się zbudziła. Kiedy jawa poczęła wdzierać się nieproszona w odzyskaną z trudem przeszłość, przepędzała ją i śniła dalej. Oto, czego chciała – trwać w cudownym oszołomieniu, nie walczyć, nie tęsknić, nie cierpieć. Jeśli tak wyglądała śmierć, to Vaiva przyjmowała konanie z wdzięcznością i ulgą. Naraz poczuła, że Wilkomir ją od siebie odpycha. Na powrót chciała do niego przylgnąć, ale on przecząco kręcił głową. Blednącą postać zastąpiła pomarszczona twarz Giedrè. „Obudź się i idź” – mówiła groźnie. „Musisz iść”.

Tym razem Vaiva nie zamierzała posłuchać. Po cóż się miała budzić? Do nowych boleści, do pamięci o tym, co na zawsze stracone? Skuliła się mocniej, atoli sen nie powrócił, a śmierć nie zdała się już tak piękną i słodką. Z trudem stanęła na nogi i zgięła się w pół, targana mdłościami. Odpoczęła chwilę i spojrzała przed siebie. Puszczą się przeredzała, w oddali widać było unoszący się wysoko dym.

Każdy krok sprawiał jej ból, ale wiedziała, że jeśli chce żyć, musi brnąć dalej. Wsparta na kijku doszła do twardego, ubitego gościńca i dopiero tam, pozbawiona resztek sił, zemdlała.

Jadwiga, stolnikowa, radowała się na powrót do domu. Po prawdzie miesiące, które spędziła w Wielkim Księstwie, miała wspominać jeszcze długo i ze wzruszeniem, ale rozłąka z domem i córką zaczęła jej doskwierać. Od dawna planowała złożyć wizytę swej serdecznej przyjaciółce, siostrze prawie, bo wychowywały się razem. Nigdy się nie rozstawały, a kiedy Barbara po ślubie z marszałkiem ziemskim opuszczała Koronę, przysięgę złożyły, że jeszcze się zobaczą. Przysięga czekała na wypełnienie lat piętnaście.

W tym czasie Jadwiga sama zdążyła wyjść za mąż, powić córkę, syna i owdowieć. Przeniosła się do brata, któremu powierzyła w opiekę cały majątek, i wiodła spokojne, choć nieco monotonne życie. Wreszcie zdecydowała się wyruszyć w podróż. Pościła wraz ze służbą dwa dni w intencji szczęśliwego powrotu, dała hojny datek na kościół i wraz z siedmioletnim Stasiulkiem wyruszyła do Barbary.

Ileż uciechy miały dawne przyjaciółki, gdy padły sobie w ramiona, ile sekretów i myśli do opowiedzenia! Kiedy przeminęła wiosna, mówiły:

– Nic to, wszakże jeszcze lato zostało.

Kiedy jednak ziemia zaczęła żegnać się ze skwarnym słońcem i one pożegnać się musiały. I tak jesienią kilkanaście karet ruszyło z powrotem do Korony. Wracali Jadwiga i Stasiulek, dwie papugi i trzy psy, wracała liczna służba, kufry załadowane pościelą, fajansem i strojami. Z początku pogoda dopisywała i kawalkada mknęła szybko, kiedy jednak wyjeżdżone szlaki zmieniły się w błotniste rzeki, trzeba było czekać wiele dni, a to po dworach, a to po klasztorach. Wreszcie mróz przyszedł z pomocą.

Jadwiga pogłaskała syna, który drzemał u niej na kolanach. Rozmyślała o śnie, który nawiedził ją nocy. Jechała w nim, jak teraz karetą, gdy naraz spojrzała przez okno i zobaczyła, że z lasu wychodzi postać w błękitnej szacie ze świetlistą aureolą nad głową. Nawiedzały ją nieraz podobne mary. A to Święty Antoni wskazywał, gdzie podziała różaniec, a to Święta Agata upominała, by karmiła dziecko piersią, bo mamka okrada je z mleka – ale Matka Boska dotąd jej nie zaszczyciła. Co też to może oznaczać? – dumiała.

Naraz stangret wstrzymał konie.

– No co tam? – zniecierpliwiła się Jadwiga, wysiadając z powozu, bo postój się przeciągał. Wtedy dostrzegła leżącą na ziemi postać.

– To młoda dziewczka – odezwał się jeden z ludzi. – Chyba jeszcze



dycha.

Jadwiga zbliżyła się i pierwsze, co dostrzegła to urodziwe oblicze nieznajomej. Przykucnęła i od razu zwróciła uwagę na grubą kiereję i bogatą, wyszywaną perłami spódnicę.

– To nie dziewczka, tylko panienka – rzekła sama do siebie.

Od razu pojęła sen, nad którym męczyła się od rana.

– Zabieramy ją – zdecydowała. – A jadło przynieście i futra.

## ROZDZIAŁ 33

### *ŁEMPICE, CZERWIEC 1853 ROKU*

W czeladnej coraz częściej mówiło się o zbliżającej się zabawie w wigilię Świętego Jana, na której zbierała się cała wieś i służba dworska. Pokojówki wspominały, jak przed rokiem wianek jednej z nich zaplątał się w szuwały. Miały nadzieję, że tym razem popłynie z prądem rzeki wprost w ręce odpowiedniego kawalera. Irmina, mimo że na początku z politowaniem i wyższością komentowała owe plebejskie rozrywki, szybko uległa gorączce przygotowań i niemal każdego dnia wspominała mimochodem o gorseciku w niezapominajki wyszywanym jedwabną nicią. Mówiła w taki sposób, jakby opisywała królewską szatę, nic więc dziwnego, że wszystkie służące po cichu zazdrościły jej tych jedwabnych niezapominajek, choć wierzyły, że to ich rumiane, młode buzie są najlepszym wabikiem na adoratorów.

Franek codziennie pocieszał Wiktorię, żeby się nie martwiła, bo to on zdobędzie jej wianek, nawet jeśli cały musiałby się skąpać w rzece. Dodawał przy tym z figlarnym uśmiechem, by przygotowała zawczasu nagrodę, bo jeden buziak mu nie wystarczy. Będzie musiała z nim poszukać kwiatu paproci i kto wie, co znajdą. Urszula dawała mu wtedy ścierą po plecach, wymyślając od hultajów.

– A ciotka to mnie nic nie poważy – skarżył się pośród salwy śmiechów. – Zobaczysz ciotka, pójdę, kiedy przed siebie i tyle mnie ciotka będzie widziała.

– A idź!

– A pójdę! I dopiero ciotka zapłacze, ale wtedy będzie już za późno – odgrażał się, by za chwilę znów żartować.

Rozalia także cieszyła się na zabawę, bo wreszcie wielki ciężar

spadł z jej serca. Gdy Wiktoria wręczyła jej sakiewkę z pieniędzmi, długo nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Ale jak to... Skąd...

– Od kuzyna, co jest w Petersburgu inżynierem.

– Ale to tyle, że... że... – zaczęła płakać, nie chciała przyjąć, aż wreszcie zawołała: – Anusiu! – I zawisła jej na szyi.

A była tak uszczęśliwiona, że nawet już nie dochodziła, co to za kuzyn i skąd u niego taki gest. Najważniejsze, że Józia będzie miała posag jak się patrzy i jeszcze starczy na lekarza dla Bolusia.

Wiktoria, choć nie znała wartości bransoletki, przypuszczała, że Ksawery sporo przepłacił. Ona również wyczekiwała nocy świętojańskiej. Słyszała, że na zabawie czasami pojawiali się jaśnie panowie z pałacu, by popatrzeć, jak ludzie świętują. A że był to czas szczególnie, gdy młodzi mogli przystawać ze sobą bez lęku o obmowę, gdy nastrój beztroski i radości dodawał odwagi nieśmiałym, postanowiła otworzyć przed Ksawerym swe serce, po cichu licząc na to, że on zrobi to pierwszy. Gdy wracali z Wilna, miała wrażenie, że widziała w jego oczach tę samą tęsknotę, która nie dawała jej spokoju, te same pragnienia i ten sam niepokój. I przy pożegnaniu znów dłużej, niż powinien, przytrzymał jej dłoń. Marzyła, by przygarnął ją do siebie i delikatnie dotknął wargami jej warg. Nie musiałby wtedy nic mówić, wszystko by zrozumiała.

Wciąż nie miała okazji porozmawiać dyskretnie z Jurgą, poradzić się jej, wypytać. Wszystko wskazywało na to, że już tego nie zrobi, bo prządka przed Świętym Janem ruszała w dalszą drogę. Traf chciał, że stało się inaczej. A wszystko zaczęło się od Irminy Kwaśnej Miny. Po śniadaniu garderobiana weszła do kuchni z filiżanką, ostentacyjnie trzymając ją przed sobą w dwóch palcach, jakby prezentowała zdechłą mysz. Jako panna służąca starszej pani otrzymała przywilej picia kawy.

– I co to było? – zwróciła się do Agaty. – Woda barwiona? Przecież to nie miało żadnego smaku, a jeśli już, to skwaśniały.

– Dałabyś już spokój. – Urszula machnęła ręką. – Przecie wypiąś.

– Wypiłam, bo wiem, że i tak na nic lepszego nie mogę liczyć.

Wiktoria zerknęła na Agatę, która tradycyjnie nie reagowała na zaczepki, ale po ściągniętych brwiach i zaciśniętych ustach widać było, ile sił kosztują ją codzienne zwady. Kucharka bywała trudna, lecz nie można jej było odmówić pracowitości i kulinarnego talentu.

– To moja wina! – zawołała Wiktoria, rzucając ścierkę na krzesło.

Wszyscy w kuchni posłali jej zdumione spojrzenie.

– Ta filiżanka... Bo wczoraj przyłapałam Szelmę, jak wylizywał z niej śmietankę. Odłożyłam ją na szafkę, by wyparzyć i umyć i... zapomniałam. I dlatego kawa...

Irmina zrobiła się czerwona jak ogień buchający w piecu. Napełniła policzki powietrzem, postawiła oczy w słupek, po czym z łoskotem odstawiła filiżankę na stół i wymaszerowała z kuchni obrażona.

Franek parsknął śmiechem, klepiąc się po kolanach.

– No toś jej przygadała!

– Żeby tylko rozpowiadać nie zaczęła, że podajemy w zastawie wylizanej przez kota – dodała Urszula z obawą, choć i ona nie potrafiła powstrzymać satysfakcji. – Ale minę miała przednią! I bardzo dobrze, może się wreszcie nauczyć, franca jedna.

Agata nie rzekła ani słowa. Nie pociągnęła tematu, nie zaszczyliła Wiktorii wdzięcznym spojrzeniem, ale po obiedzie zniknęła z kuchni, a potem wróciła z niewielką paczuszką.

– To dla ciebie – oznajmiła, gdy Wiktoria szła z lodowni. Wyjęła owinięty papierem piękny zielony gorset, z wyhaftowanymi różowymi malwami. – Będiesz miała na zabawę. Tylko mi nie zniszcz i oddaj potem.

Wiktoria długo nie mogła wyjść z osłupienia, patrząc za odchodzącą Agatą, która w ten sposób powiedziała „dziękuję”.

Wieczorem Urszula opowiedziała o wszystkim Jurdze. Prządka siedziała w kuchni, przy stole, jedząc kluski z ciepłym mlekiem.

– Jak oczami nie przewróci, mało nie pęknie! No a my w śmiech – referowała, skrobiąc dzieżę. – Spełniło się twoje marzenie, Agato, co? Irmina wreszcie dostała za swoje.

– A tam, jeśli już o czymś marzę, to o własnej cukierni w Wilnie.

– A ja to bym chciała zostać panną służącą – puściła wodze fantazji Rozalia. – I fryzury lubię układać. Wszystkie swoje kuzynki czesałam na wesela. Wszystkie. Bo wiedzą, że mam dobrą rękę. I szyć lubię, i na strojach się znam. Panna służąca... Ależ by się moi cieszyli.

– Pamiętam dumę ojca, gdy objęłam posadę w Łempicach – rozrzewniła się Urszula. – W najlepszym majątku! A przecie do dobrego tonu należało zatrudniać mężczyzn, a jeszcze lepiej cudzoziemców, tak jak w Hordziejewiczach. Ojciec tam robił za drugiego kucharza, przy Francuzie. Potem ja zaczęłam pomagać i jak pani Oktawia poszła za pana Dominika, to wkrótce wzięła mnie ze sobą. Jak ja się cieszyłam, matko święta.

– Czyli spełniło się to, czego pragnęliście? – skonstatowała Rozalia, płucząc ronderek po mleku.

– A nie – przyznała ze smutkiem kucharka. Obejrzała się, czy Franka czasem nie ma w kuchni, i dodała żałośnie: – Bo ja to zawsze marzyłam, żeby być niższa.

Urszula nie miała wątpliwości, że to przez wzrost straciła szansę na szczęście, na zamążpójście i macierzyństwo. Ilekroć patrzyła na Franka, myślała, że niewiele brakowało, a mógłby być jej synem. Jeszcze kiedy pomagała ojcu w Hordziejewiczach, zaczął bywać u nich w domu młynarz o gładkim licu i poprawnych manierach. Urszula, rozkochana i uskrzydłona tą pierwszą miłością, przed snem

obmyślała, czym będzie karmić przyszłego męża, nie przejmując się tym, że oblubieniec jest od niej o głowę niższy. Wierzyła, że młynarz wybierze ją, a nie młodszą siostrę Sławę, która co prawda wzrost miała akuratywny, ale także imponującą obfitość kształtów. Zdawało się, że gdyby oswobodzić jej ciało z tasiemek, sznurówek, bluzek i halek, rozlałoby się jak uwolnione z formy rzadkie ciasto, które nie zdążyło stężeć. Zalotnik długo się zastanawiał, którą pannę wybrać: tę wielką wzdłuż czy wszerz, aż w końcu zdecydował się na tę wielką wszerz, bo choć Urszula bardziej mu się podobała, nie chciał, by żona patrzyła na niego z góry.

– A wy, Jurgo, macie jakieś marzenie? – spytała Wiktoria, przekonana zresztą jak wszyscy, że zna odpowiedź.

I tu ich prządka zaskoczyła.

– No pewnie. Coby tak przed śmiercią przespać się jeszcze pod wykrochmaloną pościelą z falbaną – rzeka z uśmiechem, odsuwając od siebie talerz.

Jurga spędzała noce w izbie czeladnej, na ławie, przykryta kocem. Nigdy nie przebierała się w koszulę i słyszeć nie chciała o kąpieli, choć ochmistrzyni co roku proponowała, że pomoże jej przy ablucjach. Prądka za każdym razem powtarzała, że od wody to się ludzie ziębią i umierają, a ona zamieruje dociągnąć do setki.

Zwierzania zostały przerwane, bo zbliżała się pora kolacji i wszystko musiało być naszykowane na czas, ale Wiktoria, gdy tylko uporowała się ze zmywaniem, najpierw naradziła się z Rozalią, a potem poszła do ochmistrzyni. Pani Róża się uśmiechnęła, słysząc nietypową prośbę, ale wyjęła z bieliźniarki najładniejszą zmianę pościeli, jaką miała, perłowobiałą, z koronkowymi wstawkami i falbaną.

Kiedy zapadł zmierzch, Wiktoria udała się do czeladnej po Jurgę.

– Dziś będziecie spać w naszej izdebce – powiedziała, delikatnie

biorąc staruszkę pod ramię i prowadząc ją przez kuchnię.

Gdy Jurga doszła do łóżka i dotknęła sztywnej, a jednocześnie gładkiej powłoczki na poduszce, wyprostowała się, zwracając twarz w stronę Wiktorii i Rozalii.

– No nie może być! Taka, jak sobie wymarzyłam! – zawołała wzruszona, gniotąc w dłoni falbanę, jakby się upewniała, czy jest prawdziwa. – No, ale jak tak, to się muszę umyć. Przecie brudna nie wejść do łóżka.

Dziewczęta porozumiewały się na migi. Jedna przyniosła szaflik i ciepłą wodę w kociołku, druga zaś rozebrała prądkę. Ciało staruszki było wiotkie jak brzoza gałązka, skóra cienka, zaskakująco jasna i czysta, jedynie w niektórych miejscach widniały odparzenia. Wiktoria cierpliwie i delikatnie przemyła myjką starczące ramiona, wklęsły brzuch i piersi przypominające dwie wysuszone śliwki. Jurga się śmiała, gdy woda spływała po niej do szaflika.

– O Jezuniu Nazareński, jakby mnie drugi raz chrzcili!

Po kąpieli Rozalia uprzątnęła izbę, a Wiktoria wytarła prądkę do sucha, odparzenia posmarowała maścią, którą kiedyś dostała od ochmistrzyni, i założyła jej swą świeżą koszulę. Spytała jeszcze, czy Jurga czegoś nie potrzebuje, po czym udała się do czeladnej na ławę. Niedługo potem dołączyła do niej Rozalia.

– Widziałaś, jaka była zadowolona?

– Żałuję, że wcześniej nie wpadłyśmy na to, żeby zajęła naszą izdebkę – westchnęła Wiktoria.

– Eee, ochmistrzyni to już jej nieraz proponowała, by spała u niej, ale Jurga nie chciała. Szkoda, że już jutro odchodzi. Z nią jest zawsze jakoś... lżej.

Wiktoria długo nie mogła zmrużyć oka, jak zwykle błędząc myślami wokół Ksawerego, a gdy w końcu zasnęła, spała jak zabita aż do rana. Zbudziła się wraz ze świtem i od razu popędziła do Jurgi.

Staruszka leżała nieruchomo na plecach, z dłońmi splecionymi na piersiach i lekkim uśmiechem na twarzy.

Chryste! Zabiłam ją tym myciem! – przestraszyła się Wiktoria, nachylając się nad ustami prądki.

– Żyję, żyję. – Jurga usiadła na łóżku, odrzucając na plecy siwe włosy.

– Coś wam przynieść? Coś podać? – dopytywała dziewczyna.

– Nie, siądź se przy mnie. – Stara prądka poklepała siennik. Złapała Wiktorię za rękę i trzymała mocno. – Ładnieś się zachowała. Obie mnie tak uhonorowałyście, że do śmierci pamiętać będę. Nie mam ci co dać, więc chociaż to przyjmij. Ten, przed którym uciekłaś, nie będzie mógł cię ukrzywdzić. Rozumiesz? Nic ci nie robi.

Wiktoria już się niczemu nie dziwiła. Jurga najwyraźniej wiedziała wszystko o wszystkich.

– Dziękuję, ale naprawdę nie musicie... – zaczęła.

– A co ty taka. Nie cieszysz się?

– Cieszę, bardzo, tylko... tylko może...

– A, o to chodzi. – Jurga puściła jej rękę, śmiejąc się dobrotliwie. – Ja tu nic robić nie muszę, on od dawna za tobą oczy wypatruje.

– On? – spytała z obawą, choć serce już wypełniła potężna radość.

– Przecie wiesz. Pan z Zielnej.

– Naprawdę? Mówicie szczerze?

– To która z nas jest ślepa, ha? – Po chwili dodała ciszej: – Każdy powód jest dla niego dobry, coby tu przyjechać. Słusznie wybrałaś, tyle że z tym drugim byłoby ci łatwiej.

– Z drugim? Z Gorcem? – Wiktoria zmarszczyła brwi.

– Tak już być musi, że im większa szczęśliwość, tym większa boleść. Napłaczesz ty się jeszcze w życiu, napłaczesz, ale pamiętaj, że to teraz nieważne, musi się stać i ja nic na to nie poradzę, nie zapobiegnę. Potem będzie trudniej.



Wiktoria chciała jej przerwać, dopytać, ale Jurga mówiła dalej;

– Tak, dla obu życie byłoby łatwiejsze... Ona jeszcze nie wie, że źle wybrała, ale tylko tak pozna prawdę. I ty ją poznasz. Co dla niej, to dla ciebie, co dla ciebie, to dla niej. Na odwrót, będzie na odwrót.

– Nie rozumiem...

– Ja też nie rozumiem. W swoim czasie pewnie obie pojmiemy.

– Niech mi Jurga powie, czy...

– Już dosyć rzekłam. Dosyć.

Prządka zrobiła ruch rękami, opędzając się jak od muchy. Dała do zrozumienia, że chce, aby zostawić ją w spokoju. Wiktoria wycofała się za drzwi, przebrała w czeladnej i poszła do kuchni, gdzie Rozalia rozpalala w piecu.

Po śniadaniu Jurga ruszyła w dalszą drogę, obdarowana prezentami od pani Oktawii i pani Agnieszki. Wszystkim zrobiło się jakoś markotnie i tęskno, więc tym chętniej każdy rzucił się w codziennie obowiązki, by zapomnieć o smutku. I tylko Wiktoria uśmiechała się pod nosem. Cokolwiek się wydarzy, bez względu na to, ile będzie musiała w przyszłości wycierpieć, liczyło się tylko to, że pan z Zielnej wypatruje za nią oczy. Jej marzenie właśnie się spełniało.

## ROZDZIAŁ 34

Na dzień przed Świętym Janem Wiktoria zaraz po przebudzeniu pobiegła do lasu. Rozalia powiedziała jej, że według starych wierzeń dziewczyna, która opłucze włosy wywarem z pokrzyw zerwanych o świcie, będzie miała powodzenie w miłości. Przechodząc po mostku, zauważyła, że przy rzece sprawiono już paleniska oraz chrust na nocną zabawę i tanecznym krokiem obróciła się wokół własnej osi. Gdy zapełniła kosz pokrzywami, narwała jeszcze na łące przed lasem Vaivy ziół do wianka. Znalazła chabry, rutę, dziewannę i rumianek – rośliny miłości, które chciała ofiarować Ksaweremu.

Cały dzień upłynął w gorączkowym oczekiwaniu na wieczór. Kolację zaplanowano wcześniej, tak aby wszystkie służące z pałacu zdążyły się przygotować.

Kiedy Wiktoria uporowała się z obowiązkami, zaplotła jeden wianek na głowę i drugi do wróżb, wiążąc końce ziołowego warkocza granatową tasiemką do włosów. W środku umieściła deseczkę i świecę łojową wraz z nadzieją i modlitwą, by Ksawery przybył do Łempic. Nie było lepszej okazji niż to coroczne święto miłości, by mogli szczerze pomówić o swych uczuciach.

Potem przyniosła do izdebki balię i wiadro wody. Wyjęła spod łóżka przygotowany wywar z pokrzyw. Dawniej, biorąc kąpiel, nie rozbierała się do naga. Wchodziła do wanny w halce i dopiero na koniec, gdy służąca owijała ją ręcznikiem, ściągała mokrą bieliznę. Jeszcze u Tomaszowej trzymała się tego zwyczaju, przestrzegając wpajanych zasad, by chronić swą niewinność. Wszak gdyby, nie daj Boże, dowiedziała się, jak wygląda bez odzienia, pewnie padłaby na miejscu rażona sprawiedliwą ręką, wymierzającą kary rozwiązłym pannom. Dopiero w Łempicach zdała sobie sprawę, że mycie się w ubraniu jest śmieszne i że nie można bać się własnego ciała.

Weszła do balii i polewając się wodą, namydliła ramiona. Z pełną świadomością przesuwiała ręce po drobnych piersiach, lekko zaokrąglonych biodrach i mocnych udach, bez wstydu, za to z rosnącym pragnieniem, by jej dłonie zastąpiły inne – męskie, silne i kochane. Płuczac włosy wywarem, a potem wdziewając lnianą halkę, koszulę, spódnicę i gorset w malwy, nuciła cicho, jakby odprawiała czary.

Po kąpeli przyszła Rozalia, żeby pomóc jej upiąć warkocz.

– Są piękne! – oceniła włosy, odsączając wodę ręcznikiem. – Nie będziemy ich splatać, tylko rozczeszemy i zostawimy rozpuszczone.

Kiedy zapadł zmrok, służące z pałacu, śmiejąc się i trzymając za ręce, ruszyły nad rzekę, gdzie zebrały się już dziewczęta z wioski. Ciemność rozpraszały światła ognisk, a skry unosiły się aż do nieba. Starsze kobiety wrzucały w płomienie zrywane rankiem i suszone potem na słońcu zioła: bylicę, łopian i polne kwiaty. W ten sposób przepędzały złe duchy, strzegły łempice przed suszą, gradem i powodzią, chroniły ludzi przed Vaivą Miglè i innymi zmorami.

Wiktoria wciągała aromatyczny zapach dymu, spoglądając na gwiazdy, które rozbłyskiwały jedna po drugiej. Czuła się szczęśliwa, piękna i wszechmocna. Naraz porwał ją do tańca korowód dziewcząt. Odłożyła wianek i zaczęła wraz z innymi wirować wokół ogniska w rytmie miłosnych pieśni wygrywanych przez wiejskich, samorodnych muzyków.

*Wianeczku zielony, rutą przystrojony  
Nie dam cię nikomu i ukryję w domu.  
Moja ty dziewczyno, przesłodka malino  
Wianek ci zabiorę, na żonę wybiorę.*

Któraś panna rzuciła pomysł, by do ognia wykrzyczeć imiona ukochanych.

– Ksawery, Wery – powtarzała Wiktoria, przyzywając go do siebie.

Wciąż sprawdzała, czy nie idzie ścieżką, rozgorączkowana i stęskniona. Gdy kawalerowie zaczęli skakać przez płomień, dopingowani przez panny, usiadła pod jesionem, raz po raz wędrując wzrokiem w stronę pałacu. Czuła, że przyjdzie. Musi przyjść. Jurga zapewniła, że nie jest mu obojętna, a przecież ona się nie myliła.

Minuty jednak mijały, a on wciąż się nie zjawiał, mimo że zabawie przyglądał się już pan Michał i Bernard Hordziejewicz. Przyjdzie – pocieszała się – noc jest jeszcze długa. Rozalia, Agata i Irmina bawiły się w najlepsze, a ona wciąż czekała.

Kiedy nadszedł czas puszczenia wianków na wodzie, dziewczęta chichotały przejęte, posyłając śmiałe spojrzenia wymarzonemu chłopcom.

– Co tak tu sama siedzisz? – zawołał Franek, zgrzany po skokach.

Rzucił się obok niej na trawę, łypiąc szelmowskim spojrzeniem. Tej nocy niejedną zauroczył. Panny szeptały, rumieniąc się, że pan Franciszek taki przystojny. Wiktoria również popatrzyła na niego z uznaniem. Smukły, zwinny i roześmiany ucieleśniał witalność wiosny. Nie oponowała, gdy złapał ją za rękę i pociągnął nad rzekę, do grupki podekscytowanych dziewcząt. Zerknął na jej wianek.

– Aha, granatowa tasiemka. – Mrugnął okiem. – Łatwo poznać.

Zaśmiała się, ujęta jego dobrym humorem. Zapaliła świecę, umocowała i przykucnęła przy brzegu, czekając na znak. Wreszcie jeden z kawalerów gwizdnął i wtedy wszystkie panny rzuciły wianki na wodę. Mężczyźni pobiegli naprzód, przekrzykując się i poganiając.

Wiktoria patrzyła, jak wracają po kolei po udanych łowach, podchodzą do swych ukochanych i znikają w gęstwinie leśnej. Na niektórych twarzach widziała zachwyt, na innych rozczarowanie. Rozalia nie wyglądała na zadowoloną, gdy zobaczyła, że jej wianek

wyłowił łysawy stelmach, Irmina zaś, nie bacząc na to, że pewne zachowania nie przystoją takiej damie jak ona, padła w ramiona swego kamerdynera, który wreszcie zrozumiał, że u Agaty nie ma szans.

Kiedy Wiktoria spostrzegła, że Franek wraca w mokrych spodniach, ale z pustymi rękami, zawołała z przesadnym żalem:

– Ależ, Franusiu! A tak się zarzekałeś!

– Chciałem! – Chłopak uderzył się w piersi. – Jak mi Bóg miły, chciałem. Jaśnie pan mi nie dał.

Zasłoniła usta dłonią, tłumiąc okrzyk radości. „Jaśnie pan mi nie dał, jaśnie pan mi nie dał”. Jeszcze chwila, a zaczęłaby śpiewać. „Jaśnie pan mi nie dał”. Boże, przyjechał, jest tu! – myślała gorączkowo.

– Dobry wieczór. To chyba należy do pani.

Odwróciła się i wstrzymała oddech. Przed nią stał Dominik Łempicki. W rękach trzymał jej wianek.

## ROZDZIAŁ 35

Usiedli na trawie pod rozłożystym jaworem. Blask ognia rozpraszał mrok i otulał ich przytłumionym, pulsującym światłem. Słysząc było poszczekiwanie psów, cichnący w oddali dziewczęcy śmiech, przyśpiewki muzyków, ptasi krzyk. Istna kakofonia dźwięków, ale Wiktoria miała wrażenie, że znalazła się w głuchej studni, która tłumi wszelkie odgłosy. Głęboki zawód sprawił, że z trudem hamowała łzy. W pierwszej chwili w ogóle nie słyszała, co Dominik do niej mówi, aż wreszcie odetchnęła głęboko, poskramiając rozkołysane uczucia.

– Czy będzie wielkim nietaktem, jeśli spytam, czy służba bardzo na nas narzeka? – spytał żartobliwie.

Miał na sobie, podobnie jak włościanie, prostą, białą koszulę i jasne spodnie, przemoczone do suchej nitki. Nie przejmował się tym, bo noc była bardzo ciepła.

– Ależ nie. Bardzo szanują całą rodzinę, a pana to już wszyscy kochają. – Rozluźniła się, zdobywając na uśmiech.

– Nie wszyscy – stwierdził sucho.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. – Znów się rozpogodził, obracając wianek w dłoniach. – Dobrze się stało. Jurga to przewidziała, więc nie byłem zbyt zaskoczony. Panno Wiktorio, proszę powiedzieć: naprawdę chce pani wyjechać do Paryża?

– Nie chcę – odpowiedziała szczerze. – Już nie chcę.

– Wielokrotnie pragnąłem z panią porozmawiać po tamtej nocy, gdy zabrałem panią do lasu Vaivy, ale wciąż nie było okazji. Kiedy zachodziłem do kuchni, pani już spała w służbówce. Raz nawet poprosiłem Różę, żeby panią do mnie przysłała pod byle pretekstem. Tak, wiem, nie był to zbyt fortunny pomysł. W każdym razie

popatrzyła na mnie jak na zbója i zrezygnowałem.

– Czy ona wie, że ja...

– Nie. Taka już jest, że o nic nie pyta. Może myśli, że stryj włączył panią do spisku? Trudno powiedzieć.

– Często uczestniczy pan w wiejskich zabawach? – spytała, patrząc na niego z ukosa.

– Nie – zaprotestował z uśmiechem. – Przyszedłem tu dla pani.

Natychmiast spuściła wzrok, ale on wciąż na nią patrzył. Wyglądała prześlicznie w ludowym stroju, z wiankiem na głowie, z wijącymi się włosami, których nie ujarzmiła żadna wstążka, szpilka czy spinka. Przypominała mu rusałkę albo bohaterkę sielanek i z każdą chwilą był coraz bardziej pewny swojej decyzji.

– Panno Wiktorio – zaczął powoli, biorąc ją za rękę – mam dla pani pewną propozycję. Nie chce pani wyjeżdżać i szczerze mówiąc, ja też tego nie chcę. W Łempicach byłaby pani bezpieczna... jako moja żona.

Ksawery Łempicki obserwował ich z pewnej odległości pod starym dębem. Widział ją wyraźnie, mimo że całą postać spowijał półmrok. Od początku tak było. Wystarczyło, że zamknął oczy, a już się pojawiała. Gdy spostrzegł na jej dłoni palce Dominika, gwałtownie się odwrócił i ruszył w stronę pałacu, odprowadzany fałszującym śpiewem grajków. Kopał po drodze kamień, udając przed sobą, że nie dotyczy go słowa piosnki:

*Zostawże łązy i rumieniec  
Dla nieszczęsnego kochanka,  
Gdy szczęśliwy bierze wieniec  
Z róż, liliji i tymianka<sup>[46]</sup>.*

\* \* \*

- Co pan mówi? – Wiktoria z trudem wydobywała z siebie słowa.
- Wiem, że krótko się znamy, nie proponowałbym jednak małżeństwa, gdybym nie był pewien, że możemy obdarzyć się głębokim uczuciem – odparł, patrząc jej prosto w oczy.
- Ale... to przecież niemożliwe – zaprotestowała, oswobadzając rękę. – W mojej sytuacji. Przecież jestem uciekinierką, bez posagu. Byłby skandal.
- Są ważniejsze rzeczy od posagu, coś o tym wiem. Możemy wziąć skromny ślub, by nie zwracać na siebie uwagi.
- Nie mogę. Jestem niepełnoletnia, musiałabym mieć zgodę ojczyzna – broniła się, skubiąc tasiemkę przy gorsecie.
- Brat babci Oktawii jest proboszczem, wystara się o dyspensę i udzieli nam ślubu.
- To niemożliwe – powtórzyła stanowczo.
- Obok niej siedział najwspanialszy mężczyzna, jakiego znała, szlachetny, odważny i tak piękny, że mogłaby patrzeć na niego bez końca. Proponował jej małżeństwo, opiekę, łempice, a ona nie czuła nic poza palącym smutkiem i rozczarowaniem. Tak oto dawne marzenie spełniło się nie w porę.
- Pański ojciec nigdy się na to nie zgodzi.
- Dlaczego miałby się nie zgodzić? Nie zamierzam żenić się z folwarkami, srebrami i posagiem. Już raz próbowałem i proszę, jak się skończyło.
- Nie kochał pan narzeczonej?
- Przecież pani wie, jak to jest w naszej sferze. Jedynek miał ożenić się z posażną jedynaczką, podnosząc tym samym prestiż rodziny. Przyznaję, że potem... sam chciałem tego ślubu, ale zapewniam, że nie prosiłbym o pani rękę, kochając nadal inną.
- Dominiku, pańska propozycja jest dla mnie zaszczytem. Jestem wdzięczna, że chce mi pan pomóc, ale to naprawdę niemożliwe.



– Nie kieruje mną litość, Wiktorio. Jestem pewien, że możemy dać sobie szczęście. Ojciec nie będzie się sprzeciwiał. Rozmawiałem zresztą ze stryjem i obiecał, że się za nami wstawi.

Ściągnęła brwi, czując, jak drży jej broda.

– Rozmawiał pan... ze stryjem Ksawerym? Wiedział, że zamierza mi się pan oświadczyć?

– Proszę wybaczyć. To oczywiste, że z panią powinienem był najpierw porozmawiać, ale potrzebowałem rady.

Wiedział! – tłućko się jej po głowie. I nie zaprotestował.

– Dominiku, jest niewielu ludzi, których darzę tak wielkim szacunkiem i podziwem jak pana, ale nie zostanę pańską żoną. To niemożliwe.

Dominik już otwierał usta, by wysunąć kolejny argument, gdy nagle zrozumiał. Popatrzył na wianek, który trzymał w dłoni.

– On nie był przeznaczony dla mnie, czy tak? Jest ktoś inny. Spóźniłem się.

Spuściła wzrok.

Milczeli przez chwilę. Dominik uśmiechnął się z goryczą. Nie miał ostatnio szczęścia. I znów dostał arbuza. Zawahał się, po czym zwrócił jej wianek.

– Chodzi o stryja Ksawerego, prawda? – I nie czekając na odpowiedź, pokiwał głową. – No tak. Mogłem się domyślić. Teraz rozumiem.

Wiktorio zerwała się na równe nogi.

– Proszę mi wybaczyć, ale chciałabym już wrócić do pałacu.

– Odprowadzę panią – zaproponował, podnosząc się.

– Nie trzeba. Chciałabym zostać sama. Jeszcze raz dziękuję za pańską dobroć. Nigdy tego nie zapomnę. – Po chwili dodała: – Przepraszam.

– Panno Wiktorio – rzekł stanowczo – powinna pani porozmawiać

ze stryjem, wyjaśnić mu. Z jakiegoś powodu uważa, że jest mi pani przychylna.

Porozmawiać? Wyjaśnić? Czyż nie dlatego tak bardzo czekała na tę noc? Westchnęła cicho, pożegnała się i ruszyła ścieżką do pałacu. Zbliżając się do wejścia dla służby, cisnęła na ziemię wianki, które jeszcze niedawno splatała z taką radością. Zeszła po schodach do izby czeladnej, którą spowijały zupełne ciemności, i skierowała kroki do kuchni, oświetlonej blaskiem świec.

Stanęła w progu jak wryta.

– Ksawery! – zawołała z radością i wzruszeniem. – Przyjechał pan jednak.

Wstał z krzesła i ukłonił się lekko, wbijając w nią wzrok.

– I jak się sprawy mają? Mam iść do brata pogratulować mu synowej? Na pewno będzie zachwycony.

Zaskoczyła ją pretensja i jawna drwina w jego głosie. Wtedy spostrzegła na stole opróżnioną do połowy karafkę i kielich z grubego szkła. Przeniosła wzrok z powrotem na twarz Ksawerego, która w świetle świec wydawała się nienaturalnie blada. Patrzył na nią spod zmarszczonych brwi i przymrużonych oczu. Euforia, która jeszcze przed chwilą wypełniła jej serce, nagle przygasła.

– Już późno, a pan jest... zmęczony. Może porozmawiamy jutro?

– Nie chce się pani dziś podzielić radosną nowiną? To jak? Oświadczył się czy nie?

– Dominik?

– A któżby inny?

– Oświadczył się.

– Proszę, niech się pani przyłączy. – Jednym ruchem odsunął krzesło obok siebie i poklepał oparcie. – W innych okolicznościach by nie wypadało, ale dziś konwenanse nie obowiązują. Wypijemy za to wielkie szczęście, choć nie daję głowy, że wszyscy będą szczęśliwi.

– Dlaczego pan tak do mnie mówi? – Zbliżyła się do stołu, zaskoczona jego napastliwym tonem. – Czy ma pan mi coś do zarzucenia? W żaden sposób nie zachęcałam pańskiego bratanka. Gdyby nie powiedział mu pan, kim jestem...

– A nie tego pani chciała? Jest wolny i pragnie się z panią żenić. Marzenie się spełniło. Proszę nie robić takiej miny, przecież wam pomogę. Przekonam brata, żeby nie ubolewał zbyt długo nad nierozważnym wyborem jedyne go syna.

Wiktoria w pierwszej chwili zaniemówiła, czując uderzenie gorąca na twarzy.

– Zbytek łaski – zachnęła się, hamując złość. – Nie przyjąłam oświadczeń.

Zrobił krok naprzód, o mało nie potykając się o krzesło, które przed chwilą odsunął dla niej.

– Jak to? Z jakiego powodu?

– Chociażby z takiego, jaki pan właśnie dał mi do zrozumienia. Nie byłabym życzliwie przyjęta w pańskiej rodzinie. Rozumiem. A poza tym... to nie o Dominiku marzę. Dobranoc.

Wzięła ze stołu jedną z płonących świec osadzonych w świeczniku i poszła do izdebki, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Chciało jej się płakać, tak bardzo czuła się zawiedziona i nieszczęśliwa. Nierozważny wybór! Tak o niej myśli? Nierozważny wybór? Tyle planów, tyle przygotowań! I gorsecik w malwy, i włosy płukane w pokrzywie, i wianek pleciony z chabrow, ruty i nadziei, długo układane w głowie wyznania przeznaczone tylko dla jego uszu. To wszystko, by obiecał jej pomóc w poślubieniu innego mężczyzny!

Z głośnym westchnieniem rozsznurowała tasiemki gorsetu i wiązanie bluzki, którą zdjęła przez głowę. Chciała nalać do miednicy wody, żeby opłukać twarz, ale jak na złość okazało się, że nie było

dzbanka. Pamiętała, że kiedy wychodziła, stał na miejscu, więc pewnie Rozalia musiała go zostawić w kuchni, a tam przecież nie mogła teraz wrócić.

I gdzie są te twoje przepowiednie, Jurgo? – pomyślała, ściągając spódnicę. Złudzenia, wszystko to złudzenia.

Nagle usłyszała skrzypienie drzwi. Spojrzała przed siebie i zobaczyła, jak Ksawery wchodzi do środka. Jego postać zdawała się wypełniać całą izdebkę. Nic nie mówił, choć ledwo dostrzegalnie poruszał wargami, jakby próbował coś powiedzieć. Patrzył na nią urzeczony, a ona nie wykonała żadnego gestu, by się zakryć, choć miała na sobie jedynie sięgającą kolan lnianą halkę. Inne, dużo silniejsze uczucia przysłoniły wstyd, wygrały z nieśmiałością. Widziała, że on błądzi wzrokiem po jej ciele, i zalała ją fala rozkosznego ciepła. Uśmiechnęła się zupełnie bezwiednie i zrobiła krok w jego stronę.

Wtedy Ksawery w ułamku sekundy pokonał dzielącą ich odległość, unieruchomił jej twarz w dłoniach i przylgnął głodnymi ustami do ust.

Najpierw poczuła dotyk szorstkiego zarostu, potem napór ciepłych warg, aż wreszcie smak koniaku na języku. Zabrakło delikatności, o której niegdyś marzyła – jej miejsce zajęła paląca gorączka, niecierpliwość i namiętność, którą przyjęła z zachwytem. Mężczyzna oplótł ją ciasno ramionami, a ona zarzuciła mu ręce na szyję i instynktownie, bez wahania odpowiadała na pocałunki. Nie była w stanie wymówić ani jednego słowa, on także nic nie tłumaczył, ale każdy gest, dotyk i oddech był miłosnym wyznaniem.

Gdy przewrócił ją na łóżko i przygniótł ciałem, błysnęła myśl, że może powinna to przerwać, lecz nie potrafiła i nie chciała, ufnie podążając za tajemnicą, która czekała na odkrycie. Łapczywie chwyciła powietrze, kiedy jego wargi przesuwają się po szyi do

ramion, kiedy muskał końcem języka wrażliwą skórę. Nie protestowała, choć pieszczoty stawały się coraz śmielsze, obnażając długo tłumioną tęsknotę. Rzucała głową to w jedną, to w drugą stronę, powtarzając cicho:

– Ksawery, Wery...

Wplotła palce w jego miękkie włosy, przygarniając go do siebie tak mocno, jak to możliwe. Nie pojmowała, co się z nią dzieje. Dlaczego dłoń, wędrującą od kolana w górę, przejmuje ją rozkoszą i lękiem jednocześnie, dlaczego pocałunki, zamiast ukoić żar, pozostawiają niedosyt, dlaczego drży, choć zalewa ją fala trudnego do wytrzymania gorąca? Na wpół oszalała z pożądania nie usłyszała skrzypnięcia drzwi, za to po chwili do jej świadomości przedarł się ostry dźwięk tłuczonego szkła. Odwróciła głowę ku wejściu. Stała tam Rozalia i patrzyła na nich z przerażeniem w szeroko otwartych oczach.

– Nie! – krzyknęła zduszonym głosem i poczęła odpychać od siebie zamroczonego miłosnym szalem mężczyznę.

On w pierwszej chwili zdawał się nie rozumieć, o co chodzi, jakby ktoś nagle obudził go z głębokiego snu, ale wtem podążył za wzrokiem Wiktorii i natychmiast poderwał się z łóżka.

– Wybacz – szepnął i wybiegł z pokoju, niemal potrącając Rozalię, która schyliła się, by pozbierać to, co zostało z dzbanka.

– Skrzywdził cię? – spytała poważnie, gdy zostały same.

– Nie.

– Jezu, nigdy bym się nie spodziewała, że pan z Zielnej jest taki. Gdybym nie przybyła w porę...

Wiktorii nie wiedziało, czy powinna jej podziękować, czy złoić skórę. Niezgrabnie podniosła się z łóżka, poprawiając halkę.

– Wszystko dobrze, nie martw się – zapewniła Rozalię, wciąż trwając w osobliwym oszołomieniu.

Nie było mowy o spaniu. To leżała w łóżku, to znów się podnosiła i szła do kuchni, gdzie siedziała po ciemku, analizując wypadki świętojańskiej nocy. Uśmiechała się uszczęśliwiona, a po chwili chowała twarz w dłoniach. Błoga radość mieszała się z niepewnością i obawą. Kochał ją, to oczywiste. A jeśli nie? Jeśli to wina alkoholu i rano Ksawery o wszystkim zapomni? Albo jeśli jako człowiek honoru wbrew sobie zdecyduje się jej oświadczyć? I co on musi teraz o niej myśleć? Była taka bezwstydną! Gdyby nie Rozalia, pozwoliłaby na wszystko. Wystarczyła jedna chwila, by zatriumfowały instynkty, na co dzień ściskane gorsetem konwenansów, zasad i ostrzeżeń. Nie żałowała jednak ani jednego pocałunku, dotyku, ani jednej chwili.

Z niecierpliwością wyczekiwała świtu, a rankiem, kiedy wyszła na dwór po wodę, zauważyła, że stajenny prowadzi ogiera przed front pałacu. O tej porze? Zdziwiła się, podążając wzrokiem za chłopakiem. Wychyliła się nieco i spostrzegła przed gankiem dziedzica Tułasiewicza, który niejednokrotnie przyjeżdżał do Łempic na wieczerzę. Mężczyzna siedział na koniu i najwyraźniej czekał na drugiego jeźdźca. Piąta godzina nie była odpowiednia na składanie wizyt. Czyżby coś się stało?

Szybko się dowiedziała, na kogo czekał Tułasiewicz, bo gdy tylko weszła do kuchni, ochmistrzyni rzekła:

– Jaśnie pan Ksawery wyjeżdża. Prosił, żebym cię do niego przysłała.

Pani Róża nawet nie mrugnęła okiem, nie robiła min, nie zadawała pytań, tylko zwyczajnie przekazała polecenie.

Wiktoria niemal w podskokach pobiegła na górę, po drodze przygładzając włosy. Zapukała i weszła do środka.

– Dzień dobry. – Wszystko w niej garnęło się do niego.

– Dzień dobry.

Podszedł bliżej. Podkrążone oczy zdradzały, że on także nie spał tej nocy.

– Bałem się, że nie zechce mnie pani widzieć. Tyle chciałbym powiedzieć, a teraz nie ma na to czasu, czekają na mnie, ale... Wiktorio, nie śmiem nawet prosić o wybaczenie, proszę mi jednak uwierzyć, że nigdy umyślnie bym pani nie skrzywdził.

– Wiem.

– To, co mówiłem, a potem zrobiłem... Zachowałem się haniebnie. Tak mi wstyd – mówił, unikając jej spojrzenia. – Wypiłem za dużo, ale to dlatego... Kiedy wrócę, porozmawiamy, dobrze? O to jedno proszę: żeby dała mi pani szansę wytłumaczyć. Przecież pani wie, że ja... Obiecuje pani, że nie ucieknie ode mnie? – Uśmiechnął się bezradnie.

– Nie ucieknę – zapewniła gorąco.

Ujął jej rękę i pocałował delikatnie, jakby na próbę, a gdy zrozumiał, że dziewczyna nie wzdryga się przed jego dotykiem, wtulił mocno wargi we wnętrze dłoni z tą samą namiętnością, którą poczęstował ją w nocy.

Wiktorię przeniknął dreszcz. To było tak rozkoszne, tak cudowne! Skóra zrobiła się boleśnie wrażliwa, ciało ogarnęła słodka niemoc. Na krótką chwilę przyłożył jej rękę do swego policzka, po czym odsunął się i ruszył szybko do drzwi.

Już miał wychodzić, gdy jeszcze się zatrzymał i zwrócił ku niej twarz. Uśmiechnął się, jak to miał w zwyczaju, nieco powściągliwie, jedynie kącikami ust, ale w jego oczach dostrzegła wielką radość i odpowiedź na wszystkie pytania, którymi dręczyła się w nocy.

– Do zobaczenia, Wiktorio, Vaivo – powiedział i zniknął za drzwiami.

Cały dzień miała wrażenie, że unosi się nad ziemią, było jej lekko i rozkosznie, podśpiewywała, aż kucharka zaczęła podejrzliwie na nią

patrzeć.

– Pijana czy co? – powiedziała na głos.

O tak, ale to nie krople koniaku, które spiła z ust Ksawerego, wprawiły Wiktorię w stan całkowitego upojenia.

Franek chodził niepokieszony, bo i on miał swoje oczekiwania wobec minionej nocy. Zamiast mężczyzną, wciąż był jeszcze chłopcem. Kiedy Anusię sprzątnął mu sam panicz, zaczął spoufalać się z jedną dziewczyną z wioski. Nęcił ją na wszystkie sposoby, ale głupie ciele nie pojęło jego intencji. A gdy wreszcie przystąpił do konkretów, okazało się, że „ciele” ma swój rozum. Dziewczyna postawiła sprawę jasno, najpierw konkury, potem ślub, a na koniec pokładziny. Tak się skończyły Frankowe zaloty.

Tymczasem Wiktoria wciąż coś nuciła, tanecznym krokiem chodząc po kuchni. Domyślała się, że Ksawery pewnie przyjedzie na wieczerzę, i tęsknie spoglądała na zegar, przykładając chłodne dłonie do rozpalonych policzków.

Nagle późnym popołudniem zrobił się ruch w czeladnej, rozległy się podniesione głosy, a chwilę później wbiegła do kuchni jedna z pokojówek.

– Słyszaliście już? Pan z Zielnej aresztowany! – zawołała.



## ROZDZIAŁ 36

Pani Róża odkładała różaniec na klęcznik, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

– Wejdź, proszę – rzekła, widząc w progu Wiktorię.

Wskazała na krzesło, a sama przysiadła na łóżku. Dziewczyna miała bladą twarz i opuchnięte powieki. Nie musiała jej pytać, z czym przysłała, bo doskonale wiedziała. Dziwne było to wszystko od samego początku. Nie zastanawiała się nad tym, bo w pełni ufała Dorocie Łankiewiczowej. Potem jednak, kiedy pan Ksawery zażyczył sobie, by nową służącą do niego przysłać, raz, drugi, kolejny, by w miarę możliwości odciążać ją i zwalniać z obowiązków, przyszło zastanowienie. Mogli być kochankami, tak, ale przecież wzywałby ją do swej łempickiej sypialni, a nie do cmentarnej kaplicy. Ukradkiem zaczęła przyglądać się dziewczynie i szybko zauważyła to, co wcześniej jej umknęło. Nie jadła, nie mówiła i nie zachowywała się jak służąca. Kim zatem była? Nie zamierzała pytać. Hołdowała zasadzie, by nie wścibiać nosa w nie swoje sprawy, i pewnie dlatego tak bardzo była ceniona we dworze. Jedno wiedziała na pewno: dziewczyna się ukrywa, a pan Ksawery wreszcie się zakochał. I najwyraźniej z wzajemnością – pomyślała na widok rozpaczy w oczach podkuchennej.

– Proszę mi wybaczyć, wiem, że jest późno, ale może wiadomo coś więcej?

– Niestety nie – odparła Róża. – Wiesz, że aresztowano dziedzica Tułasiewicza, jego brata i młodego Hurczyna. Oby na tym się skończyło.

– I co będzie? – Wiktoria zaciskała nerwowo palce.

– A któż to może wiedzieć.

– Panicz Dominik nie wróci?

– Nie. Pewnie zostanie w Wilnie z ojcem i starszą panią aż do procesu.

– Jak to się stało? Skąd Nasiliew wiedział o... koszarach, o kradzieży broni?

– Zdradził zaufany kamerdyner Tułasiewicza. Aresztowano go w noc świętojańską. Ktoś na niego doniósł. Szybko się załamał.

Wiktoria przypomniawszy sobie niespodziewaną poranną wizytę dziedzica z pobliskiego majątku. To dlatego Ksawery tak nagle opuścił Zielną. Najwyraźniej kamerdyner nie miał pojęcia, gdzie składana jest broń, bo szef tajnej policji nie najechał Łempic, by wyrąbać las Vaivy.

– Nasiliew ma tylko słowa jednego człowieka i żadnych dowodów, prawda? – Chwytała się nadziei. – Musi więc ich wypuścić.

– Aniu, zarzuty są poważne. Kradzież broni to jedno, a jeszcze planowanie zamachu na gubernatora...

– To oszczerstwa.

– Z pewnością, ale nie wiesz, że wystarczy podejrzenie, aby człowieka pognąć na Sybir? – Widząc, że dziewczyna jeszcze bardziej zbladła, dodała pośpiesznie: – Nie martw się, jaśnie państwo mają wpływowych przyjaciół, także wśród wysoko postawionych Rosjan. Na pewno wszystko dobrze się skończy.

Wiktoria pokiwała głową i zmuszając się do uśmiechu, wróciła do swojej izby. W nocy znów nie spała, bo paniczny strach ścisnął ją za gardło, a rozpacz rozsadzała pierś. Klęczała przez długie godziny, modląc się o ratunek dla Ksawerego. Nie miała wątpliwości, że w więzieniu poddawany jest brutalnemu przesłuchaniu, aby wskazywał kolejnych członków spisku. Gorąco wierzyła, że żaden z nich nie zdradzi, ale wciąż pamiętała poranione plecy Adama Daukszy. Kto wie, że co wyprawiali z kamerdynerem Tułasiewicza,

skoro zaczął zeznawać już po kilku godzinach od aresztowania. W ciągu dnia chodziła jak otumaniona, co chwila ocierając oczy. Zdawało się, że tętniący życiem pałac nagle zamarł w bezruchu. Część służby towarzyszyła Łempickim w Wilnie, więc zwykle gwarna izba czeladna świeciła pustkami. Nie było Agaty, Franka i Irminy. Zrobiło się cicho i mrocznie, jakby już było po pogrzebie.

Wiktoria próbowała przypomnieć sobie słowa Jurgi. Wszak przewidziała, co się stanie. Mówiła o nadchodzącej burzy, a potem? Co jeszcze mówiła? Że to teraz nieważne, musi się stać? Co musi się stać?

Któregoś poranka zawołała ją do siebie pani Róża. W sypialni ochmistrzyni czekał na nią Dominik. Uścisnął jej dłonie, posyłając dość blady uśmiech.

– Co z nim? – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Pojutrze rozpocznie się proces. Nie poddajemy się. Wuj Bernard jest w drodze do Petersburga. Stukamy we wszystkie możliwe drzwi – westchnął ciężko.

– Jak on się czuje? Widział go pan?

– Nie. Tylko ojciec. Babci odmówiono widzenia. Wiktorio, stryj powiedział ojcu o pani. Pomoże i...

– To teraz nieważne – zdenerwowała się. – Biją go?

Odwrócił wzrok.

– Biją?

– Przecież pani wie. On nikogo nie wyda. Pozostali także nie.

Przysiadła na łóżku, osłaniając twarz dłońmi.

– Boże... Co robić?!

Dominik zajął miejsce obok, biorąc ją za rękę.

– Uratujemy go. Gubernator Bibikow<sup>[47]</sup> ma słabość do pieniędzy. Będzie dobrze.

Kolejne dwa dni były dla niej męczarnią. Przestała jeść,

usprawiedliwiając się przed Urszulą bólem żołądka. To samo mówiła, gdy Rozalia przyłapała ją w nocy na płaczu. Wiedziała, że jeśli Ksawerego gdzieś ześlą, pójdzie za nim. Pójdzie za nim wszędzie.

Kiedy ochmistrzyni wywołała ją z kuchni i kazała udać się do salonu na pierwszym piętrze, rzuciła wszystko i pognąła, jakby się paliło. Ksawery, Wery! – powtarzała, nim dopadła do drzwi.

– Wiktorio – zaczął Dominik powoli, nie patrząc jej w oczy. – Ojciec stara się o przepustkę, żeby mogła się pani zobaczyć ze stryjem...

Wstrzymała oddech.

– I pożegnać się z nim – dodał cicho.

Uśmiechnęła się nerwowo, odwracając głowę i myśli od tego, co oczywiste.

– Zsyłają go, prawda?

Dominik spuścił wzrok.

– Nie.

W tym momencie nogi odmówiły jej posłuszeństwa i upadła na kolana, opierając się na rękach. Dominik przykucnął przy niej.

– Wiktorio...

– To niemożliwe – wyszeptała. Nie mogła płakać ani oddychać. – Kara śmierci? Przecież mówił pan...

– Robiliśmy wszystko i nie przestaniemy do samego końca. – Nie powiedział, że ugrali tylko tyle, iż Ksawerego, zamiast powiesić, rozstrzelają i wydadzą rodzinie ciało. – Nie przypuszczaliśmy, że to będzie aż tak trudne. Najwyraźniej Bibikow potrzebuje sukcesu równie mocno jak Nasiliew. W ogóle nas nie chciał przyjąć. A potem... babcia rzuciła mu się do nóg, błagała na wszystko. Znajomy generał powiedział nam, że byłaby szansa, gdyby stryj się przyznał i wydał innych. Wiktorio... – Chwytał ją za ramiona i podniósł z podłogi. – Słyszysz mnie pani?

– To niemożliwe – powtórzyła drżącym, nieswoim głosem. – Musi być jakiś sposób, by go odbić, wykupić.

– Jest jeszcze nadzieja w wuju Bernardzie i matce Hurczyna. Gdyby udało im się dotrzeć do kogoś, wyjednać łaskę u cara... Wyrok ma zostać wykonany za miesiąc. Nie poddamy się do końca.

– Do końca...

Podeszła do otwartego okna, wspierając dłonie na parapecie, ale wciąż nie mogła złapać tchu.

– Błagaliśmy wielu, ale wszyscy są bezradni. – Dominik stanął obok. W jego głosie pobrzmiwała bezdenne rozpacz. – Gdybyśmy znali kogoś, kto mógłby pomóc, choćby samego diabła...

W tym momencie Wiktoria uniosła głowę. Na zewnątrz rozciągał się piękny widok na główny dziedziniec. Jej wzrok spoczął na widocznej za bramą figurze Marii Panny, którą kazała postawić Cecylia Łempicka.

– Ja znam – rzekła pewnie.

Ksawery siedział na sienniku z kolanami podciągniętymi pod brodę. Głowę opierał na rękach. Choć w więziennej celi dawnego klasztoru dominikanów było chłodno i wilgotno, jemu dokuczało gorąco. Odczuwał ulgę, gdy dotykał poranionymi plecami zimnej ściany. Dzięki wstawiennictwu księcia Własowa na dwa dni przed ogłoszeniem wyroku ustały tortury, a po procesie wreszcie dano mu spokój. Nie wzywano go już na nocne przesłuchania, podczas których wicegubernator wileński to go kusił obietnicą szybkiego uwolnienia, jeśli przyzna, że Tułasiewiczowie i Hurczynowie brali udział w spisku na życie gubernatora, to znów straszył, że ześle na Sybir całą jego rodzinę, z matką na czele.

– Myślisz pan, że umrzesz jako bohater?! – wrzeszczał oficer śledczy, kopiąc go w żebra albo bijąc po twarzy tak mocno, że cudem

tylko nie wybił mu zębów. – Że ktoś ujmie się za wami? Za buntownikami, złodziejem i skrytobójcą nikt się nie ujmie! Nikt! Nazwiska!

Zamykano go potem w ciemnym karczerze bez ubrania, gdzie przez wiele godzin siedział na gołej ziemi.

Kiedy usłyszał wyrok, ulżyło mu, że już dłużej nie będą go męczyć. Za każdym razem się bał, że nie wytrzyma, że wszystko powie, niszcząc w ten sposób własnego brata, Dominika i wielu innych. Gdy zbliżał się do granicy wytrzymałości, krzyczał głośno ku uciesze śledczych, którzy rechocząc, szydzili z jego odwagi, honoru i męskości. Było mu to obojętne. Wył aż do zdarcia gardła, ale nikogo nie wydał.

Cieszył się, że nie zezwolono matce na odwiedzinę. Nie zniósłby jej cierpienia. Z bratem widział się dwukrotnie. Już za pierwszym razem opowiedział mu o Wiktorii. Michał obiecał, że zajmie się nią jak rodzoną córką, co było skazanemu niemałą pociechą. Wdzięczny był losowi, że postawił tę dziewczynę na jego drodze. Wciąż powracał myślami do tych wszystkich chwil, które spędzili razem, i wtedy zapominał o bólu i czekającym go wyroku. Pamiętał wyraz jej twarzy, gdy leżała w łóżku, chroniąc Adama Daukszę, taka przestraszona, a jednak bardzo dzielna i opanowana. Pomimo wyjątkowo niesprzyjających okoliczności nie mógł nie zauważyć, że nowa służąca jest pociągająca i słodka. Szybko ją rozszyfrował. A potem... Potem przepadł. Cierpiał, kiedy wspominała Dominka, czasami nie potrafił zapanować nad zazdrością i gdy wracał do domu, żałował swego oschłego tonu czy rozdrażnienia. Taka dziewczyna zasługiwała wyłącznie na samo dobro. Nie śmiał wyznać swych uczuć, by nie postawić jej w niezręcznej sytuacji, ale po tym, gdy niósł ją przez las Vaivy, zaczął mieć nadzieję. Było mu wtedy tak dobrze, mógłby w nieskończoność trzymać ją w objęciach. Pamiętał,

jak wtulała się ufnie w niego i jak musiał nad sobą panować, by nie przekroczyć dopuszczalnych granic. Wreszcie postanowił, że zakończy te męki niepewności w noc świętojańską. Nie mógł pozwolić, by wyjechała, i gotów był zaoferować jej nawet białe małżeństwo, byle tylko zatrzymać ją przy sobie. Gdy Dominik zwierzył się ze swych planów, miał ochotę rzucić mu się do gardła, choć całe życie widział w nim raczej przyjaciela, a nie bratanka. Poskromił wtedy zaborczą miłość, bo najbardziej zależało mu na szczęściu Wiktorii. Przynajmniej wejdzie do rodziny, będę mógł na nią patrzeć, będzie blisko – rozważał, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że długo tak nie wytrzyma. A kiedy niemal wykrzyczała mu, że wcale nie marzy o Dominku... I tamta noc...

Zamknął oczy, wspominając jej uśmiech, usta, ciepło skóry, brzmienie głosu. Czarodziejka, która rzuciła na niego urok, ukochana Wiktoria, Vaiva. Mogli być tacy szczęśliwi, tacy szczęśliwi...

## CZEŚĆ V

### *Jaśnie panienka*

#### ROZDZIAŁ 37

Patrzyła przez okno, gdy powóz wjeżdżał między pierwsze zabudowania Warszawy. Droga była nierówna i koła co chwilę obijały się o bruk, ale Wiktoria nawet tego nie zauważyła, pogrążona w myślach. Opuszczała to miasto jako Kaśka Plucha, mężatka z gminu. Wracała jako powinowata Łempickich. Podróżujący z nimi służący nie rozumieli, czemu podkuchenna Anusia nosi jedną z sukien starszej pani i dlaczego mają się do niej zwracać „jaśnie panienko”, znali się jednak na swojej robocie i nie wyrażali głośno zdumienia.

Kilkudniowa podróż wreszcie dobiegała końca. Wiktoria po raz kolejny układała w głowie przemowę, prowadziła długą dyskusję z wyimaginowanym rozmówcą, próbując przewidzieć odpowiedzi przeciwnika. Od czasu do czasu zerknęła w stronę Dominika, spokojna, że ma go przy sobie. Na początku nie chciał się zgodzić, powtarzając wciąż te same argumenty, a zwłaszcza jeden: że jego stryj nigdy by na to nie pozwolił. Ona jednakże, uchwyciwszy się ostatniej deski ratunku, nie zamierzała odpuścić.

– Jeśli się nie uda, on nigdy się o tym nie dowie, a jeśli w ten sposób go uratujemy, wszystko inne będzie nieważne – tłumaczyła panu Michałowi, który na jeden dzień wrócił do Łempic.

W końcu, gdy obaj mężczyźni zrozumieli, że dziewczyna jest gotowa sama jechać do Warszawy, Dominik postanowił jej towarzyszyć. Zatrzymali się w Wilnie, by mogła podejść pod bramę więzienia i symbolicznie pożegnać Ksawerego. Była także u



Tomaszowej, która niemal z płaczem zaklinała ją, by nie wyjeżdżała.

– Panienko, żeby aż tak się poświęcać dla mężczyzny?

– Ja się nie poświęcam dla mężczyzny, tylko próbuję ratować człowieka, którego kocham.

Odebrała swoje rzeczy, biżuterię, ale kolczyki wyjęła z kasetki i położyła w kuchni na półce, przy moździerzu. Żałowała, że nie może piękniej podziękować swojej opiekunce.

– Niedługo będziemy na miejscu. – Poważny głos Dominika wyrwał ją z zamyślenia. – Teofil i jego żona mieszkają niedaleko Ogrodu Saskiego.

– Wolałabym nie czekać i zrobić to jak najszybciej – odparła ze zniecierpliwieniem.

– Wiem, ale tak czy inaczej, musimy poczekać do wieczora, aż opuści cytadelę. Teofil napisał wyraźnie, że on co czwartek chodzi do resursy<sup>[48]</sup>.

– Tak – przyznała z ociąganiem. – Nie mogłabym mu się tak pokazać. Powinnam się odświeżyć, przebrać. Powinnam ładnie wyglądać...

Ładnie wyglądać... Na samą myśl robiło jej się słabo. Kilka miesięcy temu skryła się przed Gorcem w łempickiej kuchni, uciekła w tożsamość służącej, a teraz modliła się o to, by nie było za późno, by jeszcze ją chciał, by jeszcze mu zależało.

Musi się udać – powtarzała w myślach, gdy witała się z przyjacielem łempickich, Teofilem Czackim. Musi się udać – modliła się, gdy przymierzała elegancką suknię pani Teofilowej.

– Musi się udać – szeptała półgłosem, gdy o zmroku dorożkarz wioził ich pod okazały budynek przy ulicy Marszałkowskiej.

– Musi się udać – rzekła po raz ostatni, dotykając starego medalionu od matki, który włożyła na szyję, aby wesprzeć się siłą kobiet z jej rodu.

– Państwo do kogo? – spytał ostro kostyczny strażnik, gdy próbowali wejść do środka.

– Mam się tłumaczyć? A mówiono, że to najlepszy lokal w Warszawie – rzucił wyniośle Dominik, pokazując swój bilet wizytowy.

– Najuniżejniej przepraszam, ale damom wstęp wzbroniony.

– To nie dama. – Łempicki uśmiechnął się znacząco.

Strażnik bez słowa otworzył przed nimi drzwi, kłaniając się nisko.

Wiktoria zakasłała. Całą salę spowijał gęsty dym papierosów i cygar. Ich zapach mieszał się z ciężką wonią alkoholu.

– Gdzie on jest? – spytała, rozglądając się wokoło.

Elegancko ubrani mężczyźni zajęci byli grą w karty lub bilard. Niektórzy, siedząc przy okrągłych stolikach, trzymali na kolanach młode, skąpo odziane panny.

– W prywatnym pokoju, schodami w górę – odparł, biorąc ją za rękę.

– A jeśli nie zechce mnie widzieć? Jeśli mnie odprawi albo...

Popatrzył na nią ciepło, chcąc dodać jej otuchy.

– Możemy zawrócić. Stryj...

Potrząsnęła przecząco głową. Weszli na pierwsze piętro, gdzie przy solidnych, dekoracyjnie rzeźbionych drzwiach stało dwóch żandarmów. Wiktoria poczuła zimne krople potu na czole. Drętwiały jej wargi, a serce dudniło. Obrzuciła wzrokiem zielony dół sukni, puściła dłoń Dominika i rozwinęła wachlarz. Żwawym krokiem ruszyła przed siebie, siląc się na uprzejmy, acz chłodny uśmiech.

– Proszę powiadomić generała majora Gorca, że przyszła jego narzeczona.

## ROZDZIAŁ 38

– Proszę, proszę, a któż to się objawił?

Gdy go ujrzała, znów powróciło uczucie wstrętu i zimnej nienawiści. Cały pokój przesiąknięty był wonią nie tylko papierosów i alkoholu, ale także słodkich, ciężkich perfum. Gorc nie podniósł się z miejsca, nie uklonił, tylko rzuciwszy karty na stół, przygładził lewą ręką włosy odstające z tyłu głowy. Popatrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. W mundurze wydawał się jeszcze bardziej odrażający. Sięgnął po nieodzowną niebieską chustkę i otarł zroszone potem czoło. Na jasnym materiale natychmiast pojawiły się mokre plamy.

– Ma pan prawo mnie ukarać – podjęła szybko, gdy kompani Gorca opuścili przestronny pokój z wygodnymi sofami. Bała się, że nim zdąży wyłuszczyć sprawę, każe ją aresztować. – Wiem, że nie powinnam była uciekać...

– Rzeczywiście. Dlaczego?

– Nie chciałam tego ślubu, mój ojczym...

– To wiem aż za dobrze – odparł słodko. – Dlaczego pani wróciła?

– Potrzebuję pańskiej pomocy.

Parsknął krótkim, pozbawionym wesołości śmiechem. Krople potu spływały mu po skroniach i czerwonej szyi. Wiktoria dopiero teraz rozumiała, że ciężkie perfumy miały maskować kwaśny odór potu. Od dwóch dni nie była w stanie nic przełknąć i teraz ogarnęły ją mdłości.

– Mojej pomocy. No proszę, jak miło – kpił, sięgając po papierosa.  
– Gdzie się pani ukrywała przez te miesiące?

– Przebywałam w majątku pod Wilnem, u hrabiny Łempickiej. Jej syn został aresztowany za spisek i skazany na śmierć. Błagam, niech go pan ratuje.

– Córka powstańca przyszła prosić o pomoc carskiego oficera śledczego? – Cmoknął kilka razy, jednocześnie kręcąc z dezaprobatą głową, jakby ją karciał. – Co by na to powiedział pani ojciec? Chyba by tego nie pochwalił.

Spuściła wzrok. Miała wrażenie, że zobaczyła siebie jego oczami, taką śmieszna z tą swoją dumą, którą teraz ciskała mu pod nogi.

– Błagam na wszystko...

– O, to może pani jeszcze uklęknie?

Powróciły do niej słowa Dominika o pani Oktawii, która rzuciła się do stóp gubernatora.

Gorc patrzył wyczekująco, więc po chwili wahania padła na kolana. Oddychała szybko, zagryzając wargi.

– Proszę wstać, bo aż przykro patrzeć na ten blamaż – rzucił ostrzejszym tonem, więc posłusznie spełniła polecenie, podtrzymując ciężką spódnicę. – Myśli pani, że to wystarczy? Wie pani, ile razy w ciągu tygodnia, ba, w ciągu dnia słyszę podobne prośby? „Błagam, niech pan ratuje mego męża, ojca, brata, syna”. Wie pani, ile kobiety są w stanie poświęcić, by wykupić bliskich od śmierci czy zsyłki? A ja miałbym pomagać niewdzięcznej narzeczonej, która mnie porzuciła i upokorzyła? Aż boję się pytać, co ma mi pani do zaoferowania.

– Czy nadal pan chce, bym została pańską żoną?

Wstał z miejsca, raz jeszcze otarł twarz i szyję, po czym zaciągnął się mocno papierosem.

– I co? Tylko tyle? Raczej kiepska łapówka. Zamiast o tego spiskowca powinna się pani bać o siebie, Wiktorio, bo chyba nie myślała pani, że puszcze jej wszystko płazem?

– Wiem, że jestem całkowicie zdana na pańską łaskę i niełaskę, ale wiem również, że moja krzywda nie przyniesie panu chwały wśród sandomierskiej szlachty – mówiła, niemal miażdżąc w dłoni złożony wachlarz. – Teraz jestem lepszą kandydatką na żonę niż przed

kilkoma miesiącami, gdy byłam niechętna i przymuszana. Jakież mógł być wtedy ze mnie pożytek? Jeśli mi pan pomoże, przysięgam, że zrobię wszystko, by pana uszczęśliwić. Będę najwierniejszą i najlepszą towarzyszką życia, sprawię, że każdy polski dom będzie stał przed panem otworem. Nie pozwolę, by ktokolwiek obraził pana choć jednym chłodnym spojrzeniem. Przecież dlatego chciał mnie pan poślubić, prawda? Spełnię każde pańskie życzenie, jeśli tylko...

Piotr Gorc nie był pewien, czy to, co się dzieje, jest jawą, czy jednym ze snów przepełnionych rozkoszną nienawiścią i satysfakcją. Odkąd uciekła, nieustannie wyobrażał sobie ich spotkanie, jak korzy się u jego stóp, błaga o łaskę, płacze, ofiarowując w zadośćuczynieniu swoje młode i gorące ciało. I oto jest, dokładnie taka jak w marzeniach. Pokorna i uległa. A już myślał, że to będzie kolejny, zwykły wieczór.

Kiedy dowiedział się o jej ucieczce, szalał z wściekłości. Nie udało się uniknąć plotek, mimo że zgrabna historyjka o wyjeździe Wiktorii do krewnych we Włoszech dla podratowania słabego zdrowia wydawała się wiarygodna i przekonująca. Policyjni agenci mieli wyjątkowo trudne zadanie. Musieli odszukać uciekinierkę, jednocześnie nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Każdy dom, kościół i klasztor w Warszawie oraz okolicach został gruntownie przetrząśnięty. Władze w innych większych miastach również miały dyskretnie wybadać sytuację. I nic. Jak kamień w wodę. Już zaczął wątpić, że uda się ją odzyskać – i proszę, jest. Ponieważ nie był z natury popędliwy, a w życiu kierował się nie emocjami, lecz chłodną kalkulacją, uznał, że są cele nadrzędne i podrzędne. Do nadrzędnych należało spokojne życie w Wilczych Dołach, może nawet spłodzenie syna, żeby wszystkiego nie przejął siostrzeniec, oraz dobre relacje z sąsiednimi dworami. I tu panna z Łubinowa mogła odegrać znaczącą rolę, dlatego odwet na niej tu i teraz nie leżał w jego interesie.

Gdyby nie zdrowy rozsądek, natychmiast upodliłby i upokorzył tę zarozumiałą dziewczynę. W jej oczach zawsze widział jedynie pogardę i wstręt. Jako doskonały strateg wiedział jednak, że zemsta – tak jak wódka – najlepiej smakuje na zimno.

– Pani rodzina nie ma krewnych ani przyjaciół w Wilnie. Skąd więc znajomość z hrabiną Łempicką?

– Nie znałam jej wcześniej. Pracowałam w majątku. Byłam służącą.

Piotr Gorc wypuścił z ust kłęby dymu.

– Pracowała pani... Służąca... Co za upadek! – zaśmiał się ze wzgardą.

Naraz uderzyły go dwie rzeczy: jak bardzo nie chciała małżeństwa z nim i jak bardzo musi kochać człowieka, o którego życie walczy. Popatrzył na nią lodowato, bez śladu współczucia czy zrozumienia.

– I co? Służąca zakochała się w paniczyku? Jakie to trywialne, jakie pospolite. I na pani nieszczęście wybranek okazał się buntownikiem? Tylko tak można zdobyć pani względy, prawda? Legitymować się tatusiem powstańcem, spiskować przeciw legalnej władzy.

Wiktoria nie spuściła wzroku, nie zarumieniła się, tylko odparła spokojnym, mocnym głosem:

– Robię to dla hrabiny Łempickiej. Była dla mnie bardzo dobra. Straciła ukochanego męża, nie przeżyje śmierci syna. Wiem, że proszę o wiele, ale w panu ostatnia nadzieja. Tylko pan może pomóc.

– Chyba przecenia pani moje możliwości. Władzom w Warszawie nic do tego, co się dzieje na Wileńszczyźnie. Nie mam żadnego wpływu na decyzje gubernatora Bibikowa.

– Ale na pewno zna pan kogoś, kto ma taki wpływ, przecież pan może wszystko. I ja... ja też zrobię wszystko – obiecała, prawie łamiąc wachlarz.

– I co? Przyszła tu pani korumpować carskiego oficera?

Argumenty, nad którymi głowiła się w czasie podróży do Warszawy, które wydawały jej się wtedy przekonujące i na miejscu, teraz brzmiały żałośnie i śmiesznie. I z czym tu przyjechała? Gorc miał rację. Każdego dnia, może nawet w tym samym pokoju, zjawiają się kobiety, oferujące mu swój majątek i cześć, a ona przyszła stawiać warunki. Wszystko na nic.

Nie udało się.

– Jak się nazywa ten człowiek i gdzie jest osadzony? W Wilnie?

Uniosła ku niemu spojrzenie, wstrzymując oddech.

– W Wilnie. Nazywa się Ksawery Łempicki, syn Dominika, właściciel Zielnej.

– Za co został aresztowany?

– Rzekomy spisek. Kradzież broni z pobliskich koszar i planowanie zamachu na gubernatora.

Prychnął z niesmakiem.

– Głupcy. Mało im było w trzydziestym pierwszym?

Wiktoria wzbiła wzrok w podłogę. Sama była córką „głupca” z trzydziestego pierwszego. A teraz, by ratować kolejnego, zwiąże swe życie z kimś, kto owych „głupców” śledził, tropił, przesłuchiwał, skazywał.

– Niczego nie obiecuję. Jeśli się przyznał, w najlepszym wypadku Sybir. Zobaczymy.

– Wiem, że to będzie kosztowne. Jego bratanek przywiózł pieniądze.

– Chce mnie pani obrazić?

– Razem z Łempickim aresztowano trzech innych – zaryzykowała.

– To może przy okazji postaram się opróżnić wszystkie więzienia w Wilnie i okolicach, co?

– Przepraszam – odparła pospiesznie. W głowie kołatała tylko

jedna myśl: „Jest szansa, jest nadzieja. Ksawery, Wery...”. – I dziękuję. Po stokroć dziękuję.

– Gdzie się pani zatrzymała?

– U rodziny Czackich, na ulicy Królewskiej.

– Dobrze, tam dostarczę wiadomość. Oczekuję, że niezależnie od wyników sprawy wróci pani ze mną do Łubinowa. Ślub weźmiemy jak najszybciej.

– Oczywiście – zapewniła bez wahania.

Gorc uniósł kącki warg w uśmiechu. Podobały mu się jej bezradność, pokora w zielonych oczach i geście nerwowo zaplecionych dłoni, absolutna uległość tej, która nigdy nie zaszczyciła go choć jednym życzliwym uśmiechem, choć jednym uprzejmym skinieniem długich rzęs.

– Jeszcze coś. Proszę zachować dla siebie te opowiadki o pracy służącej. Jeśli uda się pomóc temu buntownikowi, będzie musiała o nim pani zapomnieć. Na zawsze. A gdybym odkrył, że zaoferowała mi pani resztki po nim... Chyba się rozumiemy?

– Daję słowo honoru, że nie żyłam z mężczyzną – powiedziała czerwona ze wstydu i gniewu.

Gorc zgasił papierosa. Znowu ogarnęło go to dziwne uczucie, z którym od dawna próbował sobie poradzić i którego nie śmiał nazwać wprost. Przecież miał wszystko: pozycję, władzę i pieniądze, a jednak wciąż nie potrafił zaspokoić swych pragnień. Chciał być rodowitym Rosjaninem i jednocześnie szanowanym Polakiem, skutecznym śledczym na usługach Petersburga i synem ciemzonego narodu, zapominając, że kto ściga dwa zajęcia naraz, ten nie chwyta żadnego. Pogardzał, nienawidził i szydził z tych, którzy wciąż marzyli o wolnej ojczyźnie, a to dlatego, że kiedy uczestniczył w przesłuchaniach, torturami wymuszając zeznania, kiedy stał nad cierpiącym, z maltretowanym buntownikiem, on, choć obdarzony



licznymi orderami, przywilejami i zaszczytami, czuł się nikim. Miał wrażenie, że to ten zakrwawiony strzép człowieka u jego stóp jest zwycięzcą, a nie on. Nawet sam przed sobą bał się przyznać, że jest głęboko nieszczęśliwy, że przez całe życie, odkąd zaczął robić karierę w carskim wojsku, gonił za czymś, co nie przyniosło mu spełnienia. Na ziemi nie znalazłaby się ani jedna osoba, która walczyłaby o jego życie, która poświęciłaby wszystko, by go ratować.

– Może pani już iść – oświadczył stanowczo. – Moja narzeczona nie powinna przebywać w takim miejscu.

## ROZDZIAŁ 39

Strach... Myślała, że poznała już dobrze jego odcienie, a tymczasem znów się okazało, że niewiele wiedziała o życiu. Lęk mający twarz Ankwicza czy Gorca, choć podgryzał ją i dręczył, był do udźwignięcia. Strach o ukochanego człowieka okazał się najgorszą torturą, męczarnią, niedającą wytchnienia ani w dzień, ani w nocy.

Gdyby nie Dominik, chybaby oszalała. Nie odstępował jej ani na chwilę. Nawet po zmroku nie rozchodzili się do swoich sypialni, tylko siedzieli w salonie, dopóki nie zasnęli – ona na sofie, on w fotelu. Trudno zresztą mówić o śnie: zapadali jedynie w krótkie drzemki, które pozwalały im zachować resztki sił i przytomności. Czaccy nie starali się ich zabawiać, odegnać udawanym optymizmem złych myśli, wyczuwając, że takie zachowanie przyniosłoby odwrotny skutek. Pani Teofilowa jeszcze na początku proponowała, by wszyscy razem pojechali na spacer do łązienek, wszak lipcowe dni łatwiej znieść na dworze niż wśród gorących murów, ale Wiktoria zdecydowanie oświadczyła, że woli zostać w domu. Nie zniosłaby widoku uśmiechniętych twarzy. Irytowało ją ostre słońce, drażniły ptaki, które każdego ranka świergotały zuchwale w koronach drzew za oknem, oburzał radosny głos służących. Świat nie chciał się dopasować do jej nastroju, nie zwolnił, nie zatrzymał się. Zamiast cierpieć wraz z nią, upajał się latem.

Nie wiedziała, czego może się spodziewać po Gorcu ani czy jego wpływy rzeczywiście sięgają aż tak daleko, ale uczepiła się słów „w najgorszym razie Sybir”. Tak czy inaczej, oznaczało to życie. Trudne, z dala od rodziny, ale przecież życie. To karmiła się nadzieją, to znów dopadało ją zwątpienie. Ulgę przynosiły opowieści Dominika. Mówił, że stryj zawsze był dla niego jak starszy brat, jak najlepszy przyjaciel. To on nauczył go jeździć konno i posługiwać się bronią, to

on wysłuchiwał jego zwierzeń, z którymi Dominik nie miał odwagi pójść do ojca.

– Wiedziała pani, że chciał zostać lekarzem? – opowiadał, gdy późno w nocy siedzieli sami w salonie. – Oczywiście zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe, przecież miał przejąć Zielną. Skończył więc studia rolnicze, i to tak dobrze, że doradzał potem ojcu. Pamiętam, że bardzo mi go brakowało, gdy wyprowadził się z Łempic, i zawsze się cieszyłem, kiedy przyjeżdżał. Nigdy mnie nie zawiódł. Nigdy.

– Wspominał, że był trudny jako dziecko. To prawda?

– Trzeba by o to spytać mojego ojca albo babcię Oktawię. – Uśmiechnął się. – Ale podobno posłuszeństwo nie było jego najmocniejszą cechą, a po śmierci dziadka Dominika zrobił się krnąbrny i wycofany. Spóźniał się na posiłki, unikał mszy, potrafił znikać na całe dni z domu i najchętniej przebywał wśród chłopów, co babcię doprowadzało do białej gorączki. Raz skoczył do przerębla, by udowodnić parobkom, że nie jest rozpieszczonym paniczykiem.

– Tak bardzo żałuję, że nie zdążyłam go lepiej poznać – rzekła cicho.

Dni płynęły powoli, rozleniwione skwarem, dyszące z wysiłku. Wiktoria niemal bez przerwy tkwiła w oknie, oczekując wieści od Gorca, a gdy pewnego deszczowego popołudnia umyślny wreszcie przyniósł list, nie potrafiła się przemóc, żeby go otworzyć.

– Proszę – zwróciła się po pomoc do Dominika. – Ja nie mam odwagi.

Wpatrywała się w jego twarz, kiedy rozrywał kopertę. Sparaliżowana strachem przycisnęła dłonie do ust, wstrzymała oddech, napięła mięśnie. Gdy Dominik podniósł wzrok, gdy ujrzała jego oczy, już wiedziała. Oparła się o ścianę i zapłakała głośno, uwalniając z piersi ciężar, który wgryzł się w ciało na długie tygodnie. Po jej twarzy płynęły łzy – słone łzy ulgi i szczęścia.

\* \* \*

Nieznośne gorąco wysysało z niej siły i oblepiało niczym sieć pajęczna muchę. Ostatni lipcowy poranek był dość chłodny, Wiktoria przypuszczała więc, że to tylko ją rozpieka żar. Może po tygodniach zamrożenia, gdy tkwiła w okowach strachu, jej ciało przypomniało sobie, że żyje?

Kareta kołysała się rytmicznie, wzbijając obłoki kurzu, które niepostrzeżenie wkradały się do powozu, osiadając na obitych czerwonym pluszem siedzeniach. Wiktoria wyjęła wachlarz i machając energicznie, starała się ochłodzić twarz i rozrzedzić woń intensywnych perfum Gorca. Siedzący naprzeciwko niej mężczyzna od początku podróży właściwie zdawał się nie dostrzegać jej obecności, zajęty czytaniem gazety, co pozwalało dziewczynie mieć nadzieję, że powrót do Łubinowa upłynie we względnym spokoju. Na początku obawiała się wojny podjazdowej, tego, że Gorc będzie ją nieustannie nękał i prowokował. Gdy dziękowała mu wylewnie za uratowanie Ksawerego, zaciągnął się papierosem i dmuchnął jej w twarz gorzkim oparem, uśmiechając się fałszywie. Potem jednak zachowywał się poprawnie, wręcz demonstracyjnie obojętnie. Opuścili Warszawę dwa dni po tym, jak dostała wyczekiwany list.

– Wiktorio, stryj Ksawery nie wybaczy tego ani ojcu, ani mnie – powiedział jej Dominik przy pożegnaniu, gdy służący zabrał kufer, a oni zostali sami w pokoju. – Jeśli się dowie...

– Nie dowie się. Nie może się dowiedzieć.

– Nie uwierzy w pani wyjazd do Paryża.

– To musi się pan postarać, żeby uwierzył. Niech myśli, że jestem impulsywna, niestała w uczuciach... Gdyby odkrył, że zawdzięcza życie komuś takiemu jak Gorc...

– Zawdzięcza życie pani i tylko pani – zaprotestował Łempicki. – A tymczasem ja nie mogę nic zrobić, by...

Ujęła jego ręce i popatrzyła mu w oczy.

– Proszę się o mnie nie martwić, bo nie dzieje mi się krzywda. Stał się prawdziwy cud i tylko to jest ważne.

– Wiktorio, proszę pamiętać, że należy pani do naszej rodziny. Gdyby potrzebowała pani pomocy, proszę się nie wahać. Ma pani we mnie przyjaciela, brata...

– Wiem i dziękuję. Będzie pan do mnie pisał, prawda?

– Oczywiście.

Nachylił się i ucałował jej obie dłonie. Stali tak przez chwilę bez ruchu, patrząc na siebie z uśmiechem, którym próbowali dodać sobie wzajemnie otuchy. Zawahali się, wstrzymywani konwenansami, aż wreszcie Dominik przygarnął ją do siebie mocno, po bratersku. Objęła go w pół, opierając mu głowę na piersi. W ten sposób żegnała się z Łempicami, z Rozalią, Urszulą i Frankiem, z wiosennymi tygodniami, które przyniosły jej niespodziewane szczęście. Wiedziała, że to także pożegnanie z Ksawerym, choć nie pogodziła się jeszcze z myślą, że już nigdy więcej go nie zobaczy.

Wciąż nie opuszczała jej euforia, że jest wolny, bezpieczny. Te dwa słowa powtarzała niczym zaklęcie, niczym refren najpiękniejszej pieśni, gdy więc strofy niebezpiecznie zahaczały o temat bolesnej tęsknoty, przywoływała się do porządku, szepcząc w myślach: „Wolny, bezpieczny”. Instynktownie wyczuwała, że aby przetrwać w życiu, na które się zdecydowała, nie może dopuścić do głosu emocji, które niczym wzburzona rzeka będą próbowały przełamać tamę. Nie było mowy o cierpiętniczej minie, nostalgicznym wzdychaniu, by nie rozdrażnić Gorca. Ślub zaplanowany na koniec września wydawał się Wiktorii czymś odległym, nierealnym, choć dość przerażającym – jak opowieści Ludwiki o stworach zamieszkujących świętokrzyskie puszcze.

Na pierwszy nocleg zajechali do domu rosyjskiego oficera. Drugi

spędzali w jednym z majątków Gorca, za Iłżą. Przybyli do dworu o szarej godzinie, gdy słońce pozostawiło niebu na pamiątkę złotoszkarłatne smugi, połykane przez zbliżającą się noc. Z drugiego, mniej okazałego powozu wysiedli dwaj strażnicy, czuwający nad bezpieczeństwem Gorca, oraz służący, którzy zajęli się kuframi.

Wiktoria łapczywie zaczerpnęła powietrza pachnącego żniwnymi polami i mokrą ziemią. Przymknęła na moment oczy, myśląc o tym, że już jutro będzie w domu. A jednak pod powiekami nie zobaczyła Łubinowa, a Łempice, park za pałacem, las Vaivy i... jego. Wolny i bezpieczny. Tylko to jest ważne – powtarzała w myślach.

– Panienko, przyniosłam szal. – Młoda dziewczyna, pełniąca podczas podróży rolę osobistej pokojówki, doskoczyła do niej.

Wiktoria podziękowała ciepło, a wtedy Gorc chwycił ją stanowczo za ramię, prowadząc w stronę dość okazałego dworu w barokowym stylu.

– Rozumiem, moja droga, że towarzystwo chamów źle wpłynęło na pani manierę, ale proszę się postarać i nie spoufalać ze służbą – szepnął jej do ucha, jak zwykle słodkim tonem i modulowanym głosem.

Wieczera minęła w grobowej atmosferze. Poprzedniej nocy, na kolacji gościł ich oficer z żoną i dwiema prawie dorosłymi córkami. Tym razem byli skazani wyłącznie na swoje towarzystwo. Nieśmiałe próby Wiktorii, by nieco poprawić nastrój, spotkały się z milczącą obojętnością. Znów ogarnęło ją paraliżujące uczucie, że jest tylko muchą w sieci i jeśli chce jeszcze trochę pożyć, musi za wszelką cenę obłaskawić pajaka. Napięte do granic nerwy sprawiły, że zaczęła popełniać gafy. „Wyborne danie” – mówiła, choć sztuka mięsa zapiekana z chrzanem smakowała jak osmolone drewno. „Piękne miejsce” – entuzjasmowała się, choć zarówno pokój, który zajmowała, jak i jadalnia sprawiały wrażenie mocno zaniedbanych.

Gorc pił wino, patrząc na nią w sposób, którego nie rozumiała, i prawie nic nie mówił. Nie zadał sobie nawet trudu, by zganić jej wątpliwe maniery<sup>[49]</sup>.

Z ulgą wróciła do sypialni, odesłała pokojówkę, tłumacząc, że poradzi sobie sama. Kąpiel wzięła przed kolacją, więc teraz tylko umyła twarz i dłonie. Naraz usłyszała szmer przy drzwiach. Odwróciła się i z przerażeniem spostrzegła, że ktoś naciska klamkę. Oplotła się ramionami i cofnęła o kilka kroków. Gorc.

– Czy coś się stało? – spytała, czując drżenie brody.

Nie powinno go tu być, to było bardziej niż niestosowne. Zwróciła uwagę, że miał rozpięte górne guziki koszuli, co wzbudziło jej niepokój.

– Tak późno, a pani jeszcze nierozebrana? – Zabrzmiało to dwuznacznie i najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę, bo uśmiechał się przy tym bezwstydnie.

– Tak, jest późno i właśnie zamierałam... Jeśli pan pozwoli, to porozmawiamy jutro, bo chciałam się położyć.

– Ja też właśnie zamierałem się położyć, gdy nagle uświadomiłem sobie, że za wyświadczoną pani przysługę nie usłyszałem podziękowań.

– Ależ podziękowałam.

– Droga Wiktorio, czy ja podniosłem upuszczony przez panią wachlarz, czy też wyciągnąłem człowieka z celi śmierci? – Podszedł bliżej, cedząc wyraźnie każde słowo. – Mógł iść na Sybir. Miałbym wtedy pewność, że raz na zawsze usunę go z pani życia, ale okazałem wspaniałomyślność, prawda?

Spuściła wzrok. Nie mogła na niego patrzeć, na te paskudne bokobrody, na krople potu na czole, na obwisłe wargi i szyderczy uśmiech.

– Pamiętasz, pani, co obiecałaś, kiedy błagałaś o pomoc?

– Nie ucieknę, wyjdę za pana – zapewniła gorliwie. W tej chwili była gotowa powiedzieć mu wszystko, co chciał, żeby tylko zostawił ją w spokoju. – Nic i nikt nie sprawi, bym zmieniała decyzję.

– Nie o to chodzi. Wiem, że pani nie ucieknie. Zastanawiam się jednak, czy będzie pani taką żoną, jakiej potrzebuję.

– Postaram się.

– Postara się pani... No to sprawdźmy. Proszę udowodnić, że potrafi pani być dla mnie równie miła jak dla tamtego.

Podszedł jeszcze bliżej, na odległość wyciągniętej ręki, a Wiktoria zastygła w bezruchu. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, powieki i usta jej drżały.

– Na co pani czeka?

Poczuła, że oblewa ją zimny pot, a obrzydzenie przyprawiało o mdłości. Jako dziewczynka widziała schwytanego w klatkę jastrzębia. Ptak przez cały czas uderzał skrzydłami o pręty i rzucał głową na boki, nie widząc dla siebie sposobu ucieczki. Tak się teraz czuła.

– Co mam robić?

– Nie wiesz, pani? Takaś cnotliwa, co? Ten buntownik na pewno panią czegoś nauczył. Obiecałaś, moja droga, że zrobisz wszystko, by mnie uszczęśliwić, więc proszę zaprezentować swoje umiejętności, tak jak ja zaprezentowałem swoje, gdy ratowałem pani bohatera.

Ty nędzny szantażysto! Przełykała szybko ślinę, by zapanować nad podchodzącą do gardła żółcią.

– Proszę, zaczekajmy z tym do ślubu, potem będę...

– Mało jeszcze spełniłem pani próśb? – mówił spokojnie, ale w oczach widziała czystą nienawiść. – Dość tego. Przyszedł czas, żeby się odwdzięczyć. Teraz.

Zakryła usta dłonią i zaczęła gryźć palce. Podjęła decyzję, że jeśli ma się to stać, to niech trwa jak najkrócej. Jeśli będzie się zastanawiała nad każdym gestem, niepotrzebnie przedłuży te tortury.



Może łatwiej by jej było, gdyby wyobraziła sobie, że stoi przed nią Ksawery, ale nie chciała mieszać go w to hańbiące błoto. Zamknęła oczy, by nie widzieć i nie dać popłynąć łzom.

Zbliżyła się do Gorca i położyła mu dłonie na ramionach, on zaś stał nieruchomo z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Nie zamierzał jej tego ułatwiać. Gdy szybko cmoknęła go w policzek, skwitował z politowaniem:

– I to ma mnie niby uszczęśliwić? Siostrzane pocałunki? Za chwilę naprawdę stracę cierpliwość.

Wtedy oplotła go mocniej ramionami, uważając, by nie dotknąć mokrego od potu karku. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a zadusi ją łkanie, które powstrzymywała ze wszystkich sił. Gdy składała Gorcowi obietnicę, zdawała sobie sprawę, że godzi się na coś, co może być ponad jej siły, a jednak żywiła szczerą nadzieję, że nie interesuje go jako kobieta i że ta sfera ich życia pozostanie martwa. Teraz się okazało, że tę największą formę intymności chciał wykorzystać, aby ją ukarać i złamać. Naprawdę zamierzała być dobrą, uległą żoną, ale nie przewidziała, że panowanie nad odruchami ciała będzie aż tak trudne. Trzęsa się, czuła w ustach gorzki posmak, bolał ją żołądek i męczyły nudności. Udawanie pożądania do mężczyzny, którym brzydziła się jak nikim na świecie, było jeszcze gorszym, jeszcze bardziej upokarzającym gwałtem, niż gdyby biernie poddała się jego chuci.

Kiedy poczuła, że Gorc wsuwa dłoń w jej włosy, pomyślała, że może to on przejmie inicjatywę w tej ohydnej grze, zdejmując z niej całą odpowiedzialność, ale on mocno ścisnął kosmyki przy samej skórze, zmuszając, by odchyliła głowę. Mogła nakazać swoim dłoniom, by obejmowały, ale nie potrafiła zapanować nad łzami, które płynęły po twarzy, ani nad grymasem wstrętu przerażenia i rozpacz.

Spojrzała na Gorca, w jego oczy nabiegłe krwią, i spostrzegła, że po raz pierwszy spadła z niego maska opanowania i spokoju. Czy przyczynił się do tego alkohol, który pił do kolacji, czy też zmęczenie wielogodzinną podróżą, w każdym razie wiedziała już, jak musiał wyglądać podczas przesłuchań, kiedy pastwił się nad więźniem.

– *Job twoju mać!* Wszystkie takie jesteście – wycedził przez zęby. – Najpierw skamlecie, żeby wam pomóc, a potem skamlecie, ledwo się was palcem tknie.

Już miał się wpić w jej usta, gdy nagle wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienił. Wściekłość ustąpiła zdziwieniu, by w sekundę zmienić się w przerażenie. Pot spływał mu po skroni, wargi zagryzł, jakby tłumiał krzyk.

Puścił ją raptownie, odepchnął od siebie i nim Wiktoria zdążyła złapać oddech, wybiegł z pokoju.

## ROZDZIAŁ 40

Nim zapiał kogut, opuścili dwór, by pokonać ostatni etap podróży w pełnym napięcia milczeniu. Wiktoria znów musiała wspiąć się na wyżyny aktorskich umiejętności, jak niegdyś przed Nasiliewem, by zapanować nad bulgoczącymi w niej odrazą i nienawiścią. Gorc nieustannie spoglądał na nią tak, jakby coś sprawdzał, po czym odwracał głowę uspokojony, aby po chwili znów szukać w jej twarzy odpowiedzi na nieme pytania. Wydawał się zdenerwowany, niespokojny i to sprawiało, że Wiktoria siedziała napięta jak struna, spodziewając się w każdej chwili ataku. Obawiała się, że choć była posłuszna, Gorc zemści się za wczorajszą noc, bo skończyła się w niesatysfakcjonujący dla niego sposób. Nie zastanawiała się nad tym, co sprawiło, że zrezygnował. Wiedziała, że to, co nieuniknione, zostało tylko odwleczone w czasie – i cierpła jej skóra. Wolny i bezpieczny dzięki niemu. Dzięki niemu... Ratowała się zaklęciem, a gorzkie słowa, które pchały się na język, trawiła w ustach i cofała do gardła.

Zmierzchało, gdy wjechali w lipową aleję wiodącą do Łubinowa, i dopiero wtedy pomyślała o Ankwiczu. Jakkolwiek dotkliwą karę dla niej przygotował, nie dbała o to. Nie mogło być nic gorszego od życia z Gorcem.

Kiedy wysiadła z karety i popatrzyła na dwór, uśmiechnęła się, pokrzepiona spokojem domu, który witał ją bez raniących zmian wprowadzanych siłą przez ojczyzna. Po schodach zbiegł służący Walerian wraz z dwiema pokojówkami do pomocy, a zaraz za nimi stanęła w progu Eufrozyna.

– Dobry wieczór – zawołał Gorc, rozpoczynając kiepski spektakl, którego nikt nie miał ochoty oglądać. – Przywiozłem naszą drogą rekonwalescentkę, zdrową jak rydz. Włoski klimat jest najlepszy.

Pani wybaczy, że nie wstąpię, ale dziś już jest za późno, czekają na mnie w Wilczych Dołach. Ach, co za piękny wieczór! Moje uszanowanie.

Wiktoria dygnęła przed matką, nie patrząc jej w oczy, bo zabrakło jej sił, by mierzyć się nieuniknionymi pretensjami. W sieni czekała Ludwika, która natychmiast przygarnęła dziewczynę do siebie, chroniąc w swych mocnych ramionach.

– Nic się nie martw – szepnęła. – Ankwicza nie ma. Wyprowadził się z domu. Każę przygotować kąpiel i zaraz do ciebie przyjdę.

Noga za nogą powlokła się Wiktoria do swojej sypialni na piętrze i tak jak stała, padła na łóżko. Wolny i bezpieczny. Wtuliła twarz w poduszkę. Wolny i bezpieczny. Ksawery, Wery... Z jej piersi wyrwał się szloch, który próbowała stłumić, gdy nagle poczuła na plecach delikatny dotyk dłoni. Odwróciła się, chcąc w objęciach Ludwiki znaleźć pociechę – i zastygła jak słup soli. Zamrugowała powiekami, szybko otarła oczy.

– Mama?

Eufrozyna usiadła na łóżku i nieśmiało pogłaskała ją po rękę.

– Wiem, dlaczego wróciłaś. Tak mi przykro. Naprawdę chciałam cię przed tym uchronić.

– Nie rozumiem.

– To ja cię wysłałam do Łankiewiczowej. Na początku myślałam, że Gorc bywa tu, aby znaleźć żonę dla siostrzeńca. Wierzyłam, że z Zacharewiczem mogłabyś być szczęśliwa, ale potem... Myślisz, że nie widziałam, jak cierpisz? Błagałam Fryderyka, by unieważnił umowę z tym człowiekiem. Przekonywał, że to niemożliwe, że Gorc będzie się mścił, że jednym kiwnięciem palca może nas pozbawić Łubinowa. Wtedy zrozumiałam, że musisz się ukryć, przeczekać. Próbowałam z tobą pomówić, kiedy zaproponowałam wieczorny spacer, pamiętasz? Odmówiłaś. Poprosiłam więc Florentynę o pomoc. Jej ufałaś. – Nie

dodała, jak bardzo poczuła się wtedy przegrana. Doprowadziła do tego, że własne dziecko wolało zwierzyć się służącej.

Wiktoria raz jeszcze otarła oczy, pociągając nosem.

– Więc to ty wszystko zorganizowałaś, mammo?

– Razem z Florentyną, Maciejem i Abramem. Dorotę Łankiewiczową znam od lat. Wiedziałam, że dobrze się tobą zaopiekuje i że w Wilnie Gorc cię nie znajdzie.

– Więc Tomaszowa nie jest kuzynką Florentyny?

– Nie.

– Skąd wzięłaś pieniądze, mammo?

– Sprzedałam Orattiemu ziemię za lasem, przy strumieniu. Należała do mnie.

– Ależ, mammo... – Wiktoria pokręciła z niedowierzaniem głową. – Twoje ukochane miejsce?

Eufrozyna drgnęła.

– Skąd o tym wiesz?

– Od papy.

– A powiedział ci, że to był prezent od niego?

– Nie... – Dziewczyzna złapała Eufrozynę za rękę. – Mammo, co między wami zaszło? Bo coś zaszło, prawda?

– Nawet jeśli, to dawno temu – odparła, spuszczać wzrok. – Teraz nie ma to już żadnego znaczenia.

– Dla mnie ma. Jako dziecko widziałam, że nie jesteście szczęśliwi, i próbowałam zrozumieć dlaczego. Odnosiłam wrażenie, że z jakiegoś powodu to moja wina. – Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. – Mammo, proszę, powiedz mi, czy mój ojciec... Czy ja urodziłam się, bo on... wbrew twojej woli zmusił cię...

– Cóż znowu! – zaprotestowała natychmiast, niemal z oburzeniem. To już prędzej ja jego zmusiłam – pomyślała na wspomnienie ich pierwszej wspólnej nocy. Wychowanie i wstyd nie pozwoliły jej

wyznać, że Wiktoria jest owocem wielkiej namiętności, tych krótkich chwil szczęścia, które jeszcze czasem powracały do niej w snach. – Mówiłam ci przecież, że oboje byliśmy bardzo uradowani, gdy okazało się, że masz przyjść na świat – dodała, próbując wyrzucić z pamięci tamte słowa, którymi chciała zranić Janusza i których do dziś żałowała. – Po prostu pewnych rzeczy nie potrafiliśmy sobie w porę wybaczyć, zapomnieć. Ja nie potrafiłam. Nie myśl jednak, że nie cierpiałam po jego śmierci. To już są wyłącznie moje sprawy i proszę, uszanuj to.

– A co z Fryderykiem? Dlaczego się wyprowadził?

– To teraz nieważne. – Odrzuciła z twarzy opadający kosmyk. – Dostałam od Łankiewiczowej listy. Wiem, że wróciłeś do Gorca, by ratować ukochanego. Ocaliłeś mu życie. A jak ja mam ocalić twoje życie, dziecko?

Wiktoria patrzyła na matkę, tę samą, która zawsze przypominała niedostępną, zamkniętą na wszystkie spusty wieżę na szczycie góry, i po raz pierwszy poczuła, że jest dla niej ważna.

– Nie trzeba, mamo. Podjęłam decyzję, chciałam tego i nie żałuję. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

Nie rozmawiały ze sobą długo, nie było czułych uścisków, nie padły żarliwe wyznania, ale wiele kamieni w murze, który je dzielił, zostało poruszonych.

## ROZDZIAŁ 41

Miała wybór: mogła zatopić się w tęsknocie i łzach, marząc o tym, co niemożliwe, albo próbować z tym walczyć, wynajdując sobie zajęcia. Wyszywanie liter „W” i znieawidzonego „P” na ślubnej wyprawie uznała jednak za zbyt dotkliwą torturę i odłożyła poszwy i obrusy z powrotem do dębowej skrzyni. Zamiast tego napisała listy do Klementyny, Dominika oraz do Ksawerego – z pełną świadomością, że ten ostatni nigdy nie dotrze do adresata.

Dwór bez Ankwicza zdawał się lżej oddychać – a może to tylko jej było łatwiej, że Łubinów znów jest wolny? Gdy szły do wsi, Ludwika opowiedziała o wydarzeniu, które doprowadziło do separacji małżonków.

– Nic mi się nie stało. Łokieć tylko obiałam, ale twoja mama pokazała mu drzwi.

– I posłuchał?

– Nie od razu, ale w końcu zrozumiał, że jeśli tego nie zrobi, Eufrozyna go znieawidzi, a tego by nie chciał. Wiesz, ile ma na sumieniu. I jeszcze ta nieszczęsna sprawa z Michaliną. Ale on chyba naprawdę kocha twoją matkę. I cierpi. Nie żeby mi go szkoda było, co to to nie, ale jak przyjeżdża tu od czasu do czasu, by pozałatwiać jakieś finanse i interesa, to jakby pokorniejszy się zrobił.

Oby – pomyślała Wiktoria z nadzieją, że może nie będzie oponował przeciwko szkole. Na razie postanowiła omówić ten pomysł z rządcą. Okazało się, że budynek po starej cegielni nadawałby się idealnie, a remont nie kosztowałby wiele. Balicki problemu upatrywał gdzie indziej.

– Ferment się zacznie, chłopci zaczną się burzyć: „A na co, a po co, jak dobrze jest”. Znajomość alfabetu nie przyda im się przy kopaniu ziemniaków czy młóceniu – mówił.

Wiktoria sama widziała, że pilniejszą potrzebą był szpital, ale dochody majątku wystarczałyby jedynie na utrzymanie jednego lekarza. A gdyby tak zaangażować okoliczną szlachtę i stworzyć niedużą lecznicę w Unieszowach? A gdyby tak wziąć pod opiekę najzdolniejszych uczniów, zwolnić ich z pańszczyzny, by mogli się dalej kształcić? W głowie rodziły się kolejne pomysły, by stworzyć szkołę rzemiosł dla kobiet, placówkę, która dawałaby szansę na zdobycie zawodu w mieście. Wiktoria tworzyła plany, jeździła do wsi i do Unieszowów, doglądała żniw, ale i tak nie zdołała zająć głowy na tyle, by nie tęsknić. Myślała o Ksawerym nieustannie, zawiedziona, że jedyną pamiątką po nim są moneta i kilka zasuszonych kwiatów łąbinu. Próbowała namalować jego portret, ale po raz pierwszy w życiu nie była w stanie przełożyć na płótno tego, co miała w głowie. Każda próba kończyła się nieudolnym szkicem, który nie oddawał niezwykłej osobowości ukochanego.

Dwa dni po jej powrocie do Łubinowa niespodziewanie przyjechał z wizytą Marcin Zacharewicz.

– Nie zabawię długo – tłumaczył, dziękując za herbatę, kiedy przeszli do zielonego salonu. – Zaraz muszę wracać. Przyjechałem tylko powiedzieć, że nie zdradziłem wujowi pani miejsca pobytu.

– Wiem i ma pan moją głęboką wdzięczność. Będzie pan dalej mieszkał w Wilczych Dołach? – spytała z nadzieją.

Dobrze, gdyby w majątku pozostała choć jedna życzliwa dusza.

– Nie, po ślubie wyjadę do drugiego folwarku. – Popatrzył na nią ze smutkiem. – Panno Wiktorio, winszowałbym sobie takiej wujenki, ale wiem, co to dla pani oznacza. Bardzo mi przykro.

Nie potrzebowała, by się nad nią użalano, bo wówczas tym wyraźniej pojmowała swoją sytuację. Z tego wszystkiego rozboleła ją głowa i gdy Zacharewicz opuścił Łubinów, położyła się w sypialni, upatrując lekarstwa w krótkiej drzemce. Nawiedził ją wtedy dziwny



sen.

Szła lasem Vaivy, oślepią jaskrawobiałą, rozlewającą się wokół mgłą. Stąpała ostrożnie, świadoma, że każdy kolejny krok może skończyć się utonięciem w bagiennym błocie. Nagle dostrzegła blask ognia. Zbliżyła się, czując ciepło płomieni na skórze i zapach jałowcowego dymu. Przy palenisku siedziała młoda kobieta o czarnych włosach i twarzy Eufrozyny. U jej stóp spoczywał olbrzymi wilk.

– Teraz rozumiesz? – spytało zwierzę, patrząc na nią czerwonymi ślepiami gołębia.

Przebudziła się gwałtownie, z sercem tłukącym się w piersiach i z jeszcze cięższą głową. Senne rojenia zdawały się nie mieć żadnego sensu, więc dziewczyna nie rozmyślała nad nimi zbyt długo, ale wizja Vaivy z wilkiem męczyła ją aż do wieczora, dopraszając się uwagi jak uciążliwy gość, który stuka do drzwi, aż nie zostanie wpuszczony.

Gdy przed kąpielą zdjęła z szyi srebrny medalion i odłożyła go na sekretarzyk, blask świecy odbił się intensywnie od lśniącej powierzchni. Pogładziła palcem rozgrzany ciałem owal wisiora i naraz otworzyła szerzej oczy. Pochyliła się nisko, przysunęła bliżej lichtarza, aż wreszcie otworzyła szufladę sekretarzyka w poszukiwaniu szkła powiększającego, które kiedyś znalazła w rzeczach ojca. Następnie chwyciła medalion i zaczęła uważnie studiować grawerunek. Jak mogła wcześniej tego nie zauważyć?! Dopiero teraz dostrzegła, że to, co wzięła za chrześcijańską symbolikę wyrażoną w postaci baranka i gołębia, jest kopią rysunku z nagrobka Wilkomira.

– To niemożliwe! – powiedziała na głos oszołomiona, ściskając mocno... medalion Vaivy.

*KORONA POLSKA, ZAMEK W OPALINIE,  
POŁOWA XVII WIEKU*

Stało się tak, jak przepowiedziała Giedrė. Przyszedł dzień, gdy Vaiva zapragnęła życia, a nie jałowego trwania wyszywanego skargami na zabrane szczęście.

Kiedy stolnikowa Jadwiga przywiozła ją do domu brata, ogłaszając wszem wobec, że tę wiotką panienkę zesłała sama Matka Boska, ludzie się dziwowali: a któż to? A skąd? Vaiva przyznała się do wdowieństwa, wspomniała o ojcu szlachcicu, ale nigdy nie zdradziła, że była żoną kata i kochanką podczaszego, którego doprowadziła do śmierci. Dostrzegła szansę zesłaną przez los i z pełną świadomością postanowiła ją wykorzystać, choć oznaczało to ukrycie prawdy, odcięcie się od przeszłości i od dziewczyny, którą była. Wielokrotnie pytano, cóż to się przytrafiło takiej miłej panience, ale powtarzała jedynie, że straciła wszystko, toteż wkrótce jej postać obrosła osobliwymi historiami, w których raz była nieślubną córką króla Władysława, innym razem dziedziczką wielkiej fortuny, kniaziówną, na której życie nastaje rodzina, albo zbiegłą z zakonu mniszką. Stanisław Opaliński, starosta sandomierski i pan na zamku, jako że słynął z dobrego serca, przypuszczał, iż jakaś wielka krzywda ją spotkała, a chrześcijański obowiązek nakazywał pomóc nieszczęsnej. Nikt nie miał wątpliwości, że znaleziona w Wielkim Księstwie panna jest szlacheckiego stanu, bo ubrana była po pańsku, znała polską mowę. No i jeszcze to urodziwe oblicze. Została towarzyszką Jadwigi, a gdy razu pewnego uleczyła małego Stasiulka z gorączki, wyrwawszy go niemal cudem ze szponów kostuchy, obdarowano ją tytułem najdroższej przyjaciółki i dobrodziejki.

– Matka Boska mi ciebie zesłała – powtarzała stolnikowa.

Vaiva, a teraz już Wirydiana, bo odcięła się od dawnej siebie i przejęła imię po matce Wilkomira, odnalazła w Opalinie spokój, chociaż życie na zamku i bogactwo z początku przywodziły jej na myśl znieawidzonego podczaszego. Powoli przywykła, karmiona

niewyczerpaną dobrocią oraz życzliwością Jadwigi, i nawet jeśli w środku czuła się jałowa, pusta jak wypalona ziemia, starała się doceniać zesłaną przez los pomyślność.

W rok po tym, jak pojawiła się w zamku, druga żona Stanisława zasnęła w Panu, zabierając ze sobą powite w męczarniach dziecko. Zasepił się starosta na długie miesiące, w zaciszu komnaty próbując odgadnąć zamysły Boga, który choć nie skąpił mu bogactwa i władzy, zabierał oblubienice i dzieci. W kościelnej krypcie spoczywała już druga starościna i troje potomstwa, z którego żadne nie przekroczyło sześciu wiosen.

Wirydiana na chorobach duszy się nie znała, bo i swojej uleczyć nie potrafiła, lecz przygotowywała mikstury, które pomagały staroście na sen i łagodziły rozstroje nerwowe, na co z podziwem poczęła patrzeć nawet podkomorzyna, matka Stanisława i Jadwigi. I ona niekiedy szukała pomocy u tajemniczej towarzyszkii córki: a to na puchnące palce, a to na bóle w piersiach. Czasem w głowie starej pani postawała myśl przedziwna, że może to wiedźma jaka, co się podstępem do jej domu wdarła, ale zaraz potem ręce do modlitwy składała, uznając, że to tylko nieszczęsne dziewczę, które najpewniej przed jakim okrutnym krewnym uciekło.

Wirydiana nie wiedziała, jak to się stało, że z biegiem miesięcy i lat coraz więcej rzeczy ją zajmowało i napełniało zachwytem. Lubiła przesiadywać w zamkowej bibliotece, gdzie przy marmurowym kominku pochłaniała kolejne księgi pisane w języku, którego zawiłości i tajemnice odkryła przed nią biegła w łacinie Jadwiga. Lubiła konne wyprawy do lasu, gdzie zdejmowała buty i boso chodziła po mchu, szukając ziół i najstarszego drzewa, by oddać mu cześć. Lubiła poznawać zakamarki zamku – surowej, czworobocznej bryły, mieszczącej w sobie niewielki dziedziniec, liczne pokoje i przyprawiające o zimny dreszcz lochy. Dziewczyna budziła się do

życia i coraz głębszy łapała oddech.

Czasami, gdy patrzyła na dzieci Jadwigi: małego Stasia i nieco starszą Mariannę, odzywał się w niej głód matczynej, a niespełnionej miłości. Małżeństwo, zastąpienie Wilkomira kimś innym wydawało się Wirydianie rzeczą wstrętną, toteż nie liczyła na zaspokojenie owego matczynego głodu. Chociaż jej uroda rozkwitła jeszcze bardziej, choć opowiadano, że piękności pozazdrościć by jej mogła sama Afrodyta, żaden mężczyzna nie próbował się do niej zbliżyć. Obserwowali ją z daleka jak cudowne dzieło sztuki, wzdychali rozkochani, otaczając atencją niczym kapłankę. Taki był ostatni podarunek od Giedrè: dotknąć jej mógł tylko ten, którego sama by sobie wybrała.

Kiedy Jadwigę spotkało nieoczekiwane szczęście i w trzydziestej czwartej wiosnie życia po raz drugi miała stanąć na ślubnym kobiercu, Wirydiana pojęła, że nie chce opuszczać Opalina. Przeczuwała, że wówczas reszta dni upłynie jej w gorzkim niespełnieniu. Uznała, że trzeba zatem przejść przez małżeństwo, aby dotrzeć do macierzyńskiego celu – i był tylko jeden mężczyzna, z którym chciała dzielić życie. Stanisław. Wiedziała, jak szaleńcze jest to pragnienie. Czyż nie rozumiała swojej pozycji, odartej z chwalebego nazwiska, majątku i koneksji, które czyniłyby ją akuratną narzeczoną? A jednak, choć w posagu wnieść mogła jedynie młodość i urodę, postanowiła zaważczyć o to, co niemożliwe.

Stanisław szczerą przyjaźnią darzył niezwykle towarzyszkę siostry. Już sześć lat mieszkała pod jego dachem, a wciąż nie wiedział o niej nic poza tym, że jest szlachecką córką i wdową. Jawiła mu się cała utkana z wątpliwości, tajemnic, zagadek i lękał się, że gdyby próbował je poznać, zgłębić, rozwiązać, Wirydiana zniknęłaby jak poranna mgła. Czy jej pragnął? A jakże, tak jak pragnie się piękna i wykwinu wokół siebie, i dlatego cieszył się, że dziewczyna jest

blisko, ale ślub pozostawał w sferze marzeń, do których nie przyznawał się nawet sam przed sobą. Pora najwyższa była, żeby ożenił się po raz trzeci, spłodził dziedzica Opalina, kilku miast i kilkunastu wsi. Matka spokoju mu nie dawała, męczyła, by wreszcie się zaręczył, ale jemu niespieszno było do kolejnego rozczarowania. Może to i przez Wirydianę? – zastanawiał się czasem i żal mu było, że ona odejdzie.

Razu pewnego, gdy wieczorem przy kominku haftowała ślubną wyprawę Jadwigi, przysiadł obok na ławie, nic nie mówiąc. Spojrzała na niego tak, jak nigdy nie patrzyła. W jej oczach dostrzegł ogień gorętszy od tego w palenisku. Zadrżał, bo oto przypomniał sobie, że wciąż jest młody, a chęci, które zaspokajał przy dwóch żonach, buzują w jego ciele.

– Cóż ja pocznę, gdy wyjedziesz! – wyrwało mu się prosto z serca.

– Nie chcę wyjeżdżać – odparła, odkładając na dębowy stoliczek złote nici. – Pozwól mi zostać, Stanisławie. – Zbliżyła twarz do jego twarzy. – Z tobą.

W tym czarownym momencie Wirydiana przestała jawić mu się jako posąg, tyleż doskonały, co zimny, a zobaczył w niej pannę z krwi i kości, ciepłą, słodką i tak samo spragnioną miłowania jak on. Gdy ucałowała czule jego usta, wiedział już, że poszukiwania żony zakończone. Chciał Wirydiany i żadnej innej.

Podkomorzyna, dowiedziawszy się o tym, waporów dostała i trzeba ją było cucić larendogą<sup>[50]</sup>. Może niepotrzebnie, bo ocucona wnet litanię zaczęła skarg nieprzebranych. Pierwsza żona, córka starosty lubelskiego, druga żona, córka podkomorzego królewskiego. W rodzinie senatorowie, posłowie, biskupi, a jej synowa znachorką? Boże wszechmogący, oświeć mi syna, bo świat sobie zawiązuje! Panienko przenajświętsza, módl się za nami!

I na nic się zdały tłumaczenia, że Wirydiana jest szlachcianką.

– Jaką szlachcianką? – lamentowała podkomorzyna. – Z jakiego ojca, jakiego dziada? Żeby choć dwie wsie miała, dwa miasta, choć posag maleńki, a tu nic!

I życzyła mściwie, by dobry Bóg zabrał do siebie tę gadzinę podstępna, która jej syna na zatracenie prowadziła.

Stanisław pozostał nieugięty jak tysiącletni dąb, bo od dawna nie był taki szczęśliwy. A gdy zaraz po ślubie, podczas uczy, podkomorzyna chwyciła nóż i odkroiła obrus, zaznaczając, że nie siedzi przy jednym stole z synową, zarządził, by matce podawać strawę w drugiej komnacie. Wirydiana nie takie zniewagi znosiła w życiu, coby krew sobie psuć świekrą, toteż obelgi, że wiedźmą jest, która opętała Stanisława, ani jej nie raniły, ani obrażały.

Przy mężu odnalazła błogosławiony spokój. Nie darzyła go uczuciem wielkim i namiętym, a statecznym i rozsądnym, wynikającym z rezygnacji, przywiązania i samotności. Lubiła, gdy był blisko, a co najważniejsze: pragnęła dziecka, które mógł jej dać. Na krótko przed ślubem przysła nawet taka chwila, gdy pokonując wspomnienia o plugawych nocach z podczaszym, zatęskniła za miłosnym dotykiem i cieszyła się na bliskość, która jeszcze niedawno napełniała ją śmiertelnym strachem i odrazą. Sprawdziły się słowa Giedrę. Odradzała się powoli, na nowo zlepiając roztrzaskane serce, co prawda poorane bliznami, niezbyt piękne, ale bijące mocno i równo. I tylko czasem dokuczał jej osobliwy chłód, którego się bała. Stanisław okazał się mężem dobrym, wiernym, ale zdarzało mu się uchybiać niewieściemu rozumowi. Nie szukał u żony rady, rzadko dopuszczał ją do swych spraw i tylko niekiedy korzystał z podsuwanych mu conceptów. Gdy ujrzawszy nową rezydencję w nieodległym Jazłowcu, zamierzał w swych stajniach także zbudować marmurowe żłoby, a z sufitu w jadalni uczynić akwarium, Wirydiana odwiodła go od tych rojeń. Czy nie lepiej pomyśleć o budowie

mostu? A może by tak założyć warsztat kaflarski? Zamiast arrasów sprowadzić nowe gatunki hodowlanych roślin? Stanisław radował się potem z niebotycznych zysków i nawet dziękował żonie, ale i tak zasługi przypisywał głównie sobie.

W intymnych chwilach z małżonkiem Wirydiana nie odnalazła tej radości, którą kiedyś dzieliła z Wilkomirem. Może nosiła w sobie zbyt głębokie rany po łajdactwach podczaszego, a może Stanisław nie potrafił otworzyć jej ciała, nie znał kodu i nawet nie próbował go poszukać, bo uważał, że w łóżu to jego potrzeby są ważne. Po kilku wspólnych nocach, które nie budziły w niej wstrętu, pozostawiały ją jednak niespełnioną, poprosiła, by podążając za jej wskazówkami, postarał się, aby i ona mogła czerpać przyjemność z aktu. Popatrzył na nią wtedy zgorszony i zaniepokojony jednocześnie. Czy godzi się, aby bogobojna niewiasta miała takie myśli, mówiła o takich rzeczach? Dwie poprzednie żony, uległe i ciche, przyjmowały jego afekty bez słowa skargi i bez wymagań. Raziła go wszelka rozpusta, ale jako że bardzo miłował Wirydianę, obiecywał zadośćuczynić prośbom. Potem jednak, ulegając własnej żądzy, szybko zapominał o jej potrzebach. Ona zaś nie narzekała, bo gdy tylko wzięła w ramiona pierworodnego syna, spłynęła na nią błogość, która wynagrodziła jej wszystko. W pierwszej chwili umyśliła, że nazwie go Wilkomir, jednakowoż po namyśle uznała, że imię to jest dla niej jak relikwia, którą chciała zachować tylko dla siebie.

Nie minęło sześć lat, a powiła kolejnych dwóch synów i dwie córki. Wkrótce zmarła podkomorzyna, która długo nie godziła się z ożenkiem syna, ale dzięki wnukom złagodniała i mimowolnie zaczęła poważać synową, by na śmiertelnym łóżu ostatecznie udzielić jej błogosławieństwa.

Spokój małżeński Wirydiany skończył się w roku Pańskim tysiąc sześćset pięćdziesiątym czwartym, gdy Rzeczpospolitą najechały

wojska rosyjskie. Starosta Opaliński pożegnał piękną żonę, ucałował dzieci i wyruszył na wojnę pod wodzą hetmana Potockiego, by już nigdy z niej nie powrócić. Młoda wdowa szczerze obżałowała męża, ale nie miała czasu na łzy i tęsknicę, bo zaraz po kraju rozlał się kolejny wróg. Szwedzi splądrowali zamek w Jazłowcu wybudowany zaledwie przed dziesięcioma laty, jednakże Opalina nie udało im się zdobyć. Wirydiana przy pomocy niewielkiego oddziału wojska zorganizowała obronę, której najeźdźca nie był w stanie przełamać. Wróg zdołał złupić jedynie kamienne fontanny i musiał odstąpić, by nie narażać się na dalsze straty. Takie to zawieruchy krążyły nad Rzeczpospolitą, to słabły, to znów potężniały, by przy wtórze trąb zwiastować nieszczęście. Jeden konflikt się kończył, to drugi zaczynał, a trzeba było przecież żyć, karmić dzieci, służbę, poddanych i pilnować, by majątek gromadzony przez pokolenia nie przepadł w jednej chwili.

Wirydiana uznała, że czas porzucić niewieście zajęcia. Chociaż czule wspominała Stanisława, nie mogła nie zauważyć, że dopiero po jego śmierci rozwinęła skrzydła. Decyzje, które spadły na jej barki, wielkie problemy i mniejsze trudności przyjmowała z werwą, ciesząc się, że potrafi im zaradzić. Wpierw uznała, że umęczonych wojną chłopów trzeba częściowo zwolnić z pańszczyzny. Potem, siedząc długo w nocy nad księgami, wykoncypowała, by założyć hutę szkła oraz gorzelnię. Zaczęła hodować rasowe bydło, które wkrótce stało się słynne na okolicę. Dworski radca załamywał ręce, lękając się, że nie podołają, ale w Wirydanie nie było strachu. Spieniężyła całą rodową biżuterię, wszystkie klejnoty, które dostawała od starosty po urodzeniu dzieci, a dla siebie kazała złotnikowi z Unieszowów wykonać jedynie prosty, srebrny medalion z grawerunkiem wilka i gołębia.

– To mój herb – odpowiadała ciekawskim.



I tak, nie mając żadnej pamiętki po Wilkomirze, zrobiła ją sobie sama.

Im była starsza, tym częściej dokuczało jej uczucie upiornego zimna, chłodu straszego, co za dnia czaiło się w ukryciu, by nocą wyleźć i kąsać, zupełnie jakby tkwiła w niej jakaś martwa część duszy, która nie zdołała się odrodzić. Gdy żył Stanisław, u niego szukała pociechy. Wtulona w rozognione ciało męża, topiła w sobie lód, by znów zapaść w sen. Po jego śmierci ogrzewała się oddechem dzieci. Przyklękała przy ich łóżkach spokojna, że są blisko, bezpieczne i zdrowe. Kiedy dorosły, chłód zaczął ją dręczyć coraz mocniej. Nieraz w letnie noce siadywała otulona futrem przy kominku, ale choć poty szły na nią, marzła, jakby naga do przerębla wpadła. Poczęła tedy rozmyślać o tym, by wziąć sobie kochankę, towarzysza nocy, żywy ogień, by rozprawić się z uciążliwym mrozem. Cóż z tego, skoro wszyscy otaczający ją mężczyźni zdawali się być jedynie bladymi płomykami świecy? Wzdrygała się na myśl, że mogłaby ich wpuścić do swego łóża. Żaden z nich nie był odpowiedni. Żaden nie był Wilkomirem. Widziała go wszędzie: w literach, zwierciadłach, drzewach i strumieniach. Gdy weszła w posiadanie wsi Lisie Doły, natychmiast zmieniła nazwę na Wilcze Doły, naiwnie próbując nakarmić tęsknotę, oddać cześć temu, którego bezgranicznie wielbiła. Często w snach powracała do ich chaty, by wokół domu szukać mogiły, ale za każdym razem krążyła tylko bezradnie. Myślała też o Giedrè, Birucie i jej córce, czy przetrwały carską nawałnicę<sup>[51]</sup>, czy ich moce były wystarczające, by uchronić się przed rzezią. Wieści niosły, że Wilno płonęło jak żagiew przez wiele dni, a głód nastąpił potem tak wielki, że ludziska wyciągali z grobów ledwo ostygłych nieboszczyków, coby się pożywić. Ilekroć Wirydiana zaplanowała podróż, piętrzyły się przeszkody, których nijak usunąć nie mogła. A to kolejna wojna, a to dzieci chore, a to zaraza na Litwie. Wrócę tam

jeszcze – przysięgała sobie – wróć.

## *ŁUBINÓW, SIERPIEŃ 1853 ROKU*

Jeśli ktoś może pomóc rozwikłać tę zagadkę, to tylko Ludwika – uznała Wiktoria. Nikt nie wiedział więcej o przodkach Eufrozyny.

– Należał do Wirydiany – rzekła piastunka zapytana o pochodzenie medalionu. – Tylko tyle po niej zostało, bo zamek i wszystkie pamiątki spłonęły jeszcze za ostatniego króla.

Wiktoria przysiadła na parapecie okna. Rozproszone części układanki zaczęły trafiać we właściwe miejsce i tworzyć czytelną mozaikę. W pamięci odżyły opowieści o antenatce, której jedynym posagiem były zjawiskowa uroda, wierność i łono, które wydało na świat pięcioro dzieci. Wirydiana, która przysłała znikąd, a pomnożyła majątek i nie wahała się bronić go przed Szwedami. I wreszcie to, że jako sędziwa dama wyjechała w podróż na Litwę, nie zważając na protest rodziny.

Ludwika z początku nieufnie podeszła do sprawy. Czarownica, kat, chłopka? A gdzie tam. Po namyśle i ona zaczęła kojarzyć fakty. No tak, mówiło się, że leczyć potrafi. Dbała o włościan jak matka. I tak, chciała być pochowana w rodzinnych stronach, koło Wilna, ale że tam akurat zaraza grasowała, to spoczęła w ufundowanym przez siebie kościele, dziesięć wiorst za Unieszowami.

Tamtej nocy Wiktoria nie zmrużyła oka. Siedziała przy oknie, obracając w dłoniach srebrny medalion Vaivy, swojej przodkini, która jakimś cudem stała się starościna sandomierską i panią na Opalinie. Może sprawiły to czary starej Giedrė, a może wystarczył łut szczęścia, jak to mawiali ludzie, cenniejszy niż worek złota? Wszystko wskazywało na to, że Vaiva, choć nigdy nie przestała wspominać pierwszego męża, miała wystarczająco dobre życie.

To dawało Wiktorii nadzieję, że i ona odnajdzie się w małżeństwie z Gorcem, nie umrze z powodu dzielenia z nim losu i

łóża, ale nie pozostawiało też złudzeń, że pustka po Ksawerym będzie dokuczała jej jeszcze przez długie lata.

Następnego dnia pojechała konno do Opalina. Zamek spłonął przed stu laty, przepadła magnacka fortuna, a po rozbiorach nastał trudny czas dla potomków Wirydiany, których dobra przeszły w ręce wroga. Wciąż jednak istniał niewielki kościół pod wezwaniem Świętego Mikołaja.

Wiktorija, zgrzana po długiej przejażdżce, poczuła chłód na skórze, gdy weszła do pustej świątyni. W powietrzu unosił się przyjemny zapach kadzidła i nawłoci, która stała w wazonie przed figurą Najświętszej Panny. Przyklękła przed barokowym ołtarzem, przesuwając wzrok po mocno już wyblakłych polichromiach, a następnie ruszyła do bocznej kaplicy, gdzie w kamiennym sarkofagu spoczywała starościna Opalińska. Na nim umieszczono tablicę z czaszką w koronie i łacińskim napisem, wychwalającym zasługi fundatorki.

– Odnalazłam cię, Vaivo – szepnęła, głaszcząc nadszarpnięte zębem czasu, pełne ornamentów litery. Uśmiechnęła się lekko, widząc, że pod inskrypcją jest wystarczająco dużo miejsca, aby umieścić tam płaskorzeźbę wilka z gołębiem. – Nie zabiorę cię do niego, ale przynajmniej to mogę zrobić. – Uklękła i przytuliła policzek do sarkofagu, czując, jak przenika ją lodowate zimno. – A może nie trzeba? Może już od dawna z nim jesteś? Pomóż mi...

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Usłyszała za sobą cienki głos. – Czy mógłbym w czymś pomóc panience?

Przeżegnała się i podniosła z kolan, otrzepując lekko spódnicę z kurzu.

– Na wieki wieków – odpowiedziała młodemu księdzu. – Przyjechałam z Łubinowa pomodlić się. Tu spoczywa moja prababka.

\* \* \*

Ksawery Łempicki, widząc, że matka zasnęła, puścił drobną dłoń i po cichu wycofał się za drzwi. Od kiedy wrócił, nie chciała się z nim rozstawać nawet na chwilę, przekonana, że gdy tylko zniknie jej z oczu, znów go straci. Wciąż przeżywała, że schudł, zmarniał i że taki blady. Urszula wychodziła z siebie, przygotowując najlepsze, najsmaczniejsze dania, żeby wynagrodzić dziedzicowi Zielnej tygodnie więziennego wikt, a Franek ochoczo biegał do kredensu, nie narzekając tym razem, że ma więcej roboty.

Ksawery dostrzegał otaczające go zewsząd życzliwość i szczerą radość, że ocalał, ale nie potrafił weselić się wraz z innymi. Michał opowiedział mu, jak to stryj Bernard z Hurczynową dotarli w Petersburgu do wielkiego księcia Aleksandra, przedstawiając dowody na niewinność aresztowanych. Niemal z dnia na dzień wznowiono proces, by przyznać, że nastąpiła pomyłka. Nasiliew za rażące przekroczenie uprawnień i formułowanie zarzutów na podstawie fałszywego donosu został zesłany na daleką prowincję i nigdy się nie dowiedział, dlaczego jego największy sukces sprowadził na niego największą porażkę. Ksawery nie mógł uwierzyć temu szczęściu, ale zaraz przygasł, gdy dowiedział się o wyjeździe Wiktorii.

– Jak to? Kiedy? – dopytywał oszołomiony.

– Zaraz na początku lipca Dominik odwiózł ją do Grodna, a stamtąd razem z Bolesławem pojechała do Paryża. Sam przecież przygotowałeś dokumenty.

– Tak, ale... Nie zostawiła żadnego listu?! Była przekonana, że zginę, w przeciwnym razie na pewno by nie wyjechała – mówił gorączkowo.

I tu pan Michał odegrał swoją rolę, choć kłamstwa z trudem przechodziły mu przez usta.

– Pomyliłeś się, Ksawery. Ona cię nie kochała, była ci jedynie bardzo wdzięczna.

– Bzdury – zachnął się rozeźlony. – W celi mówiłeś co innego.

– Chciałem cię podnieść na duchu, pocieszyć przed... końcem. Tak, było jej przykro z twojego powodu, to oczywiste, ale bardzo cieszyła się na wyjazd.

Ksawery słuchał i wciąż nie dowierzał. Naprawdę się pomylił? Zamroczony alkoholem i miłością wmówił sobie w noc świętojańską, że odpowiada na jego pocałunki, że go pragnie i kocha? I jeszcze ta ich ostatnia rozmowa, sposób, w jaki na niego patrzyła...

– Przykro mi. – Usłyszał głos brata.

Tak oto pierwszy dzień wolności przyniósł mu więcej bólu niż więzienne tortury. W Łempicach przywitały go matka i żona Michała, bo wuj Bernard był w drodze z Petersburga, a Dominik pojawił się dopiero wieczorem, tłumacząc, że zatrzymały go drobne problemy w Wejszyszkach. Następnego popołudnia pojawili się tłumnie sąsiedzi – uwolnieni Tułasiewiczowie i młody Hurczyn. Stół ugiął się od potraw, panowała atmosfera wielkiego święta i tylko Ksawery siedział jak struty, próbując utopić zawód w kolejnych butelkach de St. Emilion, a im dłużej pił, tym większe ogarniało go przekonanie, że wolałby umrzeć ze świadomością, że Wiktoria go kocha, niż żyć bez niej.

Kiedy już wytrzeźwiał, uznał, że tak być nie może. Pojedzie do Paryża, znajdzie ją, niech mu powie w oczy, że się pomylił. Musiał ją zobaczyć chociażby ostatni raz. Nie zwierzył się hrabinie Łempickiej ze swych planów, bo jeszcze zamknęłaby go w piwnicy, ale postanowił porozmawiać z bratem.

– Matka nie może się tobą nacieszyć – stwierdził pogodnie pan Michał, przeglądając w kancelarii rachunki, gdy Ksawery pojawił się w drzwiach. – Jeszcze trochę i każe ci tu zamieszkać.

– Och, to jej się nie uda – odparł, siadając w fotelu. Skrzywił się, bo dwa złamane żebra jeszcze nie zdążyły się do końca zrosnąć. –

Chcę ci coś powiedzieć.

Nie spodziewał się ze strony brata wielkiego entuzjazmu, lecz jego gwałtowna reakcja szczerze go zaskoczyła. Michał poderwał się z miejsca, podniesionym głosem żądając, by zapomniał o dziewczynie, która go nie chce. Żaden Łempicki nie powinien żebrać o miłość i upokarzać się w ten sposób.

Ksawery w milczeniu obserwował brata, jego rozbiegane oczy, nerwowe gesty i nienaturalną zapalczliwość, w której więcej było strachu niż dumy i złości. Nie miał wątpliwości, że Michał coś ukrywa. I to dziwne zachowanie Dominika, który zamiast przybyć do Wilna albo czekać na niego w Łempicach, pilnował interesów w Wejszyszkach?!

– Wiktoria nie pojechała do Paryża, prawda?

Pan Michał nie musiał nic mówić, bo jego zdeorientowana mina i wymuszony uśmiech powiedziały wszystko. Ksawery doskoczył do niego, zmuszając, by brat patrzył mu w oczy.

– Gdzie ona jest?

– Usiądź, porozmawiajmy.

– Mów, gdzie ona jest?! Myślisz, że się nie dowiem? Nie napiszę do Bolesława?

– Uspokój się.

– Gdzie ona jest?!

– W Łubinowie.

– Boże, znalazł ją – wyszeptał Ksawery.

Przytrzymując się oparcia, usiadł na najbliższym krześle.

– Proszę, uspokój się i posłuchaj mnie. Sama podjęła decyzję o powrocie. Kiedy wyczerpaliśmy wszystkie możliwości by cię uwolnić, postanowiła poprosić o pomoc tego majora czy generała z Warszawy.

– Nie, powiedz, że żartujesz!

– On rzeczywiście wiele może. Oczyszczono cię ze wszystkich zarzutów.

– Jak mogłeś na to pozwolić? Jak?! Wiedziałeś, ile ona dla mnie znaczy. Błagałem cię, żebyś się nią opiekował!

– Nie miałem wpływu na jej decyzję. Zrozum, chciała cię ratować.

– Trzeba ją było zatrzymać! – rzucił zgnębiony, zwieszając głowę.

– Jak? Zamknąć na klucz? Nie chciała nas słuchać i wreszcie Dominik z nią pojechał.

– Boże, wolałbym zdechnąć na szubienicy, niż pozwolić...

Pan Michał sięgnął po drugie krzesło i usiadł naprzeciwko.

– Rozumiem, że myślisz o niej, ale pomyślałeś choć przez chwilę o nas? Jak wyglądałoby nasze życie bez ciebie? Jesteś moim młodszym bratem, jedynym, jakiego mam. A matka? Twoja śmierć by ją zabiła. Poza tym razem z tobą uwolniono naszych przyjaciół. Pomyśl o ich rodzinach i sam powiedz, czy nie warto było ponieść takiej ofiary?

– Oszukałeś mnie. Wierzyłem, że Wiktoria będzie tutaj bezpieczna. A ty pozwoliłeś...

– Myślisz, że pytała o pozwolenie? Spełniłem twoją prośbę. Chciałem, by była mi jak córka, byłem nawet gotów wydać ją za Dominka w swoim czasie, ale to była jej decyzja. Chciała cię ratować za wszelką cenę. Udało się, więc teraz mądrze korzystaj z tego daru i nie zdręczaj siebie i nas. Stało się.

– O nie! Sądzisz, że będę beztrudnie korzystał z wolności, za którą ona płaci małżeństwem z tym...

– Nie rób głupstw. Wiem, że ją kochasz, lecz próbując zmienić tę sytuację, tylko jej zaszkodziś.

Ksawery podniósł głowę i spojrzał bratu w oczy. Podjął już decyzję.

## ROZDZIAŁ 42

Gorc przyjechał do Łubinowa dopiero po żniwach, gdy stodoły w majątkach napęczniały od zbiorów zwiastujących bezpieczną i sytą zimę. Wiktoria zaprosiła gościa do błękitnego salonu, odprawiając uprzejmie matkę, która chciała towarzyszyć im na spotkaniu. Domyślała się, że jej obecność, choć pożądana i naturalna, mogłaby rozdrażnić Gorca. Starła się przewidywać pragnienia narzeczonego i zadość im uczynić, aby nie miał powodu mścić się za jej błędy na Ksawerym, toteż odgrywała narzuconą rolę ze sprawnością rzemieślnika. Właściwie nie można jej było nic zarzucić. Ubrała się ładnie w liliową suknię z cienką koronką przy dekolcie, która miała dyskretnie podkreślać walory gładkiej skóry, we włosy zebrane nad karkiem wplotła ozdobne tasiemki. Kazała podać herbatę, zapytała o samopoczucie i zbiory w Wilczych Dołach, ale wprawne oko śledczego bez trudu dostrzegąło, że pod tą ceremonialną uprzejmością i pokorą kotłuje się nienawiść, która do niedawna nie była mu żadną przeszkodą, a teraz zaczęła go uwierać. Zawsze triumfował, kiedy łamał przeciwnika, który na początku hardo zadzierał głowę, by potem błagać o litość. Tym razem zamiast satysfakcji poczuł dziwny rodzaj zmęczenia i rozczarowania. Od tamtej nocy, gdy przemocą omal nie wziął Wiktorii, jej obecność źle na niego działała. Przeraził się jak nigdy w życiu, spostrzegłszy, że nie trzyma w ramionach narzeczonej, tylko młodego spiskowca, którego niedawno posłał na szubienicę. Tłumaczył sobie potem, że było to tylko złudzenie, psota zmęczonego umysłu, miraż alkoholowego upojenia. Sypiał coraz gorzej, bo nawiedzały go upiorne wizje, w których to on, skrępowany i zakneblowany, prowadzony był na miejsce straceń. Zaczęły dopadać go wątpliwości, a przecież nie wiedział, co to wyrzuty sumienia, co to litość i poczucie winy. Starzeję się – uznał



wreszcie. Osiądę w Wilczych Dołach na dobre, ludzie zapomną, w końcu przyjmą mnie jak swego, odzyskam spokój – pocieszał się. Postanowił, że ślub weźmie w kościele w Unieszowach, a nie w cerkwi, ku uciechu księdza proboszcza, któremu trud dopełnienia wszelakich formalności osłodziły dwa srebrne świeczniki prezentujące się zacnie w księżowskiej sypialni.

– Droga Wiktorio, przywiozłem dla pani pierścień zaręczynowy – oświadczył teraz, przysuwając się bliżej. – Liczę na to, że będzie go pani nosiła z dumą i szacunkiem, na jaki zasługuję.

Bez słowa podała mu dłoń i wtedy Gorc zamarł. Zacisnął wargi, by nie krzyknąć. To była duża, męska ręka z pokrwawionymi palcami. Odsunął się gwałtownie, podniósł wzrok i zawył krótko, przeraźliwie. Liliowa suknia, biała koronka, smukła szyja, a na niej kiwająca się głowa mężczyzny z głęboką raną na potylicy i pustymi oczodołami.

– To... ty...? – wybełkotał, podrywając się z sofy. Żołądkiem szarpnęły mdłości. Strach miał zapach krwi i zgnilizny. – Nie chciałem... – Uniósł drżące ramiona w geście obrony. Łzy popłynęły mu na policzkach. Opadł na kolana i zakrył twarz rękami, kiwając się jak dziecięca zabawka – Prosiłem, nie posłuchałeś...

Poczuł na ramieniu dłoń.

– Co się z panem dzieje? Co się stało?

Podniósł wzrok. Zamrugał, otarł pospiesznie oczy i odetchnął. Zmora odeszła. Ujrzał nad sobą twarz Wiktorii, fałszywą troskę w spojrzeniu. Nim zdążyła się odsunąć, złapał ją za szyję. Mocno zacisnął szponiaste palce.

– Co ty mi robisz, więdźmo! – wysyczał, ściągając ją na podłogę.

Rzucała się na wszystkie strony, charczała, próbując się uwolnić, przerażona szaleństwem Gorca. Chciała zawołać, ale zabrakło jej tchu i sił. Zamknęła oczy. Nagle poczuła, że ktoś uwalnia ją ze stalowego

uścisku i osłania własnym ciałem.

– Dość tego! – krzyknął Ankwicz, odpychając owładniętego amokiem mężczyznę. – Co pan wyprawiasz!

Wiktoria nie była zdolna stanąć na nogi. Podparła się rękami i cofnęła byle dalej. Patrzyła, jak ojczym łapie chwiejącego się Gorca za ramię i wyprowadza z pokoju. Po chwili wbiegły matka z Florentyną. Obie przyklęły obok niej.

– Nic ci nie zrobił? – spytała Eufrozyna, spoglądając na oderwaną koronkę przy dekolcie.

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

– Co mu się stało?

– Nie wiem – rzekła Wiktoria, dotykając obolałej szyi.

Nie pojmowała, co sprawiło, że słynący z okrucieństwa generał major rozplakał się i dygotał ze strachu jak dziecko. Wiedziała jednak, kto za tym stoi. Po raz kolejny mogła się przekonać o niezwykłej mocy Jurgi.

\* \* \*

Gorc siedział w fotelu ze zwieszoną głową. W dłoni ścisnął kieliszek z koniakiem. Upił łyk, potem drugi, trzeci, ale wciąż było mu niedobrze. Nie żałował tego, co zrobił przed wieloma laty. Nie poczuwał się do winy, choć to dlatego stracił jedyną kobietę, którą kochał. Jedyną, która jego kochała. Obraz tamtego człowieka już dawno wyrzucił z pamięci, dołączył do galerii innych zapomnianych twarzy i dopiero dziś... Przechylił kieliszek i wlał całą zawartość do gardła. Zakrztusił się, zakaszłał, otarł szybko usta.

Fryderyk Ankwicz patrzył na niego wyczekująco. Na szczęście tylko on widział go załzawionego na kolanach. On i tamta przeklęta dziewczucha. Nie chciał mieć z nią już nic do czynienia. Wszystko układało się dobrze, dopóki jej nie poznał. Najpierw wystawiła go na pośmiewisko, a potem, i owszem, wróciła, ale razem z nią pojawiły

się upiory, które żyć mu nie dawały ani na za dnia, ani w nocy. W Boga nie wierzył, lecz w śmierć jak najbardziej, wszak tyle razy sprowadzał ją na innych. Zdawało mu się, że panna Słoczyńska odłączyła się od orszaku kostuchy, by go pochwycić i zabrać na drugą stronę. Odstępowała go teraz, choć jeszcze do niedawna, zażywając przyjemności w łóżkach różnych kobiet, lubił sobie wyobrazać, że to ją trzyma w objęciach.

– Czy mogę liczyć na pańską wspaniałomyślność? – pytał Ankwicz. – Będziesz pan zawsze miał moją głęboką wdzięczność i przyjaźń.

– Wdzięczność i przyjaźń... – powtórzył Gorc z wysiłkiem. Paliło go gardło. – Ostatnio źle wychodzę na przyjaźni z pańską rodziną. Wciąż same kłopoty... A zapewniałeś pan, że z nią żadnego kłopotu nie będzie.

– Przyznaję, popełniłem błąd. Nie wiem, czym pana uraziła, ale proszę swój gniew kierować tylko na mnie.

– Zakończmy to już. – Gorc wstał, odstawił kieliszek i obciągnął na brzuchu bordową kamizelkę. – Chodźmy.

## ROZDZIAŁ 43

Słyszała, co mówi Ankwicz, ale bała się uwierzyć, że to prawda. Posłała krótkie spojrzenie matce, a potem znów skupiła wzrok na twarzy ojczyrna. Gorc w ogóle na nią nie patrzył. Stał nieopodal drzwi, jakby w gotowości, by czym prędzej opuścić błękitny salon. Ocierał chustką twarz i kark, przestępował z nogi na nogę.

– To oznacza... – zaczęła powoli.

– Tak, to oznacza, że pan generał był łaskaw zwolnić cię z danego słowa i wszelkich zobowiązań względem niego.

Wiktoria wypuściła gwałtownie powietrze z płuc. Powstrzymała uśmiech, by nie zdradzać wszechogarniającej radości, która smakowała tak, jak tylko może smakować wolność. Po chwili ogarnął ją jednak niepokój. Zbliżyła się do Gorca, który wciąż patrzył gdzieś w bok, unikając jej wzroku.

– Panie generale, mieliśmy umowę...

Zrobił gest dłonią, jakby miał dosyć jej naprzykrzania się.

– Tamten człowiek nie wróci do więzienia, jeśli o to pani chodzi. Uważam sprawę za zakończoną. – Zniknęła słodycz z jego głosu, eleganckie artykułowanie wyrazów. Mówił szybko, szorstkim tonem.

– Dziękuję – rzekła ze szczerą wdzięcznością, bezskutecznie próbując uchwycić jego spojrzenie. – Jestem pana dłużniczką.

– Owszem, i oby pani kiedyś spłaciła dług. Jako wnuczka i córka powstańców chyba wie pani, co to honor. Państwo wybaczą, spieszę się.

Gorc ukłonił się Eufrozynie i wyszedł z pokoju, odprowadzany przez Ankwicza. Wiktoria zaś przysiadła na krześle przy stole, odchyliła głowę i pomimo ściskającego ją mocno gorsetu odetchnęła głęboko.

Boże, jestem wolna!

\* \* \*

– Przepraszam, czy moglibyśmy porozmawiać, proszę pana? – spytała, wchodząc do kancelarii.

Ankwicz odłożył na półkę książkę i zwrócił się w jej stronę.

– No proszę, wreszcie się nauczyłaś – powiedział starym zwyczajem, ale w jego głosie nie było nawet jednej szyderczej nuty.

I nagle, po raz pierwszy w życiu, uśmiechnęli się szczerze do siebie. Był to jednak dziwny uśmiech, podszyty żalem i smutkiem, że pewnych spraw naprawić już nie można.

– Chciałam podziękować.

– Za Gorca? Niepotrzebnie, zrobiłem to przez wzgląd na twoją matkę.

– Tak czy inaczej, dziękuję.

Skinął głową, obszedł biurko i stanął bliżej.

– A tak z ciekawości, co ty mu zrobiłaś, że mało cię nie udusił?

– Nie wiem. Rozmawialiśmy i nagle... – Rozłożyła bezradnie ręce.

– W każdym razie ma pan moją głęboką wdzięczność.

– Nie boisz się, że pošlę cię do zakładu dla obłąkanych? – próbował żartować, ale wychodziło mu to dość nieporadnie.

– Wróci pan do Łubinowa?

Skurcz przebiegł mu po twarzy. Ankwicz ściągnął brwi i spuścił wzrok.

– Nie wiem, to zależy od twojej matki – rzekł cicho.

– Jeśli jest panu tak droga, to dlaczego...? – Zawisły między nimi niewypowiedziane słowa pretensji o pannę Michalinę.

– Pozwól, że nie odpowiem. Jeśli masz jeszcze jakieś pytania...

– Tak, mam. – Wiktoria zawahała się przez moment, ale po chwili pewnie podniosła wzrok. – Co ja panu robiłam, że przez te wszystkie lata tak mnie pan nienawidził?

– A za co ty mnie nienawidziłaś? I to jeszcze zanim zostałem

mężem twojej matki? Nie pomyślałaś, że może mieliśmy ten sam powód?

– Nie rozumiem.

– Nieważne. I tak jest już za późno, by cokolwiek zmienić. Nawet gdybym poprosił cię o wybaczenie, prawda?

Nie znała go takiego i nie była pewna, czy chce poznać. Łatwiej go było nienawidzić, obwiniać o krzywdy swoje i bliskich. Nie zapomniała ani jednego szyderstwa, ani jednej podłości, a mimo to zamiast mściwego triumfu odczuwała jedynie żal.

– Nie wiem, czy wybaczy panu moja matka, Ludwika... panna Michalina, ale ja wybaczam. I przepraszam, nawet jeśli nie jest to panu do niczego potrzebne.

Uśmiechnął się.

– Potrzebne, Wiktorio. Potrzebne...

\* \* \*

Ledwie przekroczył próg pałacu, a już podbiegł do niego służący, trzymając na srebrnej tacy bilecik wizytowy. Gorc rzucił pospiesznie okiem. Westchnął, kręcąc z niedowierzaniem głową. No proszę, co za niespodzianka. To był sądny dzień, ale może przynajmniej teraz się zabawi. Alkohol przyjemnie go rozluźnił, rozmył lęk, przytępił wspomnienia.

W drodze powrotnej do Wilczych Dołów próbował zracjonalizować to, co się wydarzyło. Trudności należało nazwać, zaklasyfikować i jak najszybciej się z nimi uporać, by nie fermentowały, nie zatruwały spokoju. Makabryczne wizje Gorc przypisał wyczerpaniu, które doskwierało mu już od jakiegoś czasu. Ostatnio nie czuł się zdrow, więc przeciążony umysł zaczął płatać figle. A panna Słoczyńska? A niech idzie do diabła. Sto razy lepsze znajdzie na jej miejsce. Nie nawykł do porażek, więc wmówił sobie, że chwila słabości, której uległ, nie miała miejsca. To nie on padł na

kolana, to nie on, struchlały i słaby, tłumaczył się ze zbrodni. Nie jego zbrodni, nie jego słabość. Znów poczuł się silny, więc starał się odsunąć myśl, że gdy ustąpi dobroczynne działanie koniaku, śliski lęk powróci, oplecie go ciasno i pokąsa dotkliwie.

Wszedł do wystawnie urządzonej bawialni, gdzie czekał na niego wysoki mężczyzna w zakurzonej po konnej jeździe ubrani.

– Rozumiem, że przyjechałeś mi pan podziękować – zawołał Gorc, mierząc wzrokiem rywala.

– Pan dobrze wie, generale, po co przyjechałem – odparł Ksawery Łempicki, stając naprzeciw niego.

– No? To co mi pan proponujesz w zamian? Majątek na Kresach? Pieniądze, a może nazwiska wszystkich buntowników, co? Tak się składa, że niepotrzebne mi folwarki na Wileńszczyźnie. Pieniądzy posiadam aż nadto. Nie mam za to żony. Chyba nie przebijesz pan tej oferty.

– Panna Słoczyńska będzie bardzo nieszczęśliwa. Nie kocha pana, nie chce.

– Tak... Na moje szczęście jej miłość do pana jest większa niż niechęć do mnie. Inaczej nie przysłaby, błagając, żebym was ratował – drażnił się z uśmiechem, ale szybko pojął, że wcale go to nie bawi. Czuł się tylko coraz bardziej zmęczony i zniechęcony, mimo to jeszcze próbował. Przecież w ten sposób zawsze poprawiał sobie humor. – Była bardzo ponętna i przekonująca. Powiedziałem za dużo? No, chyba się pan nie będziesz rumienił. Obydwaj jesteśmy na to za starzy. W każdym razie obiecała, że będzie idealną i bardzo chętną żoną.

– Milcz pan! – Ksawery zacisnął dłoń na kolbie pistoletu podróżnego, który trzymał w kieszeni surduta.

– Rusza to pana? Jak na spiskowca jesteś pan wyjątkowo delikatny. A może wyzwiesz mnie pan na pojedynek? Człowieka,

któremu zawdzięczasz pan życie i... – urwał, bo nagle znów poczuł mdlącą woń krwi i rozkładu. Szybko zamknął oczy, bojąc się, że ponownie ujrzy upiorną marę. Słyszał, że Łempicki coś mówi, ale nie rozumiał słów. Dudniło mu w uszach. Pot spływał po plecach. – Precz! – nakazał, omijając gościa i kierując się w stronę okna. Stanąwszy tyłem, zacisnął dłonie na parapecie. – Przed godziną zwolniłem pannę Słoczyńską ze słowa. Cieszcie się szczęściem, póki je macie. A teraz *paszoł won!*

Ksawery, zamiast ustąpić, podszedł do niego.

– Nie będzie jej pan niepokoił?

– Nie.

– Co panu jest? – spytał, widząc, że Gorc cały drży.

– Nic. Proszę... proszę mnie zostawić. Zostawcie mnie wszyscy.

\* \* \*

– Dzięki ci, Jurgo – powtarzała Wiktoria, odpoczywając w altanie.

Pragnęła zrzucić z siebie napięcie całego osobliwego dnia, ale nie miała sił ani na konną przejażdżkę, ani na dalekie spacerowanie. Odnosiła wrażenie, że wieki minęły od poranka, gdy stroiła się dla Gorca, świadoma, że musi odegrać swoją rolę jak najlepiej, by przekonać do siebie jedyne go widza. Wciąż nie dowierzała, że uwolniła się od tego człowieka, i raz po raz kręciła głową, jakby ciało w ślad za umysłem także miało wątpliwości. Zaszyła się więc w parkowej altanie i przymknąwszy powieki, cieszyła błogim spokojem. Zaraz po rozmowie z Ankwiczem pragnęła wsiąść do powozu i ruszyć do Zielnej, do Ksawerego. Każda godzina zwłoki zdawała się jej wiecznością, ale tak daleka podróż wymagała przygotowań, dziewczyna zaczęła więc od napisania listu. Poczekaj, ile trzeba, byle tylko znów go zobaczyć, dotknąć, usłyszeć.

– Dzięki ci, Jurgo – szepnęła po raz kolejny.

Wtem usłyszała kroki. Podniosła wzrok i wstrzymała oddech.



Wstała z kamiennej ławy, ale wzruszenie nie pozwoliło jej wyrzec słowa. W jednej chwili słońce wpadło przez witrażowe okna, ale ona nie widziała altany, tańca drgających kolorów na ścianach i posadzce. Istniał tylko on.

– Wiktorio... Vaivo... – wyszeptał Ksawery, po czym upadł na kolana i pokonując opór szerokiej spódnicy, objął ją w pól, wtulając twarz w brzuch. – Choćbym tu siedł na klęczkach z samego Wilna, to i tak...

Nie zdołał dokończyć, bo osunęła się w jego ramiona, szukając ciepłych ust, których smak poznała w noc świętojańską. Złapała go mocno za głowę i wsunęła palce we włosy odurzona szczęściem. Drżała, czując dotyk jego dłoni, ciepło skóry, szorstki zarost. Nie mieli cierpliwości i sił na delektowanie się czułością, zabrakło miejsca na nieśmiałość czy wyuczoną powściągliwość. Całowali się zachłannie, by wyrwać ze swoich oddechów i uścisków obietnicę, że tym razem nic ich już nie rozdzieli, że skończyły się tygodnie strachu i cierpienia.

Mówili nerwowo, pospiesznie, jedno przez drugie.

– Obiecała pani... Obiecałaś, że ode mnie nie uciekniesz...

– Jesteś tu, Ksawery... Wery...

Trzymając w dłoniach jej twarz, całował powieki, policzki, ocierał wargami łzy radości i tulił ją mocno do siebie, jakby nie dowierzał, że to naprawdę ona, a nie ułuda zrodzona z bolesnej tęsknoty i wspomnień. Choć nie mógł się nią nasycić, to on opanował się pierwszy. Chwytał ją mocno za ramiona i posadził na ławie. Usiadł obok, nie wypuszczając jej rąk ze swoich. Co chwilę pochylał się na nimi i czule je całował. Długo nie potrafili ochłonąć, patrzyli na siebie, aż wreszcie zaśmiali się serdecznie.

– Tak się o pana... o ciebie bałam – rzekła wreszcie Wiktoria, głaszcząc go po policzku. Zauważyła głębokie cienie pod oczami i zagojoną ranę po uderzeniu na skroni. – Myślałam, że oszaleję. Gdy

Dominik powiedział mi, że...

– Już dobrze. – Oparł czoło o jej czoło, ściskając mocno drobną dłoń. – Ocaliłaś mnie. Nigdy ci tego nie zapomnę, ale jak mogłaś pomyśleć, że potrafiłbym żyć bez ciebie?

– Jestem wolna, Ksawery – pospieszyła z wyjaśnieniem. – On zrezygnował.

– Tak, wiem. Co się stało?

– To Jurga. Nie pojmuję, co zrobiła, ale zaczął się mnie bać. Nie rozumiem...

Uciekła przed jego ustami ze śmiechem, i tak już była wystarczająco rozogniona. Z trudem zbierała myśli i formułowała zdania. Wyraźnie słyszała ciężki, świszczący oddech, ale nie była pewna, czy należy do niej, czy do niego.

– Jak się tu znalazłeś? – zapytała wreszcie.

– Zostawiłem powóz tu, niedaleko, w miasteczku, i pożyczyłem konia. Najpierw pojechałem do tamtego człowieka. Zamierzałem... Nieważne. A potem natychmiast ruszyłem do ciebie. Poznałem twoją matkę, Wiktorio. Powiedziała mi, że tu jesteś. Nie chciałem, nie mogłem czekać w salonie, aż przyjdiesz...

Tym razem się nie broniła. Wtuliła się w jego objęcia, dotykając wargami wilgotnej szyi. Choć podróżny surdut przesiąkł wonią stajni, zapach ten ani trochę jej nie raził.

– Ksawery! – przypomniała sobie, odrywając się od niego. – Vaiva to moja prababka. – Wysupłała łańcuszek i pokazała mu medalion. – Należał do niej. Wilk i mir, jak na nagrobku. Przez całe życie słuchałam opowieści o niezwykłej Wirydianie, starościnie Opalińskiej, a to ona, Vaiva.

Uśmiechnął się, przesuwając palcem po grawerunku. Nie wyglądał na zaskoczonego.

– Teraz wszystko się zgadza – przyznał po chwili z namysłem. – Te

przepowiednie Jurgi, które z początku wydają się nie mieć sensu... Wiem od Michała, że matka prosiła ją o radę w mojej sprawie. Bardzo gryzła się tym, że jestem sam. Jurga podobno rzekła, by nie szukała mi żony, nie próbowała swatać, że mam czekać na swoją Vaivę. Tak powiedziała: „na Vaivę”. Kiedy cię poznałem, wydawało mi się, że... Ale przecież był Dominik... Wolałaś zostać w Łempicach, byle tylko być bliżej niego.

– Tak było na początku, a potem czekałam na ciebie w noc świętojańską. Chciałam ci wyznać...

Ksawery uśmiechnął się szeroko. Chrząknął, próbując zapanować nad wzruszeniem, które odbierało mu głos.

– Wiktorio, moja Vaivo, jestem dużo starszy i nie dam ci Łempic, które tak kochasz, ale należę do ciebie na zawsze. I jeśli tylko mnie zechcesz...

Ujęła jego rękę, pocałowała i przytuliła do swego policzka, patrząc mu w oczy. Bez wahania przyjmowała jego miłość i wygłodniałą samotność, krusząc przy okazji własną.

– Wybacz, że nie mam pierścionka, nie zdążyłem. Przyjmij na razie to. – Sięgnął do kieszeni surduta i wyciągnął z płóciennego woreczka bransoletę z szafirami, którą przed dziewiętnastu laty Janusz Słoczyński ofiarował Eufrozynie.

– Obawiałam się, że dasz ją innej... – zaczęła nieśmiało Wiktorcia, pozwalając, by zapiął klejnot na nadgarstku.

– Nigdy nie było innej i nie będzie.

W tamtej chwili wierzyła, że już zawsze będzie szczęśliwa. Odepchnęła od siebie z całą stanowczością przepowiednie Jurgi, uznając, że strapienia, o których mówiła stara prządka, są już za nią. W zakamarkach pamięci rozproszyły się słowa: „Co dla niej, to dla ciebie, co dla ciebie, to dla niej”. Wszelkie klątwy, proroctwa, obawy i wątpliwości przestały mieć znaczenie.

Wrzeczono kręciło się niespiesznie, oplecione wyjątkowo mocną i piękną nicią.

## EPILOG

### *KORONA POLSKA, ZAMEK W OPALINIE,*

*A.D. 1710*

Leżała wsparta na poduszkach, walcząc o kolejny oddech. W sypialni panował półmrok, bo największe okno przysłonięto grubą tkaniną, aby dać wytchnienie jej nadwrażliwym na światło oczom. Wahadło stojącego zegara uderzało rytmicznie: raz-dwa, raz-dwa. Ten dźwięk stłumił wszystkie inne. Raz-dwa, raz-dwa. Poruszyła się niezgrabnie, szukając wygodniejszej pozycji.

– Babciu? – Wnuczka Anna od razu poprawiła jej poduszkę. – Tak lepiej?

– Lepiej – sapnęła. – Srebrny medalion... jest twój. Kiedyś... przekażesz go córce.

– Babciu – zapłakała Anna, przyciskając usta do starczej dłoni.

– Cicho, cicho... Nie trzeba.

Odchodziła spokojna, bez trosk, które zatruwałyby jej ostatnie godziny, i z poczuciem, że zadośćuczyniła największemu pragnieniu. Do Wilna powróciła już jako sędziwa ponad siedemdziesięcioletnia pani. Cała rodzina dziwowała się tej podróży, ale że Wirydiany nijak nie dało się odwieść od tych fanaberii, naradzono się, by towarzyszył jej najstarszy wnuk. Znalezienie Rūty okazało się zaskakująco proste, bo nadal mieszkała na skraju wsi, niedaleko puszczy, tyle że w nowej chacie z piecem i kominem. W przywiedłej, pomarszczonej twarzy rozpoznała Wirydiana tamtą dziewczynkę, która tkliwym dotykiem koła jej ból. Z początku nie wiedziała, co rzec, bo odwykła od litewskiej mowy, ale słowa niespodziewanie wróciły do niej z zakamarków pamięci.

– Wiedziałam, że przyjedziecie. – Rūta się uśmiechnęła, mrużąc

jasne oczy. Podała przyjezdnej kubek mleka, zapraszając gestem, by usiadła. – Matka odeszła, będzie z dziesięć roków.

– A Giedrė?

– Zmarła, jeszcze zanim Kozacy najechali Wilno. Wiedziała, co będzie, i ostrzegła nas.

– Chciałam przybyć wcześniej, pomóc wam, ale...

– Wiem, wiem. – Rūta znowu się uśmiechnęła. – To nie żałujecie, że was wtedy babka odratowali, żeśmy was wyrwały śmierci?

– Nie żałuję – zapewniła. – Miałam dobre życie. Mówcie, czego potrzebujecie. Mogę was zabrać do siebie, waszą córkę, wnuczkę.

– Nie. Nasze miejsce jest tutaj.

Wirydiana wyjęła tedy ciężką sakiewkę. Rūta się wzbraniała, aż wreszcie machnęła ręką. Ani jednej monety nie zachowała dla siebie, tylko rozdała później wszystko, ratując co i rusz kogoś w potrzebie.

– A wiecie, zamku podczaszego już nie ma. Tam teraz ciemne moce grasują, ludzie powiadają, że to wasza sprawka.

Wirydiana się zamyśliła. Oto poczuła, że jej nienawiść do magnata przygasła, osłabła, znikła. Nawet nie wiedziała, kiedy mu wybaczyła, bo ostatnimi czasy nie wspominała go wcale. Wściekłość zniewoliła ją na długie lata, by wreszcie ustąpić. I tylko miłość do Wilkomira nie wystygła.

W Wilnie u kamieniarza zamówiła dwa nagrobki i wyjaśniła, gdzie należy je postawić. Pokazała srebrny medalion, żądając tego samego grawerunku oraz napisu: *Wilkomir, najdroższy mąż Vaivy*. Rzemieślnik wiedział, w którym miejscu stał przed laty dom kata, i dziwił się osobliwemu zleceniu, ale nie protestował, ciesząc się na zarobek. Czy uwierzyłby, że oto ma przed sobą legendarną wiedźmę? Pewnie nie, bo krucha staruszka nijak się miała do upiornego wizerunku utrwalonego w opowieściach.

Zaraz potem pojechała Wirydiana za miasto, pod stary las i rzekę,

w której niegdyś kąpała się z Wilkomirem. Gdy ujrzała z daleka, że cała polana zarosła, a po chacie nie został nawet ślad, omdlała w objęciach wnuka. Wzruszenie mała jej piersi nie rozsadziło. Wybacz, mój miły, wróć do ciebie, ale nie dziś – szeptała bezgłośnie. Wnukowi zaś rzekła:

– Tu mnie kiedyś pochowacie.

Jeszcze przez kilka lat po wyprawie do Wilna cieszyła się względnym zdrowiem, a potem z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień zapadała się w sobie, mizerniała jak pozbawiona słońca roślina. Marzła nieustannie, palce powyginały się jak gałęzie miotanego wiatrem drzewa i jakiś ból wszedł pod żebra. Raz, gdy zobaczyła się w lustrze, odbicie zdało jej się obce. Wilkomir by mnie nie poznał... – dumiała, patrząc na wątle siwe włosy i naznaczoną czasem twarz.

Kiedy przestała wstawać z łóżka, pojęła, że czas się żegnać.

– Babciu. – Usłyszała głos wnuczki Anny.

– Zwołaj... wszystkich – wysapała ostatkiem sił.

Po chwili w komnacie pojawiła się cała zasmucona rodzina. Dzieci, które muskała starość, liczne wnuki i prawnuki. Oni wszyscy są ze mnie – pomyślała z dumą i radością, wspominając swe początki w biednej, litewskiej wiosce, z piętnem bękarta i czarownicy. Kończyła żywot jako starościna Opalińska, pani na zamku, matka i babka.

– Nie żal mi, że to już – zdążyła jeszcze szepnąć i zamknęła powieki.

Najpierw poczuła intensywny zapach żywicy i ziemi nagrzanego słońcem. Jej twarz oblało światło, cudownie jasne, cudownie ciepłe. Wahadło zegara zwolniło i zamilkło. Rytmiczne „raz-dwa, raz-dwa” przeszło w kakofonię dźwięków: rozszalały śpiew ptaków, owadzie buczenie i szum wody przelewającej się między kamieniami. Zmysły,

stępione z wiekiem, wyostrzyły się nagle jak u dzikiego zwierzęcia. Otworzyła oczy. Mrugnęła kilkakrotnie, zamknęła powieki, nie dowierzając, i znów otworzyła. Nad sobą ujrzała konary potężnych dębów na tle pogodnego nieba. Pojęła, iż nie leży pośród puchowych poduch na łożu, tylko na mchu przy rzece.

Poderwała się na nogi ze zwinnością młodej dziewczyny i zaczerpnęła mocno powietrza, które bez trudu i bóleści wypełniło piersi. Ciało zrobiło się rozkosznie lekkie, uwolnione z kajdan starczego wieku. Była bosa, ale nie czuła zimna – po raz pierwszy od dawna. Zaśmiała się, poruszając smukłą stopą. Spojrzała na dłonie, znów gładkie i młode, bez plam i narośli. Przeczesała palcami czarne włosy, wyplątując z kosmyków drobne gałązki, po czym powoli ruszyła przed siebie. Nie zapomniała drogi. Jakże by mogła – wszak tyle razy przemierzała ją w marzeniach! Łzy radości popłynęły jej po policzkach, gdy dostrzegła stojącą na polanie chatę. Nic się nie zmieniło. Pod oknami wciąż kwitły maliny, które zasadziła. Wiekowa lipowa rzucała cień na podwórze, a jabłonie kłaniały się sobie w uprzejmym pozdrowieniu. Nagle drzwi się otworzyły.

Vaiva wstrzymała oddech, a ciało przeszył ożywczy dreszcz. On też się nic nie zmienił. Patrzył na nią z miłością, szczęśliwy i wolny. Wyszedł przed chatę i rozpostarł ramiona.

– Wilkomir! – krzyknęła, puszczając się pędem ku niemu.

Nareszcie wróciła do domu.

### *WILNO, SIERPIEŃ 1853 ROKU*

Dorota Łankiewicz starannie złożyła list od Eufrozyny i zgasiła lampę. Mrok opadł na ciepłą, pachnącą chlebem kuchnię. Westchnęła raz, drugi, trzeci. Cieszyła się bardzo szczęściem Wiktorii i zaproszeniem na ślub w Wilnie, ale... to oznaczało spotkanie, którego okrutnie się lękała. Jakże miała spojrzeć jej w oczy? Jak wynagrodzić straszny grzech, choć popełniony w dobrej wierze? Nie, na to już



było za późno... Dźwignęła się z miejsca i otworzyła wiekowy kufer. List Eufrozyny dołączyła do tych starych, pisanych dwadzieścia lat wcześniej. Uśmiechnęła się, myśląc o Wiktorii.

– Przynajmniej tym razem nie zawiodłam – powiedziała na głos, zatrzasnąjąc wieko. – Przynajmniej tym razem...

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki. Dziękuję mojej Mamie, która rozbudziła we mnie miłość do literatury, Kresów Wschodnich i pięknej krainy świętokrzyskiej. Dziękuję Tacie, który na osiemnaste urodziny podarował mi sekretarzyk, abym miała miejsce do pisania powieści. Dziękuję siostrze Joasi, która wspierała mnie na każdym etapie powstawania książki. Dziękuję Basi Sibilskiej, mojej pierwszej recenzentce, która nieustannie motywowała mnie do dalszej pracy. Dziękuję Ewelinie Miterze za życzliwe pochylenie się nad tekstem i cenne uwagi. Dziękuję Dorocie Jaworskiej za to, że mozolnie przedzierała się przez tekst, wyszukując błędy. Dziękuję Gosi Wysockiej-Giejło za to, że cierpliwie odpowiadała na pytania dotyczące historii. Dziękuję Marcie Grzesiak, utalentowanej lituanistce, za lingwistyczną pomoc. Na podziękowania za wszystkie uwagi i pomysły zasługują także cudowni pisarze: Iza Koba-Mierzejewska, Ania Suchińska, Ewa Zdanowicz, Robert Baciocha, Piotr Dudała, Rafał Piernikarski, a przede wszystkim Ania Szczypczyńska, która gasiła pożary i pocieszała, gdy przychodziło z wątplenie. Dziękuję Oli Rojewskiej za wszystkie uwagi i wskazówki. Marcin Maciocha dał mi wielkie wsparcie w chwili, gdy traciłam zapał i chęci, za co serdecznie mu dziękuję. Dziękuję również Oskarowi Hamerskiemu za to, że pomógł mi lepiej rozumieć bohaterów powieści.

Moja Święta Babciu Celinko, choć Cię nie ma, to jesteś i zawsze będziesz. Dziękuję za Twoje inspirujące opowieści, za historię figury Cecylii Łempickiej. To dzięki Tobie miałam swój „Łubinów”.

# Przypisy

[1] Wesele pod płotem, psie wesele – stracić wianek przed ślubem, urodzić nieślubne dziecko.

[2] Stół dla jaśnie państwa. Stół drugi i trzeci był dla służby.

[3] *C'est sûr* (fr.) – To pewne.

[4] Adam Mickiewicz, *Śmierć pułkownika*.

[5] *Il faut aller* (fr.) – Trzeba jechać.

[6] Ostatnia bitwa insurekcji kościuszkowskiej.

[7] Chodzi o tzw. kuchnię angielską, wprowadzaną do polskich dworów w pierwszej połowie XIX wieku. Wymuszała ona zmianę przyzwyczajień, gdyż m.in. nie można było używać glinianych naczyń – postawione na blasze pękały.

[8] *Vous êtes là, mademoiselle* (fr.) – Tu jest panienka.

[9] *Adulescentia est tempus discendi* (łac.) – Młodość jest czasem uczenia się.

[10] Święto przypada 8 września.

[11] Krynolina przypominająca ażurową klatkę (*la cage*) została wprowadzona dopiero w 1856 roku. Rozszerzana od bioder potrafiła na dole osiągnąć obwód nawet 10 metrów.

[12] Patarafka – dawniej ozdobna podkładka pod lampę lub lichtarz.

[13] W niektórych szlacheckich domach w imię patriotyzmu celowo nie uczono dzieci języka rosyjskiego.

[14] Malwina i Ludomir to bohaterowie powieści Marii Wirtemberskiej *Malwina, czyli domyślność serca* wydanej w 1816 roku.

[15] Namiestnik Królestwa Polskiego w latach 1832–1856, gorliwy rusyfikатор.

[16] Rosjanie, przedstawiając się, podają imię, nazwisko oraz oczęstwo, czyli imię odojcowskie.

[17] Po roku 1853 Zanom urodzili się kolejni dwaj synowie.

[18] Polepa – podłóże wykonane z gliny i dodatków organicznych (trocin, plew, siczki) pełniące funkcję podłogi.

[19] Po odzyskaniu niepodległości zaułek Oranżeryjny, dziś Šiltadaržio skg.

[20] Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Cyt. Za: Anna Kowalczyk, *Brakująca połowa dziejów: krótka historia kobiet na ziemiach polskich*, Warszawa 2018, s. 152.

[21] Elisabeth Vigée Le Brun – słynna malarka francuska, portrecistka Marii Antoniny, malowała również portrety polskich arystokratek, m.in. Izabeli Lubomirskiej i Pelagii Sapieżyny.

[22] W roku 1853 wypadały one 27 marca.

[23] Chodzi o kościół Świętej Teresy w Wilnie.

[24] Przebudowywana w ciągu kolejnych stuleci istnieje do dziś. Kościół Świętego Kazimierza po powstaniu listopadowym przerobiono na cerkiew.

[25] Na wsiach Wileńszczyzny w XVII wieku mówiono w języku litewskim, w dialekcie południowoauksztoczkim. Dialekt ten był też językiem pomocniczym w liturgii katolickiej (podstawowym językiem była łacina). Literacka forma języka litewskiego ukształtowała się dopiero w XIX wieku. Językiem urzędowym był ruski. Po polsku mówiła tylko szlachta.

[26] Chodzi o obraz François Bouchera z 1735 roku (przyp. red.).

[27] Nawiązanie do ballad A. Mickiewicza *To lubię* i *Świtezianka*.

[28] Litewski odpowiednik Łysej Góry.

[29] Dawniejsze słowo oznaczające ateistę (przyp. red.).

[30] Wójt Wilna w latach 1621–1649.

[31] Perkūnas – litewski władca grzmotów, bóg sprawiedliwości.

[32] Narzędzie tortur dla podejrzanych o czary i heretyków. Rodzaj drewnianego kloca o ostrym czubku. Podejznanego sadzano

okrakiem na przyrządzie, który rozrywał genitalia ofiary.

[33] Naczynie do ogrzewania pościeli.

[34] Rękawy w pagodę – wąskie na górze, rozkloszowane na dole.

[35] Smażone w cukrze skórki cytrynowe i pomarańczowe.

[36] Cyt. za: *Stroje narodu polskiego z wiernym opisem jego obyczajów, zwyczajów i sposobu bycia*: dzieło malarskie/zredagowane i wydane przez Leona Zienkowicza, Paryż 1841.

[37] Rodzaj płaszcza noszonego w XVII wieku przez szlachtę.

[38] Broń palna o krótkiej lufie, używana w XVII–XVIII wieku.

[39] Pieśń weselna.

[40] W dawnych wiekach fajansowa zastawa była symbolem bogactwa i wyrafinowanego gustu.

[41] Popularna ballada Aleksandra Chodźki *Janek* zamieszczona w tomiku *Poezje* z 1829 roku.

[42] Słowo „kobieta” weszło do polszczyzny dopiero w XVI wieku i długo było określeniem obelżywym. Według etymologów wywodziło się od „koby” – kobyły lub „kobu” – chlewa. Rdzeń „kob” w języku staro-cerkiewno-słowiańskim związany był z magią i wrózeniem.

[43] Obszerny płaszcz męski podbity futrem, noszony w XVI–XVIII wieku przez szlachtę.

[44] Nawiązanie do *Boskiej komedii* Dantego.

[45] Litewska bogini lasów, niekiedy utożsamiana z Artemidą.

[46] Adam Mickiewicz, *Dudarz. Romans. Myśl z pieśni gminnej* [w:] tegoż, *Wiersze*, Czytelnik, Warszawa 1969.

[47] Iwan Bibikow – generał gubernator wileński w latach 1850–1855.

[48] Klub męski, gdzie m.in. grano w karty.

[49] W wyższych sferach do dobrego tonu należało, by przy

jedzeniu nie komentować tego, co się je. Egzaltacja i komentowanie wystroju wewnątrz także nie były na miejscu.

[50] Rodzaj mocnej nalewki, która miała też właściwości późniejszych soli trzeźwiących.

[51] Mowa o wojnie polsko-rosyjskiej i zdobyciu Wilna w 1655 roku.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

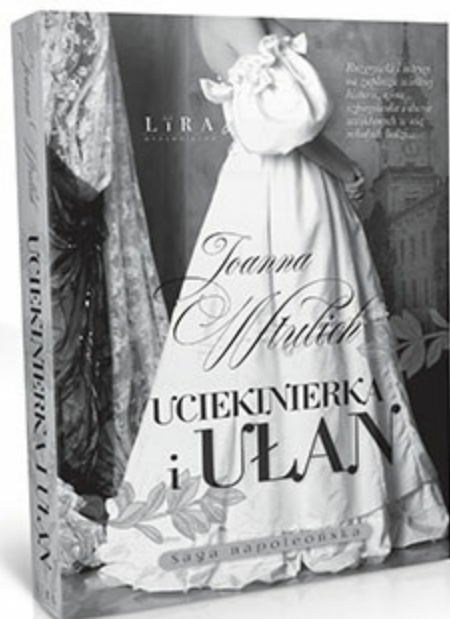
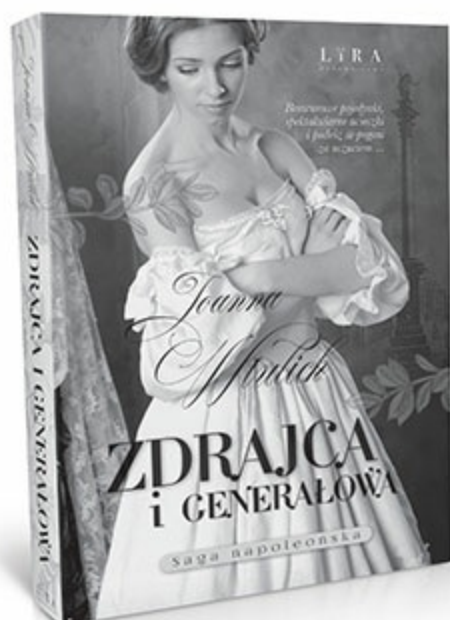


Paulina Kuzawińska zaprasza do świata, w którym, niczym w alchemicznej fiołce, przenikają się nieposkromione męskie ambicje, niełatwa miłość i wielkie tajemnice. Wraz z bohaterami odbędziemy podróż z mrocznego zamku Krawarz przez złotą Pragę czasów Rudolfa II Habsburga aż do Krakowa, na dwór Zygmunta III Wazy.

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

LIRA  
WYDAWNICTWO

**JUŻ W KSIĘGARNIACH**



Rozgrywki i intrygi na zapleczu wielkiej historii,  
afery szpiegowskiej i podróży w pogoni za uczuciem...  
LIRA poleca pełną rozmachu Sagę napoleońską  
autorstwa Joanny Wtulich!

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L i R A**  
WYDAWNICTWO



Piękna Litwinka Vaiva, będąca obiektem pożądania mężczyzn i tym samym nienawiści kobiet, zostaje oskarżona o czary. Jest rok 1641 i dla wiedźm nie ma miejsca w społeczeństwie. Aby ocalić życie, dziewczyna podejmuje decyzję, która uruchamia lawinę wydarzeń.

Ponad dwieście lat później los młodej Wiktorii, córki powstańca listopadowego, niespodziewanie splata się z losem litewskiej czarownicy.

Nie godząc się na małżeństwo z niechcianym adoratorem, Wiktoria decyduje się na ucieczkę i w wyniku niefortunnego zbiegu okoliczności trafia do majątku, gdzie imię Vaivy nadal budzi strach.

Czy rzeczywiście była ona niebezpieczną wiedźmą?

A może demoniczną kochanką magnata?

*To porywająca saga o kobietach, które miały odwagę walczyć o swoje szczęście i o prawo do decydowania o sobie.*

*To także opowieść o miłości szczerzej i pięknej, jak również obsesyjnej i niszczącej, i o tęsknocie za ukochanym miejscem na ziemi.*



## EWA SOBIENIEWSKA

– absolwentka filologii polskiej, teatrologii i filmoznawstwa.

Od wielu lat tłumaczka literatury w wydawnictwie HarperCollins. Zakochana w Paryżu i Wilnie, ale największą miłością darzy pewną świętokrzyską wieś. Wielbicielka muzyki Stanisława Moniuszki, kultury ziemiańskiej i przedwojennych filmów.

Jej debiutancka powieść to owoc rocznych studiów na Uniwersytecie Wileńskim.

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L i R A**  
WYDAWNICTWO

Patronat medialny:

**granice.pl**  
współpraca o literaturze

ISBN: 978-83-67388-38-2



cena: **46,99 zł**  
(w tym 5% VAT)